

28 P. 95786 Chr. Arcz.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr. 2-3

1947



J. BIELATOWICZ — Literatura na emigracji □ D. HALEVY —
Uwagi o przyspieszonym rytmie historii □ K. J. HOŁOBOCKI — Fe-
nomenolodzy polskości. □ W. A. ZBYSZEWSKI — Polska a świat
katolicki. □ R. WRAGA — Piłsudski a Rosja □ A. MALRAUX —
Wstęp do psychologii sztuki. □ Z FLORCZAK — Rozstanie ze szt-
ką. ■ J. CZAPSKI — Jangi Jul. □ St. VINCENZ — Śmierć leśna.
ARCHIWUM POLITYCZNE ■ KSIĄŻKI ■ VARIA

SPIS RZECZY

	Str.
Kazimierz Wierzyński: <i>Burza</i>	6
Jan Bielatowicz: <i>Literatura na emigracji</i>	7
Karol Ign. Hołobocki: <i>Fenomenolodzy polskości</i>	13
Daniel Halévy: <i>Uwagi o przyspieszonym rytmie historii</i>	23
W. A. Zbyszewski: <i>Polska a świat katolicki</i>	31
Ryszard Wraga: <i>Piłsudski a Rosja</i>	43
André Malraux: <i>Wstęp do psychologii sztuki</i>	55
Zbigniew Florczak: <i>Rozstanie ze sztuką</i>	69



Stanisław Vincenz: <i>Śmierć leśna</i>	77
Józef Czapski: <i>Jangi Jul</i>	99
Salvator Quasimodo: <i>Wiersze</i>	76, 108, 158 i 159

ARCHIWUM POLITYCZNE

Gamma: <i>Obecna sytuacja polityczna Francji</i>	109
Paweł Hostowicz: <i>Recepty na przegranie wojny z Rosją</i>	132

LITERATURA POLITYCZNA

Adolf Bocheński: <i>Duch dziejów Polski</i>	145
Jan Ulatowski: <i>Dzieje głupoty w Polsce</i>	151

KSIĄŻKI

Wiktor Weintraub: <i>Książki angielskie</i>	160
Marek Sienny: <i>La Peste</i>	168
Maria Czapska: <i>Norwid odzyskany</i>	172
Józef Czapski: <i>Dwa czasopisma</i>	184

V A R I A

P. H.: <i>Z powodu sytuacji demograficznej Francji</i>	188
--	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr. 2-3

1947

INSTITUT



LITERACKI



Cyfr. P. 9786 Chr. Arch.

Imprimerie „RICHARD”
24, rue Stephenson — PARIS - XVIII.

Jest już rzeczą jasną, rzeczą której nie można i nie należy ukrywać, że rozpoczął się na emigracji ostry kryzys czytelnictwa. Złożyły się nań różne przyczyny, ale wystarczy chyba jeśli podamy dwie główne — pogorszenie się warunków materialnych emigracji cywilnej i wojskowej oraz kryzys zaufania do słowa drukowanego, spowodowany nieprzerwanym pasmem rozczarowań politycznych, jakie przeżyliśmy w ciągu ostatnich paru lat pobytu na obczyźnie.

Dzisiaj wiemy już: czytelnik-żołnierz, dla którego kupienie książki lub czasopisma było niegdyś niewielkim uszczerbkiem materialnym, przedzierzgnął się w robotnika, w pracownika umysłowego, w rolnika i nauczył się cenić wagę każdego zarobionego grosza. Emigrant polityczny oswoił się z dewaluacją słowa pisanego na tyle, aby poczuć się w prawie do pogardzenia nim.

Czy zjawisko to jest trwałe? Na pewno nie. Musi jednak upłynąć trochę czasu, zanim nowa emigracja polska otrząśnie się z troski o swój byt materialny i podźwignie się z ciosów, jakie zadały jej wypadki polityczne naszych dni. Przygodny czytelnik i miłośnik literatury sięgną wówczas znowu po książkę. Książka polska wydrukowana na obczyźnie stanie się na powrót tym, czym była dotąd: nieodzownym czynnikiem postępu i walki o lepszą przyszłość.

Problem ten, prosty dla odbiorcy, nie jest jednak równie prosty dla wydawcy i pisarza. Przed wieloma wydawnictwami i czasopismami polskimi na emigracji stanęła nagle groźna konieczność likwidacji lub pracy „na skład”, pracy obliczonej na zmianę koniunktury czytelniczej. Mało jest dzisiaj na obczyźnie instytucji polskich, które by dzięki własnym zasobom materialnym zdolne były sprostać tej ciężkiej próbie.

W tym warunkach pozostaje jedyne wyjście z nadchodzącego impasu: odwołać się do czytelnika. KULTURA czyni to odważnie i bez cienia wstydu. Czyni to tym odważniej, że ilość listów jakie otrzymała po ukazaniu się pierwszego numeru od czytelników polskich ze wszystkich stron świata upoważnia ją w pewnej co najmniej mierze do zażądania tego kredytu. Jeżeli KULTURA stała się istotnie tym za co ją uważają autorzy listów do Redakcji tzn. cenną pozycją kulturalną na emigracji, jeżeli jest naprawdę placówką potrzebną i twórczą, to czytelnicy nie pozwolą jej upaść. Dopomogą jej przetrwać i doczekać renesansu powszechnego czytelnictwa na emigracji

KULTURZE trzeba tylko 3000 rocznych prenumerat aby istnieć samodzielnie, dbać nadal o wysoki poziom dobieranych artykułów, zapewnić sobie współpracę najwybitniejszych pisarzy i uczonych polskich i zagranicznych, wychodzić regularnie i docierać na czas do czytelnika.

KULTURZE trzeba 3000 rocznych prenumerat, aby z kwartelnika przeistoczyć się w miesięcznik.

Jesteśmy zdania, że osłabnięcie więzi łączącej Polskę z Zachodem wynika nie tylko z faktu że po drugiej wojnie światowej Polska znalazła się p o l i t y c z n i e w sowieckiej strefie wpływów i interesów. Powodów należy doszukiwać się głębiej — w zjawisku ciężkiego kryzysu jaki przeżywa dziś cała kultura europejska. Zachwiał się system pojęć, wartości i norm, którymi żyliśmy dotychczas. Kultura europejska utraciła swą konsystencję, swą zdolność odporu i promieniowania. Ten okres powojennego zagrożenia nie potrwa jednak zbyt długo. Skończy się z chwilą gdy prawdziwi Europejczycy wszystkich narodów i ras podejmą trud obrony, uporządkowania i twórczej rozbudowy zasad życia i myślenia, które ukształtowały naszą przeszłość i zdolne są jeszcze mimo wszystko ukształtować naszą przyszłość. KULTURA znalazłszy się w samym sercu europejskich dążeń do odrodzenia kulturalnego, pragnie wykorzystać ten przywilej w kierunku ponownego związania z nim polskiego ruchu umysłowego w k r a j u i n a e m i g r a c j i.

Nie wydaje nam się bowiem słusznym przekonanie, że pomiędzy krajem i emigracją powstała przepaść nie do zasypania. Przerzucenie pomostu pomiędzy Polakami, którzy żyją, tworzą i pracują w kraju i pomiędzy nami, którzyśmy wybrali świadomie emigrację polityczną, jest tylko kwestią taktu, zdrowego rozsądku i uczciwego podziału ról. Nie przyczyni się doń jednak nigdy bezwiedne często i nieświadome rozłupywanie kultury polskiej na kulturę „krajową” i kulturę „emigracyjną”. Nie ma dwóch kultur polskich, są tylko uczeni, pisarze i ar-

tyści polscy, którzy pracują dla jednej i tej samej kultury polskiej w miarę swych sił, umiejętności i m o ż l i w o ś c i .

KULTURA pragnie wykorzystać swoją wolność od ucisku i skrepowania politycznego nie po to żeby służyć ghetto polskiemu na emigracji, ale po to żeby przełamać jego izolację zarówno w stosunku do Europy, jak i w stosunku do kraju.

KULTURA pragnie również wypełnić tę lukę, jaką w twórczości uczonych, pisarzy i artystów w Polsce wytworzył stan politycznego odcięcia od procesów i przeobrażeń duchowych na zachodzie Europy.

Aby wykonać te zadania KULTURA zwraca się o pomoc do swoich przyjaciół i czytelników. I wierzy głęboko, że ta pomoc przyjdzie.

Subskrybcję zamykamy 31 stycznia 1948 roku.

Warunki prenumeraty :

Prenumerata roczna	— 800 frs.
Prenumerata półroczna	— 500 frs.

Zespół

BURZA

We are such stuff
As dreams are made on; and our little life
Is rounded with a sleep..

Nie gubcie tego świata,
Szkoda Szekspira,
Włoch i hiszpańskich piaskowców.
W rozbitych katedrach niedziela
Jest krzykiem świerszczy,
Nic więcej.
Pytałem Arjela:
Różdżka Prospera, powiedział,
Nie kwitnie wśród dzikich jałowców
I cmentarnych pajęczyn.

Nie gubcie tego świata,
Bo przy wieczornych kurantach
Komu wyszeptać,
W jakim półcieniu
I tajemnicy
To wszystko co się odzywa,
Jak światło
Pogrążone w milczeniu?
Raz jeszcze wyśmiać,
Potrącać na ulicy
Rembrandta?

Ach, i ta aureola,
Smuga girland i bukietów,
Gdy się w powietrzu opisze
Znad skrzypiec zaczarowanych i fletów
I muska klawisze —
Ileż jest warta?
Nie gubcie tego świata,
Pytałem Eola:
W czas burzy
Do wspólnego grobu
Rzucono Mozarta.

A jeśli ciemnym idziecie dnem,
Gdzie żaden z naszych się cudów nie stanie
I tylko zguba, jak echo kroków, dolata
I kuszy was niszczycielska i dręczy:
Kalibanie,
Nie zapominaj,
Wszyscy jesteśmy snem
Tego samego świata.
Nic więcej, nic więcej.

Kazimierz WIERZYŃSKI

Literatura na emigracji

Literatura na emigracji służyć ma nie tyle emigracji, co Kraju, tak jak literatura Kraju służy też nam — emigracji. Literatura polska jest bowiem jedna i niepodzielna. Wyznawanie tej zasady jest obecnie jedyną, choć może niekonsekwentną, różnicą między pisarzami w kraju i na wygnaniu. Pisarze emigracyjni, mierzą swoją twórczość miarami Kraju, jej przydatność i wartość ważą na wagach, mających obieg w Kraju, poszukują dróg, którymi by skierować dopływ emigracyjnego piśmiennictwa do nurtu macierzystego.

Z Kraju natomiast literatury emigracyjnej nie widać. Nie dlatego, żeby jej szczyty były zbyt niskie, ale dlatego, że w stronę ich nie wolno patrzeć. Bo miary jej — głoszą nadzorcy nad polską kulturą — są oszukańcze, wagi obce, a dopływy zatrute. Złudzenie wolności jest w Kraju największe na punkcie twórczości kulturalnej. Księciem pisarzy jest ostatecznie nie jakiś gramota Bierut, ale Iwaszkiewicz, rzędem piśmiennictwa są niemal wyłącznie jego przedwojenni ministrowie: Dąbrowska, Nałkowska, Tuwim, Gałczyński, Andrzejewski, nie zaś Gomółka, Osóbka, Radkiewicz. Stąd i niewiara Kraju w sens piśmiennictwa na emigracji. Niewiara, nie tylko propaganda. Lekceważenie, nie tylko zabobon.

Broniąc się przed nawałą oskarżeń, zarzutów i naigrywań, nie miała jeszcze literatura emigracyjna czasu ni sposobu przejścia do ofensywy. Przede wszystkim dlatego, że spora część pisarzy w ogniu tym przeszła na drugą stronę i wskazała dalsze słabe punkty pozycji, kruszone z nieustanną zawziętością. Największą grozą dla reżimu jest bowiem emigracja kulturalna. Przywódcy kampanii przeciwe migracyjnej dowodzą, że po przejściu na ich stronę Tuwima, Stonimskiego, Broniewskiego, Gałczyńskiego, Pruszyńskiego, Fiedlera, Meissnera, Morcinka nic już wartości-

wego na emigracji nie pozostało. Pozostałych na wygnaniu pisarzy obrzucono zasłoną przemilczenia i ironii. Jakieś tylko wątle promyki padają stąd przez szpary w kurtynie na karty pism krajowych. To zaś co się oficjalnie w Kraju jako literaturę emigracji przedstawia, są to badyle i szypułki z których odcięto kwiaty.

Jedyną syntezą z jakiej Kraj mógł się o istnieniu literatury polskiej na emigracji w czasie sześciu lat wojny dowiedzieć, była rozprawa Jana Hulewicza p. t. „Polski ruch wydawniczy w W. Brytanii w latach wojny 1940 — 1945” w zeszycie 7 — 8 „Twórczości” — bardzo niekompletna i skrojona ad usum regiminis. Przedruki pisarzy emigracyjnych, to z bardzo małymi wyjątkami, materiały w camera obscura, w rubrykach „z krainy bełkotu”, w „dokumentach obłędu”, obcięte grubymi nożycami samooskarżenia i lamenty, w najlepszym razie notatki bibliograficzne. Kraj, jeżeli nawet wie, że na wygnaniu pozostają Wierzyński, Lechoń, Wittlin, Parnicki, Baliński, Nowakowski, Grubiński, Terlecki, Zahorska, Wańkiewicz, Naglerowa, Goetel, Łobodowski, Karol i Wacław Zbyszewscy, Obertyńska, Sułkowski, nic albo prawie nic nie wie o ich twórczości. Jedynie tylko „Srebrne Orły” Parnickiego doczekały się w „Odrodzeniu” cenzurki „najlepszej polskiej powieści wojennej”, ale nie przedruku. „Wiadomości” Grydzewskiego raczej przez nieudolne próby naśladownictwa w Kraju znane są tam jako legendarne okopy „emigracyjnej reakcji”.

Mimo to uchwała Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, wzywająca pisarzy emigracyjnych do nieogłaszania utworów w wydawnictwach krajowych, zbyt manifestacyjnie opatrzona indywidualnymi podpisami, wydaje się niesłuszna. Piśmiennictwo emigracyjne tym się musi bowiem różnić od literatury w Kraju, że nie wolno mu w jakiegokolwiek formie i pod jakimkolwiek pozorem uchylać się od służenia w pierwszym rządzie Krajowi. A uchwała nie może być inaczej rozumiana w Kraju, jak dąsanie się na Kraj właśnie, jako pośrednie oskarżenie pisarzy w Kraju, że współpracują z reżymem. Tekst uchwały powinien brzmieć raczej jako protest, że pisarze emigracyjni nie mają możliwości swobodnego ogłaszania swych utworów w Kraju. Uchwała Związku Pisarzy nie zbliża nas więc do Kraju, lecz oddala od niego. Całym sensem literatury emigracyjnej jest heroizm znoszenia przemilczania, a nawet obelg i szyderstw przy zachowaniu wiary własnej i budzeniu wiary narodu w niewoli.

Dla zrozumienia celów piśmiennictwa na emigracji trzeba pojąć, że skończył się jeden jego okres a zaczął zupełnie inny no-

wy. Skończył się okres służenia wojnie. Zaczął się okres służenia narodowi, niewolnemu wprawdzie, lecz żyjącemu szerokim życiem pokoju. Literatura tamtego okresu służyła przede wszystkim żołnierzom i ich sprawie i miała prawo obrać sobie za siedzibę pola bitew i obozy żołnierskie, stąd sensem jej emigracji było udanie się w ślad za walczącym żołnierzem. Inaczej dziś, gdy Kraj jest alfą i omegą walki o istnienie. Literatura emigracyjna, jak ptak przelotny, musi ciągnąć instynktem do Kraju, w życiu jego widzieć swoje królestwo, z wygnania pomagać mu przetrwać. Jak żołnierze za każdy grosz oszczędzony posyłają paczki z obczyzny do Kraju, tak pisarze każde swoje dzieło powinni adresować nad Wisłę.

Literatura okresu wojennego żywiła żołnierzy, literatura okresu bieżącego ma żywić cały naród, tak w Kraju, jak na emigracji.

Literatura okresu wojennego (lata 1939 — 1945) w postaci dzieł, nie ludzi, wróciła albo wróci do Kraju. Nie wróciła jeszcze w całości, bo odzwierci i nadzorczy polskiej kultury z namiestnictwa Moskwy pozwolili dziełom wrócić tylko z autorami. Wróci jednak literatura wojenna emigracji i każda inna literatura polska do Kraju jeszcze za obecnego reżymu, choćby i wbrew niemu, jak wróciły piosenki o Monte Cassino i Brygadzie Karpackiej. Dzieła ducha mają bowiem właściwość przenikania najbardziej strzeżonych granic.

Literatura okresu wojennego była w lwiej części literaturą użytkową. Tematykawojenna służyła w pierwszym rzędzie zachęcaniu do walki. Poezja miała za patrona Tyrteusza. Publicystyka reportaży, pamiętnik zbierały snopy, odrzucane przez żniwiarke wojny.

Piśmiennictwo emigracyjne wykonało dobrze zadanie utrwaleń obrazu wojny, toczonej na polach bitew. Niemal że wyłącznie zadanie to przypadło pisarzom na emigracji, podczas kiedy w Kraju, zresztą już po zakończeniu działań, powstała większość literatury obozowej i więziennej. Pisarze w Kraju przeżywali i stykali się z tą postacią wojny, podczas gdy pisarze na emigracji z wojną, żeby tak rzec, frontową. Toteż tam powstał „Apel” Andrzejewskiego, „W otchłani” Szczuckiej, „Dymy nad Birkenau” Szmągiewskiej, „Krata” Gojawiczyńskiej, „Medaliony” Natkowskiej, „Z barykady w dolinę głodu” Rusinka itd. Na emigracji powstały dzieła Wańkiewicza, Fiedlera, Meissnera, Pruszyńskiego, Łaskiewiczza, Jerzego Pomiana, Sopoćki, Bartosi-

ka, a nawet wrześnie „Pobojowisko” Wierzyńskiego i wielki rój opowiadań, nowel i reportaży wojennych oraz literatura obywatelska ze strefy sowieckiej. Literatura powstania warszawskiego stanowi odrębną pozycję i rozłożyła się po obu biegunach z przewagą w Kraju. Podsumowaniem i przeglądem najbardziej charakterystycznych wartości literatury wojennej jest antologia Instytutu Literackiego w Rzymie pt. „W oczach pisarzy” w opracowaniu Gustawa Herlinga Grudzińskiego, zawierająca wybór opowieści wojennych 24 pisarzy, zarówno przebywających dziś w Kraju, jak na emigracji.

Hegemonia poetycka okresu wojny znajdowała się bezspornie na emigracji, tak jak dziś bezspornie wróciła do Kraju. Jest to zdumiewające zjawisko, jak wraz z wygaśnięciem pożaru wojny umilkła bogata poezja żołnierzy. Wydaje się, że najwłaściwszym traktowaniem poezji żołnierskiej okresu wojennego jest jej czytanie jako całości w postaci antologii z poszczególnych okresów. W tym zestawieniu odnajduje się głęboki sens pojęcia „poezji żołnierskiej” i oryginalne piękno, jakiego do tej pory literatura polska nie posiadała, egzaltując się słabiutką poezją legionową pierwszej wojny światowej. Z wielkim powodzeniem może ją dziś zastąpić poezja 2 Korpusu, a częściowo i 1 Korpusu.

Drugi rok już trwa nowy okres literatury polskiej. Na emigracji jest to niestety wysprzedaż resztek okresu wojennego. Od dobrego roku ilość oryginalnych pozycji beletrystycznych, jakie ukazały się na emigracji, można policzyć na palcach jednej ręki. Kryzys literatury na wygnaniu posiada poważne przyczyny zewnętrzne i wewnętrzne i jest bez wątpienia do zażegnania.

Kurczenie się emigracji, jej rozproszenie po wszystkich zakątkach pięciu części świata, jej trudna i twarda walka o chleb powszedni i pomoc rodzinom w Kraju spowodowały stan pokupności i czytelnictwa książki do rozmiarów, wobec których inicjatywa wydawnicza jest z góry skazana na niepowodzenie. Pozbawienie pisarzy wszelkiej pomocy państwowej (co w naszych czasach decyduje o istnieniu literatury we wszystkich krajach) i mecenatu, niemożność wyżycia z samego pisarstwa, nawet łącznie ze wszystkimi jego pochodnymi, wyjmują pisarzom pióro z ręki. Oby te przyczyny kryzysu są po pewnym okresie stabilizacji do usunięcia.

Są wszakże i przyczyny wewnętrzne, jest i w Grenadzie zaraza. Jej krzyczącym objawem jest partykularyzm, podział według wszelkich możliwych kryteriów: politycznych, środowiskowych, pokoleniowych, terytorialnych, koteryjnych. Każde wydaw-

nictwo i każde czasopismo zawarowane jest dla jakiejś grupy. O druku decyduje nie wartość dzieła, lecz legitymacja koterii. Wynikiem tego jest rój pism, których znaczna część czytana jest wyłącznie przez samych tylko współpracowników i powódź bezwartościowych broszurek. Innym rezultatem jest zagubienie przez emigrację hierarchii wartości, brak Mickiewiczowskiego kompasu. „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego” są prawdziwie objawioną, żywą Biblią polską.

Problem szczególnie trudny tworzy dwupokoleniowość pisarzy. W okresie wojennym, w licznych pismach żołnierskich i dzięki popytowi na autentyczny materiał literacki żołnierzy łatwość wyzwalania się młodych talentów była doskonała. W okresie obecnym panuje hasło powrotu do starych bogów. Coraz mniej liczne i coraz słabsze są dzieła wielu pisarzy starszego pokolenia, ale posiadają oni popularność niezminiejszą. Młodzi muszą się kontentować łaskawymi poklepankami. Problem ten zaostrza ilościowy brak krytyki.

Byłoby jednak niesprawiedliwością twierdzić, że literatura emigracyjna utknęła w zodiaku Starca. Młodzi jednakże pisarze, którzy zmonopolizowali swoje nazwiska w pewnych pismach, instytucjach i wydawnictwach czynią przez to wrażenie przedwczesnie postarzałych literackich emerytów.

Wszelki monopolizm jest śmiertelną chorobą kultury. Linia jego rozwoju w piśmiennictwie jest zwykle krzywą wiodącą do grafomanii. Jedyny dziennik polski w zachodniej Europie, wychodzący w Londynie, lekceważy istnienie na emigracji paru dziesiątek świetnych piór na rzecz graniczących z grafomanią felietonów wiecznie tych samych kilku autorów. Co można ostatecznie wybaczyć dziennikowi, w żadnym razie nie uchodzi pismom literackim. Metoda ta uśmierca wszelki ruch literacki i ideowość kulturalną. Wierszowe staje się zwolna ideologią. Debiut książkowy młodego pisarza na emigracji jest dziś losem mało prawdopodobnego szczęścia. Pisarzy młodych emigracji nie brak, a kilku z nich należy już dziś do pierwszego składu literatury polskiej.

Jakimi zatem drogami powinna pójść literatura polska na emigracji? Trudno jest wytyczyć drogi ducha i przewidzieć, jakim kwiatem zakwitnie twórczość polska, jak każda twórczość wróżbom ni normom niepodległa. Można co najwyżej rozprawiać o klimacie, jaki byłby najlepszy dla wzrostu, kwitnienia i owocowania piśmiennictwa na wygnaniu. Życie zresztą będzie sędzią najwyższym.

W czym może leżeć przewaga literatury na emigracji nad li-

teraturą w Kraju? Piśmiennictwo na wygnaniu wspierać się może na trzech fundamentach: wolności, heroizmie walki i doświadczeniu wśród obcych narodów. Zbyteczne wydaje się rozwijanie tych oczywistych pojęć, a tylko heroizm walki warto opatrzyć interpretacją, że emigracja, to nie ucieczka, ale podjęcie wyzwania do walki, umiejętność przeciwstawiania własnych ideałów i konkretnych osiągnięć tym, które się zwalczą. Trzeba obrzymiej czujności, aby nie przeistoczyć walki z reżymem w walkę z narodem, by bijąc w doktrynę, opartą na obcej przemoc, nie ranić przykutego do niej narodu, by umieć odróżnić konieczność życia od wykonywania obcego programu. Literatura okresu romantyzmu jest wzorem takiej delikatności. Tych wszystkich, którzy w nie mniejszej niż dziś ilości występowali się wówczas obcej potencji, zbywali pisarze romantyczni pogardliwym milczeniem.

Chodzi o to, by nie przeciwstawiać się wszystkiemu, co się dzieje w Kraju, lecz przeciwnie oprzeć się szeroko o jego twórczość kulturalną, śledzić pilnie, spokojnie oceniać nawet jej błędy, uwikłania czy bezdroża i podnieść tak wysoko światło na wygnaniu, aby mogło oświecić i drogi w Polsce.

Czas na wygnaniu mija wielokrotnie szybciej, niż w Kraju. Istnieje poważna obawa, że twórczość polska okresu wojennego poza granicami nie zostanie utrwalona i tym samym zmarnowana będzie dla historii. Przygotowuje się na szczęście pomnikowe wydawnictwo o udziale Polskich Sił Zbrojnych w drugiej wojnie światowej na wszystkich jej teatrach. Jest ostatni czas, aby taki sam bilans sporządziła zarówno polska polityka emigracyjna, jak i polska kultura.

Literatura jest w tym szczęśliwym położeniu, że nie musi się troszczyć o to, czy jest lub czy będzie przydatna Krajowi. Dla niej nie ma granic ni emigracji w znaczeniu duchowym. Istnieje tylko jedyna i niepodzielna literatura polska. Emigracja może być dla niej tylko perspektywą. Nie wolno jej być ucieczką.

JAN BIELATOWICZ

Fenomenolodzy polskości

To że ukazały się na obczyźnie, w czasie wojny i w okresie powojennym nowe wydania najświetniejszych dzieł naszej literatury jest czynem tak naturalnym, że nawet pochwała tej inicjatywy wydaje się być nieaktym.

Ale te stare dzieła w nowej szacie wydawniczej są czymś innym niż ich wydania dawne. Są o jakiś niewyliczony odcień mniej od tamtych realne, jakby wywołanie duchów. Z drugiej strony mają jakąś nad nimi przewagę. Polega ona zdaje się na cudzie przetrwania. Na tym, że oto **teraz** wciąż jeszcze słyszymy tamto.

Nie czytałem na nowo wszystkiego. Będę mówił tylko o Sienkiewicz, Żeromskim, Prusie i Reymontcie. Pierwsze wrażenie: Boże, jakież to wszystko podobne! Jest coś rozrzucającego w myśli na przykład o antagonizmie pomiędzy Sienkiewiczem i Żeromskim, o tym, że nazwiska ich wytyczały linię podziału w społeczeństwie, że kłócono się o nich tak żaździe na zebraniach, w gazetach, na wieczorkach i poważnych cenaklach. I o cóż było się kłócić? Toć bracia rodzeni. Tylko że jeden sangwinik i flegmatyk (mieszanina, która Sienkiewiczowi bardzo wyszła na dobre), drugi melancholik. Ale znajdują się zawsze, zbierają się z przyrodniczym prawie determinizmem w punktach węzłowych natury polskiej.

Może nigdy przedtem nie odczułem tak ostro wszystkich uroków Trylogii. Pewność rzutu malarskiego Sienkiewicza, dar operowania masami, faktura krótkich zdań z częstymi akapitami, z których wystrzela cud życia opisywanych wydarzeń. Umiejętność chwywania rzeczywistości z paru stron naraz i to z takich właśnie stron, że przeciągnięte linie dają w przecięciu najcięższą wibrację artyzmu. Mistrzowskie operowanie metaforą, której rewolucyjna czasem śmiałość zaskakuje u tego wielbiciela statku pisarskiego. Wyczarowanie polskości, ziszczenie cudu w rozumieniu popularnym przez widzenie i dotykanie rzeczy na pozór niewidzialnych, niedotykalnych. Uczępienie się gołej skały bytu chwytem jakimś niepowtarzalnym, którego sekret zestrojony pokazał nam Sienkiewicz w błyskawicach swego stylu, tego stylu, który zdał egzamin najwyższy: wytrzymał obciążenie sztucznej archaizacji. Uświęcił ją przez siłę wizji. Ziścił się w



Sienkiewiczzu fenomen pamięci dziejowej z siłą i wspaniałością niebывała.

Nie trzeba tać, że postacie sienkiewiczowskiego świata mają w sobie dużo z teatru marionetek. Są zdeterminowane aż do zmechanizowania. Kombinacje sytuacyjne wciąż te same. Ambicją autora zdaje się być to, aby każda scena, postać, sytuacja uświetniła wielkość akustyki zbiorowej, aby podkreśliła wspaniałość sceny samej, której na imię Polska. Nikt nie zanurza się pod poziom nurtu zbiorowości, nikt nie kroczy na przelaj. Nikt nie oddala się od gromady nawet w buncie, nawet w zdradzie. Nikt nie próbuje życia „na własną rękę”. Pod zewnętrzną niesfornością tej gromady kryje się dyscyplina instynktu. Dla buntownika prawdziwego, który by nie sprawę chciał atakować, ale ład życia, w którym tkwi — nie ma tam miejsca. Chyba ziemia święta pochłonęłaby go w milczeniu i nikt by o tym wydarzeniu słowa nie pisał. Przyznanie się do takiego wyjątku, byłoby początkiem zbiorowego samobójstwa. Zapewne są to stany zbiorowości nastawionej na obronę, jaką właśnie była Polska siedemnastowieczna. Zbiorowości o dążeniach podbojowych mogą, a nawet muszą, pozwolić sobie na wszystkie zuchwałości i ryzyka indywidualizmu. Indywidualizm — jedność i elit, bez którego nie ma podbojów.

Ten pakt z przeciętną zbiorowością był od dawna atakowany mniej lub bardziej inteligentnie przez wrogów Sienkiewicza, czemu nie można się dziwić (owszem był to objaw żywotności i sił intelektualnych narodu). Trudniej jest dziś zrozumieć tych, którzy widzieli w Sienkiewiczzu zasłoneżonego apologetę obyczajowości szlacheckiej. Można by raczej powyrzekać — w wieku triumfów autentyzmu — na zbyt już dydaktyczno-porozumiewawcze mruganie autora w stronę czytelnika, kiedy pokazuje mu się różne arcy-fenomeny próżności i załamania siedemnastowiecznego szlachcica. Pomawiano Sienkiewicza nawet o apoteozowanie Zagłoby! Ciekawa zresztą rzecz, że Zagłoba jest bodaj najmniej polską postacią w całej Trylogii, jest tylko z szlachecką przybrany, poza tym bez przyczyniania zmiesiłby się ten szczywany gaduła w ramach każdego eposu zachodnio-europejskiego. Podobnie rzekome „pogodzenie się” Sienkiewicza z pokręcenstwem opisywanych obyczajów wojennych nie potrzebnie gorszyło jego nieopanowanych antagonistów. Sienkiewicz odcina się tu wyraźnie od swych bohaterów, przy czym odcina się w duchu dzisiejszych postulatów artystycznych. Bywa patetyczny w stylu wyszukany, „na poziomie” — jak się dziś mówi. W jednym miejscu „Potopu” powiada, że Kmicicowi przeszkadzał blask podpalanych przez jego zuchów wsi przy odprawianiu różańca i wtedy musiał zaczynać od nowa. Tak nawiasowo, półgłosem. Widzę w tym bardzo taktowną formę protestu. Zwierzenia konwersyjne księdza Kalińskiego są wyznaniem miłości chrześcijańskiej o natężeniu wielkim i szczególności wyjątkowej. Tych parę stron odkrywa nam związek pisarza ze światem chrześcijańskim, głębsze niż by to wynikało ze stronice... „Quo Vadis”.

Kiedy od Sienkiewicza przechodzę do Żeromskiego, uderzają mnie podobieństwa, zapanowam o różnicach. Te same

proporcje wartości: potężna akustyka całości — i ubóstwo postaci. Żeromski uchodził nawet wśród swych antagonistów za znakomitego „malarza przyrody”. Przenikał to, co nazwałbym pejzażem humanistycznym. Przyrodę w jej dramatycznym splocie ze śladami pracy, wiary i wynalazczości człowieka. Przypominam opis karczmy opuszczonej z „Urody Życia”, tamże słynny zmurszały krzyż przydrożny, u którego stóp dokonywała się wielkie przeobrażenie duchowe Rozłuckiego. Sienkiewicz operował serią typów, które wyjmował z szafki podręcznej i na dzwonek wprowadzał jej na scenę. Wiecznie zgorączkowany Żeromski pokazuje nam wciąż samego siebie. Zmieniają się nazwiska, epoki, miasta — ale bohater jest wciąż ten sam: on, Stefan Żeromski. Obaj pisarze, choć odmiennych temperamentów, tak są zrośnięci z Polską, jako z organizmem macierzystym, że stali się obaj poprzez artyzm — wielkimi odkrywcami polskości dla samych Polaków. Próbuje te odkrycia przedstawić ile się da systematycznie, wyodrębniając je w kilku punktach.

Punkt pierwszy — to polskie NATYCHMIAST. W Polaku wszystko wrę. Ten stan rozplamionej płynności jest zasadą jego życia psychicznego. Czy chodzi o sprawę publiczną, o wojnę czy o miłość i honor osobisty — zwłoka, czekanie, namysł — poza koniecznością najbardziej oczywistą, są czymś wstrętnym, nieznośnym. Krew polska tętni rytmem jednego słowa, słowa ZARAZ. Łzy i śmiech zabarwiają te wiecznie tętniące ZARAZ, smutkiem lub radością, tak samo wybuchowymi jak czyn polski nagły, maksymalistyczny w napięciu chwili i tak niedbały o woranie się głębszą brudną w całość rzeczywistości.

Bohaterowie Sienkiewicza walczyli o Polskę polityczną, o granice Rzplitej, o wypędzenie wroga z Jej obszaru, walczyli tak samo, w tym samym rytmie wewnętrznym co bohaterowie Żeromskiego o sprawiedliwość społeczną, o wypalenie nędzy, wyzysku, upodlenia. To samo zerwanie z kopyta, ten sam szaleńczy bieg przed siebie. Żeromski miał jednak w zanadrzu coś co obce było Sienkiewiczowi: ROZKOSZ KLĘSKI. Ona to była źródłem demonicznego uroku jego pism. Czytając go ma się czasem wrażenie, że już w początku, kiedy bohater niby bierze się do dzieła, pora z twardą rzeczywistością, że już wtedy mu gra w uszach czarowna muzyka klęski. Że już u źródła poczynać klęska wikła poetę w swe sidła i ślepego wiedzie prosto do swych ołtarzy.

O „rozkładowym działaniu” Żeromskiego napisano dużo gupstw (wyuzdanie zmysłowe, Ewa oddała się Pochroniowi itp.). Jeśli jednak był Żeromski dla swego narodu niebezpieczny miało to niebezpieczeństwo swe źródło w jednym tylko: w owej słodkiej psychozie klęski, której twórcą „Ludzi Bezdomych” był mimowolnym, na pewno nieraz tragicznie zbuntowanym przeciwko swemu bóstwu — kapłanem. Tu były istotnie, mówiąc językiem lekarskim, duże „możliwości przerzutu” zważywszy, że historia nasza coraz bardziej stawała się buchalterką niszczycielskich działań przewrotnej bogini.

Punkt trzeci w tym wyliczeniu fenomenologicznym — to SNOBIZM. Brak mi innego słowa i na bardzo snobistycznie brzmiącym snobizmie muszę poprzestać. Chodzi tu o fenomen,

polegający na specjalnym stosunku człowieka do własnej przeszłości historycznej. Stosunek ten wyraża się w przeroście przeszłości nad terażniejszością, tak wielkim, że rak historii prawie całkowicie pożera człowieka terażniejszości, Człowieka myślącego, pracującego i działającego. Najważniejszą jego częścią jest to co odziedziczył, sumą odruchów, gestów, aspiracji, fobii, to wszystko czego nie zdobył, ale co ZNALAZŁ w sobie. To czym jest ON SAM, to tylko dodatek do przeszłości, który jest „dobry” wtedy kiedy się w przekazanym człowiekowi stylu kontynuuje, zły — kiedy ten styl łamie, zniekształca, zamazuje. Człowiek jest wehikułem swojego dziedzictwa, a że jest staby więc tam, gdzie historia prawdziwa nie wydaje mu się dość ozdobna, łąta ją, dorabia, sztukuje, a jeśli i to nie wystarcza — dołguje.

U postaci sienkiewiczowskich mania wywodzenia się od Rzymian i Hellenów jest prawie powszechna. Sprawa klejnotu jego rangi, starożytności, blasku, szczybel w hierarchii szlacheckiej — zajmują miejsce bardzo ważne. Człowiek wciąż wypycha sobie zaplecze. Ma się wrażenie, że gdyby nagle został go pozbawiony — runąłby. Nie chciałbym aby moje uwagi rozumiano jako wyraz jakiegoś — w stylu warszawskiego GŁOSU z początku naszego wieku — antytradycjonalizmu. Oceniam w strukturze spraw człowieczych wagę piedestału historycznego. Ale boję się o człowieka, który miarą tego piedestału mierzy życie, w którym tkwi i swoją w tym życiu rolę. Wtedy wartość najwyższą ma to co mnie nie kosztuje, co mi nawiąły dzieje, co odtwarzam bezwiednie siłą zakorzenionych we mnie nałogów. To już owo „głębsze” ja COMME IL FAUT, ja aktywne, moje, jest raczej kompromitujące. Jest zdradą ła na rzecz konturu, zdradą spoczynku na rzecz ruchu.

Snobizm, jak wiadomo, wie dzie swój ród przynajmniej filologicznie z Anglii. Ale tam — jak syfilis w klimacie tropikalnym — nie jest siłą niszczycielską. Raczej jest siłą budującą choć nie sympatyczną ze swą wysepką próżności, ze swymi śmiesznymi wybrykami. Nasz snobizm jest zupełnie inny: anielsko bezinteresowny, idealistyczny. Powiedziałbym „ontologiczny” w swej niezachwianej statyce (nie ważne jest to do czego SAM DOJDE, ale ważne jest czym JESTEM w swej esencji) Zeromski jest równie wielkim fenomenologiem tego snobizmu jak Sienkiewicz. Badał tylko inne jego dziedziny. Kiedy Judym spotyka towarzystwo eleganckich rodaczek w galeriach Louvre'u, natychmiast po prezentacji, jako najpilniejszą o sobie informację komunikuje nowym znajomym, że jest synem szewca. Takim kamieniem leżało mu to na sercu. Choć Judym w swych założeniach, żarliwie wyznawanych, był „człowiekiem czynu”, a więc nastawionym na kształtowanie przyszłości, to jednak w obliczu świata o strukturze estetycznej traci równowagę i nie chcąc bić przed nim czołem ratuje się desperacką szczerością. W tych śmiertelnych potach Judyma, zapominającego języka w gębie wobec jakichś kilku pań z „monde'u” bodaj głębiej odsłania się natura polskiego snobizmu niż w bzdurnych fantazjach sienkiewiczowskiej szlachty siedemnastowiecznej, sięgającej swymi „rodowodami” Scypionów.

Czwarty punkt to DZIWACTWO. I tu znowu nasuwa mi się porównanie ze społeczeństwem angielskim. Od dobrego znawcy stosunków angielskich słyszałem ciekawą obserwację. Otóż Anglik jest wobec dziwactwa bardzo tolerancyjny. Pod jednym warunkiem: żeby to było JEDNO dziwactwo. Możesz sobie wycinać dziury w butach przez respekt dla swych odcisków, hodować ropuchy lub zbierać niedopałki papierosów, będąc milionerem. Twoja rzecz. Ale w pozostałych dziedzinach musisz być jak wszyscy. Dziwactwu przyznaje się immunitet, za to dziwak obowiązuje się — poza swoim dziwactwem niezako patentowanym, — spalać kadzidła na wszystkich ołtarzach kultu zbiorowości. Umyślnie to przytaczam dla podkreślenia kontrastu z nami. Bo co to jest JEDNO dziwactwo dla Polaka i to takie, które uzyskało PLACET społeczeństwa! Szkoda gadać. Oto właśnie chodzi, by się zbiorowości postawić okoniem, czuć się innym niż ona (coś z rozkoszy kłęski przy temperamentie awanturniczym). Dziwactwo nasze, dla którego literatura nasza zawsze wykazywała zrozumienie, na które Zeromski miał czułe ucho, jest jak wielki rów z wodą, dzielący nas od Zachodu. Choć to przykre wyznanie, ale powiedzieć trzeba, że indywidualizm nasz wypowiada się najchętniej poprzez medium dziwactwa.

Wymienione tu elementy dają połączenie tłumaczące inne, bardziej złożone fenomeny. Tak na przykład NATYCHMIAST plus SNOBIZM daje gesty strażniczej ofiarności.

Sienkiewicz i Zeromski byli znakomitymi fenomenologami polskości. Pierwszy zasadniczo z nią pogodzony, drugi — choć wciąż szarpany zrywającym się buntem, tkwił jednak duszą i ciałem w jej prawdziwie zaczarowanym kręgu.

Do innej rodziny fenomenologów zaliczam Prusa i Reymonta. Tu literatura prowokuje przyszłość.

Prus był oddzielony grubym pierścieniem izolacji od „toczącego” się życia, a obawa przestrzeni jeszcze tę izolację pogłębiała. Fala polskości nie porywa go jak tamtych. Ma się i wolę opierania się jej wartkim prądom tam gdzie przerezuca inne, dalej prowadzące drogi. Stwarza postać Wokulskiego, który para się z rzeczywistością, ale już nie wedle wzoru polskiego NATYCHMIAST. Jest w „LALCE” moment wspaniały, kiedy Wokulski, jako młody chłopiec, wydobywa się z piwnicy, do której go podstępem zepchnięto — spokojny, zamknięty w sobie bogatszy o mądry sceptycyzm człowieka, który w przeciągu paru chwil nauczył się rachunku życia. Tę zdobycz zachowa na zawsze. Wokulski jest rzadkim w literaturze typem optymisty, nieocierającego się ani przez chwilę o kicz. Optymizm Prusa nie jest ani sentymentalny, ani tchórzliwy, ani naiwny. Jest tak uczciwy, że wielu zawaha się nazwać go optymistą. Te głębsze tony są u Prusa skryte, kto wie czy je sobie sam pisarz uświadamiał z zupełną tzn. dyskursywną jasnością. Mówi się chętnie o Prusie jako o pisarzu pogodnym i zrównoważonym. Rzeczywiście był zrównoważony, ale cena tej równowagi była niezwykle wysoka. Niedawno przed wojną Stefan Godlewski (zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym) dowodził bardzo przekonująco w artykule o „LALCE” (Wiadomości Lite

rackie), że Wokulski nie zginął śmiercią samobójczą. I ja tak myślę. Podziwiam takt Prusa, który tę sprawę pozostawił w zawieszaniu. Jakie światy namietności krył w sobie ten samotnik, który wyczarował tę wielką (w najwyższym stylu) tragedię miłosną Wokulskiego i „Lalki”. Pokusił-bym się o formułę prusowskiego optymizmu. Nie był to optymizm zapewniający, że życie JEDNAK jest piękne i dlatego „żyć” warto. Nie, życie „jednak” jest straszne i tragiczne. Ale z tego nie wynika, aby mu było wolno je zdradzić. Optymizm, który nic nie obiecuje i wszystkiego żąda. Dlaczego jest jednak optymizmem? Dlatego, że daje podstawę pewności. Pewnością, którą musimy ciągle zdoływać. Na nic więcej człowieka nie stać, o nic więcej nie powinien się pytać.

Reymont, u którego element malarski („opisywactwo” powiedziałby Irzykowski) przeważał nad syntezą intelektualną, nie naciskał rzeczywistości tak z bliska jak Prus, nie zadawał jej tak twardych i ostatecznych pytań. Miał przy tym dużo „organicznego” optymizmu, który upraszczał jego drogi. Nie chcę tu mówić o „CHŁOPACH”, o których już tyle powiedziano. Myślę o autorze „ZIEMI OBIECANEJ”. Temat — Zeromskiego. Nędza, wyzysk, brud — w głębi krwawa hydra kapitalizmu, zerującego na śmietniku i zdychającego z nieludzkiej nudy. W końcu wierzymy, że kapitalizm jest straszniej zaszczytany przez życie niż nędza. Pisarz wywiódł nas na peryferie życia i powiada: Oto dowiodłem was do tego punktu, gdzie wszystko się odwraca. Wymioty złotem są gorsze niż wymioty z głodu. Bo znaczą koniec, są konwulsjami przegranej i nie ma już siły, która by życiu tych szczurów wróciła prawdę. Próbuja jeszcze idealizmu, filantropii, współczucia dla swych ofiar, ale to tylko szarpanie wisiela w splocie zaciskającej się pętli. Tamci nędzarze giną i długo jeszcze ginąć będą, ale mają punkty oparcia w pracy, w marzeniu, w zemście. Mają przywilej stykania się z życiem, corps a corps, nie poprzez papierek czekowy. Jest może nadludzko trudno w tym właśnie w dzieć przewagę, a jednak tak jest. W „Ziemii Obiecanej” Reymont nie potoczył się po równi pochyłej buntu i skargi. Porzucił rozkosz łez dla rozkoszy obcowania z prawdą i zdobywszy ten punkt oparcia nie wpadł w doktrynę, czy w „mocarność” namaszczona, w apokaliptyczność. Wplótł w obraz i sentyment i bezradność polską i snobizm i szwindel pokumany z humanitaryzmem i marazm na koturnie poświęcenia. Widział fatalizm zawieszony nad budowlą kapitalizmu i to, że raz przyjawszy jego strukturę nie tu zmienić nie można. Był Reymont chyba najbardziej marksistowski z naszych pisarzy. Wyrastał jednak ponad marksizm. Wierzył w siły człowieka i w siły zbiorowości ludzkiej. Oczarowanie świata przez czynnik materialistyczny spostrzegł jasno, ale nie przyznawał mu wszechmocy. Definiowanie pewnych stanowisk za autorów, budowanie teorii — odpowiedników dzieł sztuki, zawiera w sobie ryzyko, ale ryzyka tego ominąć nie podobna. Powiedziałbym, że Reymont przyznaje, iż fatalizm kapitalistyczny przyniata człowieka, ale go nie zastrzebuje. Jest determinizm, ale to MY go stwarzamy przez zgodę na determinizm. Skoro znajdziemy się w jego kręgu nie

już zmienić nie możemy i dlatego daremna jest szarpanina wszystkich męczenników kapitalizmu z dołu i z góry. Ale wolni jesteśmy tego determinizmu nie przyjąć. Możemy odrzucić CAŁY ten ład i wyrąbywać nową drogę w puszczy bytu.

„Ziemia Obiecana” nie zrobiła kariery „Chłopów”. Epopeja wiejska zaciemniła epos łódzki, a przecież właśnie w „Ziemii Obiecanej” — dziele zresztą literacko biorąc nierównym, pełnym stylowego banału i miejsc „puszczonych” — wynosi Reymont powieść polską na wyżyny zrozumiałości europejskiej.

Nasuwa się z tych rozważań wniosek, który chciałbym odsunąć: że Prus i Reymont (jak zresztą Sienkiewicz i Zeromski, choć ci raczej pośrednio) byli „wielkimi wychowawcami narodu”. Analizuję swoją niechęć do tego wniosku. Wychowawca, nauczyciel, wieszcz — to zawsze coś zakończonego co należy przyjąć, wchłonąć jak prawdę objawioną, poddać się. Jest w tym tyleż pomocy ile sklerozy. Wychowawca mocą swego stanowiska w zbiorowości zawsze dużo rozstrzygnie ZA wychowawca. A w rzeczach najgłębszych, na zakrętach wielkich rozstrzygnięć, nie powinno być fałszerstwa. Dobry wychowawca przechodzi OKOŁO swego narodu (taki był Prus). I spełni dobrze swe zadanie jeśli swym dziełem i swą osobą ten naród ZASTANOWI. To jest jedyna droga bogacenia narodu przez człowieka.

W mojej próbie wyodrębnienia z dzieł naszych pisarzy skrótu fenomenologicznego polskości miałem wciąż przed oczyma to co dzieje się dziś i co dzieć się może w przyszłości. Trudno też mi się oprzeć próbie wytłumaczenia owego niezrozumienia, na które wciąż natrafiamy ze strony obcej, podobni do człowieka w ciemnym pokoju objającego się o sprzęty. Nasi wielcy fenomenolodzy polskości przychodzą mi z pomocą.

Odpowiedź najprostsza i najwygodniejsza — to „niewdzięczność tamtych”. I któż miałby odwagę zaprzeczyć, że świat karmi nas niewdzięcznością. Ale w jego obojętności wobec nas i niezrozumieniu jest coś więcej niż niewdzięczność i może ta niewdzięczność jest w pewnym stopniu pochodną tamtych przyczyn.

Zastanawiające jest omijanie nas w różnych okolicznościach, kiedy to jest z pozoru niewytłumaczalne. Przyjeżdża delegat międzynarodowej instytucji i przemawia do zbiorowości też międzynarodowej. Istnieje jakieś 80% prawdopodobieństwa, że wymieni Rosjan, Ukraińców, Kroatów, Belgów, Holendrów, Portugalczyków — i przemilczy nas. Złośliwość? — nie, przynajmniej nie zawsze. Kiedy mu zwrócić uwagę na popelnione zaniedbanie najczęściej bąknie coś w rodzaju „ach, prawda, rzeczywiście”. Nie wiedzieć dlaczego jesteśmy w rachubach tych ludzi pozycją trudno dostrzegalną. Łatwo się nas zapomina jak sen po spojrzeniu w okno, jak zdanie zasłyszane w mało znanym języku, lub źle, niezdarnie sklecone. Brak jakichś zahaczań pomiędzy nami a „tamtymi”. Sprawy polskie są to zamknięte sprawy rodzinne, niedostępne dla cudzoziemców.

Myślę, że tę obcość tłumaczą w dużym stopniu wymierione poprzednio fenomeny polskości. Polskie NATYCHMIAST przeszło ewolucję z wynikiem dla nas bardzo złym. A raczej nie ono przeszło ewolucję, ale przeszły ją warunki, wśród których ono dawniej wybuchało jak wybuchało w okresie Potopu. Ta pochopność do natychmiastowych wyładowań była zawsze niebezpieczna bez właściwej korekty politycznej. Ale w ubiegłych wiekach było więcej okazji kiedy NATYCHMIASTOWOŚCIĄ można było coś osiągnąć. Losy narodów ukuwały trzy czynniki: dynasta, rycerz, dyplomata (czynnik kościelny zahaczał o wszystkie trzy punkty). Kto chciał trzymać losy Europy czy pewnej jej części „na końcu szabli” zawsze coś zyskał i oczywiście coś znaczył. W pewnych chwilach bywał „salvatorem”. W miarę postępujących zmian strukturalnych w życiu narodów europejskich NATYCHMIASTOWOŚĆ traciła na znaczeniu, co więcej stawała się reakcją bardzo niebezpieczną dla tego, kto jej urokiem podlegał. Nie znaczy to, aby czynnik emocjonalny „imponderabilia” znaczyły dziś mniej niż dawniej. Można przytoczyć bardzo wymowne przykłady ich działania w dzisiejszym świecie. Ale to są inne imponderabilia, bardziej „rozciągliwe”. Dłuższe, bardziej w swym układzie skomplikowane dźwignie poruszają dziś czynnik emocjonalny. Niezbędna jest sieć precyzyjnych kontaktów pomiędzy tym złożonym systemem działania a zapalnikiem emocji, aby rezultat był dobry, a nie katastrofalny. Reakcje muszą ulec koniecznemu zwolnieniu, bo to wynika z samych założeń działania (wprzeżenie w akcję polityczną nauki, techniki, organizacji, zasad socjalno-psychologicznych, oddziaływania na masy). Można zwyciężać duchem (to jest nasza — i słuszną ambicją), ale ten duch nie może przeskakiwać rzeczywistości. Ma ją przecież ujarzmić, a to jest niemożliwe bez twardego stanięcia na jej gruncie. Sytuacja jest tym groźniejsza, że w razie niepowodzenia mamy zagwarantowany honorowy odwrót. Nieodstępną rezerwą naszą jest **przecież MIŁOŚĆ KLĘSKI**. Wiąże się z nią, jako jej korelatyw pozytywny, **OCZEKIWANIE CUDU**. To też działania nasze układają się w kształt triady: zryw — klęska — rozkosz przegranej. **Albo: zryw — klęska — cud wygranej**. Tam zaś gdzie rzeczywistość nie słucha się żadnego z tych wzorów występuje chaos (od strony obiektywnej), bezradność (od strony subiektywnej).

Są to procesy dla ludzi Zachodu całkowicie niezrozumiałe. Dla badaczy o zainteresowaniach socjalno-psychologicznych — na pewno ciekawe. Dla większości tak dalekie, że aż wrogie, jak wrogie wydaje się nam wszystko co sprzeciwia się naszemu łaadowi duchowemu.

Ale Zachód nie rozumie również naszego życia codziennego. **Ja COMME IL FAUT**, które chce za wszelką cenę usunąć w cień ja aktywne, jest fenomenem dla Zachodu obcym. To **ja COMME IL FAUT** straciło dziś podstawy. Dawniej się je czerpało z dotęganey, ale bodaj w pniu, w założeniu autentycznej historii. Dziś wyrasta ono jak zielsko z piasku byle jakiej fikcji. To nie są wcale sprawy błahe, choć traktujemy je z jowialnym humo-

rem. Jesteśmy narodem, w którym ludzie (bez wyraźnej konieczności) nie przyznają się do swego miejsca w życiu, o ile nie jest ono wyjątkowo ozdobne. Nikt nie chce być technikiem („powinno się” być inżynierem), szewcem (raczej ortopedystą, specjalistą od protez), cieślą (ależ nie, budowniczym). To nie są wcale wodewilowe kawały. Ta fala prostaczego snobizmu rozlała się bardzo szeroko, i grozi powodzią. Każdy z nas może przywołać długi szereg przykładów tych upakarzających maskarad. Znałem felczera, który przed swym podpisem kładł niewyraźnie nagryzmolone „fr. med.”, mający imitować „dr. med.” — żeby tylko — na miłość Boską! — nie powiedzieć kim się jest.

Wynikiem tego łańcucha fałszerstw jest coś gorszego niż dyletanizm (dyletant nie dorasta do swych zadań, ale nad tym boleje) — tu widzimy powszechnie niemal panujący dogmat bezwartościowości całych dziedzin życia aktywnego, bez których niemożliwy jest rozwój zbiorowości. Ludzie odwrócenii od własnej rzeczywistości, wstydzący się swego miejsca w życiu, ze wzrokiem wbitym w pewien ideał dekoracyjny, który, jak mniemają byłby dopiero właściwą dla nich ramą, są naturalną rezerwą pasożytnictwa. Człowiek odczuwa, jako kompromitację to, że jest tym czym jest. Jest to załganie źródła. Nie mają te stany nic wspólnego ze znanym na Zachodzie pędem do wybić się. Bo tu chodzi właśnie o zamazanie dróg i o zdobycie rangi człowieka, który fortunę wszystko zawdzięcza, nie sobie (dawniej tytuł, koligacje — dziś spryt, hazard, czarny rynek).

Kiedy się o tym mówi nieodzownie ktoś zawoła z tajemniczą miną: **szal!** bo usłyszysz — jakby dawno nie wiedzieli i jakby nasz twardy krytycyzm wobec samych siebie (nie żadne kłanie, ani samobiczowanie) nie były jedyną do nich właśnie przerezonaną kładką porozumienia.

Najzwięźlejsze określenie przyczynę naszego osamotnienia (psychicznego) wśród narodów, powiedziałbym, że polega ona na tym, że **POMIĘDZY ŚRODKAMI DZIAŁANIA, KTÓRYMI ROZPORZĄDZAMY, RZECZYWISTOŚCIĄ, KTÓRĄ CHCEMY ZAWŁADNĄĆ, BRAK ODPOWIADANIA**. Tego odpowiadania które jest pomiędzy pletwą a wodą, pomiędzy skrzydłem a przestworzem powietrznym.

Ani nieokielznana wybuchowość, ani kult klęski, ani metamorfozy **ja COMME IL FAUT** nie są kluczami, które otwierają zamki rzeczywistości. Są to złe instrumenty. Dlatego to obcy nie widzą w nas poważnych partnerów. Nadajemy się natomiast dobrze do wykonywania specjalnych zadań epizodycznych o faktycznym znaczeniu, kiedy zwłaszcza są połączone z gotowością do niesienia ofiar, na co zawsze się „ochoczo” piśzemy.

Nie chcę tych rozważań zamknąć akordem pesymizmu. Nie dlatego, że „nie wypada” tego robić, ale dlatego, że moja ocena rzeczywistości polskiej nie jest pesymistyczna. Ośrodki krytycyzmu są. I rozwijają się. Ten krytycyzm odcina się wyraźnie od opozycyjności typu koteryjnego. W powietrzu wisi synteza. A wraz z jej wylaniającym się z mgieł zarysem powstaje zagadnienie **TEMPA. BO TRZEBA ZDĄŻYĆ.**

KAROL IGN. HOŁOBOCKI

Uwagi o przyspieszonym rytmie historii ⁽¹⁾

KOŁO. Takeśmy przywykli do tego, że się obraca, żeśmy o nim zapomnieli. A szkoda, to wielki rewolucjonista, jeden z ważnych czynników przyspieszających bieg historii.

Nie jest ono odwieczne. Stało się użyteczne od chwili sprzęgnięcia go ze zwierzęciem pociągowym. Do spółki zaś człowieka z koniem doszło późno, na przełomie prehistorii i historii, w stepach, które się ciągną od Wisły po Ocean Spokojny. Wtedy dopiero nie przed rokiem 1500 przed Chrystusem, ustalono paradoksalny zespół osi i piasty wolnego koła, w połączeniu z resztą sztywnej całości.

Od dawna posiadali już ludzie narzędzia. Ale koło to całkiem co innego, to mechanizm, najpierwszy z mechanizmów, który znajduje zastosowanie we wszystkich innych z chwilą nastania epoki maszynizmu.

Różnica, która zachodzi pomiędzy narzędziem a kołem jest taka, że narzędzie scala się z człowiekiem, wówczas gdy koło odcina się od niego, by lepiej żyć własnym, odrębnym życiem.

Zapożyczywszy od filozofów dwa terminy, zaryzykujmy twierdzenie, że narzędzie jest immanentne człowiekowi, wówczas gdy koło jest w stosunku do niego transcendentem.

Narzędzie przystosowuje się do ludzkiego ciała, przedłuża je: kij przedłuża ramię, młotek, to udoskonalona pięść, grabie, to nasze zgięte palce, a hebel naśladuje paznokieć. Toteż narzędzie posiada moc swoją jedynie w ciasnym uchwycie ludzkiej ręki.

Z kołem dzieje się odwrotnie. Troska stelmacha - konstruktora polega na ograniczeniu styków, które zwie płaszczyznami, tarcia. Ideał koła to szybkość w próżni, to zachowanie raz nadanego mu impulsu, to ruch nieskończony — jedna z utopii myśli.

Człowiek, siedzący w powozie, scala się z całością karoserii. Ale koło z niczym się nie scala. Toczy się to jego urząd, jego geniusz. Nie potrzeba mu krwi do życia, potrzebuje wyzwolenia nasyconego kilku kroplami oliwy. Wolne od służebności bytu organicz-

1) Poniższy fragment wyjęty jest z książki D. Halévy, znakomitego historyka III Republiki p. t. „Note sur l'Accélération de l'Histoire”, która ma się ukazać niebawem u wyd. Wittmann Frères, 20, rue Visconti, w Paryżu.

nego, poddane prawom mechaniki — powołaniem koła to nieskończoność.

Zrozumieli to artyści greccy: pod nogami tej, którą zwali boginią Fortuna, kładli, jak byśmy do dziś powiedzieli, wolne koło. Koło pod stopami, w sercu szalone nadzieje — oto zapowiedź przyszłości świata. Ale dopiero w marzeniach!

Działalność koła ograniczała tymczasem mierność sił, która je poruszała: wół, osioł, w najlepszym razie koń. Najświetniejszym jego wyczynem było nieść wozy wyścigowe na stadionach, albo wozy bitewne na polach walk, być natchnieniem Homera lub Pindara. Mniej widoczną, ale owocniejszą pracą było przyspieszenie wędrówek plemion barbarzyńskich. Hellenowie i Celtowie, którzy około 1000 roku p. Chr. poruszyli rodzącą się Europę, byli to jeźdźcy otaczający wozy załadowane kobietami i dziećmi.

Tak weszło koło w grę; ale przeznaczeniem jego nie było przebiegać 5-milowe etapy. Kiedy sprzęgnięto maszynę parową z jego osią, wtedy dopiero zaczęło dawać miarę swych możliwości. I nie koniec na tym. Pewnego dnia siłę dostarczy mu już nie tęgi imbryk rychło przestarzały, ale wybuch poskromiony i uległy. Nie będzie się już też wspierało o ziemię, ale o powietrze; odmienione w śmigło, z piastą zmontowaną na łożyskach kulkowych, pochłaniać będzie kilometry setkami, tysiącami. Te czasy nadchodzą. Ale w XIX stuleciu nikt jeszcze tego nie przewidywał. Skromne zaś zdobycze techniczne wprawiały świat w zdumienie.

KOŁO I EUROPA. Wrómy wszelako do biegu historii, od której daliśmy się odwieść. Zaopatrzone w kocioł i tłok, tocząc się po szynach w preriach amerykańskich, pracowało koło użytecznie. W Europie o czterystu państwach, wolnych miastach i księstwach, pod władzą Metternicha natrafiło na przeszkody. Stary świat nie był na jego miarę. Koło musiało się doń zastosować, albo stary świat do koła. Z jednej strony panujący, wieśniacy i magnaci, z drugiej demokraci nacjonalisci, proletariat i bankierzy — oto protagoniści dramatu. Siły były nierówne, rozstrzygnięcie wiadome. Bismarck porozumiał się z Lassalem, a Cavour z Mazzinim. Na współkę osiągnęli zwycięstwo. W 10 lat Cavour zjednoczył Włochy, a Bismarck Niemcy. Aby osiągnąć podobne rezultaty Kapetyngowie trudzili się 800 lat. Opinia europejska podziwiała na ogół ten dwojaki wyczyn i szybkość dokonania, w której upatrywała wyraz coraz pewniejszego postępu. Rytm osiągnięć politycznych, transportowych, komunikacyjnych zdawał się obiecywać. Nie przewidywano już żadnych zwłok. Tak ludy, jak i moiżni tego świata wchodzili pod dobrym wiatrem w erę realizacji szybkich jak myśl, która je poczęła.

Wielkim zdarzeniem naukowym, technicznym i moralnym razem, siódmego dziesiątka XIX wieku, zdarzeniem, które się spełniło, jakby na marginesie bytów państwowych, było elektryczne wyposażenie ziemi. Założenie kabli podmorskich pomiędzy Wielką Brytanią a Ameryką, przedsięwzięcie trudne, długie uznane za chemiczne, dzieło trzykrotnie porzucane i podejmowane od nowa, które zawdzięczamy bez reszty zuchwałości przedsiębiorców, inżynierów, robotników i kapitalistów, wstrząsnęło wyobraźnią powszechną, niczym epeopea ery pokojowej.

Opasanie globu ziemskiego kablami elektrycznymi przyjęto entuzjastycznie.

„Sied umschlungem Milionen!” („Miliony ludzi uściskajcie się!”) — wołali w zaraniu tego wieku Schiller i Beethoven. I zdawało się, że fale elektryczne odpowiadając pieśni elektrycznej, biegnącej po drutach udzieliły swej wibracji zmartwychwstałemu światu, urzeczywistniając zbiorową duszę ludzkości. A jednak nie było to nic więcej jak tylko osiągnięcie techniczne. Dusze się nie powiększyły, jedynie ziemia się zbiegła, zmalała. Przenikliwy poeta - podróżnik pojął to już wtedy:

„Jakże wielki jest ten świat, o Boże! przy świetle lamp
W oczach podróżnika — jakże jest maleńki!”

Tak śpiewał Baudelaire, ale dla siebie tylko. Nieliczni bowiem byli ci, co czuli niebezpieczeństwo w nadmiernie zbadanym świecie skurczonej i jakby już zamkniętej kuli ziemskiej. Na ogół wprost przeciwnie, spodziewano się rychłego nastania ery wieczystego pokoju, zamóżnej, szczęśliwej ludzkości.

W Europie cel zdawał się bliski urzeczywistnienia. „Z chwilą kiedy każdy wielki naród uzyska swoje naturalne granice, pisał Edmund About, wojna straci sens istnienia”. Na co Proudhon, nieubłagany polemista zapytywał: „Co to jest naturalna granica?”. About nie wiedział co odpowiedzieć.

Proudhon miał rację, granice naturalne państw nie istnieją, podobnie jak nie ma kresu ludzkich ambicji. Po narodowościowej polityce nastąpiła bez zwłoki polityka światowych imperializmów.

PRZEŁADOWANIE ZIEMI. W oparciu o zaufanie narodów, biegli męzowie stanu wprost na przeszkody, o które mieli się rozbić. W 1880 r. cała jedna część świata, Afryka, pozostawała do zdobycia i omal do odkrycia. Zjechali się dyplomaci, aby rozpatrzeć zagadnienie. Wykreślili na mapie odnośne działy każdego państwa i rozjechali się zadowoleni. Dali badaczom, inżynierom, osadnikom dużo roboty i na długo. Przed końcem wieku wszystko było zajęte. Cały kontynent został pochłonięty w 15 lat i natychmiast rozpoczął się okres współzawodnictwa. W Afryce Południowej koloniści brytyjscy natknęli się na posiadłości kolonistów holenderskich, osady istniejące tam od XVII wieku — wybuchł zatarg. Żeby zapewnić swoim zwycięstwo, Wielka Brytania musiała uzbroić 300.000 ludzi i bić się trzy lata. Taka wojna pomiędzy białymi wprawiła świat w zdumienie. Było to pierwszą wojną tego rodzaju, od dawna.

Wojna kolonialna, sądzili optymiści, wyzbyta głębszego znaczenia.

Ale to było całkiem co innego, to był znak, że ziemia spięła na sobie swój pas stalowy.

Drugi znak pojawił się niebawem. Kontynent afrykański był podzielony bez reszty, ziemia chińska oneśmielająca przestraszenia, liczbą, obyczajem pozostawała zamknięta przed zdobywczymi państwami, które ją miały drapieżnie na oku. Rosjanie i Japończycy starli się na tejże chińskiej granicy i wojna wybuchła ponownie. Rosja wyszła z tego konfliktu przegrana. Carska Rosja, to była Europa. W oczach Azjatów skaleczono i pomniejszono Europę.

Odtąd była ziemia już dojrzała do powszechnego pożaru. Wojna i rewolucja oto płomienie, które zagrażają jej ludom, będą ją kolejno paliły. Dopóki sił będą państwa walczyć, poniósłszy zaś klęskę ludy ich podniosą broń porzuconą i ogłoszą rewolucję.

W 1905 r. car jest pokonany, naród buntuje się przeciwko niemu. Chińczycy idą w ślady Rosjan i wypędzają swego cesarza, który nie umie bronić kraju. Ferment ogarnia całą Azję. Hindusi, uczniowie Anglii, zwołują kongresy i żądają ustroju liberalnego. Podobnie Persowie i Turcy. Mimo to państwa europejskie porywają się na kraje dotąd niezajęte, a leżące w ich zasięgu: Francja zdobywa Marok, Włochy Trypolitanię. Młodzi Turcy odpowiadają na zwycięstwo Włochów, wypędzając swego pobitego sultana. Przez nich wybucha pożar na Bałkanach, z Bałkanów przechodzi na Europę, z Europy na całą ziemię.

ZIEMIA W PŁOMIENIACH. Pierwsza wojna światowa była tylko nieudolną próbą. Generałowie nieobeznani z szybkimi narzędziami, które inżynierowie sposobili dla nich od lat 15, zdołali jedynie zakopać swoje wojska. Pokój, który potem nastąpił nie był mędrzejszy od wojny, która go poprzedziła. Liga Narodów, idea XVIII-wieczna w swoim czasie poroniona, nie była zaiste w stanie pokierować olbrzymimi siłami, które wstrząsały światem: Siły wojenne zmilitaryzowanych narodów, siły społecznie rewolucyjne zorganizowanego proletariatu, siły technicznie rewolucyjne przemysłu doprowadzone przez wynalazców do stanu rewolucji stałej.

Fabryki niemieckie były w możności dostarczyć wszystkim maszyn, narzędzi i wyrobów chemicznych; fabryki francuskie — wyrobów tekstylnych, i perfum; fabryki czeskosłowackie — broń i obuwia; fabryki Anglosasów — wszystkiego w nadmiarze.

Dbając o zabezpieczenie swoich przemysłów przeciwstawiała państwa produktom importowanym coraz wyższe taryfy celne. Wszystkie więc przemysły świata trwały niby zablokowani zdobywcy. Ta właśnie blokada w 1930 r. staje się przyczyną ciężkiego kryzysu bezrobocia.

Bezrobocie (*chômage*) nie istniało w „dawnej Europie”. Słowo to miało całkiem inne znaczenie. „Chômer” wyjaśniał w 1894 słownik Akademii francuskiej — „to obchodzić jakiegoś świętego, święcić dany dzień, wstrzymując się od pracy”. Ale w naszym zaryglowanym świecie bezrobocie nie jest już religijną uroczystością minionych dni, jest klęską, ongiś nieznaną.

To właśnie tłumaczy historię XIX wieku.

Narody znaly jeszcze wtedy swobody pierwotnego koczownictwa. Mieszkańcy ziemi poruszali się po jej powierzchni dążąc do miejsc niezamieszkałych. Z tego to koczownictwa obie Ameryki wzięły swoją substancję, jemu zawdzięczają swoich ludzi. W 1913 r. miało jeszcze to krążenie swoją naturalną siłę. Stany Zjednoczone uzyskały w tym roku 1.100.000 imigrantów, w tym samym czasie 40 tys. dawnych emigrantów powróciło tam, skąd byli przyszli. Dopiero w 1930 r. Ameryka Północna postanowiła zamknąć swoje bramy. Ważka data, którą się naród amerykański szczyli, niby jakim dopełnieniem swej niepodległości, pieczęcią dojrzałości.

W 1931 r. cyfry wynosiły 30.000 wjazdów i 50.000 wyjazdów,

czyli 50.000 powracających do zablokowanej Europy i zwiększających jej przeludnienie. W 1932 r. Niemcy, czynni dostawcy Nowego Świata, oddadzą się Hitlerowi. Pomiędzy tymi dwoma faktami nie ma oczywiście stosunku przyczyny do skutku, ale jest niezawodnie więcej aniżeli zbieg okoliczności.

Zamknięta granica, a za tymi granicami wszędzie bezrobocie: sześć milionów w Anglii, dziewięć w Niemczech, dwanaście w Stanach Zjednoczonych. Bogactwo danego narodu mierzy się cyfrą jego bezrobotnych. Co począć, aby zatrudnić bezczynne ręce? Ameryka daje zapomogi, Niemcy zaczynają kuć broń.

Ta broń przybiera charakter **dramatyczny. Dramatyczny** przez nieustanny, zawrotny wzrost swej potęgi. Dalekie były te czasy, kiedy działo Gribeauval¹⁾ odlane i zmontowane 1765 r. służyło gen. Dumouriez na wzgórzu Valmy w 1792, służyło pod Austerlitz, służyło pod Waterloo, służyło jeszcze (zaledwie zmodyfikowane) generałom Napoleona III, w bitwach pod Magenta i Solferino. Zamierzcie czasy.

10 lat po złożeniu podpisów na traktacie wersalskim de Gaulle we Francji, Douhet we Włoszech ustala zasady strategii dywizji pancernych i fortów latających. Miasta miały być zburzone, kobiety i dzieci ginęłyby tysiącami — to było niewątpliwe. Zapowiadano jeszcze dalsze systemy broni groźniejszej: na terenach doświadczalnych inżynierowie przygotowywali samoloty — pociski, samoloty kierowane falami elektrycznymi; w laboratoriach atakowano atomy. W 1920 r. uzyskano pierwsze rozbitcie, pierwszy raz wydarło atomowi jego energię. Materiałna potęga, którą rozporządzali ludzie, biedni ludzie, którzy się nie odmienili — prowadziła do niesłychanych przewrotów, do odmiany ludzkich przeznaczeń. Kierownicy państw zrozumieli wtedy, że wojna przyszłości na tym globieomal że nieskończenie zredukowanym, wojna działająca broniąomal nieskończenie potężną, byłaby przedsięwzięciem, prowadzącym do katastrofy świata. Obchodząc zagrożenie genewscy radcy przedłożyli narodom stowarzyszonym ustawę zakazującą używania nowej broni, spodziewali się prawdopodobnie, że słowami zyskają na czasie. Dzień 24 lipca 1938 r. był to tragiczny dzień, trzy głosy przeczące położyły kres usiłowaniom radców genewskich. Moralnie niedopuszczalna — stała się odtąd wojna nieunikniona.

Przeznaczenie chciało tego przed czym się wzbraniała dusza ludzka. Obie siły stanęły do pojedynku; jak sobie Przeznaczenie poradzi, aby pchnąć duszę ludzką na swoje szlaki, aby uzyskać zgodę człowieka na rzecz niehumanitarną?

FATA VIAM INVENIUNT. Przeznaczenie — powiada Wirgiliusz — toruje sobie drogi, Przeznaczenie jest wynalazcą. Droga, którą obrało w 1932 była drogą rozpacz: wezwało do pomocy potwory.

Potwory bywają zawsze. W normalnych czasach policja i lekarze czuwają nad tym, aby je mieć pod kluczem. Istnienie ich, za ledwo odgadywane, żywi kroniki sądowe. W okresach kryzysu zyskują pewne szanse. Taką szansą był dla nich katastroficzny stan Nie-

1) Jan Chrzciciel Gribeauval (1715 — 1789), twórca działanowogo typu.

miec w 1925. Pozbawione swoich władców i swojej szlachty Niemcy, miotane falą, chwiała się jak okręt tonący. Gromada awanturników, sadystów i zbrojców skupiła się wokół jasnowięza, którego mianowała wodzem. Zawładnęła państwem i zagarnęła absolutną władzę nad 65 milionami ludzi, potem pchnęła tych ludzi zapamiętałe na owe tragiczne pochyłości, przed którymi inni cofali się przerażeni i wahający.

GENTLEMAN Z OXFORDU I SZATAN Z BERCHTESGADEN.

Istnieje historyczny dialog, który przytoczymy na tym miejscu: dialog Nevila Chamberlaina i Adolfa Hitlera. Nevil Chamberlain był tym skromnym i wrażliwym brytyjczykiem, który brzydził się wojną. Przystąpił do niej na przekór sobie i umrze ze zmartwienia. W sierpniu 1938 r. zachodzi mu ona drogę.

Niechaj mi wolno będzie włączyć w tę opowieść tysiącleci osobiste wspomnienie: słuchając radia, posłyszałem jak Chamberlain oznamił groźbę wojenną narodowi angielskiemu, swojemu narodowi. Wyrażał się z tą prostotą, omal poufałą, która jest jedną z cech polityków angielskich. Można by sądzić, że mówca jest gdzieś tuż koło nas, w cieniu głośnika, że mówi do swoich bliskich.

„A więc muszę wziąć pod uwagę, tę rzecz niewiarygodną...” **Incredible!** — to słowo miało w jego ustach niezwykłą siłę, siłę odrazy i sprzeciwu. Mówiąc tak nie wyrażał się oczywiście jak mąż Stanu: mąż Stanu wie, że wojna nie jest nigdy rzeczą niewiarygodną. To słowo **incredible** nie musnęłoby nawet warg takiego Churchilla. Nie jak mąż Stanu mówił Nevil Chamberlain, ale jak człowiek serca. I nazajutrz po dniu, w którym uprzedził w ten sposób swoich, on sam „Premier” (Pierwszy) w najpotężniejszym i najdumniejszym Imperium świata, siadł do samolotu, żeby dać posłyszeć swój głos Hitlerowi, ten głos, który nas wzruszył — i powiedzie mu całkiem prosto: Co pan zamierza robić? Niech się pan zastanowi, zastanówmy się razem!

Krok tak ludzki, bez precedensu w historii, wzruszył świat, i wart był tego. Jak należało przypuszczać Szatan dał Gentlemanowi fałszywe obietnice. Nabrał go. Śmiem twierdzić, że Ludwik IX, król francuski, postąpiłby tak samo i tak samo jak Nevil Chamberlain naraziłby się na to, by zostać nabranym.

Kiedy się pomyśli o 30 albo 40 milionach niewidzialnych grobów (czy należy mówić tu o grobach? Inne słowa, rzeźnie, fosy byłyby odpowiedniejsze), na których to krawędzi toczyła się rozmo-wa tych dwóch mężów, należy podziwiać Gentlemana z Oxfordu. Anglia obfitująca w mężów Stanu przebiegłych i przenikliwych mogła sobie pozwolić raz jeden w historii na zbytek „Premiera”, który by w dodatku miał serce.

Ani jedna z muz, które patronowały dziełu Herodota nie zgodziłaby się położyć swego podpisu na relacji wypadków, które zaszły następnie. Nie uczymy tych zdarzeń żadnym komentarzem. Jeśli Clio ma zstąpić do piekieł — będzie milczała.

Po 6 latach wojna się zakończyła 5.VIII. 1945 r. tą jedyną bombą, która swoim podmuchem unicestwiła miasto Hiroszima i jego 200.000 mieszkańców.

NAZAJUTRZ PO HIROSZIMIE. Taki był oto próbny strzał nowej broni. Zniszczył wszystko w średnicy 5 mil. Dwa lata już minęły i poważni informatorzy twierdzą, że średnica owych korzystnych zniszczeń przeszła z 5 na 200 mil. Zresztą nie jest wykluczone, że tworzywo naszej planety może pewnego dnia ulotnić się i być zdmuchnięte, jak bańka w przestrzeń.

Biedna ziemia, którą się tak kochało, z taką radością badało, mierzyło, opisywało, aż do szczegółów jej fauny i flory włącznie! Czy będzie obecnie rozdarta? Zdobyła już wszystkie środki po temu. Jej ludy pod obuchem groźby przedstawiają szczególne widowisko. Obserwujemy ich reakcje: bunt, obłąd, mistyczne wzloty — nie by nas nie zdziwiło. Zastanawia nas to, że nie widzimy żadnej z tych reakcji. Podobnie jak ćwierć wieku temu, kiedy Einstein przedłożył światu swoją teorię względności, ludzie nie chcieli zrozumieć fizycznej jedni, którą zamieszkuje, tak samo dzisiaj nie chcą ogarnąć całokształtu politycznej rzeczywistości, w którą wplecione jest ich własne istnienie. W XIX wieku śledzili rozgrywane się wypadki z naiwną uwagą, pochlebiali sobie, że je rozumieją, i w pewnej mierze umieją wyrazić. Hieronim Paturat i Joseph Prudhomme, aptekarz Homais i pan Cardinal, Buvard i Pecuchet 1) — byli to obywatela, którzy utrzymywali, że myślą, którzy mieli ambicje myślicieli.

Gdzie się podział ów „średni Francuz”, którego chętnie wspominało około 1935 r.? Był to skromny bohater, nikt już o nim nie mówi.

U źródeł tych zniszczeń, których nie uszedł żaden kraj w Europie, jest właśnie tamto zdarzenie, gwałtowne, niewspółmierne, ze zdolnościami recepcyjnymi człowieka.

CZY ABY ZDAŻĄ? Takie stawiał sobie pytania 100 lat temu Michelet. W marcu 1848 r. pojawiło się ono na jego ustach na bulwarze Magdaleny po brzegi wypełnionym radością tłumu. Ubiegłego tygodnia Paryżanie zrzucili z tronu swego króla. W ciągu 60 lat trzeciego już spotykał podobny los. Każde pokolenie miało więc swoje zwycięstwo i swoje święto, jako że obalenie króla wydawało się być wtedy jednym jeszcze wieniec chwały w historii narodu. Stąd ich dumą, radość i szal. Co zaś zwabiło Paryżan w ów dzień, o którym mowa, na ten ich drogi bulwar, to zapowiedziana w prasie manifestacja republikanów niemieckich, włoskich, polskich, czeskich — jednym słowem wszystkich krajów, które miały swoich przedstawicieli w Paryżu. Owi cudzoziemcy chcieli przejść pochodem ulicami Paryża, po których lała się tak niedawno krew powstańców. Chcieli zaświadczyć tym samym, że rewolucja paryska jest także ich rewolucją, francuską i europejską równocześnie. Micheleta sprowadziło tu złożone uczucie. Nerwowo wrażliwy na każde zdarzenie historyczne, doznawał w zetknięciu z nim uniesienia i trwogi zarazem.

Wypadek niesłychany, wstrząs paryski odbił się echem wszędzie, aż po Neapol, Mediolan, Berlin i Wiedeń. Rewolucja biegła z

1) Postacie wyjęte z popularnych we Francji powieści mających obyczaje XIX w. pióra: Louis Reybaud, Henri Monnier, G. Flaubert i L. Halévy.

szybkością światła. Wielu nie mogło się nadziwić tym jej bajecznym postępem, zapowiedzią powszechnej jedności ludów i powszechnego pokoju. Michelet, który miał dobrą pamięć, odpowiadał swym rozmówcom lakonicznie: „Nie pamiętam 40-tu lat pokoju w Europie”.

Patrząc na liczne mijające go delegacje, na różnobarwne ich sztandary, to co przewidywał na najbliższą przyszłość — to była wojna.

Miał rację; za kilka miesięcy będzie wszędzie: w skrwawionym Paryżu, w Rzymie i Wenecji, miastach obleżonych, na Węgrzech zajętych przez Rosjan.

W tłumie spotkał Michelet poetę Beranger'a:

„20 lat temu dawał pan pieśni Paryżanom. Ludzie dzisiaj nie wiedzą gdzie idą, bierz pan pióro, daj im pieśni”.

Beranger, starzec ostrożny, uchylił pytanie.

„Te pieśni — odparł — sami je ułożą”.

Na co Michelet:

„Czy aby zdążą?”

Tak więc już Micheleta dręczyło przewidywanie zbyt pospieszonego rytmu historii.

„Historia bieży — pisał w styczniu 1947 r. w swoim dzienniku „Combat” — Albert Camus — a człowiek rozważa”.

Trzeba jednak, by historia dała mu na to czas.

tłum. MARIA CZAPSKA

Polska a świat katolicki

Przed jakimś 20 laty — poznałem w Genewie na jakimś zebraniu Ligi Narodów znanego publicystę, p. K. E. Ów p. E. zaprosił mnie pocziwie na doskonały obiad i dał mi następującą radę: Gdyby pan zamierzał poświęcić się dziennikarstwu, to niech Pan pamięta, że chleb to nie najłatwiejszy, ale jakoś przeżyć można, pod warunkiem by jak ognia wystrzegać się dwóch tematów: Żydów i Kościoła Katolickiego. Stary wyga miało dużo racji. Pisząc ten artykuł popełniłem czyn odważny, jeden z raczej nielicznych czynów bohaterских w moim życiu. Narażam się bowiem na szereg niebezpieczeństw: po pierwsze grozi mi wywalanie drzwi otwartych; bo co, jak co, ale dowodzenie, że jesteśmy narodem katolickim jest truizmem; powtóre grozi mi, że mogę błędnie pewnymi krytycznymi uwagami wywołać wrażenie niechęci do Kościoła Polskiego — ściślej byłoby powiedzieć Kościoła w Polsce — w chwili, gdy jest oczywiste, że Kościół ten stanowi ostatnią i bodaj jedyną więź naszego Kraju z Zachodem (gdy i alianse i demokracja nas zawiodły), i że to on, znacznie bardziej niż Mikołajczyk i PSL, stoi na straży resztek naszej niepodległości.

Wyznaję pogląd, zresztą wielce rozpowszechniony, że jedynymi rewolucjami ważkimi i trwałymi są rewolucje religijne. Wszelkie inne, po upływie czasu, okazują się powierzchowne, przemijające. Anglię ukształtowały 1000 lat katolicyzmu, Kościół narodowy t. j. anglikański, purytanizm, wreszcie rozbitcie religijne. Rewolucja bolszewicka, choć ateistyczna, ma wszystkie cechy rewolucji religijnej. Natomiast obecna sowietyzacja Polski, póki nie sięgnie do wierzeń, będzie tylko epizodem w walce o władzę i mimo wszystko ani naszego charakteru narodowego, ani temperamentu, ani zamiłowań zasadniczo nie zmieni.

Ten nasz charakter narodowy ukształtował wyłącznie katolicyzm. Jak bardzo to jest prawdą zobaczymy może najlepiej porównyując nasze dzieje z ewolucją Rusi Kijowskiej. Ci Rusini, to w zaraniu dziejów, nie tylko nasi bracia, ale nasi bliźniacy; nie mamy zresztą powodu być z tej paranteli dumni. W obu krajach widzimy ten sam ustrój społeczny, te same zajęcia, podobne usposobienia. Podobnie jak Rurykowicze, tak i nasi pierwsi piastowie, dzisiaj tak niesłusznie brązowieni, są ludźmi srogimi, dzikimi, okrutnymi: aż do Bolesława Krzywoustego włącznie każdy władca Polski dochodził do rządów po trupach braci, wymordowując wszystkich współ-

rywali do tronu, oślepiając (zupełnie jak na Rusi) krewnych i ich zwolenników. Jak na Rusi, tak i u nas państwo jest uważane za prywatny majątek panującej rodziny. Stąd podziały, nieznane w krajach o cywilizacji zachodniej, nawet w bliskich Węgrach czy Czechach: tam teoretyczna jedność korony św. Ludwika czy św. Stefana została zachowana; my, jak i Rusini do tego abstrakcyjnego, rzymskiego pojęcia jedności Korony wznieść się przez długie lata nie umieliśmy. A jednak dalszy rozwój naszych dziejów i Rusi Kijowskiej jest tak różny! Dlaczego? Bo jeden bliźniak został oddany do szkoły katolickiej, drugi do prawosławnej. Przez katolicyzm przyjęliśmy podstawowe zasady rzymskiej i zachodniej kultury: pojęcie prawa, a więc ograniczenia samowoli zarówno jednostek jak i władz; pojęcia autonomii Kościoła, czyli ograniczenia omnipotencji państwa, czyli przekreślenia pierwotnego totalizmu, tego naturalnego ustroju społeczeństw barbarzyńskich i dzikich; pojęcia indywidualnego sumienia czyli wolności jednostki; pojęcia karności, dobrowolnej, duchowej, która się stała fundamentem naszego poczucia narodowego, instynktu państwowego i naszych swobód. Rusini, w szkole mrocznego prawosławia, ciemnoty ceszaropapizmu, nie wyszli ze stanu prymitywnej dzikości, nie wytworzyli ani państwa, ani narodu, oscylowali wiecznie pomiędzy upodleniem niewolników i krwawymi buntami pierwotnych dzikusów. Ulegli zupełnie przewadze Mongołów, początkowo bezpośrednio, później pośrednio, a mianowicie mongolskiej tyranii w jej moskiewskim wydaniu.

Katolicyzm jest jak morze: zawsze jednaki i zawsze zmienny. Wycisnął on swe piętno na każdym narodzie katolickim, i każdy naród katolicki na nim.

Tu nie można być tylko odbiorcą — chcąc nie chcąc, daje się też coś z siebie.

Czym — i dlaczego — różni się katolicyzm polski od innych? Różni się po pierwsze czasowo, że nie przeżyliśmy okresu pierwotnego Kościoła — katakumb, prześladowań, — to jest jasne. Ale co ważniejsze, nie przeżyliśmy, przynajmniej w pełni, okresu średniowiecznego Kościoła. Ten okres, tak ważny, nie zostawił prawie żadnych śladów w naszej świadomości narodowej.

Kościół średniowieczny był znacznie bardziej międzynarodowy niż w wiekach późniejszych. Tu w Anglii największe nazwiska w hierarchii średniowiecznego kościoła to Włosi, św. Augustyn, św. Melitius, św. Justyn, to Grek Arcybiskup Teodor; to Francuz arcybiskup Lanfranc i setki, tysiące innych. To samo w innych krajach. Anglicy są z tych cudzoziemców dumni. My od początku zdajemy się głównie dbać o to, by nasz Kościół uniezależnić od Niemiec i Niemców. Przypuszczam, że nasza historiografia przedstawia ten okres nieco stronniczo. Ale źdźbło prawdy w tym jest. Oczywiście, tłumaczy się to tym, że Niemcy byli zawsze, tysiąc lat temu jak i dzisiaj, bardzo złymi „kultur - traegerami”. Nacjonalizm polskiego Kościoła wyróżnia go już w zaraniu dziejów, aż z biegiem wieków. Stanie się najbardziej charakterystyczną cechą polskiego katolicyzmu.

Wielkie wstrząsy życia Kościoła w średniowieczu. Walka o inwestyturę? U nas prawie nieznaną. Krucjaty? Nie bierzemy w nich udziału. Rozwój teologii? św. Tomasz, Albert Wielki, Sorbona, Oxford? U nas głusza. Zakładania, reforma zakonów? Nic. Herezje?

Albigensi Lollardzi, Husyci? Znowu cisza. Husytyzm w Czechach, choć zapewne smutny jak każda herezja, dowodził jednak jak bardzo kraj ten już był przeorany katolicyzmem, jak głęboko awiniońska? Nikt właściwie nie wie jaka jest obediencja Polski. Dopiero w XV wieku jakoś budzimy się do katolickiego życia, bierzemy pewien udział, skromny zresztą, w dysputach sobory contra Papieża.

Średniowieczni prałaci byli zgola niepodobni do swych późniejszych następców. Byli to ludzie gwałtowni, namiętni. św. Bernard z Clerveaux nazwał swego rówieśnika, św. Wilhelma Arcybiskupa Yorku „przekupnym lajdakiem” (a simoniacal scoundrel), a katolicki historyk bardzo wielki zresztą, Christofer Dawson, który ten incydent cytuje, filozoficznie dodaje: zwykła ludzka lekka przesada. Język jest najlepszym historykiem, jedynym, który nigdy nie kłamie. W Anglii dotąd się mówi „a fiery bishop”, albo „a bishop breathing wrath and fire. U nas z postacią biskupią są związane nie te średniowieczne, ale zgola inne asocjacje. Powiemy: dobrotliwy, czcigodny, dostojny biskup, pontyfikuje jak biskup — ale nigdy gniewem i ogniem zionący biskup.

Dalej: najcharakterystyczniejszą postacią średniowiecznego Kościoła jest opat, przełożony typowych klasztorów średniowiecznych benedyktynów, cystersów itd. Przeor jest późniejszy. Tu w Anglii mamy „abbey” w co drugim miasteczku, a poza tym wszędzie spotykamy abbot's walk, abbot's Lane, itd. itd. — ten opat znajdował się w samym środku średniowiecznego życia. U nas „opat” jest terminem większości Polaków po prostu nieznanym. Typowe średniowieczne klasztory prawie żadnego śladu nie zostawiły, wyparły je niemal zupełnie późniejsi jezuita, pijarzy, bernardyni, dominikanie itd. Dalej: papież był dla średniowiecznych katolików czymś dużo bliższym niż dla pokoleń późniejszych. Znowuż się to odbijało w języku. Czy Państwo wiedzą, że w języku angielskim istnieje dotąd powiedzenie „The Pope's ill” — „Papież jest chory” dla określenia, że wszystko idzie źle i coraz gorzej.

Otóż to jest ślad średniowiecza: w owych czasach choroba papieża zwiastowała kryzys w kościele, zaburzenia, może zamieszki, taka choroba w krajach ściśle związanych z Rzymem była źródłem trosk i obaw, coś tak jak choroby Churchilla podczas wojny. Czy jest u nas choćby ślad takiego dictum? Nie, bo nasz kontakt ze stolicą apostolską, z Lateranem (to wielki błąd mówienie o Watykanie przed XVI w.) był odległy, luźny, Polska była wciąż tylko mało w życie kościelne wciągnięta.

W naszych oczach Kościół i katolicka hierachia rysują się jako narodowe — raz, jako antyrewolucyjne, raczej konserwatywne — dwa. Widocznie pamięć nasza o kościele średniowiecznym zupełnie się zatarała. Bo Kościół był wówczas obojętny wobec problemu narodowości, a te konserwatywne „prawomyślne” wyobrażenia hierarchii. (trafne dla epoki Grzegorza XVI-go smutnej zresztą), wprowadziłyby w zdumienie władców średniowiecznych. W najlepszym razie patrzyli już na swych biskupów jak Beck na Stronńskiego czy Sikorski na Mackiewicza. W rzeczy samej duchowieństwo średniowieczne przypominało nieco komunistów: zawsze gotowe wprowadzić swój własny totalizm, ale zaciekle w zwalczaniu wszelkiej in-

nej władzy. Śladu najmniejszego tej fazy katolicyzmu w naszych umysłach i tradycji nie ma.

Dlaczego? Bo katolicyzm polski był gdzieś do XV-go wieku sła-
biutki. Nasi święci średniowieczni to członkowie rodziny panującej,
lub możnowładcy, jak Odrowążowie; chłop był tylko nominalnie
katolikiem. Przypomnijmy nieszczęsną sprawę Krzyżaków. Konrad
mazowiecki ich sprowadził nie tyle dlatego, że nie mógł Prusaków
pobić, ale dlatego, że nie był w stanie ich nawrócić. Krzyżacy mieli
Prusaków nawrócić, nie wymordować, czy ujarzmić. A polski książę
nie mógł ich nawrócić, bo i sam pacierza pewno nie bardzo umiał, i
nie miał ani księży, ani katechetów, ani misjonarzy, ani msza-
łów, ani sprzętów kościelnych, ani ornatów, ani majstrów budow-
niczych kościelnych, żadnego aparatu, żadnego instrumentu do
szerzenia wiary. Aż do XIV czy nawet XV-go wieku o katolickiej
Polsce trudno mówić. Był to teren misyjny. Korzenie nie wrosły w
ziemię. Polska jest za dobrą sprawę katolicką od lat 500, nie tysią-
ca.

Z jednym atoli wyjątkiem, jedynym ale niezmiernie ważnym:
św. Stanisława Szczepanowskiego, Obojętne jaki był powód jego
matargu z Bolesławem: czy spór o inwestyturę jak chcą jedni, czy
jakieś knowania z Czechami, jak chcą inni, czy też, jak byśmy
powiedzieli dzisiaj, jego zamięłowanie do plotek, czyli wytykanie kró-
lowi jego nierządu. Dość, że przez swe zwycięskie męczeństwo wy-
znaczył on raz na zawsze granice samowoli, totalizmu i tyranii.
Ciemny kmieć czy wój nie by nie zrozumiał, gdyby zaczęto mu
wyklądać teorię podziału władz; ale kult św. Stanisława sprawił,
że na razie mętnie a później coraz jaśniej zaczął zdawać sobie spr-
awę, iż gdzieś się ta władza monarchy kończy, że jest jakaś dziedzi-
na, której nawet srogi władca naruszyć nie ma prawa. Gdzie gra-
nice samowoli zostają wytyczone, tam powstaje prawo; gdzie powsta-
je prawo tam powstaje państwo; gdzie powstaje państwo tam po-
wstaje naród. Św. Stanisław jest nie tylko naszym patronem; jest
on, znacznie bardziej niż przereklamowały Chrobry, założycielem
naszego państwa i ojcem naszego narodu. Rosja nie miała swego
św. Stanisława.

Nie ma polskiego katolickiego średniowiecza. Katolicyzm polski
jest niemal wyłącznie dzieckiem kontrreformacji.

Kontrreformacja jest oczywiście okresem wspaniałym w dzie-
jach Kościoła, okresem zresztą nadal niezmiernie aktualnym; nie
została bowiem doprowadzona do końca, nie przywróciła religijnej
jedności Europy, raczej spetryfikowała podział na kraje katolickie
i protestanckie. Dzisiaj widoczny rozkład protestantyzmu pozwala
żyć nadzieję, że bunt Lutera i Kalwina wygasa i że niezmiernie
szkody, które światu i kościołowi wyrządził, mogą być nareszcie na-
prawione, że jednym słowem dzieło kontrreformacji doprowadzimy
do końca, choć oczywiście innymi metodami.

Kontrreformacja wszędzie, a również i w Polsce, była przede
wszystkim ruchem umysłowym; katolicy nareszcie przypomnieli
sobie słowa św. Pawła: „musicie zrozumieć podstawy wiary, którą
wyznajecie”. Ale w miarę postępów kontrreformacji, katolicyzm —
podobnie zresztą jak i protestantyzm — okazał skłonność do prze-
ocenia formy, do skostnienia, do konformizmu. Nadmiar dysput,
poprzez zwykłe prawo reakcji, wywołał upadek teologii, położenie

nacisku na dewocję. Ta ewolucja była typowa zwłaszcza dla kra-
jów habsburskich, a wydaje mi się, że i nasi historycy, i my sami
nie dość zdajemy sobie sprawę jak bardzo samo istnienie Polski
w w. XVII i XVIII było związane z monarchią austriacką i jak
bardzo Polska ówczesna była projekcją, swoistą zapewną ale jed-
nak projekcją na północno-wschód państwa Habsburgów. Nad
Wisłą, jak i nad Dunajem oparliśmy naszą kulturę na łacinie, gdy
bardziej na zachodzie łacina była już rugowana przez języki naro-
dowe, później dodaliśmy do tego francuszczyznę. I tu, i tam, spo-
łeczeństwo pozostało szlacheckie z przewagą magnaterii, żadnego
udziału mieszczaństwa jak we Francji czy Anglii. W Austrii nacisk
był położony na konformizm dynastyczny, państwowy, u nas naro-
dowy. A już nade wszystko w dziedzinie religijnej analogia jest u-
derzająca. I galikanizm i jansenizm do nas nie dotary. Jak w Au-
strii przeważał u nas katolicyzm dewocyjny, konformistyczny, któ-
rego głównym elementem stał się tradycjonalizm, państwowy w
Austrii, narodowy u nas.

Gdy mowa o kontrreformacji, nie sposób pominąć jezuitów, któ-
rzy właściwie stworzyli katolicką Polskę. Czy kto wie, że w chwili
kassaty tego zakonu w r. 1772 było w Polsce tylko 1177 jezuitów?
Liczba zakonników w zakonach jest na ogół uderzająco stała, więc
nie należy przypuszczać by w przeszłości była ona znacznie więk-
sza. Tak więc w ciągu 200 lat — 6 pokoleń mieliśmy w Polsce zaled-
wie około 7 czy 8 tysięcy jezuitów tout compris. Zdumiewające jest
zaiste, w jaki sposób ta drobna grupa zdołała wycisnąć tak trwałe
piętno na tak dużym kraju. Nie ma zapewne innej grupy, która by
w tym stopniu zdołała ukształtować nasze pojęcia i sam charakter
narodowy. Jezuiti wydali szereg wybitnych ludzi, jak ks. Wujka,
tłumacza pisma św., ks. Skargę i zwłaszcza O. Warszewickiego,
mentora Zygmunta III. Opanowawszy szkolnictwo, jezuiti urobili
i światopogląd polski, i obyczaje, i upodobania narodowe. Oni, wpro-
wadzając barok stworzyli typowy styl polskiej architektury, znacz-
nie nam bliższy niż gotyk, oni stworzyli typ polskiej wymowy (nie
mamy się zresztą czym chwalić), oni nas głęboko uzachodnili. Nato-
miast dziwne jest, że ten zakon, gdzie indziej uważany za podpo-
rę absolutyzmu, żadnego wysiłku nie zrobił w kierunku reformy u-
stroju, przeciwnie walczył się przyczynił do utrwalenia rzeczypospo-
litej szlacheckiej. To samo zresztą można powiedzieć o episkopacie.
To však prymasi w charakterze interrexów walczyli się przyczynili
do paktów konwentów — i nie słyszałem, by nuncjusze ich od tych
republikańskich praktyk odmawiali. Mam wrażenie, że historycy
Kościoła nie dość zwrócili uwagę na ten szczegół. Pakt, który sto-
lica apostolska zawarła z Burbonami i Habsburgami, pakt tak prze-
ciwny całej tradycji Kościoła, spowodowany lekkim reformacją, ni-
gdy nie stał się podstawą doktryny Kościoła i przykład polski wy-
mownie świadczy, że Kościół był zawsze mniej monarchiczny i
mniej związany z absolutyzmem dynastycznym niż to z pozorów
wyglądało.

Dlaczego jezuiti, ludzie głębokiej wiedzy, nie zdołali teologii u-
trzymać na wyżynach, ale objawszy rząd dusz, pozwolili na obu-
marcie nauk kościelnych, na obniżenie życia religijnego do praktyk
samych? Argument niedowiarków, że Kościół woli ciemnotę, bo na
niej żeruje, nie wytrzymuje krytyki. Przeciwnie, na przestrzeni

wieków Kościoł był i jest największą instytucją edukacyjną, a okresy jego rozkwitu zawsze zbiegały się z okresem świetności rozwoju teologii. Upadek nauk zawsze zapowiadał upadek Kościoła.

Powodów trzeba szukać z zewnątrz. Po pierwsze w wyniku reformacji Polska okazała się niemal wyspą, a co najmniej półwyspem katolickim wśród morza inowierców. Od północy i zachodu mieliśmy protestantkie: Szwecję, Prusy, Saksonię, od wschodu schizmatyką Moskwę, od południa bisurmańskich Tatarów i Turków. Z cesarstwem ani wojen, ani sporów, nie mieliśmy. Katolicyzm stał się symbolem polskości.

Jesteś Polakiem a więc katolikiem — stało się twierdzeniem oczywistym. Po co wysilać mowę na trudne dysputy, gdy można było trafić do mas argumentem tak prostym. Apel do nacjonalizmu zastąpił apel do religii. Z wielką dla tej ostatniej szkodą. Geografia w dużej mierze tłumaczy uratowanie naszego związku z Rzymem: gdyby nie herezja i schizma naszych sąsiadów, stworzylibyśmy może Kościół Narodowy, jak Anglia. A tak był on niepotrzebny, bo właśnie dzięki geografii katolicyzm polski stał się narodowy, stał się czynnikiem, odróżniającym nas od sąsiadów, nie upodobniającym nas do nich i mającym jeszcze tę dodatkową korzyść, że łączył nas z dalekim zachodem (poza niemieckim) co odpowiadało naszym upodobaniom i naszemu snobizmowi. Każdy kościół narodowy powoli martwieje, usycha. Ten przerost nacjonalizmu odbił się na Kościele polskim, z korzyścią dla narodu, ze szkodą dla Kościoła.

Drugą okolicznością, która na naszym polskim Kościele zaciążyła nie mniej fatalnie było to, że głównym jego antagonistą była od połowy XVII w. cerkiew prawosławna. Od tego czasu protestantyzm, gruntownie pokonany, prowadzi w Polsce żywot szczątkowy. Każda herezja jest rzeczą bolesną, upadek jej, — powodem do radości. Jednak w pewnym sensie herezja jest dowodem żywotności, pobudza do wysiłku, do myśli, daje więc Kościołowi pewne korzyści, broni go przed letargiem. Inaczej schizma wschodnia. Już w cerkwi greckiej żadnej myśli teologicznej nie było od czasów Focjusza, a w cerkwi rosyjskiej śladu jakiegokolwiek myśli teologicznej, ruchu umysłowego nie było prawie nigdy. Prawosławie zastąpiło stanowisko dogmatyczne fanatycznym przywiązaniem do obrządku, do form. Wiadomo, że w walce przeciwnicy zawsze się po trochu upadabniają: i tak państwo pacyfistyczne walcząc z agresywnym militarystycznym mocarstwem samo się militarzuje. To też i my walcząc z prawosławiem przejęliśmy od niego niektóre jego najgorsze cechy. Teologicznego sporu nie było i być nie mogło, to też i my zaczęliśmy przesadne znaczenie przypisywać obrządkowi, zapominając o treści. Zeszliśmy z poziomu zachodniego katolicyzmu, bo nas z niego ściągnęło prawosławie. Popa ruskiego nie zdołaliśmy wciągnąć na wyższy poziom, ale poziom umysłowy naszego duchowieństwa mocno ucierpiał na tym, że takich miał adwersarzy. W fizyce najtrudniejszy jest opór ciała miękkich. W polityce, a w religii — opór sił ciemnych, ciemnoty, głupoty, ignoracji, amorfii umysłowej. Obie strony wówczas przerażająco „równają w dół”. To prawosławie obniżyło mianowicie poziom polskiego katolicyzmu, i w szczególności polskiego duchowieństwa.

Polskę można nazywać katolicką tylko w w. XVII i aż do połowy XVIII-go. To tylko półtora wieku, a i to dalekiego od ideału. Ale ten ideał nigdy nie został wcielony w życie. Historycy katolicycy zgodnie podkreślają, że nawet państwa kościelne nie wolno uważać za realizację tego ideału, Zaś w myśl doktryny św. Augustyna, dotąd miarodajnej, civitas Dei jest wogóle nieosiągalna na ziemi, a stan najbliższy tego państwa Bożego, to stan w którym by państwa wogóle nie było, pozostałby tylko Kościół. Polityka à part, cóż katolicka Polska naszej wierze przyniosła w wianie?

Przyniosła cztery dary. Dwa, że tak powiem, wewnętrzne, i dwa — zewnętrzne. Te pierwsze to katolicki dwór i katolicka wieś; te drugie — to nawrócenie Litwy i kościół unicki.

W pewnym sensie, polski dwór, a zwłaszcza dworek szlachecki był z ducha swego szczerze i głęboko katolicki, może bardziej, szczerzej, poczciwiej niż rezydencje ziemian francuskich czy niemieckich. To są rzeczy trudno wymierne, a jednak istotne. Twierdzenie to nie będzie ściśle w stosunku do naszych dworów magnackich, gdzie przykazanie o niepożądaniu wołu i osia i czegoś tam jeszcze — zapomniałem czego — nie było nigdy ściśle przestrzegane, ale w tych soplicowskich dworach, które unieśmiertelnił Mickiewicz powstał piękny i godny szacunku katolicki obyczaj, nastrój, atmosfera, który nawet częściowo aż do naszych czasów dotrwał. Oczywiście podstawą jego była tradycja, i dlatego nie promieniował on dość silnie: już na inteligencję miejską oddziaływał słabo, a nawet niekiedy wcale. Ale Kościół miał w tych dworach zawsze wiernego alianta i z nich przez długie wieki rekrutował najlepszych swych pasterzy.

Podobnież z polską wsią. „Chłopi” Reymonta są wspaniałym świadectwem cywilizacyjnej i wychowawczej roli Kościoła na wsi. I tutaj Kościół dokonał wielkiego dzieła: potrafił wprzegnać katolicyzm i jego obrządki w życie ludu wiejskiego w stopniu bodaj wyższym niż w jakimkolwiek innym kraju. Główną słabością polskiego katolicyzmu jest jego antyintelektualizm — i stąd groźny i bolesny upadek jego wpływu wśród polskiej inteligencji, do której nie umie trafić; jest z nią może nie w wojnie, ale obok niej, jest narodową pamiątką, miłym zabytkiem, ale nie tkwi w samym sercu jej zainteresowań. Znamy wszyscy stary dowcip o wolności: że Francuz ją kocha jak kochankę, Anglik jak prawowitą małżonkę, a Niemiec jak babcię. Otóż można powiedzieć, że polski inteligent kocha Kościół tak, jak się kocha babcię.

Kościół polski jest zżyty z rytmem życia wiejskiego. To jest jego siła. I pod tym względem — i tylko pod tym — może on być dla zachodu wzorem i przykładem. Kościół katolicki w Anglii ma akurat wszystkie zalety, których Kościół w Polsce nie posiada, brak mu naszych zalet. Jest wysoce intelektualny, stąd ma silny wpływ wśród inteligencji, natomiast do ludu wiejskiego trafić nie umie. Jest silny w miastach, zwłaszcza większych, słabszy w miasteczkach, nie istnieje prawie na wsi. Nasz Kościół jest zbyt uczuciowy, ich zbyt oschły. Osobiście uważam, że o rozwoju wypadków decyduje inteligencja. Lud w końcu zawsze za nią pójdzie. Dlatego boję się o przyszłość katolicyzmu w Polsce, dlatego sądzę, że w Anglii będziemy świadkami jego dalszego, stałego rozwoju.

Teraz te zasługi zewnętrzne. Nawrócenie Litwy jest oczywiście

kartą wspaniałą. Tu dodam tylko, że to piękne osiągnięcie jest dzisiaj na najgroźniejsze niebezpieczeństwo narażone przez samych księży litewskich. To oni stworzyli separatyzm litewski. To oni zdradzili Kościół dla nacjonalizmu. Ci, którzy nie chcą uznać, że przestrogi nacjonalizmu osłabiają Kościół w Polsce, chyba nie będą przeczyć, że nacjonalizm litewskiego kleru wyrządził Kościołowi w całej wschodniej Europie niepowetowane szkody. Katolicyzm Litwy Kowieńskiej mało był wart, a stan wojny z Polską obniżył wagę więzi religijnej, obniżył znaczenie Kościoła i w Polsce i na Litwie, i w rezultacie ułatwił bolszewikom ich obecne triumfy. Czy obecnie nastąpi opamiętanie? Chciałbym w to wierzyć, choć nie bardzo mogę się na to zdobyć.

Druga zasługa, znacznie bardziej wątpliwa, to Unia Brzeska. Oczywiście inicjatywa wyszła z Rzymu. Ale jednk realizacja zależała od nas. Była naszym dzieckiem, choć, jak wiele dzieci, niezbyt przez rodziców pożądanym. Unia ta przyniosła Polsce same kłopoty, a Kościołowi nie dała prawie nic. I w tym jest dużo, bardzo dużo naszej winy.

Tu przytoczę pewne osobiste wspomnienie. Przed wojną udałem się kiedyś do Wilanowa w towarzystwie jednego z paru zaledwie znanych mi ludzi, których nazwałbym naprawdę kulturalnymi — ze śp. Adamem Heydlem, profesorem uniwersytetu Jagiellońskiego, okrutnie zamordowanym w Oświęcimiu. Adaś Heydel był autorem książki „Myśli o kulturze”, której nie wahałbym się nazwać najlepszą i najpiękniejszą książką jaka wogóle ukazała się w okresie naszej niepodległości i nawiasowo dodam, że uważałbym za należyty hołd jego pamięci wydanie tutaj tej książki i po polsku i po angielsku, bo jest to jedno z rzadkich dzieł, z których mamy prawo być dumni. Spacerowaliśmy po parku wilanowskim i Heydel nagle zwrócił mi uwagę, że park nie dochodzi do Wisły, że urywa się w jakimś kapuścisku, choć do rzeki był tylko kilometr. „Oto był król wielkiego państwa — mówił — i nie potrafił tego parku doprowadzić do naturalnej granicy, utknął w pół drogi. Każdy inny monarcha by ten park zakończył na łuku rzeki. Czyż te szpalery nagle urywające się nie są symbolem Polski?” Ta analogia utkwiła mi w pamięci, nieraz o niej rozmyślałem. I jakże jest rzeczywście symboliczna. Polska jest krajem snów o potędze, dum o hetmanie, wielkie zamiary, plany, słowa — a potem wszystko się urywa w kapuścisku. Plany federacyjne Piłsudskiego — kapuścisko. Później federacje Sikorskiego — kapuścisko. Sanacja moralna — kapuścisko. Rządy parlamentarne — kapuścisko. Ot tak, wszystko się rozlaźi. Nie umiemy niczego doprowadzić do końca.

I tak jest właśnie z Unią. Jako pomysł uważam ją za z gruntu fałszywy. Co unia miała dać? Poczucie jedności wyznaniowej. Różnica obrządków ciągle przypominała odmiennosc, nie jedność. Dogmatyczna jednolitość nie zdołała przekreślić głębokiej różnicy klimatu duchowego. W rezultacie cerkiew unicka nie miała żadnej siły atrakcyjnej, wegetowała, aż dopiero odnalazła jakąś rację bytu w kulturowaniu nacjonalizmu ukraińskiego, na którego służbę poszła bez reszty. Jestem zasadniczo przeciwnikiem wszelkiej unii. Tyle jest czynników rozsadzających jedność kościoła, że jest szaleństwem niebezpieczeństwo swarów jeszcze powiększać różnorodnością obrządków. Nawet dyscyplina łacińska nie zdołała zapobiec temu, że księ-

ż: litewscy, słowaccy itd. zapomnieli o kościele powszechnym, a stali się nacjonalistycznymi agitatorami. Tworzyć jeszcze dla nich narodowe obrządki — toż to dawać miecz w ręce szalonego. Znają może państwo rozmowę Bonapartego z kardynałem Consalvi w czasie rokowań o konkordat. W pewnej chwili Pierwszy Konsul cisnął jakąś wazę o podłogę i zawołał: alors je detruirai L'Eglise Romaine. Kardynał odparł: Mon général, nous y travaillons depuis 18 siècles, et nous n'avons pas encore réussi. Rzadko kiedy Kościół tak skutecznie pracuje nad własną zgubą, gdy obmyśla plany i projekty unii. Mamy zresztą przykład bardzo bliski, tu, w Anglii. Pół wieku temu rozmowy na temat unii kościoła anglikańskiego z katolickim były bardzo zaawansowane. Rozbiły się nie o dogmat nieomylności papieskiej, na który godzili się anglikanie i nie o obrządek anglikański, na który Rzym się godził, ale o punkt wysoce techniczny: ważność święceń anglikańskich, których w końcu Rzym nie uznał. Ale to były pozory: w istocie Watykan szedł na unie, lecz katolicy angielscy ją storpedowali. Słusznie, stokrotnie słusznie powiedzieli, że wola czekać sto lat, trzysta lat, ale nie chcą pozorów jedności, chcą sam duch anglikanizmu, duch jego kręćackiego, pełnego hipokryzji oportunizmu z korzeniami wytrzebić. Myśmy tak samą powinni byli oświadczyć, że nie chcemy żadnej unii, że chcemy wyrwać z korzeniami duch cesaropapizmu i poczucie odrębności prawosławia, duch nacjonalistyczny cerkwi, w obrządku wschodnim znajdującej pożywkę dla swej wojny z zachodem, wojny z jednością Kościoła. Skapitulowaliśmy. Unia uniemożliwiła nam skuteczne wyrugowanie prawosławia, które pozostanie zawsze i wszędzie agencją Moskwy: stworzenie polskiego prawosławia w katolickiej Polsce jest taką samą mrzonką jak stworzenie rzymskiego katolicyzmu, który byłby z ducha rosyjski. Rosja naprawdę nawrócona na katolicyzm łańciski przestałaby być Rosją, bo stałaby się wreszcie częścią Europy.

Stworzywszy Unię, co z nią zrobiliśmy? Nic. Stojące bajoro. Stęchłą kałużę, która kończyła się w kapuścisku. Unickie duchowieństwo nie miało poczucia, że stanowi część czy odłam kleru katolickiego. Tych unickich popów nie kształciliśmy, nie zrobiliśmy nic, by ich wciągnąć w krąg nauki katolickiej; nie staraliśmy się powoli, stopniowo romanizować unii. Coś nie coś w tej dziedzinie zrobiła dopiero Austria, a zwłaszcza metropolita Szeptycki, jedyna naprawdę wielka postać którą unia wydała. Unitom okazywaliśmy pogardę, która ich rozdrażniała, i bezsilność i bezradność, która ich rozczuchwiała. Zupełnie to samo, co z Żydami. W rezultacie Żydów zlikwidowali Niemcy, unitów Moskale, a i jedni i drudzy uważają Polaków, którzy właściwie żadnej poważnej krzywdy ani jednym ani drugim nie wyrządzili, za swych najgorszych wrogów. A w dalszej konsekwencji obrońcy Żydów na zachodzie, lewicowcy wszelkiego autoramentu uważają nas za gorszych antysemitów od poczciwych Niemców „oszukanych przez Hitlera”, a obrońca unii, Watykan, po cichu uważa nas za bodaj większą kłode niż Rosję, na drodze do połączenia cerkwi z kościołem. Trudno w obu wypadkach o większy

błąd a raczej obłąd. Ale przynajmniej uczciwie, że w obu wypadkach powinniśmy ganić przede wszystkim naszą własną głupotę.

Na zakończenie — pragnąłbym jeszcze dorzucić kilka nieskoordynowanych może myśli. Otóż katolicyzm polski jest tak przepojony nacjonalizmem, że skoro tylko Polacy znajdują się poza ziemią ojczystą, albo też gdy nie są w Polsce uciskani, ich wiara natychmiast i bardzo gwałtownie słabnie. Legiony Dąbrowskiego walczyły we Włoszech; rewolucyjna i bezbożna Francja niszczy państwo kościelne. Czy jest jakaś reakcją wśród tych katolickich żołnierzy polskich? Nie ma żadnej. O ile mi wiadomo, nie ma słowa w korespondencji Napoleona z Dyrektoriatem, że trzeba z Kościołem uważać, bo mogą być jakieś trudności z Polakami. Co więcej. Bierzemy, Bóg wie po co, udział w wojnie hiszpańskiej. Ta wojna — to walki z pobożnymi chłopami prowadzonymi przez księży, którzy bronią wiary przeciw francuskim bezbożnikom. Czy Polacy mają jakieś skrupuły, choćby wyrzuty sumienia? Gdzież tam. Najbardziej katolickie ziemiańskie rodziny chlubią się przodkami co walczyli pod Somosierrą czy Saragossą co najmniej jakby to chodziło o walki z Turczyńcem czy innym pohańcem. Księstwo Warszawskie jest bardziej niż letnie w swym katolicyzmie. To nikomu nie przeszkadza. Kościuszko, książę Józef — w najlepszym razie deści. A la bonheur. Królestwo Kongresowe — rządzone przez masonów. Znowu doskonale. Dopiero gdy Wielopolski nawraca do polityki ministra Stanisława Potockiego — jest pewne wzburzenie opinii, bo polskość jest bardzo zagrożona, odczuwamy więc potrzebę Kościoła. Niepodległość. Katolicyzm polski jest już prawie niepotrzebny, staje się dekoracją, połowa ministrów — to kalwini, prawosławni, czy nawet mahometanie, dyrektor Departamentu Wyznań, hr. Franciszek Potocki, zresztą uroczy i miły człowiek i katolik, tłumaczy mi bzdury w rodzaju, że chciałby, by biskupi katolicy mieli tyleż poczucia państwowego co biskupi prawosławni itd. Fatalny nawyk nadmiaru nabożeństw oficjalnych prowadzi w rezultacie do tego, że dzisiaj Bierut czy Zymierski ciągle biorą udział w uroczystych mszach polowych. Nasza emigracja listopadowa wydaje wielkich poetów, ale gdzie są jej wielcy kapłani? Paru Zmartwychwstańców. Zbliżeni do nas narodowym złym losem Irlandczycy nawrócili pół Ameryki, pół Australii, częściowo Anglię wysłali tysiące misjonarzy do Afryki, Indyj, są w każdym zakątku świata. Uniwersytety katolickie stały zawsze otworem dla Polaków. Kogo im daliśmy?

Poza krakowskimi Stańczykami, którzy jakąś katolicką inteligencję wyhodowali, wszystkie nasze prądy polityczne są wobec Kościoła grubo nie w porządku. Pielgrzymki narodowców do Częstochowy połączone z awanturami antyżydowskimi, były, z punktu widzenia katolickiego, po prostu zbrodnią. Chrześcijańska demokracja, a więc poniekąd oficjalna reprezentacja Kościoła, wybrała sobie na przywódcę Korfantego, jednego z najordynarniejszych, chciwych groszorobów i dusigroszów, jakich spotkałem, ze swą kwadratową głową i grubym cygarem, obraz, krwio pijcy i burżuja,

jak go widzimy na bolszewickich plakatach. Po tym okropnym Korfantym przychodzi Popiel, krzykacz, demagog, nieuk, aferzysta, i osioł, i na okrasę X. Kaczyński, który jako sługa Boży jest po prostu skandalem. Jak chcemy takich ludzi przeciwstawiać Brue-ningowi czy Schuschniggowi? I jak możemy się dziwić, że ciężar gankowy katolików niemieckich jest zgoła inny niż polskich?

To samo pisarze. Krasniński był oczywiście jednym z największych pisarzy katolickich świata, Sienkiewicz i Reymont też można do wielkich pisarzy katolickich zaliczyć, Wyspiański miał wy-czucie Kościoła, ale reszta? Grzeszą nie tyle złą wiarą, ile bezbrzeżną ignorancją. Niedawno pewien znakomity pisarz polski, z pewnością uważający siebie za katolika, nazwał Dostojewskiego wielkim pisarzem chrześcijańskim, porównywał go do św. Franciszka. Wszystko się kończy gdy katolik może coś podobnego pisać w dobrej wierze. Nigdy podobna teza nie przesłaby przez gardło Mauriac'a czy Maurras'a czy d'Ormesson'a czy choćby Leon Daudet'a. Inny głośny pisarz szczerze mi wyznał, że nie rozumie jak może ktoś się zastanawiać nad boską czy ludzką naturą Chrystusa Pana — przeciwieź to wszystko jedno. A później tenże pisarz łączy roni nad upadkiem etyki chrześcijańskiej. Kto inny znowu dowodzi, że ewangelia to przede wszystkim system socjalny. I tak dalej. A potem podnosimy wielki gwałt i wrzask, że świat zapomina o katolikach w Polsce.

Parę razy wspominałem o herezjach. Herezje są spaczonym, szkodliwym, ale jednak dowodem czy raczej symptomem żywotności. Raz po raz trzeba z nimi walczyć. W ostatnim stuleciu ileż ich było: tzw. liberalizm Lammenais, później staro-katolicy Doellingera, modernizm, tzw. amerykańizm, wiele innych. Żadna z nich nie dotarła do nas, żadna nie odbiła się najsłabszym echem. To były herezje teologiczne. A nasze własne? Tzw. kościół narodowy, Mariawici? Są przerażające właśnie swym ubóstwem. Żadnego bagażu teologicznego. Podłożem ich jest wyłącznie nacjonalizm. Jeszcze im go mało. I tę wielką wadę polskiego katolicyzmu próbują jeszcze zwiększyć, zaostrzyć.

Kościół, jak wiemy, przeżywa dzisiaj ciężkie chwile i jak powiedziałem na wstępie, to kościół — a nie Mikołajczyk czy PSL — broni resztek naszej niepodległości. To nie jest przypadek, że obecna granica na Wschodzie zbiega się z granicą wyznaniową, że Stalin nas jednak jeszcze nie traktuje jak wyzwolonych ukraińców, bo jeszcze się boi naszej wiary. W tej walce stoimy wszyscy po stronie Kościoła i wszyscy błagamy Boga o jego ocalenie. Osobiście sądzę, że Kościół wyjdzie z tych zapasów zwycięsko, częściowo dlatego, że jest katolicki, częściowo dlatego, że jest polski. Ale jeżeli na dalszą metę Katolicyzm ma się w naszym kraju odrodzić, a nie tylko uniknąć zagłady, jeśli pragniemy prawdziwego renesansu katolicyzmu — tak jak w XVII wieku, to musimy jasno rozumieć, że czeka nas wysiłek ogromny w chwili może mniej odległej niż się to zdaje.

Jest w naszym kościele piękna, przepiękna modlitwa, w której błagamy Boga o „amor invisibilium”, o miłość rzeczy niewidzialnych. To ta miłość stanowi istotę katolicyzmu, jądro religii, podstawę kultu, treść życia Kościoła. Nie zastąpią jej żadne pielgrzymki do Częstochowy, żadne tworzenie katolickich związków, żadne prace organizacyjne. Ta miłość jest dzieckiem myśli, nie uczucia, jest wynikiem rozmyślań, lektury, studiów, wiedzy. Rodzi ją dogmat, wychowuje teologia. Bez nich żadna etyka się nie ostoï, bo każda etyka z wyjątkiem hedonistycznej, nieoparta o dogmat jest absurdałna. Przyszłość katolicyzmu polskiego zależy nie od pracy społecznej, siły organizacyjnej, działalności propagandowej, nawet nie od praktyk religijnych, ale wyłącznie i jedynie od odrodzenia i rozpowszechnienia nauk teologicznych.

W. A. ZBYSZEWSKI

Piłsudski a Rosja

Problem państwowości rosyjskiej, problem Związku Sowieckiego jest w dobie obecnej najważniejszym problemem świata. Sprawa wykrystalizowała się wyraźnie: są dwa obozy wzajemnie sobie wrogie — Związek Sowiecki i świat pozostały. W walce tych obozów, która w każdej chwili może przeistoczyć się w konflikt zbrojny, Związek Sowiecki jest coraz bardziej namiętnym agresorem. Siła tej agresji spotęgowana jest użyciem przez państwowość sowiecką idei i hasel uniwersalnych, sprawiających, że polityka sowiecka we wszystkich swych poczynaniach taktycznych może liczyć na nieustannie rozbudowane agentury, nieświadome lub nawet świadome tego, że idee głoszone przez Moskwę nie są realizowane na obszarze jej panowania politycznego.

Sprzeczność zachodząca pomiędzy teorią a praktyką polityki sowieckiej, pomiędzy siłą państwa a nędzą materialną i duchową obywateli sowieckich, narzucanie światu przez wciąż olbrzymiejące państwo nieewoluujące, a wskutek tego coraz bardziej reakcyjnego marksizmu jako nowej religii, w której duch podporządkowy jest materii a obiektywne niewolnictwo przedstawiane jest jako subiektywna wolność — oto straszliwe niebezpieczeństwo grożące światu. Nie socjalizm, nie komunizm będą jego udziałem w wypadku zwycięstwa Sowietów, lecz powszechne niewolnictwo i zupełny upadek kultury.

Państwowość sowiecka, spadkobierczyni państwowości wszechrosyjskiej w ciągu wieków przygotowywała taki właśnie stan rzeczy. Przyjęcie przez Rosję marksizmu jako idei nadrzędnej było tylko naturalnym dopełnieniem nieustannie postępującego rozwoju dynamiki państwowości wszechrosyjskiej. W rezultacie tego przyjęcia marksizm stał się w rękach olbrzymiego państwa totalnego ideą na wskroś polityczną. Oparty na elemencie siły zatracił on zdolność ewolucji w kierunku duchowym. Realizacja „wszechświatowego raj” w drodze przymusu i terroru doprowadziła do stworzenia makabrycznego piekła. Strupieszanie postępowej i twórczej idei tego kalibru nie mogło nie doprowadzić do zahamowania rozwoju myśli społecznej na świecie pozostałym. Przez swą postawę nieustannej agresji („permanentnej rewolucji”) Związek Sowiecki uniemożliwia jakkolwiek twórczą, międzynarodową stabilizację pokojową. Już nie tylko polityka ekspansji Związku Sowieckiego, lecz samo jego istnienie jest dla świata niebezpieczeństwem.

Narody Rzeczypospolitej w walce z Rosją mają największe doświadczenie i w chwili obecnej narody te prowadzą w dalszym ciągu walkę nieubłaganą całą swą masą, całą swą pozostałą jeszcze przy życiu potęgą. Bo i to trzeba stwierdzić, że w tym zmaganiu z Rosją walką jest nie tylko obrona czynna nie tylko powstanie czy rewolucja narodowa, walką jest w pewnym sensie również w niektórych wypadkach kapitulacja. Lecz mimo tych zmagani nieustannych dotychczas żaden z narodów ujarzmionych przez Rosję nie zdobył się na rzecz równie istotną w każdej walce jak siła — na teorię.

Na przestrzeni długich dziesięcioleci tej walki jeden jest tylko człowiek, który pozostawił po sobie ogromną spuściznę właśnie w zakresie teorii walki z Rosją. Niestety, teoria ta jak puścizna wielu innych geniuszy politycznych naszych narodów nie została przez nas należycie zrozumiana i rozpracowana.

Zdaje się, że nie zwrócono dotychczas uwagi na to, że pierwszą większą publicystyczną pracą Piłsudskiego jest artykuł pod tytułem „Rosja”. Wydrukowany on został poraż pierwszy w drugiej zagranicznej jednodniówce „Robotnika”, która ukazała się w Londynie w 1895 r. Gdy Piłsudski pisał ten artykuł liczył lat 32. Miał już za sobą kilkunastoletnią działalność wyzwoleniczo - rewolucyjną. Miał za sobą więzienie petersburskie Piotra i Pawła i 2 1/2 lata zsyłki w Kiereńsku nad Leną. Był już jednym z przewodnich organizatorów i kierowników PPS i — jak pisze Pietkiewicz — „osłatecznym redaktorem, korektorem i wydawcą „Robotnika”. W tym czasie przebywał w Wilnie, pracując w warunkach niezmiernie ciężkich, „wśród ustawicznych zasadzek ze strony żandarmerii carskiej, która nęka organizację raz po raz powtarzającymi się aresztowaniami i niszczy ją przebiegłymi sztuczkami prowokatorskimi”.

Walce z terrorem carskim towarzyszy nie mniej zażarta, a niekiedy równie niebezpieczna walka z kapitulacyjnym oportunizmem rodaków oraz nieustanne wrogie starcia z grupą Socjaldemokracji Królestwa Polskiego, stojącej na gruncie tzw. „organicznego wcielenia” Polski do Rosji i negującej zasadę samostanowienia i niezależności narodowej.

Wspomniany artykuł uważam za najlepsze ujęcie syntetyczne problemu rosyjskiego w całym naszym piśmiennictwie politycznym na ten temat, a w literaturze światowej mogę go zestawić bodaj tylko z pracą Fryderyka Engelsa p. t. „Polityka zagraniczna caratu”. Nie mogę przy tym nie stwierdzić, że praca autora polskiego jest bardziej spokojna i beznamiętna od pracy pierwszego i najgenialniejszego propagatora marksizmu.

„Rosja” jako rzecz syntetyczna jest pracą tak dalece przemyślaną i w każdym szczególe uzasadnioną, że studiując późniejszy dorobek piśmienniczy Piłsudskiego i mnóstwo jego na temat rosyjski wypowiedzi, nie znajduje się właściwie rzeczy nowych jak tylko uzupełnienia, rozwinięcia ilustracje myśli zawartych w tym artykule. Ale jednocześnie — trzeba to stwierdzić kategorycznie — nie jest to udana improwizacja, która zdarza się umysłom genialnym. Jest ona przede wszystkim rezultatem ogromnej wiedzy ogólnej a znajomości Rosji w szczególności.

W swoim słynnym, napisanym w 1903 roku, artykule „Jak stałem się socjalistą”, który obecnie część inteligencji polskiej dla celów doraźnych usiłuje tłumaczyć wbrew wyraźnym intencjom autora,

Piłsudski stwierdza, że pobyt na wygnaniu wyleczył go gruntownie z resztek anarchizującego wpływu socjalizmu rosyjskiego i o ile przed aresztowaniem lektura Marksa nie sprawiła na nim wielkiego wrażenia o tyle po powrocie do kraju sprawa uległa zasadniczej zmianie. Piłsudski prześlał „przeceniać znaczenie i siłę rewolucji rosyjskiej”. „W ten sposób — pisze Piłsudski — oczyściłem sobie niejako drogę dla wpływów zachodnio-europejskich. Następnie w Syberii, gdzie wobec braku kultury czynniki społeczne występują bez obłonek w całej swej nagości, przyjrzałem się bliżej maszynemu caratu oraz jego wpływowi na życie ludzkie w samej Rosji i zniechęciłem ten potwór azjatycki pokostem europejskim jeszcze bardziej. Wreszcie rozmyślanie i książki (tu, zniechęcony Spencerem przeczytałem jeszcze raz Marksa) ugruntowały mnie w socjaliźmie. Zrozumiałem wówczas, że nie jest on tylko idea, szlachetnych ludzi, marzących o uszczęśliwieniu ludzkości, lecz staje się realną potrzebą ogromnej masy ludu pracującego z chwilą, gdy kulturalny i społeczny rozwój umożliwia mu zrozumienie zasad tej idei”.

Niektóre słowa z biegiem czasu tracą swą wymowę. Zwłaszcza nazwiska. Uzurpatorzy potrafią zohydzić imiona twórców idei, które w ich rękach z postępowych stają się reakcyjnymi. Dla wielu ze współczesnych Marks jest już tylko protagenista bolszewizmu. Gdy Piłsudski pisał swe wyznanie, imię „Marks” symbolizowało socjalizm rewolucyjny a Herbert Spencer — niezwykle wówczas popularny w Polsce (jak, niestety, wielu innych doktrynerów oportunistów), patronował socjologicznemu ewolucjonizmowi.

Piłsudski a marksizm! Temat, który niestety, dotychczas nie został podjęty przez naszych badaczy. Woleli oni ograniczać swoje studia do najbardziej efektywnych pozornie analiz jego działalności politycznej. A temat to wielki i ważny. Czytając prace Piłsudskiego, zwłaszcza pisane przed okresem, w którym działalność praktyczna niemal bez reszty pochłania jego siły i uwagę, nie można nie dostrzec jak ogromne były możliwości Piłsudskiego również i w dziedzinie teorii socjalizmu rewolucyjnego. Zdolność do gruntownej a beznamiętnej analizy, dociekliwość zjawisk przyczynowych, wrodzona dialektyka myślenia, poczucie realizmu i proporcji w rzeczywistości i w przeszłości — to są walory, które sprawiają, że każda rzecz ujęta przez Piłsudskiego jest przedstawiona z maksimum obiektywizmu i nabiera z punktu wagi historycznej.

Piłsudski nie traktował marksizmu jako dogmatu. Widział w nim zaledwie zręby naukowe, która wymaga nieustannego rozpracowywania i dopasowywania do warunków rzeczywistych. A przede wszystkim widział w nim teorię, w którą trzeba włożyć ducha, którą trzeba owiać religijnym zapalem, by przesłonić wszystkie niebezpieczeństwa jakie dać może czysty materializm, czysta dialektyka materialistyczna, czysty materializm historyczny.

I dlatego Piłsudski tak bezapelacyjnie ustawił w swym programie rewolucyjnym pierwiastki duchowe i moralne a m. in. prawo narodu do całkowitej i niczym nie krępowanej swobody, rozumiejąc, że jest to jedyna droga do wolności społecznej wewnątrz narodu i jedyna droga do międzynarodowej solidarności politycznej i społecznej. I stąd ta nieubłagana walka z socjaldemokracją polską, która

w utopijnym poglądzie na przyszłość komunistyczną świata zaprzęścić chciała prawo narodu do samostanowienia, podporządkowując interesy narodów interesom integralnie pojętej światowej rewolucji. Stąd to znakomite wyczucie przez Piłsudskiego istoty bolszewizmu, który prawo narodów i człowieka poświęcał dla idei stotalizowanego państwa o scentralizowanej władzy oligarchii partyjnej.

Zwróciłem już dawno uwagę, dlaczego dla tych piłsudczyków, dla których najważniejszy jest ten twórczy, heroiczny okres życia Piłsudskiego tak bliskie są wypowiedzi socjalistów — idealistów w rodzaju Jaures'a czy Guesde'a, a ostatnio Leona Bluma. Myśl teoretyczna Piłsudskiego w zakresie rewolucji i socjalizmu szła podobnymi drogami. I tym tylko można tłumaczyć dlaczego polska klasa robotnicza, dlaczego przywódcy socjalizmu polskiego popierali Piłsudskiego przez cały czas jego walki o Polskę i dlaczego stanęli przy nim nawet wtedy, gdy już nie rewolucję miał na myśli, lecz najzwyczajniejsze uporządkowanie tej stajni Augiasza, w jaką zamieniło Polskę jej kółnictwo polityczne.

Ale wróćmy do artykułu „Rosja”. Nie będę go streszczał. Po prostu stwierdzam, że zawiera on dwie myśli zasadnicze:

— Rosja jest tworem wielonarodowym, sprzęgniętym przez carski ustroj państwowy, w jedną sztuczną całość w sposób sprzeczny z interesem wszystkich narodów ujarzmionych włącznie z narodem rosyjskim;

— wyzwolenie pojedynczych narodów jest niemożliwe bez zdruzgotania w drodze rewolucji całego gmachu caratu, i to w drodze rewolucji typu zachodnio - europejskiego, a nie typu rosyjskiego.

Obie te myśli są ugruntowane na najgłębszej analizie i na one czasy już same przez się były rewolucyjnymi. Obie zarazem opierają się na jaknajściślejszym naukowym badaniu socjologicznych i narodowych podstaw państwowości rosyjskiej. Rzecz tym bardziej ważka, że naród nasz w ciągu wieku walcząc z Rosją nie zdobył się (a niestety, nie wiele lepiej jest i teraz) na najmniejszy bodaj wysiłek poważnego, naukowego rozpoznania Rosji. Społeczeństwo polskie poprzestawało na wyczuciu, na emocjach. Jakiś fatalny kompleks infantylny zaciążył nad stosunkiem naszym do Rosji, nad świadomością czym jest ona w swej istocie. O znawstwie nie myślano nigdy.

Politycy z pokolenia w pokolenie pisząc o Rosji naśladowali owego nieczesnego szefa wywiadu napoleńskiego, generała Michała Sokolnickiego, który by zachęcić cesarza do pochodu na Rosję bynajmniej nie zastanawiał się nad potrzebą ścisłej informacji, lecz wypisywał wzniosłe poematy i romantyczne bzdury. I w tym infantylnie nawet nie spostrzeżono się jak przyjęto cały szereg podstawowych poglądów na Rosję wprost z rąk samych Moskali. Rosjanie są bodaj jedynym narodem na świecie, który nie miał nigdy swobodnego poglądu na dzieje własne. Rosyjską historiografię i historiografię formułowało zawsze i niezmiennie państwo wszechrosyjskie. Jeżeli nawet były w nich przebliski liberalizmu czy rzeczywistego historycznego materializmu, to albo nie miały one czasu na rozwinięcie się, albo ginęły natychmiast pod naciskiem państwa.

Tak przeminał Kluczewskij nie zdążywszy stworzyć nawet szkoły tak sławniejsi zostali marksiści, Roszkow i Pokrowskij. A w konstrukcji państwowej historii rosyjskiej, począwszy od Katarzyny

Wielkiej i Karamzina a na stalinowskim konspiekcje historii ZSRR kończąc, problem powstawania i rozszerzania się państwa rosyjskiego odgrywał i odgrywa rolę naczelną. Problem ten każda rosyjska — carska czy sowiecka — koncepcja uznaje jako zjawisko pozytywne z historycznego punktu widzenia. W koncepcjach tych nie tylko zatuzowano proces podbojów i gwałtów, lecz zatracony został zupełnie nawet pierwiastek federalny. Jeżeli ktokolwiek spośród uczonych na terenie imperium rosyjskiego jak na przykład Urainies Kostomarow, ten pierwiastek wysunął — cała sfera dworskich historiografów linczowała go natychmiast.

Dzisiaj — po doświadczeniach hitlerowskich — wiemy doskonale jak wielką rolę w procesach totalitarnych odgrywa odpowiednio podana historia narodu i państwa. Lecz w ciągu całego wieku 19-go polska myśl historyczna przecoczyła ten fakt, że idea totalizmu dominująca w rosyjskiej historiografii, przyjmowana bezkrytycznie przez Zachód, staje się w rękach caratu straszną bronią w dziele nie tylko legalizowania dawnych zdobyczy lecz ujarzmiania nowych. A w szczególności przecoczono fakt, że szalibiercze przeniesienie początków państwowości rosyjskiej z Moskwy na księstwo Kijowskie, z wieku 14-go na wiek 9-ty, ułożsamianie Moskwy z Ukrainą fałszuje w naukowej opinii świata całą genezę i rozwój Rzeczypospolitej i sprowadza w oczach tego świata Polskę do pojęcia etnograficznego. Niestety nie było to tylko przecoczenie. Nauka, jak każda myśl postępową, wymaga odwagi. Historiografia polska z końca ubiegłego stulecia zrezygnowała z reprezentacji interesów wszystkich narodów Rzeczypospolitej. Ta kapitulacja w nauce uzasadnia późniejsze oportunistyczne a jakże naiwne tezy polityczne o możliwościach dogadywania się z Rosją jednych narodów kosztem drugich.

Ona to zatruła myśl polską fatalnym minimalizmem, który twierdził, że za cenę rezygnacji ze wspólnoty z Litwą i Ukrainą może się ostać Polska etnograficzna w bilateralnym stosunku z Rosją, że można walczyć o wolność własnego narodu, tchórzliwie przemilczając sprawę wyzwolenia innych.

Piłsudski nie podjął walki na ten temat od strony polskiej. Uderzył bezpośrednio w Rosję stawiając bezapelacyjnie tezę: Rosja polityczna jest państwem, które nie ma nic wspólnego z interesem żadnego ze swych ujarzmionych narodów. Siła państwa rosyjskiego jest siłą polityczną a nie społeczną, czy nawet narodową, a więc tym samym jest reakcyjna a nie postępową. Ugodowość w stosunku do państwowości rosyjskiej jest sprzeczna ze sprawą ogólnoludzkiego postępu a jest wzmocnieniem siły reakcyjnej o ogólnoswiatowym znaczeniu. Lecz z tej analizy Piłsudskiego wyraźnie wynikało, że źródła siły politycznej rosyjskiej są zarazem źródłami jej słabości. By zniszczyć Rosję jako siłę reakcyjną trzeba więc bić w to co jest jądrem wiążącym sztuczną całość: trzeba bić w cara.

Jak wielką wagę przywiązywał Piłsudski z punktu widzenia swych celów, do wielonarodowego, federalnego charakteru Rosji, świadczy o tym, że analiza tego tematu wyczerpuje całkowicie treść memoriału złożonego przez Piłsudskiego japońskiemu ministerstwu Spraw Zagranicznych w roku 1904. Memoriał ten zaczyna się od słów: „Rosja tylko na pozór jest państwem jednolitym, w istocie zaś tej jednolitości nie ma” i zdanie to jest jedyną tezą całego referatu. Zważywszy w siłę rewolucji spontanicznej samej Rosji Piłsudski w tym

czasie widział jedyny sposób rozbicia wielonarodowego kolosa, a to w drodze uderzenia z zewnątrz. Wojna japońsko-rosyjska była widziana przez Piłsudskiego tylko od tej strony. Miała ona przynieść rozczłonkowanie imperium rosyjskiego na wolne narody a dopiero w granicach tych narodów każdy z nich wolny od caratu dokonałby ewolucji niszczącej dorobek reakcji państwowości rosyjskiej.

„Precz z carem, precz z uciskiem” — wołał Piłsudski we wrześniu 1894 w związku z zamierzonym przyjazdem Aleksandra III-go do Warszawy, i niczym Kato twierdził, że każda mowa, każdą wypowiedź Polacy kończyć muszą słowami: — „sądźmy, że carat powinien być obalony”. W państwowości rosyjskiej i tylko w państwowości widzi Piłsudski początek i koniec zła. I głęboko a jakże dosadnie charakteryzuje nadrzędną rolę jaką siła polityczna odgrywa w kształtowaniu się życia społeczno - gospodarczego olbrzymiego imperium. „Kozak z nahajem stał się w państwie cara, równie jak motor parowy, niezbędnym warunkiem produkcji fabrycznej” — pisze Piłsudski i formuła ta z punktu widzenia dialektyki marksistowskiej jest idealną syntezą antynomii rozwoju społecznego Rosji”. „Świadomość mas — to zguba caratu, ciemnota i nędza — to jego zbawienie” — oto nowa formuła wymagająca wypracowania konsekwentnego programu walki. I program ten — program PPS — sformułowany jest przez Piłsudskiego z żelazną konsekwencją: krytyka rozporządzeń rządu, ujawnianie wszystkich jego nadużyć i gwałtów, starannie pokrywanych przez cenzurę carską, piętnowanie wszelkich przejawów wyzysku i zepsucia klas posiadających”.

Nie ulegając uproszczeniu materializmu marksistowskiego, Piłsudski z pasją rewolucjonisty widzi w klasach posiadających oparcie oraz narzędzie caratu. We wszystkich klasach posiadających wszystkich ujarzmionych narodów. Równie dobrze w wielkorusyjskiej burżuazji i w narastającym pod egidą państwa w wielkorusyjskim kapitalizmie, jak w klasach posiadających własnego narodu. „Gdyby ode mnie zależało kierownictwo, sprawy rusyfikacyjnej kraju tutejszego, doprawdy użyłbym do tego naszych klas uprzywilejowanych. Jesteśmy Polacy, a więc popędy staniczykowskie są w nas bardzo silne; dość jest na nas kiwnąć palcem a zagrzmi wśród nas okrzyk: przy Tobie Panie stoimy i stać chcemy” — pisze Piłsudski rozgoryczony zachowaniem się ziemian, arystokracji i inteligencji polskiej po krwawej masakrze w Krożach, gdzie włóścianie postanowili bronić klasztoru i kościoła, skazanych przez carat na zagładę.

Zwraca uwagę ta precyzja — tak obca polskim pisarzom i publicystom — z jaką Piłsudski formułuje swe myśli. Mówiąc o Rosji jako o państwie używa zawsze słowa „rząd” lub „carat”, nie identyfikuje państwowości rosyjskiej z narodem wielkorusyjskim. Za politykę rusyfikacyjną czyni odpowiedzialnym carat, i oba artykuły Piłsudskiego poświęcone temu zagadnieniu (z roku 1895 i z roku 1903 — a zwłaszcza ten drugi) to znów swego rodzaju perły dialektyki i analizy historycznej.

Carat i jego działania są obiektami nieustannych a najszczegółowych studiów ze strony Piłsudskiego. Czy to jeżeli chodzi o budżet (w artykule „Budżet Państwa”) czy o analizę atomizacji społeczeństwa przez ustrój carski (w artykule „Nasze Pismo”) czy o politykę ujarzmiania poszczególnego narodu (dziś powiedzielibyśmy

sowietyzacji) i wciągania go do totalnego organizmu państwowego (w artykule „O Finlandii” z roku 1899) czy o zmiany w organizacji armii (w artykule „Reformy armii rosyjskiej” z roku 1910) — zawsze uderza docieklivość w badaniu szczegółów i precyzyjna logika pozbawiona wszelkiej spekulacji i agitacyjno - propagandowej sugestyjności.

A przede wszystkim wspaniała wstęp do „Memoriału księcia Imerytyńskiego” napisany w 1898 roku w związku z ogłaszaniem przez socjalistów polskich w Londynie, tajnymi dokumentami rządu rosyjskiego w sprawach polskich. Jest to dokument historyczny niezmiernie wagi, który dosadniej i ściślej aniżeli wielotomowe rozprawy i studia charakteryzuje niezmienną politykę rusyfikacji (omal nie napisałem socyetyzacji) narodu ujarzmionego przez państwo rosyjskie.

Wspomniałem już, że Piłsudski nie identyfikuje „caratu”, „rządu” czy „państwowości” rosyjskiej z narodem rosyjskim. Nie jest to pod piórem czy w ustach Piłsudskiego tylko chwyt taktyczny. Jest to konsekwentny wywód z drobiazgowej a jedynej w polskiej nauce historycznej analizy rozwoju imperializmu rosyjskiego. Struktura tego imperializmu odbywa się ponad głowami narodów ujarzmionych, ponad głowami narodu wielkorusyjskiego. A stwierdzić trzeba, że do wniosku tego przychodzi Piłsudski na ćwierć wieku przed Kluczewskim, który w historiografii o Rosji postawił tezę, że państwowość rosyjska nie jest funkcją życia społecznego narodów imperium rosyjskiego, lecz jest źródłem i imperatywem tego życia.

Nie trzeba chyba wyjaśniać, jakie znaczenie miało to stwierdzenie Piłsudskiego dla ruchu rewolucyjnego przeciwko reakcji rosyjskiej i jakie znaczenie mogłoby mieć ono dla polityki międzynarodowej, gdyby w ogóle polityka międzynarodowa w dwudziestym wieku kierowała się zasadami wiedzy, precyzji informacyjnej a nie zeszła do nizin emocjonalnej improwizacji i nie ulegała megalomanii swoich leaderów.

Ze stwierdzenia swego Piłsudski wyprowadza m. in. również i taki logiczny wniosek: „obcą nam jest — pisze w 1899 roku — wszelka nienawiść plemienna i narodowościowa. Wojownicy wolności wszystkich krajów i narodów są naszymi braćmi. Umiemy hołd oddać wszelkiej wielkiej myśli, w jakimkolwiek języku się zrodziła, umiemy uczcić wielkiego poetę i myśliciela, jakkolwiek naród go wydał”.

Ale jednocześnie Piłsudski jest nieprzejednany wobec każdego — bez względu na to jaka aureola sławy go otacza — kto tylko schodzi z drogi wolności i swobody, kto tylko wkracza na kręte ścieżki kompromisu i w zaufki reakcji. I pisząc słowa powyższe, Piłsudski z całą namietnością swego talentu publicystycznego atakuje tych wszystkich rodaków, którzy chcą na wezwanie oberpolicmajstrów moskiewskich „uczcić jubileusz Puszkina”. „Puszkina — woła Piłsudski — z walką przeciwko niewoli nie wspólnego nie miał, a nawet niekiedy tę samą niewolę pochwałal. Do niego przede wszystkim dadzą się zastosować słowa naszego wieszczka, skierowane przeciwko tym Rosjanom, którzy rychło zdradzili ideały wczesnej młodości i zaciągnęli się do szeregu wiernych sług carskich:

Może kto z was, urzędem, orderem zhańbiony,
Duszę wolną na wieki sprzedał w łaski cara
I dziś na progach jego wybija pokłony”.

Bezładne są kryteria Piłsudskiego. Polscy czciciele Puszkina, admiratorzy formy dla formy, są dziś czcicielami nowego caratu moskiewskiego, a Puszkina po dawnemu jest obok krzyża prawosławnego wiernym narzędziem reakcyjnego totalizmu.

Stwierdzenie Piłsudskiego o konieczności wyeliminowania w walce z Rosją wszelkiego szowinizmu antyrosyjskiego miało i ma nadal obrzytnie znaczenie. Carat utożsamiał się z narodem rosyjskim. (Mikołaj II w ankiecie spisu ludności w 1897 roku w rubryce „zawód” wpisał: „gospodarz ziemi rosyjskiej”). Przenoszenie przez nie-rosyjskie ludy ujarzmione uzasadnionej i konstruktywnej nienawiści do caratu na naród rosyjski, obarczanie ludu rosyjskiego odpowiedzialnością za czyny państwa - caratu wznaczało państwowość rosyjską i sprawiało, że ta nienawiść czyniła z równie ujarzmionego chłopca, robotnika czy inteligenta rosyjskiego już nie tylko carskiego niewolnika, lecz również posłuszne narzędzie ucisku. Teza Piłsudskiego o konieczności traktowania narodu wielkorosyjskiego na równi z innymi narodami ujarzmionymi jest nie tylko jedyną możliwą tezą taktyczną w dziele zwalczania reakcji państwowości rosyjskiej, jest ona jednocześnie tezą konsekwentnie wynikającą z ducha humanizmu socjalistycznego i marksizmu rewolucyjnego.

Trzeba stwierdzić, że Piłsudski stanął tu ponad poziom poglądu socjalistycznego II-ej Międzynarodówki, która potrafiła dopuścić do — jakże na rękę bolszewickiemu totalizmowi idącej — uchwały z 1922 roku, wyrzekającej się ze strony socjalizmu europejskiego „mieszania się do spraw wewnętrznych sowieckich” i do jeszcze bardziej oportunistycznej uchwały z 1931 r. nakazującej partiom socjalistycznym „bronienia Rosji scwieckiej przed wrogimi wystąpieniami rządów kapitalistycznych i przeciwko wszelkiej kontrrewolucyjnej napaści”.

Socjaliści II-ej Międzynarodówki nie rozpoznali tego, co było jasne dla Piłsudskiego: dyktatura oligarchii partyjnej rewolucji, w której proletariats odgrywa rolę bierną a nie czynną, jest sama w sobie kontrrewolucją, jest reakcją, którą zwalczyć należy wszelkimi możliwymi środkami jako zło najgorsze.

Wolność jest niepodzielna, a o wolność jednostki, narodu czy świata całego może walczyć tylko ten, kto terenu tej walki nie ogranicza żadnymi barierami geograficznymi czy narodowymi, kto pojmuje ją uniwersalnie. Jeżeli po stokroć słuszne jest hasło marksistowskie, że „nie może być wolny naród, który uciska inne narody” to nie mniej słuszne jest, że nie można osiągnąć wolności własnej, gdy o między pańszką się knut i kajdany.

Piłsudskiego znawco w Rosji nie było nigdy celem samym w sobie. Służyło ono względem taktycznym do walki z Rosją jako reakcyjną siłą polityczną uciskającą narody i uniemożliwiająca rozwój i postęp społeczny. Piłsudski całym swym życiem bojownika o wolność ludów stwierdził, że nie pojmuje on ani rewolucji, ani polityki, ani budownictwa pokojowego, ani wojny — bez teorii. Znacstwo więc Rosji było nierozdzielną częścią składową najpierw jego teorii re-

wolucji, później jego teorii wojny wyzwolenczej, a następnie jego polityki międzynarodowej.

Przed wszystkim więc wynikała z niej zasada, że z Rosją jako państwem nie można prowadzić polityki ugodowej i, że naród który tą czy inną drogą zespala się z Rosją wkracza nieodwołalnie na drogę kompletnego stotalizowania i stoczyć się musi na dno reakcji.

Zasada ta — jak wiemy — była diametralnie sprzeczna z tezą Stronnicstwa Narodowego, opartą na zupełnie dowolnie pojętej koncepcji, że państwowość rosyjska ewoluuje w kierunku demokratyczno-liberalnym.

Z tezy Piłsudskiego można wyciągnąć tylko jeden wniosek praktyczny: walka z Rosją możliwa jest tylko albo w drodze rewolucji, tak pojętej i tak dokonanej, że przyniosłaby ona zagładę imperialistycznej państwowości, a wyzwolenie wszystkim narodom ujarzmionym, albo też w drodze takiego uderzenia z zewnątrz, którego ostatecznym celem strategicznym będzie zniszczenie totalistycznego ustroju państwowego i przywrócenie poszczególnym narodom kompletnej wolności, prawa samostanowienia bądź o federacji, bądź o odrębnej suwerenności, czyli uderzenia strategicznego, opartego ze swej strony również o rewolucyjną w stosunku do Rosji koncepcję polityczną.

I życie Piłsudskiego w jego walce o niepodległość poszczególnych krajów Rzeczypospolitej — Polski, Litwy, Białorusi i Ukrainy — wychodzi daleko poza granice tej Rzeczypospolitej. Nie jest to wcale odpowiadająca szowinizmowi niektórych naszych mocarstwowców walka o historyczną Polskę, lecz jest to walka o powszechną wolność ludów, a przede wszystkim o wyzwolenie narodów ujarzmionych przez imperium rosyjskie, rozumiejąc przez to i wolność ludu rosyjskiego. I szukając idei uniwersalnej jako oparcia w tej walce, Piłsudski wchłaniał w siebie całkowicie ideę socjalizmu rewolucyjnego, wnosząc zarazem do teorii tego socjalizmu poważny dorobek, jeżeli chodzi o walkę z państwowością rosyjską, największą polityczną i społeczną reakcją świata.

„Chcąc uczynić z Rosji państwo demokratyczne — pisze Piłsudski w 1906 r. — zapominano, że Rosja nie jest jeszcze państwem demokratycznym, w którym zmiany polityczne zależą od zmian w opinii publicznej”. „Rewolucja zbrojna, przy tym nie à la Moscou, lecz dostatecznie silna dla zgnięcia sił rządowych — oto konieczność dziejowa, jaką mamy przed sobą. Musimy wykorzystać wszelkie siły społeczne w celu organizowania zbrojnego powstania”.

A więc rewolucja społeczna. Nie ugodowość polityczna, nie wojny polityczne interesy pewnych tylko klas mające na celu, nie szukanie oparcia politycznego o dwory czy parlamenty mocarstw zachodnich, które nie chciały — jak nie chcą i teraz — mieszać się do rosyjskich spraw wewnętrznych — oto jest program Piłsudskiego odnośnie Rosji.

I jakże znamienne jest, że właśnie w przeddzień pierwszej wojny światowej, bo wiosną 1912 r., wygłosił Piłsudski w krakowskim stowarzyszeniu akademickim „Promień” dwa odczyty o rewolucji 1905 r., w których atakuje socjalizm w ogóle a socjalistów polskich w szczególności za nie wykorzystanie sytuacji wewnętrznej w Rosji, wytworzonej przez wojnę japońsko-rosyjską i nie doprowadzenie rewolucji społecznej do ostatecznego zwycięstwa. I wniosek Piłsudskie-

go to zarazem ostrzeżenie i nauka na przyszłość: **należy myśleć z-wczasu o technice rewolucji, o sprawności organizacji rewolucyjnej.** Czynniki moralny — tzw. rewolucja spontaniczna, sama przez się nie wystarcza. (Piłsudski miał znów rację: w Rosji zwyciężył pierwiastek techniczny rewolucji niestety wbrew idei pierwiastka moralnego).

Tak myśląc o Rosji, takie mając doświadczenia z praktyki rewolucyjnej własnej, własnego stronnictwa i rewolucjonistów rosyjskich, Piłsudski nie mógł oczywiście chcieć innej wojny z Rosją, jak wojny, która by miała na celu rozbięcie caratu, rewolucję w skali wszechrosyjskiego imperium. Podkreśla to wyraźnie w wymienionym już wyżej memoriale do rządu japońskiego. I tak właśnie a nie inaczej traktuje wojnę mocarstw centralnych z Rosją w 1914 — 1917 r. **W Austrii i w Niemczech widzi on nie oparcie dla przyszłej Polski, lecz narzędzie rozbięcia caratu.** Stanowisko jego, więc i w tym wypadku jest konsekwentnie rewolucyjne.

Stanowisko to jest zbliżone z tym, jakie zajęła socjaldemokracja rosyjska z Leninem na czele. W tym punkcie historycznym drogi dwu rewolucjonistów — polskiego i rosyjskiego — zbiegły się ze sobą. Niebawem miały zbiec się ze sobą poraz drugi.

W październiku 1917 r. bolszewicy zagarniają władzę. Dziś wiemy, już, że był to zarazem początek hamowania, ujarzmiania rewolucji, a wraz z nią ujarzmiania z powrotem imperium rosyjskiego i wszystkich jego narodów. Ale wówczas sytuacja nie była jasna. Partia bolszewicka nie była jeszcze scentralizowana. Genialny uzurpator — Stalin — nie miał jeszcze władzy dyktatorskiej.

W samej partii działały potężne siły odśrodkowe. Na peryferiach organizowały się odrębne, „narodowe” partie komunistyczne. Władzę z bolszewikami dzielili również mieńszewicy. Można było mieć nadzieję, że rewolucja nie wejdzie na drogę bezkompromisowego totalizmu, że rewolucja a wraz z nią i zasady demokracji w Rosji zostaną uratowane.

W tym czasie, mimo nieustannych prowokacji ze strony bolszewickiej, Piłsudski wypowiada się bezapelacyjnie po stronie rewolucji. Chodzi o to, że rewolucji tej zagrażał silny podówczas front południowy, a Denikin to była skrajna reakcja rosyjska, to był program rekonstrukcji całego carskiego aparatu biurokratyczno - politycznego. Piłsudski ocala rewolucję. Tragedią — kto wie czy nie jedną z największych w jego życiu — było to, że czynu tego musiał dokonać w konspiracji przed własnym społeczeństwem, w masie swej najwinnie sądzącym, że oderwanie polityczne ziem polskich od Rosji ułatwia sprawę wolności i niepodległości Polski.

W nocy swojej do Lenina, którą kapitan Boerner, doręczył w listopadzie 1919 r. pełnomocnikowi rządu sowieckiego, Marchlewskiemu, Piłsudski stwierdzał: „Polska nie jest żandarmem Europy i nie chce nim być”.

Lecz rozbięcie kontrrewolucji rosyjskiej było tylko dla bolszewików etapem w ich polityce centralizacji władzy i totalizacji państwa. Piłsudski szybko orientuje się, że wczorajsi jeszcze obrońcy zasad samostanowienia wyłącznie propagandowo i utylitarnie pojmują hasła federacji. Już w marcu 1920 r. Piłsudski ma wszelkie podstawy do stwierdzenia: „bez względu na to jaki będzie ich rząd Rosja jest zaciekle imperialistyczna. Jest to nawet zasadniczy rys jej charakte-

ru politycznego... Atak na Polskę zależny jest w pierwszym rzędzie od kwestii ukraińskiej. Jeżeli sprawa Ukrainy załatwiona będzie na ich korzyść, wówczas pójdą na Polskę...”

Trzeba było wielu lat studiów i analizy naukowej, lat więzień i katerek, tułaczki i rozczerowań by stwierdzić bezapelacyjnie, że nie ma wolności dla żadnego narodu sąsiadującego z Rosją, a na dłuższy dystans nie ma wolności dla żadnego narodu na świecie, dopóki totalizm rosyjski jest w stanie odradzać się i wzmacniać. I to czego nie dokonały siły demokratyczne świata, czego nie chciał dokonać socjalistyczny, rewolucyjny ruch Europy, bierze na swe barki i obciąża nim cały swój naród Piłsudski, rzucając ledwo opierzone państwo do nierównej walki. Niestety i tutaj spotyka go również tragicznie zawód.

Uderzenie Piłsudskiego na Rosję było znów doskonałą konsekwencją jego rewolucyjnego światopoglądu i jego znawstwa Rosji jako siły reakcyjnej. Uderzenie to miało zupełnie odrębne, rzecz można — całkowicie sprzeczne cele strategiczne z tymi celami interwencji europejskiej, które stawiała sobie w tym czasie państwa Ententy. **Była to wojna o wolność ludów, była to wojna rewolucyjna, wojna sprawiedliwa.**

Nie zdobyliśmy się dotychczas na poważne oświetlenia krytyczne politycznej strony wojny polsko - sowieckiej 1919 — 1920 r. Znakoμίta praca gen. Tadeusza Kutrzeby („Wyprawa Kijowska”) jest zaledwie skromnym przyczynkiem. Rzecz wymaga wielkiej pracy, chociażby dlatego, że bolszewicy do chwili obecnej nie przestają traktować tych dwu lat wojny z Polską jako kluczowego zagadnienia swych stosunków z Europą w pierwszych latach porewolucyjnych.

Dorobek teoretyczny Piłsudskiego odnośnie Rosji jest olbrzymi. Niestety, większa część tego dorobku jest na zawsze stracona. Zagięło moc aktów, dokumentów i opracowań z pracowitymi poprawkami Marszałka. W szczególności przepadły nakazane przez niego w 1933 — 34 r. indywidualne opracowania o potencjale i polityce Związku Sowieckiego. Stosunek Piłsudskiego do poszczególnych opinii, wyrażony w licznych poprawkach, podkreśleniach, nieraz bardzo niecierpliwych i ostrych uwagach — to była cała kopalnia materiału nie tylko historycznego, ale jak najbardziej żywego, aktualnego. Nie ma Rosji dzisiejszej bez wczorajszej. Ci politycy czy badacze, którzy zaczynają analizę Rosji od chwili obecnej niewiele rozumieją sami a ileż błędów narobia.

Na jednym z takich przedstawionych sobie referatów Piłsudski napisał: „Rosja nie jest nigdy taka silna, ani też taka słaba, jak się wydaje”. Jest to najtrafniejsza synteza jaką ktokolwiek o Rosji wypowiedział. Źródło słabości Rosji leży u podstaw jej siły. Tę prawdę przeoczył Karol XII, przeoczył Napoleon, nie był w stanie zrozumieć jej Hitler. Niestety przeoczyły ją również ruchy niepodległościowe narodów przez Rosję ujarzmionych.

Z dorobku teoretycznego Piłsudskiego i z analizy działania i polityki całego jego życia w stosunku do Rosji wynikają wyraźnie dwa wnioski:

— Polityk, stojący dziś na gruncie nie kapitulacji a bezkompromisowej walki z Rosją Sowiecką musi oprzeć swe działania na rewolucyjnym w stosunku do państwowości rosyjskiej programie;

— jakkolwiek interwencja, bądź dyplomatyczna, bądź zbrojna w stosunku do Rosji, nie poparta odwołaniem się do wewnętrznych sił rewolucyjnych państwa rosyjskiego grozi katastrofą.

A dla nas, Polaków, wniosek dodatkowy: z dorobku całego życia Piłsudskiego aktualne jest dla nas przede wszystkim to, co zostało przez niego w dziedzinie myśli i czynu stworzone w okresie, gdy nie był on jeszcze skrępowany konkretami realnego państwa, gdy czuł się rewolucjonistą wychodzącym z zasady, że wolność jest niepodzielna.

RYSZARD WRAGA

Wstęp do psychologii sztuki

W obliczu ogromnego inwentarza przeszłości mamy to co nazywamy sztuką współczesną. Czy tego chcemy czy nie, ona to przyjmuje ten inwentarz, porządkuje go i przemienia. Jest panią jego zmartwychwstania i spadek zyska swoją formę poprzez nią jedynie, kimby nie był spadkobierca. Sztuka współczesna nie jest tą sztuką, którą byśmy mogli łatwo zdefiniować. Aby sądzić o zewnętrznym kształcie akwarium lepiej nie być rybą. Jeszcze ostatnie jej wcielenie i może pierwsze jesteśmy w stanie określić.

Ostatnie to Picasso. Kiedy mając lat 60, ten współczesny artysta, ciężący na nas aż do obsesji, to panujący nad swoimi zjawami czarownik, to znów opętany przez nie, którego połowa dzieł zdaje się być rysowana na murze więziennego lochu — odpowiada ironicznie na pytanie: „Jacy są dziś młodzi malarze? — Ja!” — nikt nie myśli nawet wzruszać ramionami. Otóż od kilku lat Picasso nie tytułuje swoich płócien, ale stawia daty. „Odtąd pisarze będą pisali swoje dzieła zbiorowe” — mówił Goethe. Picasso maluje swoje dzieła zbiorowe. Nie **dochodzi** do swoich obrazów ale do albumu Zervos'a, gdzie zdyszane następstwo jego dzieł jest bardziej znaczące od najlepszego spośród nich.

Zróżdła sztuki współczesnej są mniej wyraźne. Błędne jest pojęcie, że linia podziału, która istnieje pomiędzy pisarzami romantycznymi i klasycznymi ma swój odpowiednik w malarstwie. Pierwsi przeciwstawiają się literackiej estetyce klasycznej mniej lub więcej przyjętej w Europie XVII w. i dziełom, które ją wyrażają; ale jeżeli malarze przeciwstawiają się również estetyce XVII w., nie przeciwstawiają się znakomitym dziełom wykonanym w okresie jej panowania (które są jednak znacznie mniej podległe tej estetyce aniżeli tragedia): są **ich przedłużeniem**; Racine „odpowiada” Poussinowi, ale kto odpowiada takim malarzom jak Velasquez, Rembrandt, Hals, wszyscy zmarli (jak również Poussin) pomiędzy 1660 a 1669? Francja, wówczas królowa literatury, nie panowała w malarstwie. Sztuka współczesna literaturze klasycznej nie jest malarstwem klasycznym, ale wielkim malarstwem olejnym Europy, które jest dalszym ciągiem rzymskiego i weneckiego XVI w. w tym co w nim było najistotniejszego: Gericault, Constable,

Delacroix, którzy należą do muzeów, podobnie jak ich wielcy poprzednicy. W malarstwie romantyzm, który się znacznie mniej przeciwstawia szerokiemu klasycyzmowi niż ciasnemu neoklasycyzmowi, nie jest stylem: jest szkoła. Aby mogło nastąpić to rozdzielenie w tradycji malarzkiej, rozdarcie, które się dokonało w tradycji literackiej dzięki wielkim poetom w początkach wieku, musimy czekać na Manet'a.

I to jeszcze nie jest Manet **Loli**; zaledwie Manet **Olimpii** i Manet **Portretu Clemenceau** i **Małych Toreadorów**; przechodzi od pierwszych do drugich tak jak malarstwo przechodzi z muzeum do sztuki współczesnej.

I tak wiedzie nas Manet ku temu co z przeszłości tradycyjnej zdaje się nam powołane, przez nowe muzeum; połoźni tej nowej sztuki będą jej mistrzami. Naprzód oczywiście Goya: ten z **Egzekucyj 3-go Maja**, z **Triumfu Sardynki**. Poza malarstwem Goyi — mamy ostatnie dzieła Franza Halsa (reçe **Regentek** to chyba pierwszy akcent współczesny w malarstwie); za rysunkiem Goyi mamy szkice, gdzie starość Tycjana zrywa pierwszy raz z linią ciągłą Florencji i Rzymu; wreszcie Rembrandt. Na marginesie tej linii rozwojowej mamy mniej zdecydowane fragmenty Tintoretta, Grunewalda, Vermeera, Chardina, Magnasca. Potem Gericaulta, Delacroix, Constable'a, Turnera, Courbeta, — i Daumiera *).

Ale mamy raczej na myśli pewne akcenty tych malarzy, aniżeli całość ich dzieła. Bo prawie wszyscy opowiadają. Pierwszą zaś cechą sztuki współczesnej jest, że nie opowiada.

Aby sztuka współczesna się urodziła, trzeba było, by się sztuka fikcji skończyła. Nie bez konwulsyj. Malarstwo historyczne w XVIII w. kona mimo szacunku, którym jest otoczone. Ani marzenia, ani balety Watteau nie wstrzymują przesuwania się malarstwa ku scenom rodzajowym i martwym naturom, ku Chardinowi, ku nagościom Fragonnard'a (a **Szyld Gersaint** to obraz rodzajowy). Jeden wstrząs z Dawidem, z Gros; wreszcie Delacroix osiąga wielki styl. Potem — koniec. To wszystko. Goya z **Egzekucjami**, Delacroix z **Barykadami**, Manet ze swoim **Maksymilianem** usiłują zaktualizować historię, ale Manet nie wybrnie z **Maksymiliana**. Courbet chce przedstawić coś innego niż jego poprzednicy, bo nie chce opowiadać, ale przedstawiać — i dzięki temu w naszym pojęciu Courbet należy do dawnego muzeum. Wbrew swemu talentowi Courbet, zastępując **Pogrzebem w Ornans** albo **Pracownią** tematy Delacroix, walczył przeciwko muzeum pozornie tym samym sposobem jak Burne Jones malując tematy Botticellowskie. Temat musi zginąć, bo nowy się pojawił i wyprze wszystkie inne: władza obecność samego malarza.

Aby Manet mógł namalować obraz Clemenceau, musiał się odważyć na to, by w obrazie tym być wszystkim, zaś Clemenceau niczym.

*) Daumier jest równie znamienny jak Manet; ale jego wpływ był opóźniony, jako że większość jego płócien pozostawała długi czas omal że zatajona.

Z czego się składało wewnętrzne muzeum (muzeum duszy) ludzi epoki, która poprzedziła Maneta? Malarstwo włoskie od Rafaela, wielcy Flamandzi, wielcy Holendrzy, wielcy Hiszpanie od Ribery; Francuzi od XVII w.; Anglicy od XVIII w.; Duerer i Holbein nieco na boku; wreszcie starożytność, bardziej rzymska niż grecka.

W pierwszym rzędzie było to muzeum **malarstwa olejnego**. Malarstwa, dla którego zdobycie trzeciego wymiaru było istotne i dla którego zgoda pomiędzy świadectwem naszych zmysłów i oddaniem plastycznym była sama przez się zrozumiała. Zgoda, która chce wyrazić nie tylko formę przedmiotów, ale jeszcze ich materię i ich masę (obojętne dla wszystkich sztuk nie zachodnich), to znaczy chęć przemówienia jednocześnie do wzroku i do dotyku. Ta zgoda chce nie sugerować przestrzeni jako czegoś nieograniczonego, na wzór pewnych malarzy chińskich, ale ją zamknąć w ramę, gdzie przedmioty są od niej rozłączone, jak ryby od wody, stąd jej poszukiwania światła i oświetlenia: w całym świecie i odkał ludzie malują jedną tylko Europą rzuca cienie... Porozumienie, które implikuje wreszcie nie tylko zgodę tego co widzimy i dotykamy, ale nawet zgodę z tym co wiemy: nasi prymitywni malowali drzewo w oddali liść po liściu, nie dlatego, że wierzyli, że go tak widzą, ale bo wiedzieli, że jest takie. Stąd **szczegół połączony z głębią**, który nie istnieje w żadnej innej sztuce oprócz naszej.

Malarstwo zachodnie, w swej pogoni za owym porozumieniem, które zdawało się słabnąć ilekroć było osiągnięte, poczyniło szereg odkryć: fresk Giotta był bardziej „podobny” od fresku Cavalliniego, obraz Botticellogo — bardziej od obrazu Giotta, zaś Rafaela — bardziej aniżeli Botticellogo. XVII-ty wiek, tak w Niderlandach jak we Włoszech, we Francji jak w Hiszpanii, włożył cały swój geniusz w poszukiwanie **jednoczesnego** oddania przestrzeni i tego co się w tej przestrzeni znajduje, poszukiwanie, którego symptomem i potężnym środkiem było u powszechnienie olejnego malarstwa. Poszukiwanie środków wyrażenia ruchu, światła, materii; zrobiono po prostu odkrycie skrótów, jak również światłocienia, albo też umiejętności oddania w malarstwie aksamitu; a te odkrycia stały się też natychmiast wspólnym dobrem, podobnie jak na naszych oczach travelling i szybki montaż w technice kina. Za każdym razem, kiedy malarstwo było fikcją (tak jak teatr, do którego coraz bardziej się zbliżało), było ono również przedstawieniem. Stąd wyobrażenie, że zgoda sztuki ze świadectwem naszych zmysłów była uprzywilejowanym środkiem ekspresji i jakości, tak jak to już miało miejsce w tym co uznawano za sztukę antyczną. Stąd jednomyślnie przyjęte podporządkowanie pisma plastycznego robić Poussinów i Claudów Gelée, ale „sztukę wspaniałą” to co w ich oczach potwierdzało styl ich płócien, co je łączyło pomiędzy sobą (reszta będąc podporządkowaną), to był stopień osiągnięcia. Piorunujące pismo akwafort Rembrandta było dlań środkiem przedarcia się w dziedzinę sakralną. Velasquez, największy chyba z kolorystów, jest tym, którego pismo jest najmniej podkreślone. Wszyscy oni chcieli osiągnąć

styl (jakieby nie było ich pojęcie stylu), nie zaś mieć styl: Racine i Saint Simon, nawet Shakespeare, byli nastawieni na pisanie jak najbardziej skutecznie, a nie w jakiś szczególny sposób.

Ale XIX w. poczyna jednocześnie odkrywać sztukę gotycką, z której romantyzm zauważył jedynie jej dramatyczność i malowniczość, odkrywa Egipt, Eufrat i freski poprzedzające Rafaela.

Odkrywa sztukę tokańską i jak zawsze „pod prad”, idąc od XV-go do XIV-go wieku (Botticelli w 1850 jest prymitywem). Zdaje mu się odkrywać motywy i rysunek — z czego wyniknie prerafaelizm: to zaś co odkrywa — to malarstwo dwuwymiarowe.

Oczywiście znano Flamandów Sredniowiecza. Ale podziwiając ich koloryt, ubolewano nad tym, że rysunek nie równał się barwie. Złazcza późniejsi Flamandowie nie dorównywali rzeźbie, która się objawiała wtedy stopniowo, aż do sztuki romańskiej. Owa sztuka należała do muzeum bardziej niż mu się sprzeciwiała. Hieratyzm królewskiego portyku katedry w Chartres zbliżał się do dwuwymiarowego malarstwa, od którego głębia i koloryt Van Eycka i Memlinga ich oddalały.

Zdawało się zrazu, że wzniosłe współzawodnictwo, które przeciwstawiło Holendra Rembrandta i Hiszpana Velazqueza, było przeniesione z geografii do historii. Ale to co ich różniło nie było mniejsze od tego, co ich obu dzieliło od egipskiego lub romańskiego posagu, od Giotta może, a niezawodnie od Bizancjum. Wchodziło w grę samo pojęcie stylu.

To nowe pojęcie stylu to sztuka bizantyńska, która przez swój skrajny charakter oddałaby je nam najlepiej (gotyk, a zwłaszcza styl romański przyjmowano zrazu jako bizantyzm dramatyczny). To nie jest oddanie wizji, ale wyraz wartości. Malarz bizantyński nie widzi w stylu bizantyńskim, ale tłumaczy na styl bizantyński. Dla niego być artystą polega właśnie na zdolności tłumaczenia w ten sposób osoby i przedmioty. Wprowadza przedmioty do świata sakralnego: jego środki, środki ceremoniału i środki rytu zbiegają się.

Ten sposób malowania po bizantyńsku, jak się mówi po łacinie, miał ze sztuką muzeów jedną wspólność: jeżeli sztuka bizantyńska jest środkiem wstępu w dziedzinę sakralną, nasza sztuka była nią także. Ta dziedzina dla sztuki zachodniej była tym co się kryło pod niezbyt określonym słowem piękno: to czego szukali wspólnie Rafael i Rembrandt, Pierro delle Francesca i Velazquez, i co byliby nazwali docieraniem do Boga. Poussin ozdabia swoje postacie, Rembrandt je oświetla, aby je wyłączyć z ludzkiej popolitości, tak jak mozaista z Monreale stylizuje swoje, aby je wprowadzić w swój magiczny świat.

Ale jaka sztuka odradza się bez metamorfozy? Nawet dla nas sztuka bizantyńska jest zrazu systemem form. Sztuka romańska, quattroceto nie odpowiadały wezwaniu religijnemu lub uczuciowemu, na które sztuka gotycka odpowiedziała u progu XIX-go wieku, — odpowiadały one wezwaniu sztuki. Jeśli sztuka romańska była pochwałą Boga w Jego stworzeniach, to odradzała się bez Boga. XIX w. zmuszał ją do tego, by się stała dziełem sztuki, tak jak muzeum zmusza krucyfiks

do stania się rzeźbą. Romantyczne przeciwstawienie zdobywało należytą głębię. Przyjęto, że obraz był pod pewnym względem piękny, o ile to co przedstawiał było w rzeczywistości piękne; teoria, do której się przykładał Claude Gellée, dotyczyła również, bardziej subtelnie, Rembrandta. Ale co przedstawiał posąg-kolumna, który by się „stał rzezczywisty”. A nawet głowa romańska?

Malarstwo i rzeźba od 5-ciu wieków były połączone. Te nowe rzeźby ukazywały się odłączone od całego malarstwa i całej rzeźby muzeów. Sugerowały one malarstwo wyobrażeniowe. Zwolna, Wielkie doświadczenia Sredniowiecza odrywały się nie bez trudu od XV w., od jego malowniczości i dekoracji. Gdyby wielcy malarze romantycy: Gericault, Constable i Delacroix, nie byli nigdy widzieli katedry, mało która linia ich obrazów byłaby odmieniona.

Wobec potężnego zwarteo bloku figur z Autun, rzeźba tradycyjna zaczynała nam się wydawać jednocześnie teatralna i pełna dziur. Akcent stylu romańskiego i stylów starożytnego Wschodu ujawniały się brutalnie, ponieważ nie przeciwstawiały się temu lub owemu artyście, ale jednoczyły całe muzeum niezależnie od szkół; mieszały twarze realistyczne i twarze idealne, Courbeta i Rafaela, Velazqueza i Rembrandta w jednym rozległym stylu, któremu się przeciwstawiał świat znaku, — znaku dramatycznego dla Zachodu.

Dziedzina, która nawet nie miała swojej nazwy. Sztuki były naśladowcze albo dekoracyjne. (A wieleż to stylów było zrazu branych za sztukę dekoracyjną, nim się stały po prostu sztuką). Czy istniały więc potężne formy wyrazu człowieka, które nie zawdzięczały nic naśladowictwu? Pomiędzy tymi formami wyrazu, ornamentem i hieroglifem było jeszcze coś, wobec Park Lorda Elgina, wobec wszystkich posagów greckich, których pojawienie się niszczyło jednocześnie mit grecki i ich rzymskie kopie, odkrywano, że Fidiasz nie był podobny do Canovy: a już sztuka prekolumbijska zaczynała się ujawniać... Ten styl romański, który rozciągał i skręcał postacie w uroczystej transfiguracji, wołał, że styl jest tym co poprzez pewien ład kształtów zorganizowanych, który nie jest naśladownictwem, może istnieć w obliczu rzeczy, jak nowe Stworzenie.

Niewątpliwie i barok deformował postacie; ale barok flamboyant należał do świata, który był cały na służbie uczucia, a uczucie na pewno nie było dla artysty środkiem wyzwolenia z tyranii zmysłów (z wyjątkiem Greca, który był wtedy odczuwany przez tych, którzy go znali, o wiele bardziej jako gotyk niż jako barok). Sztuka romańska, naśladowana dramatyzmem, jest obcą teatrowi: teatrowi wyobrażeń Piety z XV-go w., tak drogi romantykowi, jak również teatrowi włoskiego baroku. Sztuka romańska wskazywała, że przedstawienie czło-

*) Pieta Villeneuve (obraz ten wszedł do Louvre'u dopiero w 1906 r.) byłaby bardziej spokrewniona z rzeźbą gotycką, aniżeli z prymitywami flamandzkimi.

wieka, który przeżywa uczucie, nie jest wcale najpotężniejszym wyrazem uczucia, że wcale nie jest konieczne dla wyrażenia rozpaczy przedstawiać ludzi, którzy płaczą: że styl jest wyrazem ekspresji sam w sobie. Dobrze wiadano, ile ze swej surowości i architektoniczności zawdzięcza samej architekturze; odczuwano to jednak coraz mniej w miarę jak dzieła sztuki romańskiej zaczęły się rozpowszechniać i jak zaczęto wyłączać fragmenty z całokształtu rzeźbiarskiego. Artyści zresztą nie targują się o źródła płodnych form. Styl romański bynajmniej nie wyrażał chrześcijaństwa psychologicznego i sentymentalnego XIX-go w. Artyści zaś amatorzy nie znali chrześcijaństwa XII w. Sztuka romańska, wyzwolona ze swej architektury, oddzielona od Boga, wykazywała, że dzieło sztuki może być genialne nie tylko przez harmonijną grę form, ale także w tej specyficznej tajemnej harmonii związanej z samym stylem, który łączył świętych i potępionych na swych tymparach w jedyne i potężne pismo, forma była tutaj wyłącznie służebnicą tej harmonii; — i że ostatecznie sztuka jest w stanie podporządkować formy życia artyście, zamiast podporządkowywać artystę formom życia.

Sztuka grecka w muzeach zaczynała się od Fidiasza (prawie cała sztuka grecko-rzymska), zaś archaiczni Doryjczycy byli z niej równie stanowczo wykluczeni jak fetysze. Wspólnym charakterem całej rzeźby tradycyjnej wówczas było wykańczanie, a cechą wspólną wszystkich sztuk, których dyskretnie zmartwychwstanie rozpoczynało się, było właśnie nieprzyjęcie czy nieobecność tej cechy wykończenia. Stąd odkrycie Beaudelaire'a, które przypomina w związku z Corotem, że „skończone dzieło sztuki nie jest konieczne wykończone, a dzieło wykończone nie jest konieczne dziełem skończonym”. Sztuka egipska, sztuka asyryjska, jak również romańska opierały się formie wykończonej, zwłaszcza sztuka egipska, — ten opór nie tłumaczył się nieumiejętnością ani niedokonańmi. Że sztuka egipska jest dziełem sztuki, to było jasne. I wskutek tego, że styl jest środkiem wyrazu artystycznego w tym samym stopniu co jego zgranie z naszymi doznaniem zmysłowymi, to zgranie, dla którego wykończenie było tylko środkiem ekspresji,

Problemy rzeźby przekładała zachłanność artystów na problemy rysunku. (Chodziło tu jedynie o formę, ponieważ dla widza XIX-go wieku sztuka egipska była jeszcze bardziej odłączona od swych bogów, niż sztuka romańska od swoich). Odkrywanie sztuki monumentalnej nie jest złą szkołą, by odkryć Giotta; ale wielki wpływ upraszczający nowoodkrytych stylów nie miał swojego wyrazu malarskiego. I to co w dziedzinie malarstwa dawało wrażenie podobnej siły — prawie że poufnej — to był szkic.

Szkic jest w zasadzie pewnym stadium dzieła, któremu brakuje akcenty albo szczegóły ostateczne. Wielu malarzy (tak różnych jak Horace Vernet albo celnik Rousseau) nie szkicowało wcale; malują oni swe płótna kawałek po kawałku. Przeważnie szkic jest jedynie ustawianiem, rozmieszczaniem, ale istnieje odrębny typ szkicu: malarz, nie licząc się z widzem, bez

względem na to czy obraz jest zgodny z doznaniem naszych zmysłów, ogranicza przedstawienie rzeczywistości lub wyobrażenia jedynie do tego co jest malarstwem: plama, barwa, ruch.

Pomiędzy szkicem roboczym a „ekspresją — skrótem” zachodzi to samo nieporozumienie co pomiędzy szkicem japońskim a wielką sztuką syntetyczną łavis Dalekiego Wschodu; jak między prawdziwym szkicem Degasa i Lautreca — a rysunkiem ich litografii, pozornie najbardziej improwizowanym. Prawdziwy szkic jest notatką; szkic ekspresyjny — celem. A ponieważ jest celem, zachodzi także różnica natury pomiędzy nim a obrazem wykończonym. Wykańczanie pewnych szkiców dla Delacroix i Constable'a nie było bynajmniej kończeniem, ale tłumaczeniem: dodawaniem szczegółów, by go powiązać z głębią, sprawić, by kolumny były bardziej kolumnami (dla Delacroix), by wózki były bardziej wózkami (dla Constable'a), by obraz był zarówno przedstawieniem jak malarstwem, by stał się przekonującą fikcją. Żeby się godził ze świadectwem naszych zmysłów, przez to wykończenie przeznaczone dla widza, a które szkic odrzucił jako przeżytek, tak samo jak to zrobili zmartwychwstające rzeźby.

Malarze wiedzieli o tym dobrze — wiedzieli coraz lepiej. Zachowane szkice największych mistrzów — na przykład Rubensa — nie dają nam wrażenia dzieł niewykończonych, ale właśnie pełni ekspresji plastycznej; podporządkowanie jej bardziej czytelnemu przedstawieniu osłabiłoby ją, a może zniszczyłoby. Szkic **Mirabeau** przez Delacroix na pewno nie jest „fazą” skończonego obrazu, ten ostatni wydaje się przedziej parodią tego szkicu. Delacroix zachował niewypadkowo pewną ilość swoich szkiców, jakoś tych **dzieł** jest równa najpiękniejszym jego obrazom. I tym bardziej nie jest wypadkiem, jeżeli Constable, pierwszy pejzażysta współczesny, wykonał pewne swe najważniejsze płótna w „stylu szkicowym”, robiąc z nich potem „wykończone” repliki, które wystawił, zachowując prawie że tajemnie te cudowne szkice, o których pisał, że one są jego prawdziwymi obrazami.

Granica pomiędzy szkicem a obrazem zatarła się. Było wiele arcydzieł, jak na przykład portret Heleny Fourment i jej dzieci jak u wielu Wenecjan, ostatnie Halsy, Anglicy, gdzie cała partie były w stylu szkicowym: czy **Philopoemen** *) jest szkicem czy obrazem? A ten lub inny Rembrandt? Albo **Pont de Nary** lub **Marietta** Corota, o wiele bliższe w czasie? Corot po niezrównanym **Pont de Nary** z 1825 r. zrobił drugi „wykończony”. To samo zrobił Constable z **Wozem siana**. Wystarczy zestawić oba te dzieła, by stwierdzić, że nie chodziło tu o skończenie, ale o tłumaczenie — i o regresję. Corot zresztą (jak również i Constable) zachował w swojej pracowni, nie wystawiając ich nigdy, swoje młodzieńcze obrazy, do których w końcu życia miał nawiązać jego najczystszy styl. Dla Constable'a, Gericaulta, Delacroix, Corota, Daumiera, Courbetera, styl szkicu

*) „Powrót Philopoemena” Rubensa — Louvre (przyp. tłum.).

był formą wolności, wolności coraz bardziej niecierplivej, ale nie pozbawionej złego sumienia.

A przecież, jeżeli zgoda ze świadectwem naszych zmysłów nie miała być wyłącznym środkiem malarstwa, wyrazu, każde dwuwymiarowe malarstwo zyskiwało swój sens właściwy. Nie przeczuwano wtedy, że malarstwo całej kuli ziemskiej dotarło do naszej wiadomości: Egipt, Grecja, Rzym, Persja, Indie, Chiny, Japonia — malarstwo dwuwymiarowe jest malarstwem globu za wyjątkiem kilku wieków Zachodu.

Jeżeli tradycja muzealna — najwyższa — pozostawała więcej niż królewskim momentem historii sztuki to chociaż nie była już przynajmniej całą historią sztuki. Akwarium stało się rybą. Odcięta od terytoriów, które zaczynały się wkoło niej rozprzestrzeniać, sięgając aż w nieznanne, tradycja muzealna stawała się zamkniętą całością.

Nie teorie, nawet nie wizje mistrzów połączyły ich obrazy w muzeach, ale właściwy świat malarstwa olejnego; nie, jak sądzono, technika, pewne następstwo środków wyobrażenia, ale mowa, niezależna od rzeczy przedstawianych, szczególna, jak mowa muzyki. Każdy wielki malarz muzealny był oczywiście świadomy tej mowy barw, ale wszyscy ją byli **podporządkowali**. Pojmować malarstwo wyłącznie jako malarstwo, to było chcieć odmienić samą funkcję malarstwa. To czego sztuka szukała, a co Manet znalazł, to nie było przekształcenie tradycji, podobne do tego co wnieśli wcześniejsi mistrzowie, ale zerwanie, podobne do tego, które wnosili zmartwychwstałe style. Inny styl, nie zaś inna szkoła, — co nie byłoby nawet do pomyślenia wówczas, kiedy pojęcie innego stylu nie istniało. Jednocześnie talent malarzy przestał być również środkiem, wyrażającym fikcję.

Talent, nie zaś malarstwo. Już dobrze po końcu wieku salony oficjalne będą przeładowane wielkimi tematami i scenami anegdotycznymi; malarstwo będzie nadal przedstawiało, ale będą to jeszcze malarze bez znaczenia. Ta sama wielka przygoda odmienia poezję i tym samym sposobem: z Beaude-
lairem poezja przestaje opowiadać, ale oficjalna poezja będzie się jeszcze przez całe lata tarzać w dramatach i opowiadaniach. Jest pewien punkt zbieżny pomiędzy Zolą a Mallarmé, tak samo jak między Courbetem i Manetem: naturalizm, symbolizm, malarstwo współczesne wedle różnych a często przeciwstawnych namietności, wykańczają zawzięcie rozległy świat fikcji, której ostatnim wyrazem była romantyczność historyczna.

Alte żądać od malarstwa i od poezji prymatu ich specyficznych środków ekspresji, to jest żądać, aby poezja była bardziej poezją, a malarstwo — bardziej malarstwem, czyli mniej poezją. Malarstwo wyrzekło się nie tylko tematów, ale świata, dla którego imaginacja była ulubionym, ale nie jedynym środkiem ekspresji: świata, który jest poza radością oka (jak niektóre pasaży Vittorii, Bacha lub Beethovena są poza radością ucha) i gdzie się łączyło Chartre, Michał Anioł, Rembrandt i wielu innych... Sztuki plastyczne były od kilku wieków właści-

wymi środkami osiągnięcia pewnego piękna gdzie się spotykały z innymi sztukami; były one poezją, w której formy odgrywały rolę słów. Był Chard'n, ale istnieje również poezja codziennosci („familière”). Wszelkie malarstwo, jakby się nie ogłaszało rewolucyjnym, pozostało równoległe sztuce literackiej: nawet Goya, by bronić swoje **Egzekucje**, mógłby się być powołać na Juvenala. Malarstwo czuło odtań, że nie ma nie wspólnego z tym co się nazywało wzniosłe lub transcendentne. Człowiek mógł zaznać nadmiernego obdarzenia bez udziału duszy. Sztuka i piękno brały ze sobą o ilez głębszy rozbrat, aniżeli przy konaniu italianizmu.

Czym się stawało malarstwo, które nie naśladowało, nie zmyślało i nie przemieniało? Malarstwem. Tym stawało się też muzeum, kiedy nad miarę przepełnione było jedynie dławiącą hipotezą.

Nowi malarze chcieli robić malarstwo, które by panowało nad przedmiotem, a nie było mu poddane; napotkali już tego rodzaju opanowanie przedmiotu (niepremedytowane ani zastosowane do dzieła w całości, ale wypadkowe, nieraz ograniczone do jednego kawałka, jednego płótna, zwłaszcza do szkicu, — zawsze podporządkowane) u tych, których Manet uznawał za bliskich sobie: u Delacroix, u Halsy, u Goi; za każdym razem, gdy malarz „rysował pędzlem”. Hals ze swymi zszematyzowanymi rękami proroka sztuki współczesnej, Rubens z (łuska, łamaną arabeską swoich szkiców, Goya ze swymi akcentami czerni czystej, Delacroix z wściekłymi ciosami białą, zdawali się chcieć wystąpić w swych płótnach jak owi prymitywi, którzy dołączali swoje twarze do twarzy ofiarodawców. Ich znamienne pismo było ich podpisem.

A malarze, u których pojawiał się ten podpis, byli ci co woleli materię malarzką od tej, którą malarstwo przedstawiało.

Pismo i materia pozostawały jednak na służbie przedstawiania. W ostatnich Tycjanach, u Tintoretta, akcent pędzla służy dramatycznej liryce, u Rembrandta również, mimo że ta liryka jest wewnętrzna. Delacroix poddaje się nie bez wyrzutów swemu lwiemu pazurowi burzliwego Rubensa. Goya posuwa się nieraz dalej od wszystkich innych; ale Goya bez swych dekoracji i swych pasji, to sztuka współczesna.

Była jeszcze jedna maniera Guardiego i Magnasca. Fre-
netyczne pismo najlepszych płócien Magnasca, całe w wykrzyknikach, które zdają się iść w ślad za światłem, muskającym rzeczy i postacie (to światło muskające, które Ingres uznawał za niezgodne z godnością sztuki...). Owo pismo jest na służbie sztuki współczesnej, nawet jeśli ono nie jest przedstawione, to jednak dotknięcie pędzla idzie w ślad za nim. Jakieby nie było niekiedy osiągnięcie olśniewającej tragicomedii włoskiej, widzimy jednak jej granice poprzez te granice, które jej malarz wyznacza w scenach Inkwizycji, wyprzedzających Goye...

Sztuka współczesna zachowa z Guardiego i Magnasca jedynie niezależność artysty. Mało troszczono się wtedy o światło (a propos **Olimpia**, **Le Fifre**, czy są istotnie oświetleni z przodu?). Sztuka współczesna bierze początek wtedy, kiedy to co

nazywano w języku ówczesnych pracowni „le faire” (robienie), zastępuje dawne słowo „rendu” (oddanie). Powiadano, że Manet nie umiał zrobić jednego centymetra skóry i że Olimpia jest rysowana drutem: zapominano jedynie, że zanim Manet chciał „rysować” **Olimpię** lub robić ciało, chciał robić obrazy.

Różowy peniuar **Olimpii**, niebieska tkanina w **Śniadaniu na trawie**, są niewątpliwie barwnymi plamami, których materia jest materia malarską a nie materia oddana. Obraz, którego tłem była dziura, staje się płaszczyzną i ta płaszczyzna staje się nie tylko celem samym w sobie, ale jedynym celem. Najbardziej władze szkice Delacroix były jeszcze akcjami dramatu; to, czego Manet podejmuje się w niektórych płótnach, jest „pikturalizacją” świata.

Bo jeżeli się już zdarzało, by barwna plama zdobywała całą autonomię, o którą oddać będzie walczyła, zdarzało się to zawsze w służbie jakiejś namiętności, której malarstwo było tylko środkiem. „Świat jest stworzony, aby wydać dobrą książkę” mówił Mallarmé: o wiele bardziej jeszcze był on stworzony, aby wydać swoje obrazy. Nadchodził czas, gdzie się będzie pisało: „Zanim był koniem bitewnym, naga kobietą lub jakąś anegdotą, obraz jest zasadniczo płaszczyzną pokrytą barwami, skupionymi w pewnym porządku”.

Temperament Maneta jak i prestiż, który zachowały muzea, skłaniały go do poszukiwań materii w bogactwie bronzów hiszpańsko-holenderskich, które nie były cieniem, a przeciwstawiły się jasnym tonom, które nie były światłem; była to tradycja, sprowadzona do przyjemności malowania. Potem zestawienie barw, coraz bardziej wyzwolonych od bronzów i werniksów, zyskało swą właściwą siłę. Od niespodziewanego czaru różowo-czarnego klejnotu do **Zegara marmurowego Cézanne’a** wartka jest droga radości oka (zresztą rozdwoi się ona i zawiedzie z jednej strony do Deraina, z drugiej do Braque’a...). Bowiem sama barwa, wyzwalając się z tego co przedstawiała, staje się znakiem: żółć cytryny przestawała podlegać owej żółci, którą by widz odpoznał bez wahania, aby się stać żółcią, której napomknienie i miejsce w obrazie byłyby najskuteczniejsze. Przedmioty są **oznaczone** przez ich kolor w większości współczesnych obrazów tak samo jak są oznaczone przez swój rysunek w jednym geście chińskim, w kwiecie perskim, lub oku gotyckim, — czyli że są sprowadzone do uzmysłowionego napomknienia, które najlepiej współbrzmi z życiem całości dzieła.

Ale każda sztuka znaku, będąc intelektualizacją, wymaga ostrej zmysłowej ekspresji, bez której byłaby jedynie zespołem hieroglifów: niektóre cytryny Picassa są więc trójkątami o żółci bardziej cierpkiej aniżeli rzeczywistość. Prymat materii malarskiej nad materia przedstawią, jak prymat pisma, niósł w sobie poszukiwanie barwy czystej z tą samą ścisłością co niósł śmiertelność fikcji.

Stąd więc łącząca wszystkie następne dzieła wielkiej miary i ciekawa przygoda ideologii impresjonistów. Stosunek między teorią dzieła a dziełem, w jakiej by to nie było sztuce,

jest jedną z ironicznych dziedzin komedii ducha. Artysty stwarzają teorie tego co by chcieli, zrobić, ale robią to, na co ich stać: dzieło, które odpowiada najlepiej wstępowi **Cromwella**, nie jest oczywiście **Hernani**, ale niewątpliwie **L'annonce faite à Marie**. Wówczas kiedy impresjonizm — Manet był już wtedy wybił drzwi — ogłasza swe wartości w imię jeszcze większego zbliżenia do wizji — tak jakby chciał osiągnąć jakiś pleinair udoskonalony przez optyków — Cézanne (za którym wkrótce pójdą Gauguin, Seurat, Van Gogh) stwarza sztukę najpotężniej od czasów Bizancjum stylizowaną.

Teoretycy impresjonizmu głosili, że malarstwo przemawiało naprzód do oka; ale obraz przemawiał teraz do oka znacznie więcej jako obraz aniżeli jako pejzaż. Podczas gdy się odmieniał stosunek artysty do tego co on nazywał naturą, teoretycy kładli w formę, w funkcję przyrody to co malarze robili (nie zawsze świadomie, ale z nadzwyczajną pewnością instynktu) jako funkcję malarstwa. Wcale nie było ważne, aby wybrzeża Sekwany były podobniejsze u Sisleya aniżeli u Teodora Rousseau. Czego szukała nowa sztuka, to odwrócenia stosunku pomiędzy przedmiotem a obrazem — podporządkowania przedmiotu obrazowi. Pejzaż musiał się poddać, tak jak Clemenceau w swoim portrecie musiał zatracić swoją osobowość. Nie przyznawać innych wartości poza wartościami oka, było to zerwać z tradycją muzeum, dla którego pejzaż był podporządkowany poznaniu i pojęciu, które człowiek miał o nim; dał pejzażu impresjonistycznego nie jest już przedstawieniem tego pejzażu, ale napomknieniem o nim. Manet urodził się w 1832, Pisarro w 1830, Degas w 1834; w dwa lata, od 1839 do 1841, rodzą się Cézanne, Sisley, Monet, Rodin, Redon, Renoir; dla każdego z nich świat będzie jaskrawym środkiem własnej mowy. Ostrość wizji jest również środkiem; celem — przekształcenie rzeczy w świat plastyczny, ważki, spoisty i swoisty. Niedługo urodzi się Van Gogh. Po przedstawieniu świata następuje jego aneksja.

Nie chodzi o to, by być oryginalnym, bo nie ma sztuki nieoryginalnej, ale by nim być przede wszystkim, świadomie, by widzieć w tej zasadniczej różnicy, którą się odznacza współczesny artysta, istotę swego wyrazu.

Nieprawda jest, że sztuka współczesna to „przedmioty widziane poprzez temperament”, bo nieprawdą jest jakoby był jakiś rodzaj widzenia: Gauguin nie widział pod postacią fresku, ani Cézanne — pod postacią brył, ani Van Gogh — w kutyżnym żelazie. Sztuka współczesna poszukuje poprzez formy schematu wewnętrznego, który przyjmuje następnie — albo nie przyjmuje — kształt przedmiotów, dla której wszelako te przedmioty są jedynie środkiem wyrażania się. Pierwotnym impulsem woli współczesnego artysty, to móc wszystko podporządkować swemu stylowi, a naprzód przedmiot najprostszy, najbardziej obnażony. Symbolem tego jest **Krzesło Van Gogha**.

Nie krzesło holenderskiej martwej natury, które się stało dzięki jego otoczeniu, dzięki światłu, jednym z elementów

tej zacisznej wygody, ku której schyłkowe Niederlandy wszystko nastrojały; samotnie krzesło (zaledwie tylko sugestia nędzy) — to potężny ideogram samego imienia Van Gogha. Narastający konflikt, który od tak dawna przeciwstawił malarza przedmiotom, wybuchł nareszcie.

Współczesny pejzaż jest coraz mniej tym co dotychczas nazywano pejzażem, bo ginie w nim ziemia; współczesna martwa natura jest coraz mniej tym co dotychczas nazywano martwą naturą, bo giną owoce, przedmioty, atmosfera. Skończyła się aksamitność brzoskwiń Chardina: u Braqua już nie brzoskwinia jest aksamitną ale obraz. Skończyły się miedź, różnie rupiecie i kuchnia. Martwa natura Cézanne'a jest w porównaniu do martwej natury holenderskiej, jak akt Cézanne'a do aktu Tycjana. Jeżeli pejzaż i martwa natura (z aktami i portretami, którym odjęto indywidualność i które stały się same martwymi naturami) są teraz przeważającym rodzajem malarstwa, to nie dlatego, że Cézanne kocha jabłka, ale dlatego, że w obrazie Cézanne'a, który przedstawia jabłka, jest więcej miejsca dla Cézanne'a, aniżeli było miejsca dla Rafaela w portrecie Leona X.

Słyszałem niegdyś jednego z wielkich malarzy owych czasów, jak mówił Modiglianemu: „Zważ, mój stary: robisz martwą naturę jak chcesz, amator jest uradowany; robisz pejzaż — jeszcze się cieszy; robisz akt — zaczyna się krzywić; jego żona... to zależy od sytuacji; ale jeżeli się zabierzesz do jego portretu, jeżeli masz nieszczęście dobrać się do jego głowy — to dopiero, mój stary, zobaczysz jak skoczy!” Bo dopiero wobec swojej własnej twarzy wielu ludzi, nawet spośród tych co kochają malarstwo, uświadamiają sobie czym jest ta magiczna operacja, która ich wyłącza na korzyść malarza. Ale ta operacja jest zawsze ta sama, jaki by nie był „temat”: każdy wielki artysta przetwarza formy. Nowością było, że artysta współczesny sobie to uświadomił. Dotychczas artysta się odnajdywał, poszukując co innego niż samego siebie.

Przez zerwanie z fikcją, malarstwo zostało przynaglone do tego, by się stać własną swoją wartością. Bo kolejne światy wyobrazeniowe, którym sztuka była podporządkowana, nie były bynajmniej dla artystów tym co nazywamy tematem: oczywiście, że **Katwaria** nie jest tematem dla Fra Angelica; ale też — różnicując subtelniej — ani **Szkoła Ateńska** dla Rafaela, ani nawet **Wkroczenie Krzyżowców** Delacroix nie są w zupełności tematami, bo są środkami przeniknięcia poprzez malarstwo w świat, który nie jest ekskluzywnie malarski.

Mówiono wtedy: wielki temat — i akcentowano słowo wielki. To co my nazywamy tym tematem jest to, co przedstawia malarstwo wtedy gdy to co przedstawia już nie ma wartości, kiedy cała wartość obrazu jest w jego istotnej jakości (qualité). Zerwanie z fikcją, koniec świata imaginacyjnego mogły tylko mieć dwa skutki: albo egzaltacja całkowitego realizmu, którego dzieła musiałyby bardzo szybko wykazać, że był zwyczajnym mitem, albo całkowita i uznana przewaga malarza nad tym co przedstawiał — ta metamorfoza świata w obraz, którą przedsięwzięli Manet i Daumier. Malarstwo, które było

uprzednio środkiem przeniknięcia w świat sakralny, stało się potem środkiem transfiguracji; ta transfiguracja, która mogła się dokonać nawet w portrecie, w pejzażu (Rembrandt to zresztą wykazał) przyznawała wyobrażeniu królewskie prawa i była niepodzielnie związana z głębokim nurtem fikcji.

Wystarczy przypuścić, że Tintoretto byłby zmuszony do malowania trzech owoców na misie — bez niczego naokoło! — by odczuć, do jakiego stopnia jego obecność malarza byłaby tam przygniatająca i na ile byłaby ona bardziej widoczna aniżeli w bujnym baroku lub w **Bitwie pod Zará**. Tintoretto musiałby bowiem samym malarstwem poddać owoce metamorfozie. Malarz współczesny bynajmniej nie przeszedł z transfiguracji do poddania, ale z transfiguracji do aneksji. Owoce musiały się stać częścią jego świata osobistego, tak jak były niegdyś częścią świata przemienionego. Zaczęły wielowieczny wysiłek sztuki, mający na celu wydarcie przedmiotu jego naturze i poddanie go boskiej zdolności człowieka nazywanej pięknością, ten wysiłek został ponownie skierowany ku wydarciu przedmiotu jego naturze, poddaniu go boskiej zdolności człowieka zwanej sztuką. Jabłka nie stały się bardziej jabłkami, ale stały się bardziej kolorem; świat namalowany, nie stając się już fikcją, stawał się bardziej malarstwem — i zrobiono wtedy to rozstrzygające odkrycie: że aby świat się stał malarstwem, trzeba by się stał osobisty (particulier).

Gdyby demon opiekuńczy Rafaela był mu wytłumaczył (ale nie pokazał) na co miał się pokusić później Van Gogh, sądził, że Rafael byłby znakomicie zrozumiał jak ciekawą była ta przygoda dla samego Van Gogha; co by go jednak intrygowało, to to, jakie znaczenie mogła ta przygoda mieć dla innych. Ale tak samo jak odkryto, że istnieją gesty dramatyczne, które nie nie przedstawiają, że istnieje rysunek dramatyczny, kolor tragiczny, tak samo odkryto, że sprowadzenie wszechświata do indywidualnego plastycznego świata posiadało w sobie tę samą siłę co styl, że było stylem obdarzonym tym samym rodzajem wartości nie dla jednego człowieka, ale dla wszystkich tych, którzy przyznawali wartość sztuce.

Wtedy woła aneksji świata zajęła to ogromne miejsce, które zajmowała wola transfiguracji — rozproszone postacie wszechświata, które się zbiegały ku wierze lub ku pięknu, zbiegły się ku jedności indywidualnej.

Nigdy w historii nie powstały w jednym rzucie dzieła tak różnolite jak Daumiera i Maneta, Renoira i Moneta, Rodina i Cézanne'a, Gauguina, Van Gogha i Seurata, — Picassa, Rouaulta, Malissa i Braque'a. Projekcja tego pluralizmu pada na całą historię od zmartwychwstałych Vermeera i Piero della Francesca do fresków romańskich i do Krety; jak pada również na sztukę polinezyjską i wielkie epoki Chin i Indii, ogarniając całą ziemię zdobytą. Michał Anioł posiadał antyczne wzory, Rembrandt (jak mówił) — zbroje i łachmany, witraży zaś pracowni Picassa, wówczas kiedy się ogłasza codzienna kolejność jego gorączkowych dzieł, w których konflikt między artystą a formą życia dosięga szczytu — te witraży to muzeum barbarzyństwa.

Kiedy zapowiadając ile jest intoksykacji w tym co przynosi widzowi kolejność dzieł sztuki współczesnej, mianowicie dzieła Picassa, przypominałem na uniwersytecie berlińskim, dwadzieścia lat temu, wersję azjatycką, która dowodzi, że opium palone jest antidotum opium asymilowanego przez krew, dodałem, iż zdaje się jakoby Europa u szczytu swojej potęgi wzywała na pomoc antytoksyny wszystkich sztuk świata. Ani sztuka współczesna, mianowicie też sztuka Picassa, nie osłabły i wszystkie sztuki pośpieszyły na nasze wezwanie. Ale przebiegając wtedy wystawy ostatnich pięćdziesięciu lat europejskiego malarstwa — po których snuło się ukradkiem tyle bolesnych cieni od Gauguina do Van Gogha — widzieliśmy jak wybuchały wolności.

Nigdy jeszcze panowanie epoki nad światem nie było tak rozległe. Ci umarli zmieszani z weteranami chwały, od Van Gogha do Rodina, od Modiglianego do Matisse'a, wyrażały tę samą moc zwycięska, która wyrwała z rąk zranionego świata nawet najstarsze skarby plastycznych wyobrażeń człowieka. Ale ta intoksykacja się kończy i łupy kończą się również. Nadzieja sztuki nowej, która świeciła w obliczu otwartego świata, urwała się, jak również i nadzieja nauki nowej, która miała odstąpić sens tego świata. Duch europejski zagrożony w swej mocy przeobraża się jak duch Średniowiecza, który pod ciosem nieskończonych wojen stworzył sobie piekło z XV-go wieku po zatraceniu wielkiej nadziei katedr. Umierająca lub nie, ale niezawodnie zagrożona Europa, pełna zmartwychwstań, które jeszcze ogarnia, nie myśli już o sobie słowami wolności lecz słowami losu.

Tłum.: M. i J. Cz.

Rozstanie ze sztuką

Nie da się o sztuce mówić inaczej, jak z uczuciem wielkiej powagi, szczęśliwej czy smutnej, ale niewątpliwej powagi. Lecz to stylizuje myśli i stawia na baczność słowa, czemu nie można się poddać bez szkody dla poufniejszej prawdy tematu. Lepiej jest mówić o sztuce z dyskretną namietnością, jak się mówi o ciekawej kobiecie, która by się chciało zdobyć i zrozumieć.

Mrowie ludzkie, zalegające ziemię, utworzyło na swą użytek szereg wartości, którymi się syci i pasjonuje, dla których cierpi. Pajęcza nić filozofii pokryła pułapy nieba i chciałyby pomóc człowiekowi w dotarciu poza horyzont skąpej wiedzy o sobie samym. Powszechnie się cierpi na ziemi od trwałego bólu nieświadomości. Wysypały się z duszy ludzkiej bezcenne łyzy tego bólu, perły sztuki. Sztuka wyrosła z ciekawości, jej nieużywalnym gruntem jest chęć objaśnienia sensu tego, co się wokół dzieje, celu praktycznie niewytłumaczalnych aktów przeżywania, tworzenia i śmierci. A gdzieś w głębokościach tkwi wiara, że w wyniku nieustającego mozołu szukania, zbierania materiałów i dowodów, że w rezultacie świętej roboty artystów, filozofów i uczonych, ukaże się ludziona zrozumiała obraz świata, zadość czyniący starej mecie.

Niech żywie ta iluzoryczna iskra, paląca wnętrze. Patrzmy na siebie z naiwnym pragmatyzmem badacza, który robi doświadczenia we własnej krwi. Przekonanie, że kiedyś nastąpi rehabilitacja człowieka, jako istoty świadomej, jest pozostałością elementarnym źródłem energii, która dźwiga rzeczy i myśli, opanowuje naturę. Bez niego umarłyby ruch mózgow i duchów na powierzchni ziemi, a w zasadzie jedyny to ruch, który tłumaczy człowieka z jego zbrodni, jedyny sens sam w sobie cenny, dla którego warto ofiarować swoje nerwy, rozpacz i radość.

Dziś, na skutek rozwinięcia się pewnych instytucji społecznych, człowiek jest coraz bardziej obnażony, coraz bardziej publiczny i cierpi, martwieją w nim te wstydlive, głęboko samotnicze elementy, którym kazano rosnąć na oczach tłumu.

Fewne nienaturalne tendencje stadne, chęć powielania istoty ludzkiej, która nie da się powielić i standaryzacja typu ludzkiego, wydają się psuć te dobre centra duchowe, skąd bierze początek wszelka aktywność.

Wydaje się, że coraz trudniej jest szukać na drogach, które wszyscy depczą, coraz trudniej być samemu w tym wielkim tłumie, jakim staje się świat.

Tłum nie sprzyja twórczości. Jej kolebką będzie zawsze osobliwe środowisko psychiczne jednostki, która metafizycznie jest zupełnie samotna. Jeżeli dziś te delikatne pierwiastki twórcze są spychane na bok, nadwyrażone lokciami wiecujących tłumów, to tym ostrzej, kapryśniej się zachowują. Pewnie to nie ostatnia przyczyna, że współczesny produkt sztuki jest tak mocno wykrzywiony w stosunku do rzeczywistości społecznej i nieraz deprecjonuje złośliwie jej ideały, pogrubione, pomnożone przez klasy czy przez narody, czy przez związki ponad-narodów. Z drugiej strony, jakże na tę abstrakcyjność sztuki ma reagować dzisiejszy człowiek, o tyle rozszerzony i rozszczepiony w swej istocie społecznej i który praktycznie nie potrafi istnieć w abstrakcji od tego wszystkiego, co stworzyła rozpędzona cywilizacja materialna? Życie współczesne stało się utworem nadmiernie złożonym, sztuka pozostała procesem pierwiastkowym. Biorąc to wszystko pod uwagę, markujemy to konfliktu między życiem społecznym a sztuką.

Ten wzajemny stosunek sztuki i jej odbiorców jest kwestią kapitalną, kwestią burzliwą, w której wiele rzeczy nie zostało powiedzianych do końca. Już prosta okoliczność, że sztuka nie zna żadnego limitu społecznego i że znajduje się zawsze w swoistym stanie kinetycznym, utrudnia zachowanie równowagi w poruszaniu się obu stron. W takim układzie rzeczy chciałoby się rzec, że i postawa publiczności ma w sobie cechy twórcze, bo znamionuje ją również ruch pojęć i wyobrażeń; inna rzecz, że ten ruch wykazuje wiele opóźnienia i nie jest samoistny. Publiczność musi ścigać sztukę, która raz po raz mija rogatki jej świadomości i czyni to z niejaką nonszalancją, bez estetycznej przepustki. Dlatego publiczność chowa urazę, robi sztuce częste awantury, które zresztą nie przynoszą pożądanego skutku. To jakby pożycie nierównego wiekiem małżeństwa: ona piękna i samowolna, a on, zatroskany, kochający, musi godzić się na wszystko, zrzedzając po kątach. Dotychczas wydawało się, że nigdy nie dojdzie do rozvodu, tak silnie powiązane są ze sobą istoty jednej i drugiej strony. Jak się sztuka zachowa bez publiczności, która jej funduje naturalne tło, daje jedyne studio i prawdziwego modela, oraz troszczy się o warunki praktyczne? I czy wytrwa bez sztuki publiczność, zważywszy, że sztuka piętnuje ją pewną szlachetnością moralną, tłumaczy jej nikczemną na codzień egzystencję, legitymuje wobec wieczności, napawającej strachem? Wszystkie nieziszczone tęsknoty metafizyczne szarego człowieka ucieleśniają się w religii, albo w sztuce, którą czynią artyści, wyżej wykształceni duchowo. Być może, że

sztuka w życiu tłumu — jeżeli przyjmiemy ten termin w sensie nie pogarliwym, ale charakterystycznym — jest tylko metafizycznym rodzajem snobizmu, coś tak, jak w życiu małomieszczanina wynajęcie stałego krzesła na operę, na którą nie chodzi, ale co mu daje pełne ulgi wrażenie zaspokojenia potrzeb kulturalnych, wrażenie z jego osobistego punktu widzenia zupełnie pozytywne, z którego nie należy się śmiać.

W okresie renesansu nie dostrzega się różnic między publicznością a sztuką. Istnieje jeszcze wówczas równoległość nieskomplikowanych pojęć i panuje radosna zgoda. Podobno obrazy Giotta tłum obnosił triumfalnie po ulicach, zadowolony z dzieła, z twórcy i z siebie. Sztuka stawia pierwsze kroki po żywym świecie, szuka podobieństwa formy, spisuje anegdotę: publiczność przyklaskuje temu z przekonaniami. Z czasem sielankowa sytuacja się psuje: wtedy mianowicie gdy sztuka znudziła się ilustracją kształtu, opanowała materiał techniczny, a rozbudowała się ogromnie w pojęciach intelektualnych. Przestając być łatwym elementarzem wyobraźni, z którego czytało się ongiś przez ramię braciśzka Angelica, czy nawet Rafała, indywidualizuje swój język i czyni się instrumentem całej duchowości ludzkiej, w jej najszerszym aspekcie. Może ten cud dokonał się w światłach Rembrandta, może u Turnera, czy kiedyś indziej — trudna jest rejestracja cudów — ale faktem jest, że spowodował tak znaczne skomplikowanie wyrazu twórczego, że odtąd w sztuce i na jej pograniczu zaczynają się dziać nieporozumienia. Cóż za awantury wyprawia klasy-cystyczny Ingres młodemu Delacroix, który lubił wielkie plamy na czerwono i niebiesko i kazał swoim postaciom silnie gestykulować! Dzisiaj Delacroix wisi bez urazy naprzeciw Ingres'a i widz nie dostrzega między nimi tej ważkiej różnicy, która swego czasu tak serdecznie go podniecała. Jeżeli chodzi o literaturę, to premiera Hernaniego Hugo jest rewolucją, żywi ludzie tłuką się na ulicy o alexandryny przeciw enjambement'om. Cóż za popłoch w umysłach tłumu! Sztuka jest znudzona statycznym charakterem gustów publiczności i wyłamuje się z nich. Manet, nieprzyjęcie do Salonu jego „Olimpii”, pierwsza, prywatna wystawa impresjonistów i związany z tym hałas, przesrachs i opór publiczności, tym razem zaszokowanej bardzo poważnie. Dziś „Olimpia” wisi w tej samej sali, co „Źródło” Ingres'a. Jeszcze większe poczucie pikanterii i humoru, może i trochę złośliwego, wyказала dyrekcja Louvru wieszając tuż koło wspomnianego „Źródła” mały obraz Cézanne'a, p.t. „Gracze”. Zwiedzający głaszczą wzrokiem idealną modelkę Ingres'a i cieszą się, bo rzecz podpada pod najprostsze ich kryteria: myślowe, bardzo ładne ciało, namalowane jak żywe, obraz w całym znaczeniu tego słowa uroczy i przyjemny, niby dobry papieros czy szklanka wina. Następnie w głębokiej ciszy oglądają Cézanne'a — i prędko przechodzą do następnej sali. Polscy w tym samym czasie bez mała wystarcza Januwar Suchodolski, a już na pewno Gerson i Kossak. O pierwszym impresjonistycznym obrazie polskim, o „Orce” Wyczółkowskiego, Gerson wyraża się z zabójczą pogardą, mimo, że już dość dawno Witkiewicz przekonywuje publiczność, że impresjonizm to rzecz wielka i radosna, a nie „szpi-

nak z jajecznica". W Anglii Ruskin procesuje się z Whistlerem o jakieś sztywne wartości estetyczne, które już czas pogrzebał.

Te dzieje powinny napawać pewną otuchą. Bądź co bądź wynika z nich, że sztuka jak dotąd umiała przekonać publiczność o swoich racjach — i jakoś się obydwom udało. Widocznie rozped twórczości ma w sobie żywiołowe prawa, które trzeba uszanować. Widocznie jest w tym permanentnym rozwoju sztuki kapitalny sens, dobra korzyść, z których trzeba się obiektywnie cieszyć. W związku z tym zachodzi kwestia: czy sztuka dokonuje postępu, tak, jak np. nauki przyrodnicze? Można spotkać się z twierdzeniem, że postępu w sztuce nie ma, albowiem w niektórych swoich produktach osiągnęła ona wyraz absolutny, którego niepodobna już dziś poprawić. Bardzo to śmiała teza. Większość tzw. mistrzów jest ciągle mistrzami, bo ocenia się ich w stosunku do ich współczesnych, według zdobyczy, jakimi wzbogacili swoją epokę, z większym sentymentem niż przekonaniem. Bardzo rzadkie są dzieła sztuki, które przemawiają bez żadnej blagi erudycyjnej, są skończeniem poza kwestią czasu czy obyczaju. Pierwiastek „wieczności” w sztuce, o którym mówi się bez umiaru, polega raczej na permanentnym istnieniu i objawianiu się sztuki, a nie na wieczystych wartościach jej osiągnięć. Przemawia za tym miara, brana z innych zjawisk w człowieku i w kosmosie, gdzie wszystko jest w stanie ruchu i narastania. Jest cechą ludzkiego umysłu, że chciałby te procesy zatrzymać i skatalogować, jest cechą ludzkiej tęsknoty za doskonałością, że do niektórych rzeczy przyzepia etykietę skończoności — natomiast nie podobnego nie można zaobserwować w naturze. Może według pewnych kryteriów sztuka była już na swoim szczycie, ale nie okażemy za dużo ostrożności przypuszczając, że sztuka będzie się w dalszym ciągu rozwijać według innych kryteriów, które może się jeszcze nie narodziły, albo dopiero się rodzą. Bo nie można się upierać przy zdaniu, że percepcje życia, które dotychczas zebraliśmy, są kategorięcznie niezmienną. Zapamiętajmy uwagę Chestertona, że my przecież wcale nie wiemy, czy świat jest już bardzo stary, czy jeszcze bardzo młody...

Jeżeli przyjmiemy, że sztuka jest — obok filozofii i nauki — sposobem odkrywania przez człowieka definitywnego sensu wszechświata, to łatwo usprawiedliwimy niecierpliwość, nieliczący się z publicznością, ruch sztuki ku przodowi. Sztuka jest procesem pokonywania pewnych oporów, mianowicie oporów nieświadomości, która w metafizyce jest czymś podobnym do zjawiska tarcia w fizyce. Ludzie, którzy tym procesem kierują, artyści, to istoty będące w nadzwyczajnym położeniu psychologicznym: czujność ich nerwów jest wielokrotnie wzmożona, pojemność wyobraźni rozszerzona, samodzielność myśli ogromna. To ich automatycznie kwalifikuje na samotników, jeżeli wprost nie na wrogów tłumy, którego cechą jest przeciętność i intelektualny kompromis.

Ufność nasza, że publiczność tak czy owak zawsze pójdzie za sztuką, zaczyna się chwiać, kiedy ten problem obserwujemy na odcinku ostatnich kilkudziesięciu lat. Od pewne-

go czasu dystans między dwiema stronami powiększył się w stopniu tak niebezpiecznym, że zachodzi pytanie, czy w tej przepaści nie zatraci się szczerza potrzeba sztuki, wiara w sztukę, które dotychczas masę społeczną z olbrzymią dobrą wolą pielegnowały. Bo sztuka, czemu z bolesną zazdrością przeczą czasem artyści, jest zagadnieniem nie tylko psychologicznym, ale także społecznym. Wyżej wiele powiedziałem na pochwałę sztuki; tym ciekawsze byłoby podjąć z kolei rehabilitację publiczności.

Dotychczas metamorfozy sztuki dezorientowały publiczność co najwyżej na lat kilka, czy kilkanaście, po ich upływie gust publiczny z podziwu godną energią adoptował nowy stan rzeczy. Najbrutalniejszym wstrząsem był swego czasu impresjonizm. Potraktowanie przedmiotów i postaci ludzkich, jako masy zeslawień barwnych, idąca za tym deformacja linii, nowe, nie-literackie zasady kompozycji obrazu — to były zdarzenia dla odbiorcy nieoczekiwane i trudne do strawienia. A przecież impresjonizm został ostatecznie przyjęty i uznany. Stało się to dzięki okoliczności, że impresjonizm w gruncie rzeczy nie był niczym nowym, był konsekwentnym rezultatem tego realistycznego i sensualistycznego założenia, jakie malarstwo europejskie miało od początku. Natomiast z impresjonizmu wychodzi człowiek, który inspiruje rozwój sztuki w innym, niż dotychczas kierunku. Jest nim Cézanne. Od niego począwszy, sztuka rozstaje się z publicznością.

Nie jest przypadkiem, że choć mija już trzy czwarte wieku, Cézanne jest wciąż niedostępny dla pojęć ogółu odbiorców. Tkwi on jeszcze integralnie w sensualizmie, ale już zaczyna na swoich obrazach jakąś przedziwną pracę pozazmysłową. Pragnie budować syntezę kosmosu z możliwie absolutnych kształtów i kolorów. To nieprawdopodobne przedsięwzięcie, którego świadome ślady można w dziełach na każdym z niewielkich płócien Cézanne'a, ma to silnie intelektualne, a prowadzi jeszcze dalej — bo poza intelekt.

Tak zasadniczego wyjścia w inny wymiar, publiczność nie przyjęła, ponieważ sama, swoim konkretnym, nasyconym socjologią i ekonomiką życiem pozostaje wciąż w dawnym wymiarze, — że tak powiem — plastycznym, dotykającym, podatnym na uczucia i głodnym uczuć. Tymczasem uczucie zostało z obrazu wylimnowane we wszystkich swoich postaciach.

Publiczność została skazana na oportunizm wobec sztuki, albo na snobizm. Nie może temu zaradzić krytyka, która o ile dawniej kokietowała publiczność, teraz dla odmiany kokietuje sztukę. Takie się odnosi wrażenie, czytając w katalogu wystawy, że Picasso, to jest „despotyczny i mefistofeliczny Ingres naszej straszliwej epoki” i że jego sztuka jest „transcendentalnym ujęciem rzeczywistości”. Te słowa nie nie znaczą, a przynajmniej nie nie znaczą dla odbiorców. Ich dobra orientacja jest już dawno zabita gradem pojęć ubranych w homerycką nomenklaturę: futurizm, kubizm, ekspresjonizm, dadaizm, formizm, fowizm, wreszcie surrealizm! Ze te terminy oznaczają poważne, często dramatyczne wysiłki sztuki, o tym

widz nie chce wiedzieć, dla obrony własnej równowagi i godności odgradza się od tego wszystkiego niewybredną ironią. Jeżeli jego wyobraźnia znajduje się ciągle w kategoriach Pussin'a czy Renoira czy Wyczółkowskiego — jakże w tym lesie nowych koncepcji znaleźć jakikolwiek ludzki modus vivendi? Z punktu widzenia masy odbiorców, z punktu widzenia społecznego, to jest problem tragiczny. Na wystawę idzie się jak na wojnę, z przykrym poczuciem niebezpieczeństwa i obcości. Na wystawie milczy się, co najwyżej szeptem między sobą — i to jest wrażenie najboleśniejsze, widzieć tłumy ludzi nie rozumiejących, którym niewidzialna siła fałszywego wstydu zamyka usta. Jeżeli czasem tama milczenia zostaje przelamana, to dają się słyszeć opinie, które trudno nazwać inaczej, jak rozpaczliwie beznadziejnymi. Tak się stało po wystawie Picasso i Matisse'a w Londynie, kiedy „Times” pozwolił się wypowiedzieć publiczności. Ogromna większość oświadczyła, że nic nie rozumie. Niejaki pan Saxton napisał: „Czekam na kogoś, kto zdołałby mi wyłożyć teorię, usprawiedliwiającą tworzenie i wystawianie takich straszdeł, jakimi są płótna Pablo Picasso”.

Te słowa, które wybrałem jako najcharakterystyczniejsze spośród wielu innych, przez niejednego z „dopuszczonych do tajemnicy” zostaną potraktowane jako objaw zacofanego kultuństwa, z którym nie należy się liczyć. Ale czy nie byłoby słuszniej dostrzec w nich ogromny smutek i rozgoryczenie epoki, której tłum — noszący ongiś na ramionach dzieła Giotta, manifestujący pod posągami wykutym przez Michelangela — rozstał się teraz ze swoim ukochanym, ze swoją dumą i radością, ze sztuką? Czyż ma umrzeć ta praktyczna, w pewnym sensie, rola sztuki, o której mówiliśmy na początku: rola dźwignia na wyższe poziomy nędzy życia upokorzonego wobec materii, wyręczania obciążonego tą materią widza w strefie pozamaterialnej, której bardzo silne przeczucie nosi on w sobie? Bo rola ta kończy się z chwilą, gdy tłum sztuki nie rozumie, nie cieszy się nią i nie jest w stanie pod nią się podpisać.

Wytworzyła się sytuacja, aby tak rzec, rewolucyjna. Nieszczęśliwy, acz nieunikniony rozdział dóbr duchowych doprowadził do uformowania się ogromnej masy proletariatu, który stracił praktyczny kontakt z garstką artystów, krytyków i snobów. W dziedzinie socjologii, diagnoza w takim wypadku jest stosunkowo prosta. W dziedzinie sztuki nie można postawić żadnej diagnozy, trzeba czekać. Szczęśliwi ci, którzy uważając sztukę nowoczesną za mistyfikację, myślą, że minie ona jak zły sen i ludzie znów będą malować jak Rafael, pisać jak Mickiewicz. Ale to jest złudzenie. Po sztuce Picasso Rafaela już nie będzie, choć nie wiadomo, czy się ostanie Picasso. Po książkach Joyce'a nikt nie napisze „Pana Tadeusza”. Nie jest w stanie zahamować abstrakcyjnego rozpędu sztuki, w jakim się znalazła od pewnego czasu. Stała się ona silniej niż kiedykolwiek nieintelektualną formą filozofii. Jest głupstwem nie wierzyć w jej szczerłość. Kiedy się patrzy na obrazy Picasso czy Matisse'a, odnosi się wrażenie czegoś śmiertelnie poważnego. Sztuka odważyła się stanąć poza estetyką. Nie dochodzi się do niej zmysłami i nawet nie świadomością, tylko

podświadomością. Potrzebne dla jej pojęcia raczej wykształceni psychoanalityczni, niż jakiegokolwiek doświadczenie sensu- alne czy spirytualistyczne.

Zresztą frazes, że obecna sztuka jest pierwszą i jedyną, jest równie mało inteligentny, co płaskie epitet, jakie się na nią rzuca. Sztuka w rozwoju się nie cofnie, ale czy to znaczy, że sensualizm, dotychczas panujący, został już wyczerpany? Czy intuicjonizm wypełni bez reszty to, czym sztuka ma aspiracje być? Nie ulega wątpliwości, że obecnej sztuce brak jej zręczności i mocy, jaką osiągały w swoich szczytach wszystkie kierunki, w następstwie walki, poznawania i cierpienia. Sztuka obecna cierpi, krwawi — zresztą czasy są po temu. Ale jeszcze nie poznała i ludzi nie zaczęła leczyć. Ma ona charakter drobiny, jej smutek i jej drażliwość, nie ma charakteru pełni. Picasso wziął z Cézanne'a tylko cząstkę, jedną cegłę ze ściany domu. Cézanne swoim dziełem uszczęśliwiał, Picasso męczy.

Cóż więc zrobią ludzie, masy ludzi, którzy jeszcze się nie odzwyczaili oczekiwać od sztuki pewnego rodzaju szczęścia i ulgi? Czyżby nie zostawało nic innego do zrobienia, jak wyperswadować masom tę sentymentalną postawę? Skąd w takim razie przyjdą elementy harmonii między publicznością i sztuką?

Ale szkic niniejszy nie czuje się siłach, by rozwiązać kojąco te wszystkie problemy, po prostu chce je eksponować, unaocznnić tym, którzy ich nie widzą.

ZBIGNIEW FLORCZAK

ODPOCZYNEK TRAWY

*Światło zbacza; małe wiry,
powiewne pasy słońca,*

*znowu pną się otchłanie; otwieram grudę,
moją, która mnie spokojnie uklada. I śpię:*

od wieków trawa odpoczywa;

jej serce wraz ze mną.

Śmierć mnie zbudziła: bardziej sam,

jeden; bije dno wiatru: nocy.

SALVATORE QUASIMODO

(z tomu „Obœe sommerso”)

1930 — 1932

(tłum. Bolesław KOBEZYŃSKI)

Na wysokiej połoninie

Śmierć leśna

Jakiś dziesiętek lat rąbano ten las pański na Ruskim. Nie las to był, lecz zaiste cały świat leśny. Nie dziwota, że niegdyś rozdzielał plemiona i narody. Opowiadają, że tam, gdzie Ruski las i wąwozy potoku Ruskiego, niegdyś ostateczny kres był, stara granica naszej słowiańskiej Rusi. A dalej, na południowy wschód i nieco niżej, wypędzali skądś aż nad Czere-mosz trzody swe Wołochy, czy jakieś inne nieznanne plemię. Coż dziwnego, że w puszczy takiej, na granicy dwu światów gnieździła się przez wieki plomiennooka, skrzydlata żertwa. 1).

Foka Szumejowy od lat najmłodszych znał leśną robotę. Każdy pobyt na połoninie był dlań połączony z wyrąbywaniem przesieków, z wypalaniem pastwisk i łąk. Już jako wyrostek widział w lasach pańskich pierwsze butyny. Gdy został gazdą, wciąż jeszcze rąbano lasy na Ruskim. Cokolwiek mówiono o tym, ciekaw był tej roboty Italianów, Granów i naszych butynarów. Postanowił zobaczyć ją na własne oczy.

Gdzieś w środku wielkiego postu miał więcej czasu. Czekał aż się ociepli.

Któż nie wie, że w połowie marca, około świętej Eudokji, coś dziwnego dzieje się na wierchach? Dnie słoneczne, błękitne. Jak boży motyl, szepem przewionie przez zasypy śnieżne pierwsza pijaność wiosenna. I w ludziach, których oczy na świat boży otwarte, także zaszepce coś, jak pierwsze kropeliny młodego wina. — A potem za dzień, za dwa — wracają bezlitosne zawieje śnieżne.

Eudokja, to znaczy dobra zjawa. Nie wiadomo czy to Bóg wiosenny uśmiecha się poprzez śniegi? Czy to złuda uwodna, Bida groźna? Bo przecież sierocie, pasierbicy, wygnanej w ów dzień do lasu, po maliny przez macochę bez serca, popa-ję Odokję, święci pańscy dali dzban malin. Słodkie i wonne maliny — w środku postu! To zwabiło macochę na wierchy a w dzień później zadusiły ją tam wichry i zasypy śnieżne.

Jurijko Fedczukowy Hrabczuk, który dożył do naszych czasów, wspominał, że w pogodny dzień przed Eudokją Foka skusiło ciepło: osiodłał dwa konie, wziął ze sobą to i owo i pojechał w gościnę na butyn.

Po drodze wstąpił do Tanasenka Popowicza-Urszegi na li-
cień, niedaleko miejsca, gdzie rzeczka wpada do Czeremoszu,
Choć jasny dzień był, całe domostwo Tanasenkowe — kilka
przestronnych chat połączonych podwórcami — tonęło w cie-
niu i w dymie. I w błocie także. Po podwórkach krzątały się
jak u siebie w domu, ba i hasały i swawoliły różne „maleń-
stwa”: cieleta, jagnięta, kozłatka i prosiątka. Dalej już, w roz-
ległych ogrodzeniach spożywały rozrzucone po śniegu siano
— liczne dojrzałe trzody. Świadome swej godności krowy i
przytępięte marzeniem o wiosennie owce. Nawóz był wszędzie.

Tanasenko mawiał: Cóż z tego, że teraz u tego i owego gaz-
dy kolo chaty czysto. Kiedy i w komorze zanadto czysto, bo
justo. U mnie na podwórcach tłusto, to prawda, ale w komo-
rze także. — Tanasenkowa komora pękała od wszelakiego do-
bra.

Sam Tanasenko, to chwalił się, że wyposażył dzieci jak na-
rzy, nawet zanadto i sam już żyje byle jak. To narzekał na-
wet potrosze, że bieda, że w ogóle już nic nie ma. Przecie miał
jeszcze przy chacie ponad tysiąc owiec i ładnych parę setek
krow. I chyba nikt w żabiem nie znalazł tak dobrze na chu-
dnie jak on. Pamięć miał szczególną. Znal każde ciele, każde
jagnię od urodzenia. Zajęty był od świtu do nocy. W ciągu lat
Foka niejednego odeń się nauczył.

Skoro tylko zobaczył Fokę, zostawił wszystko, posadził go
w świetlicy obok komory, a sam biegiem do komory, aby
zmienić zadymione ubranie. Wyszedł po chwili powolnym u-
roczystym krokiem w czerwonych portkach, w bielutkiej ko-
szuli, w nowiutkim kożuchu. Białe, długie i gęste włosy wy-
smarował starannie masłem. Dopiero teraz wital się długo.
Nie mówiąc na razie więcej, zaczął się krzątać kolo gościa.

Naprzód zastawił przed nim nieużywane nowiutkie łyżki
bukowe i śliwowe. I nowe miski kosowskie i pistryńskie, gla-
dziutkie, w zielone wzory polewane. I noże nowe z Riczki, z
trzonami rzeźbionymi, a raczej odlanymi, jak to się mówi,
„sypanymi” z mosiądzu. I pańskie szklanki o fioletowym po-
łysku.

Rozłożył na ogromnym stole kilka serów, każdy wielkości
kamienia młyńskiego. I tęga polać jeleniej słoniny, żółtej jak
wosk. Zapraszał Fokę. Jeszcze brakło mu czegoś, był roztar-
gniony. Przyniósł nowiutką, pisaną w krzyżyki drewniana
herbeniczkę 3) z wódką zaprawianą miodem i korzeniami
górkimi. Pociągnął głęboko, dał Focę, ale i z tego nie był za-
adowolony. Coraz pospieszniej wchodząc do komory i zaraz
wracając, wciąż znosił coś, aż zastawił wokół Foki jak gdyby
stół ze święconem.

— A może by tak jajeczniczki choć troszeczkę? — Nie cze-
kając na odpowiedź, skokiem przesadził wysoki próg komory,
wrócił skokiem i pospiesznie poniósł do kuchni jaką taką ko-
pę jaj w jaworowym korycie.

Foka nie upierał się, wiedział z doświadczenia, że to na
darmo. Po czym gazda sam usługiwał, nikogo z najmitów ani
z krewnych przed oblicze gościa nie dopuszczał. Nie widzie-
li się od dawna, przyglądali się sobie, prawili grzeczności.

— Dobrze słyhać o tobie, Foko, i to nie od dziś — a wi-
dzą, prawdę mówią ludzie.

Foka odpowiedział grzecznie:

— Dobrze, kraśnie trzymacie się gazdo Tanasenu —

— Dobrze, to niby w czym?

— Że nie staro, że jędrnie tak —

— Alboż ja stary? Nawet nie wiem, synku, kiedy mi przele-
ciał wiek. Aż tu raz widzę w wodzle odbicie: konopie na glo-
wie, siwy włos! Fe! Skąd to do mnie? A pytałem niedawno
księdza z dolnej parafii, tam gdzie mnie chrzczono. Z metryk
wyczytał i powiada, że mi na Pokrowę dziewięćdziesiąt pięć
lat minęło. To nie dużo, nie, ale —

Po wstępnym traktamencie rozgadali się. Mówili o butynach.
Foka z zaciekawieniem, Tanasenko z obrzydzeniem. Suchej
nitki na budynach nie zostawił. Nie dał prawie Focę przyjść
do słowa.

— Ty, Maksymiuku, na samą popadję Eudokję ma wierchy
ruszasz? Do butynu cię ciągnie? Ej - ha! Patrz, i to bardzo,
aby ci nie wystrychnęła czego popadja. Malin ci się zachciało
czy czerwoców? — Nie czekając na odpowiedź wywoził —
Pła sieroty biednej to dobry czas, a jakże, ale kto z bogacić się
chce, oj warko, synku! ten węgle za pazuchą przyniesie, za-
miast malin.

— Ależ, Tanasenu, mnie zawsze las ciągnie, a to nowa
praktyka i praca ciekawa.

— To praca po twojemu? Jak niedźwiedzie na łańcuchu
podskakują. Widzisz go, praca! W każdym razie nie gazdows-
ka. — Tanasenko podniecał sam siebie, zapędzał się. — To
niewola czysta — łapanka na durnych, jak wędka na pstrąga.
Pańszczyzna? — to nie jeszcze. Zobacysz, co z tego będzie:
bida taka sunie jak zasowa 4) śnieżna. Na cały wiek, na całą
naszą warstwę. Pijaństwo i niewola. — Tanasenko krzyczał
z uniesieniem jak ksiądz na kazaniu przeciw pijakom. Foka
przerwał mu delikatnie.

— Ale skądże tyle lasów starczy, aby cały wiek nasz i ca-
łą naszą warstwę spętać?

— Lasy im potrzebne? Durnie im potrzebni. Durnych star-
czy. Zobacysz jak zasmakują w tym, aby nie myśleć, nie klo-
potać się, aby im nawieźli i postawili pod nos jadło i napitek
jak chudobie.

— No, i cóż im to zaszkodzi?

— Co zaszkodzi? I ty, Foko z rodu Szumejowego tak py-
tasz? Ot, dadzą się wywieźć gdzieś, jak te Italiany. A pewnie
tam gdzieś razem z nimi węże będą chrupać, albo żaby.

— I wy to wierzycie, Tanasenu? Widzieliście tych Italia-
nów?

Tanasenko ochłonął.

— Czemużbym nie widział? Zachodzą tu nieraz. Kraśnie
chłopy. A najmilszy ten z cyrku, ten Kamio. Jak z berbenicz-
ki pociągnie, to cyrkowy ukaz na podłodze wycina. Zwinie
się w kule i katula się jak dymało 5) Język poprzez nogi wys-
tawia i oczy mu się śmieją. Pocięcha z niego! Do lez się śmie-
jemy. Nie mów tego nikomu, Maksymiuku, bo zaraz plotki

pójdą: bardzo mnie korci tego z cyrku za hodowianca przyjąć, usynowić. Stać mnie na to, choćmi już biedak. Bo dzieciom moim, to wszystko należy się, a wszystkiego mało. I to mają być gazdowie rodowi! Ledwie do sześćdziesięciu lat dociągnęły, a jakieś stare to i nadęte, niby że z bogactwa. A ten pajac jak przyjdzie tutaj, to i z psami bawi się, i z kozłętami fika jak kozioł i cielecia pieści. No, z cyrku... Ciesz się nim się wszelka chudoba. I jakoś z nim razem młodo się dzieje... A to bida jakaś bezdomna, wędrowna, lubię go, — ale kto wie jakiego rodu? Co z niego wyleźć może? Nie gazdowskie dziecko... Jeszcze mi tu żaby zacząć smażyć na śmietanie. I ser z robakami żywymi rozczyni... — Tanasenko westchnął — Ale nie w tym rzecz — znów sierdził się Tanasenko — czy wierzę, czy nie wierzę w te żaby. Wiesz czym butyni zaszkoździ? Gazdowstwa nie będzie nigdzie! Sami najmici z najmitów i na wieki najmici.

— Ależ Tanasenu, zarobią trochę i —

Tanasenko przerwał:

— Zarobią, przepiją i zadłużą się jeszcze po uszy. Ty nie wiesz tego, że czort na pieniądzach siedzi? A jak człek naraz dużo zarobi, to nie na dobre wyjdzie?

— To prawda. Czort kusi, ale nie zmusi. Zarobią wrócą do swego, gruntów pańskich dokupią. ♪ będą gazdować.

— Chyba Żydzi będą gazdować, bo mają rozum. Do swego mówisz? A gdzie tam będzie swoje u tych zniżaczonych pijaków? Kto z nich dba o swoje? Do fłoku przywykną, aby w kupie paść się jak chudoba, do wszystkiego złego przywykną w tych norach.

— W jakichże norach?

— No w tych butynowych, w kolibach.

— Cóż tam takiego?

— Co? Gorsza od gaury niedźwiedziej jama. W lesie pierwowiecznym na samym dnie. Dach niższy niż w świńskiej kuczcy, a oni sami, jak szczecznyki 6) wykleśte, na brzuchach pelzają albo w kuczki koło watry ślęczą. Tam nawet nie ma gdzie zawiesić obrazy święte.

— O to ci nowina. A na poloninie, w stai widzieliście gdzie zawiesić obraz yświęte.

— A po co obraz święty tam, gdzie słońce blisko, świat szeroki, a Bóg święty dysze naokolo. Ale czekaj, ciągle mi przerywasz, posłuchaj. Byłem tam raz w tej kolibie butynowej na Ruskim. Może to starość dokucza, niepokój jakiś. Czasem pędziłby gdzieś człowiek — przed siebie. I żał mi tych ludzi, choć durni. Toż berberniczkę z wódką sporą ot, większą od tej im zaniósłem. Im i wódka nie pomoże. Więcej tam nie pójdę. Bo wiesz co ci powiem na ostatku: Najgorsze to, że tam wszystko szare a nawet czarne. To sobie zapamiętaj i dobrze patrz, czy kto tam kiedy ubierze jakie portki czerwone, albo chustkę krasną, albo przebierze się w niedzielę. Nie poznasz nawet, który z nich ma włosy jasne, a który czarne. Gdzie tam! Miarkuj to sobie: gdzie taka czarność, tam chochy grube tysiące, chochy w wódce się kąpali, tam dobra być nie może. Umrzeć to umrzeć, raz i już. Na to pod-

wórko zdąży każdy. Ale w czarności tej tkwić, nie, nie pójdę więcej —

Tanasenko zasmęcił się. Na szczęście przypomniał sobie o troskach ziemskich.

— Ależ ty, Foko, coś słabo pijesz. Oj, słabo! Uważaj niebogo, bo, nie daj Hospody, krótko pożyczysz. No pij, pij, synku.

Sam Tanasenko rad z okazji, czy dla zapomnienia czarności, pociągał głęboko, głęboko aż lęk brał i mówił dalej:

— No czekaj, dajże mi powiedzieć. Rozpowiadał ten, ot, z Iwanenkowych Zelencuków, którego do wojska złapali i wybył tam swoje dwadzieścia pięć lat, ale wrócił — rozpowiadał, że w jakiejś tam kopalni węgla, choroba wie jakiej, dał ci konia na dół pod ziemię spuszczać, na to aby węgiel wózkami ciągnął, to już go tam zostawia na wieki. To już oślepnie bidna, nieszczęsna chudoba. Boże ty mój! Oj, coś mi się zdaje, że i te butynary poślepną, od lasu i od koliby, albo im oczy powyłażą jak u sowy. Fe! Wiesz, co? Pooglądaj sobie tam wszystko i wracaj do mnie jutro na noc. Albo edłóż całkiem tę jazdę. Słuchaj, Maksymiuczku, gdzie chudoby nie ma tam smutno, o śmierci się człek zaduma. A tu, choć jużem biedak, młodą chudobę ci pokażę i nową budowlę i berberniczkę powiutkie, kraśnie pisane. A tych stołów kiedrowych rzeźbionych, com je sam majsternie wymadrował nie jesteś ciekaw? Wykładane i jaworem i sliwą i cisem. Ale to za dnia. I cisu mam sporo. Narobiłem sobie kolców nowych. Ten durny Buliga skądś przez Żydów tych wozodźi modnych, żelaznych nakupił i pobił dach gontami. Zaledwie trzydzieści lat przeszło, a już rdzewieją te kolki żelazne, wypadają. I dziury w dachu. A te cisowe kolki, ho, ho, to porwa sobie.

— A skądże ten cis?

— Ha, skąd. Skąd wszystko, z ziemi. Zawadzała mi stuletnią smereka na pastwisku. Ściałem ją i jużem korzeń wydziełał akuratnie czekaniem, siekierą i łopatą a tu, hou, stój. Coś stuknie pod spodem jak żelazo. Pod korzeniem smereki stary cisowy korzeń.

— I nie zginął, nie znił?

— Bieda mu zginie. Cisowy korzeń — wieczny. Ano zostaw tak na sto lat carynki 7) slobodnie, aby nikt nie kosil. Znów spod ziemi las cisowy wylezie.

— Tak myślicie? — zapytał Foka.

— To pewne.

— No to nie martwmy się, Tanasenu, i nasza warstwa spod ziemi wylezie, butyn nie zaszkoździ —

— Tanasenko otworzył usta, uśmiechnął się ciekawie, chytrze.

— Tak mówisz? Może, może... — Znów zniecierpliwil się

— Ale ty gadasz, gadasz, Foko, a nic nie używasz, nie jiesz, nie pijesz. U mnie tego nie ma.

Foka usprawiedliwiał się:

— Mocne głowy macie, wy Urszegowy ród. Dotrzymać trudno.

— Moje napitki nikomu nie zaszkoździły. A niejednego u-

zdrowily, Mądruję nad tym od lat trzydziestu. To miarkuj sobie, chyttrze spojone jedno z drugim. Ziola, miód czy wódka i różne różności. Na wszystkich strunach gra jak cymbaly. Co jedno osłabi, to drugie podpira.

— Ależ jeść tyle? Babyci 8) chwycą, pęknie człek — apełował Foka.

— Patrz tam, to doktor najlepszy — wskazał na nową, szeroką hrubę 9) kaflową. Na polewanych kaflach kremowego koloru, w jaskrawej zieleni ódlane postacie ludzkie przedstawiały sceny budujące i ciekawe, a także ucieszne a nawet nieobyczajne.

Foka ogląda z uznaniem: opryszki 10) gonią na koniach przed siebie, z lasu wyglądają za nimi puszki w maczanych mundurach cesarskich, w pokracznych czakach, z długimi karabinami. Inni rozglądają się po górach głupawo.

Krowy o dorodnych wymionach idą na poloninę, za nimi pastuchy z trembitami, kudlate psy, przed nimi błyszcząca, zieloniutka polonina.

Wesele na koniach. Gazdowska panna młoda tęga, barczysta, na szerokim koniu. Korona świeci jej na głowie promienście jak słońce. Wokół družbowie i goście strzelają z pistoletów. Gęsty dym zakrywa połowę sceny weselnej.

W kącie pieca skromnie ukryta w cieniu scena ponad wszelką miarę nieskromna. Molodycia i młodzian stoją pod arzewem w pozycji i ze szczegółami, które nie pozostawiają żadnej wątpliwości. Ale już zbliża się kara. Zazdrosny mąż z toporem pędzi, aby odrąbać narzędzie grzechu.

W przeciwległym kącie czort z ogonem tańcząc radośnie karbuje grzechy na wołowej skórze. Powyżej niebo. Dobrośliwy, a przerażony święty Mikołaj, faldą sukni stara się zasłonić grzeszników. Lecz dalej jedzie na obłoku kolasa zaprzężona w dwa konie gromowe, święty Eliasz z piorunem w ręku. Groźnie spogląda w dół, strach patrzeć.

Powiada Tanasenko:

— Wyściele ci tam! A tam miejsca na trzech, czerepy rozgrzane, lepiej ciepło, trzymają niż okład gorący. Na rano wstaniesz mocny jak niedźwiedź, a tymczasem używaj.

Foka przyznałony zajał, popijał a mówił jeszcze mniej. Z tego wszystkiego zrobiło mu się nieco smętnie.

Sam gazda wyścieleł mu na noc posłanie na hrubie: cztery nowiutkie włochate liźniki, nieruszone dotąd i prześcieradła konopiane nowe, jeszcze nie prane. A także poduszkę żydowską fajną, całą czerwoną, mu podłożył.

Mimo pokusy i namowy, Foka o świcie wstał i pojechał drogą w górę wzdłuż Czeremoszu przez Krasny Luh, ponad Bystrec na Ruski. Przed południem dotarł do koliby leśnej. Zastal tam tylko spuzara.

Spuzar — to niezaszczytne miano dosłownie oznacza śmieciarza, zamiatacza prochu i śmieci. W rzeczywistości, podczas nieobecności robotników, spuzar utrzymuje cały porządek w kolibie. Przygotowuje opał, podsyca nieustannie watek, zmienia gałązki smerekowe na posłania. Rano i wieczorem gotuje posiłki dla wszystkich. Spuzar — to gospodarz koliby. Dlatego zdarza się czasem, że urząd spuzara

sprawują kobiety. Nikomu u nas do głowy nie przyjdzie, to rzecz jasna, jak to słyhać o jakichś robotach syberyjskich, aby kobiety pracowały w puszczy, przy wyrobie drzewa. Ale jak się urodzi taka jakś rozmaszysta i niedźwiedziowata i ma do tego ochotę, to owszem, może być z niej dobry spuzar.

— Wiecie co gazdo — powiedział spuzar — ładnie dziś, ciepło, skoczcie na górę. Za godzinę, za dwie będą puszczać drzewo — wskazał na strumą ścieżkę tuż przy ryzie.

— Ścieżka niezła — zachęcał spuzar — tylko uważajcie tam, gdzie ryza blisko, albo gdzie ryżę przecina ścieżka, aby was jakaś kłoda nie zaczepiła... Bo to gorzej...

Foka zostawił konie pod opieką spuzara, wziął tylko dwa pistolety, topór i ostry czekan.

Wyślizgana, zlodowaciała prawie ścieżka z początku pieła się równolegle do ryzy, potem przeskakiwała na lewy bok ryzy. Znowu zawracała na prawy bok, wreszcie oddaliła się i wzniosła wysoko ponad ryżę. U dołu i naokoło był jeszcze las nieruszany. Stare drzewa strzelały z zawrotnej głębi jedne ponad drugie ku górze, jakby usiłowały dorównać wzrostem szczytowi. W każdym razie chroniły wędrowca na ścieżce od upadku w przepaść. Tu i ówdzie okorowana kłoda zbiąkana z ryzy, otulona śniegiem, zatarasowując ścieżkę zmuszała przy przejściu do zabiegów mozolnych.

— Widać, że wyrwie się czasem taką bilania 11) na ścieżkę i wtedy — Foka wspomniiał ostrzeżenia spuzara.

Jeszcze wyżej ścieżka składała się przeważnie tylko ze stopni, wglebionych stopami w śniegu za każdym pniem. Między jednym stopniem a drugim była ściana zlodowaciała lub pustka. Wędrówka ścieżka polegała na skokach ze stopnia na stopień. Przemysłni Italijany przymocowali kolkami do grubych pni huźwy czyli liny splecione z kory, łącząc w ten sposób pnie jak gdyby poręczami dla pomocy w skoku. Całkiem wysoko ścieżka, zakręcając w tę i ową stronę, często przecinała ryżę.

Foka skakał rzeško ze stopnia na stopień. Odpoczywał czasem we wglebieniach za ochroną pni. Słońce grzało, było coraz goręcej. Nagle trysnął z góry, z pustki powietrznej okrzyk: ha-bou — ha-bou — i zaraz z dołu, z przepaści, poprzez las dziwiający się w mrukiwym chórze, świdrowała ku górze dziarska odpowiedź — klej-hou — klej-hou! To były znaki i ostrzeżenia, że kłody będą jechać ze szczytu ryzami.

Foka przylgnął do pnia. I wkrótce zagrała ryza. Jak gdyby piorun wpadł do lasu. Nie! Jak gdyby święty Eliasz rozściekił się, gromami po przepaściach buszował za żertwą ognistooką, biczyskiem ognistym chlastał i ploszył swoją zwierzynę, szczepyków. To groźnie dudniły, to trzeszczały to boleśnie jęczały tęgie koryta ryzy, jakby miały pęknąć. Echem odpowiadały wszystkie wawozy naokoło. Grzmiał cały Ruski, jakby wybuchał od środka. Foka słyszał armaty na ćwiczeniach, przeżył niejedną burzę górską, ale taka kanonada...

Wisząc na jednej nodze w dobrze wydeptanym stopniu za

grubym pniem, trzymając się pnia czekanem, to zadzierał głowę do góry, to spoglądał na dół, z mozolem usiłując wychylić się poza pień. Śmiał się cicho.

— Nie gazdowska praca? Haj, Tanasenu, a może coś więcej? Śmieszna pycha ludzka, choćby u kogo —

Wyloskotały się góry. Wybuszowały się byrnie 12). I spoczęły gdzieś na dole. Tu i ówdzie jeszcze las westchnął z przepaści. Potem było cicho jak w cerkwi. Jakaś kania ostrzegala gdzieś z daleka przenikliwym skwirem: bij-bij-bijij —

Foka znów przeskakiwał pospiesznie w poprzek ryzy, raz drugi i trzeci. I znów rozległy się mocne czy groźne okrzyki z powietrza i z przepaści: ha-bou — klej-hou.

Znów biała baszta za basztą 13) grały przez puszcze.

Spora jeszcze odległość była od szczytu a już widział Foka jak sprężyć się atakowali Italiany hakami i czekanami nieruchome bilanie, jedną za drugą. Jak z mozolem wytrwałym stracali kłodę po kłodzie. Jak w ostatniej chwili, skoczkom czy płaszczom podobni, błyskawicznie uskakiwali, zanim zagrała ryza. Cudowny naród! — lubował się Foka.

A z wierzchu od miejsc, skąd spuszczały kłody, taka jasność szła od słońca, od śniegu, aż oczy bolą. Widać, zaczyna Tanasenko nie dopiął się do szczytu. A może nawet przesiedział cały dzień w kolibie, bo narzekał na ciemność.

Już blisko było wierchu. Foka pospieszył się nieco. I czy to postol był zbyt wyszłizgany, czy skoczył niedokładnie, nagle poślizgnął się Foka. Już pociemniało mu w oczach i już leciał w dół ku ryzie, lecz chwycił się huźwy i jednym ruchem był na stopniu za pniem. Z góry naprzód zagrzmiął okrzyk przerażenia a potem śmiech. Foka z ciekawością i ze śmiechem patrzył w dół: jakaby mu tam drożyna się ścieliła...

Tym spieszniej znalazł się na górze. „Sława Hospodu, so-neczku swjetomu” — witali go Italiany i Grany i butynary z Bereźnicy i z Ruskiej Polany. Między robotnikami stał śmiejąc się wesolo, nie kto inny jak karczmarz z Rozdoroża, Josenko z jasnymi pejsami.

— Myrom, Josenku! I tyś się tu wdrapał?

— A coś ty myślał? Ze moje pejsy tylko na dole mają prawo rosnąć? I tu im się zachciało. Myrom 14), Foko! Jakiby to kupiec ze mnie, abym nie pamiętał o swoich gościach lubych, kiedy tu bidują.

Grany już wcale dobrze nauczyli się mówić po naszym i Italiany umieli się rozmówić od biedy, lecz cieszyli się niezmiernie, gdy Foka do nich przemawiał narzeczem wenejańskim. Między robotnikami już prawie połowę ludzi stanowili nasi Bereźniczanie a także ci co przyszli z Węgier z Ruskiej Polany. Ci ostatni byli to zawołani kermancyze 15), znawcy tratw i splawaczki. Pilnowali tu na górze, aby kłody z jednego ryzowania, które miały pójść do jednej daraby 16), były mniej więcej równe.

Wokół czekało jeszcze sporo kłód okorowanych. Leżały same, pokorne, czy przyczajone chytrze. Po obcięciu galezi, sęki jak smocze gąły oczne śmiały się cichą groźbą. Czy chociaż hulania, rozbijania, za to, że trwały tu wiekami?

I Foka wziął się do pracy, i Josenko nie próżnował. Gdy czarooki Mario, nie gorzej niż sam diak z Krzyworówni, gładziutkim głosem zaśpiewywał: avaaanti-avaaanti-attentioone — wszyscy jak ogary poszczute na niedźwiedzia, rzucali się na rozwaloną leniwie byrnię, kasał ją czekanami, pchali wytrwale ku ryzie.

Było jeszcze jasno, gdy zrywali wszystkie bilanie. Siedli na świętych pniach gładkich, grzali się w słońcu. Nie rozmawiali. Słuchali flojery, palili fajki, podpijali wódkę. Wrócili przed zmierzchem do koliby.

W kształt ośmioboka zbudowana koliba leśna ściany ma przyziemne a dach strzelisty. A raczej cała koliba to stromy dach z dranic 17), z otworem dymnym u szczytu, zamaskowanym skrzydłami dranicowymi od wiatru i deszczu. Ściany z belek świerkowych, na których wspiera się dach, — nie wyższe nad wymiar człowieka w siedzącej postawie, — przeważnie z jednej strony wkopane w stok górski, zaopatrzone starannie mchem, zimą tonęły w śniegu. Tak pograżone, że niewidzialne. Dla watry poczesne miejsce, jak dla oltarza, dla dymu jak najwięcej swobody dla strzelania w górę, a dla ludzi — przyziemnie, im ciaśniej tym lepiej! Taką jest myśl koliby. Tylko wejście do koliby i małe sionki koliby z dwoma drzwiami na zewnątrz i do wewnątrz, wcinając się w dach, wznoszą się na tyle, że człowiek może przejść, schylając się lekko. Chociaż tyle, że nie musi wlaźić na czworakach jak niedźwiedź do gaury. Za to w samej kolibie prócz centralnego miejsca przy wotrze, nie można się rozprostować. Im bliżej ścian, tym więcej w kuczki siedzą ludzie, a nawet pelzają, jak to wypominał zgorszony Tanasenko. Promienieście wokół watry siedzą i śpią tak samo. Nogami ku wotrze, głową ku chłodnym ścianom.

Kolibia leśna nad Ruskim Potokiem była przestronna, przeznaczona nie tylko dla leśnych robotników, lecz także dla woźniców, kórzy stosownie do wymagań zwózki, czasem nocowali wraz z końmi w pobliskiej stajni, do połowy zarytej w stok górski i wtedy przychodzili na wieczór. Kiedy indziej zostawali na noc gdzieś o wiele wyżej i wtedy koliba była luźniejsza. Ale chłodniejsza. Spuzar nieustannie utrzymywał tegie watrzysko.

Gdy robotnicy weszli do koliby, każdy spieszył od razu na swoje miejsce. Siadał tam na świeżym posłaniu smerekowym, niezbyt blisko watry, aby nie przeszkadzać przechodzącym.

Spuzar stał koło watry. Gotował mamalygę. Drewnianym palanyczem mieszał sagan jeden po drugim, przysuwał do watry, to odsuwał potężną berfełę 18) Witał się z każdym bez wyjątku. Nieco trwożliwie upewniał się: A co, myrom wszystko? — I jakby w nagrodę za cały dzień milczenia, nasycał się rozmową z tymi, co chcieli gadać.

Jeden tylko spuzar był zajęty. Inni odpoczywali. Leżeli, wstępną drzemką strząsając z ciała całodzienne znużenie. Potem zaczynali wieczerać. Po dziesięć łyżek dosięgało jednego sagana. Prócz Italianów i Granów byli tam robotnicy, woźnice i goście, co najmniej z sześciu wsi. Naprzód zapra-

szali gości, którzy przyszedli z siól. Goście zaś traktowali robotników mlekiem, korszem i bryndzą.

Porządek dzienny w kolibie jest niezmienny i bardziej monotony niż gdziekolwiek. Prócz świąt robotnicy co dzień wychodzą rano, a wracają o zmierzchu. Każdy na swoim miejscu i już się nie rusza. Zmęczenie, ciasnota, ciepło.

— I tak u was co dnia? — pytał Foka — jednakowo?

— Dalby Bóg, aby tak co dnia — odpowiedział spuzar — i dzięki Bogu, że nic się nie dzieje. Bo gdyby coś tak, nie daj Boże — chyba, że oto goście przyjdą ze wsi jak wy gado. Chyba że w święto jakieś stary Maksymko z Jaworza przeczyta nam coś z książki grubej i wiadomości swoje z tamtego świata opowie.

A przecie, na przekór tym najciaśniejszym granicom życia i zmęczonego ciała, ludzie lubią tę wiatrę wieczorną. Wspominają ją potem mile. Watra nie tylko grzeje, nie tylko karmi. Watra ściąga gości z pobliskich osad, watra zbliża ludzi, watra cieszy. Samotności i to często jakiejś niesamowitej, mają dość. A tu przecie nikt nikogo nie wiąże, każdy swobodny, robotę opuścić mógłby kiedy zechce. Oddalenie od chat, od rodzin, a także od trosk zwyczajnych wynosi prawie ponad codzienność. Ludzie mają zawsze sobie coś do powiedzenia. Rozmawiają więcej niż kiedykolwiek.

A o czym? Rankiem — o własnych snach. To jakby nowiny skądś. Długimi wieczorami o gadkach dziadowskich, wspomnienia pasterskie i myśliwskie. I sięja się później powieści od wsi do wsi. Watra koliby leśnej potrafi wetkać w jakąś tkaninę wzorzystą takie dumy i takie marzenia, które zagasłyby bez niej.

Kiedy indziej mówią o sprawach dnia, o wieściach ze wsi, ba, nawet o polityce. O jakiejże? Jasna rzecz, że nie o wiedeńską ani o stanisławowską, ani nawet o kosowską. Ale tak o swojej własnej żabiowskiej, o krzyworówniańskiej — czemużby nie?

Co dnia niemal grają i śpiewają. A w święta niejedną pieśń ułożą, która powędruje stąd wsiami, wciśnie się w przysiółki odległe, jak wciński pstrąg w najmniejszą strugę wodną.

A przecie jasne, że w pracy związanej tak ściśle z przyrodą ziemną a twarą, rozkazuje przyroda.

Powiada Foka do spuzara:

— Dobrze wam tu, dobrze powiadacie? Ale czy nie za dużo tego? Jak to jest kiedy zawieje śnieżne hulają, albo odwilż, albo powódź? Czyż nie chorujecie?

— A co? — przerwał niebieskooki Jurijko — mój ojciec latował dwadzieścia pięć lat po poloninach, a oczy takie ma, że tylko w dal patrzy jak płacha. Powiada, że takiej hańby jeszcze nie zaznał, aby wiosnował czy latował w chacie i spał na grubie albo na łóżku. Oj, nie! Tylko tam w staj, na sekatę laweczce albo na podłodze ubitej koło watry. No to i ja mogę przeczimować jakoś dwanaście zimek tu na Ruskim.

— I nie chorujecie? — powtórzył Foka.

— No, prawda, ot, Czornycz chciał naśladować Matijka Zalenczuka i tak dla zakładów berbeniczkę pełną bryndzy

nosił w zębach. A on z innej kości. Popsuł zęby, więc chorował.

Śmieli się wszyscy, i sam Czornysz, śmiejąc się, pokazywał przy wtrze szczyby w zębach.

— Widzicie jak chorujemy? Chybaby kłoda — chybaby prjeczka 19)....

— Oby Bóg dał szczęśliwie — wtrącił pośpieszne spuzar — bo tu co dnia, co godzinę —

A właśnie w kolibie leśnej najmniej pamięta się o codziennych niebezpieczeństwach, które czyhają w butynie. Czy może tylko do najmniej się o nich mówi? Bo po co wywoływać biedę? Czasem jakieś takie słowo niepotrzebnie wyleci z gęby... Jak nietoperz niesamowity, jak ognisty ptak.

Od kiedy Foka z robotnikami weszli do koliby, zanurzyli się w dobrotliwej monotonii, która każdego grzeje i niesie każdego jak fala snów, dokąd dusza tęskni.

Tymczasem już z wieczora zalopotala ciemna wieść. Obiegła wiatrę. Oto jeden z Italianów — Kamio — powiadano — nie wrócił do koliby. I dalej. Pytania czy pewność?

Pewnie coś mu się przydarzyło. Co dnia obchodził i sprawdzał ryzy. Może tym razem kłoda...

Zazwyczaj Kamio wracał z takich wędrowek sam o zmroku. Teraz noc już a nie ma go nie ma. Wolano go, gwizdano, nawet w trembitę zagrał spuzar na alarm. Nadaremnie. Cóż robić? Spory zastęp robotników z lusznicami 20) smolnymi, z bronią, z lopatami i z czekanami wybrał się do lasu na poszukiwania. Faka poszedł z nimi. Z trudnością odnaleziono zmarłego Kamia i to nie przy ryzie, lecz głęboko w śniegu na dnie wawozu. Nie było na nim znać ani ran ani obrażeń szczególnych. Może musnęła go kłoda zaledwie. Może zląkł się, zachwiał i zabił się, padając w przepaść?

Okolo północy przyniesiono ciało, ułożono na łożu smerekowym przed kolibą i przykryto starannie kożuchami. U wylotu lasu rozpalono wiatrę. Spuzar często wychodził z koliby, wyciągał na trembitcie pogrzebowe nuty, łagodnie smutne lecz donośne. Z daleka wracało echo, odpowiadały lasy. Leśne wawozy na Ruskim nie słyszały dotąd takich tonów. Same lasy umierały cicho.

Foka wykladał przyniesione zapasy i traktował wszystkich.

— Patrzcie, tu coś ciężkiego — zdziwił się — ha, to Tanasenko mi wetkał po cichu, taki ser wielki jak glaz, abym broń Boże, nie zgłodniał. — śmiał się Foka. Siegnął do drugich beśahów po wódkę. Patrzy i tam także coś ciężkiego. Ha, to ta sama berbeniczka z której pili wczoraj, znów napelniona. Postarał się Tanasenko. Któżby go nie poznał.

Kosztowali wódki Tanasenkowej starzy i młodzi. Delektowali się.

— W tej wódecie delornej 21) — mówił Foka — i Tanasenko cały i cała Czarnohora.

— Czemuż Czarnohora? — zapytał ktoś.

— A no, probujcie — odpowiadał Foka — i miód jest, miodu sporo i macierzanka i koper i jałowiec. Malo tego. I dzieńdziora 22) z Czarnohory. Aby płuca, były zdrowe, abyś cię-

zary lekko dzwigał na plecach. No i skusywnyk, widzisz, a-
byś się nie przestraszył w lesie.

— A może i madrygan 23)? — zapytał Jurijko Hrabczuk.

— Pewnie że jest. Ano rozeznajcie dobrze.

— Cmokali, kosztowali dokładnie.

— Hospody — przeraził się prawie Jurijko — toż nam się
zaraz przywidywać zaczął duchy, a biedny Kamio zasiadzie
tu z nami do wódki.

— Nie bój się, nie bój się, — odpowiadał Foka — Tanasen-
ko mądry, słodkiego miodu dał hojnie, cierpkości i goryczy
nie pożałował. Wszystkiego w miarę. No, i madryganu wpu-
ścił parę kropel. Tyle co trzeba. Tak dla szaleństwa. Bo bez
durijki — smaku nie ma ten świat jak bez wiatru.

— Oby tylko, broń Boże, budykrowci nie dosypał, bo to
zielen dla nas niepotrzebne i niebezpieczne. Kobiet tu nie ma,
a jak zdurniejemy, zacniemy wszyscy obejmować spuzara i
tulić się do niego. Licho nam będzie.

— Śmiali się wszyscy. Smakowali czarowny napitek. Zakąs-
wali to wędzonką, to serem, to korszem.

I tak, sam z siebie, bez tego by ktoś postanowił, by ktoś
nakazał, zjawil się — znany nam już — stary obrzęd czuwa-
nia przy zmarłym — posiżinje 24).

Naprzód pytania i odpowiedzi żartobliwe, potem przypo-
wieści, gry, przedstawienia zabawne, dowcipy, okrzyki, a na-
wel, prawdę mówiąc, błazeństwa, tak jak zawsze. Tym za-
bawniejsze to wszystko, że siedzieli w kuczki, w ciasnocie,
głowa obok głowy, ramię obok ramienia. Josenko przynależ-
ny do gór i obyty z ludźmi, chociaż nie brał udziału w obrze-
dzie chrześcijańskim, przecież popijał wraz z innymi, zaką-
sywał swoim własnym chlebem i serem Tanasenkowym. U-
śmiechał się przystojnie wtedy, kiedy trzeba było. To znów
spuzar wychodził z koliby, znów trembita smęciła się wspom-
nieniem i żalnością. Wtedy milkli wszyscy, przerywało się
posiżinje. Po czym znów gwarnie huczala czuwająca koliba.

Tylko Italiany i Grany spoglądali zdziwieni, porozumiewa-
li się spojrzeniami przerażeni prawie, jakby w tym obrzędzie
było jakieś szyderstwo czy świętokradztwo. Następnie znuże-
ni i zniechęceni drzemali. Przedrzemawszy się budzili się i
ziewali. Spoglądali niechętnie, ponuro. Zapewne bardziej niż
kiedy indziej czuli się opuszczeni, osamotnieni w obcej pusz-
czy, wśród obcych ludzi na krańcu świata.

Foka siadając w kuczki przed każdym z Italianów zapra-
szał i traktował każdego z osobna. A widząc co się święci, że
Italianom nie w smak taka uroczystość, rozmawiał z każdym
z osobna. Przystojnie pocieszał Italianów, rozpytywał o Ka-
mia, o jego pochodzenie, jego rodzinę. I zapraszał wszystkich
do siebie na Jasienowo w gościnę. I mówił tak:

— Wy może myślicie sobie, że nam nie bardzo w głowie
Kamio, że nie żalujemy go bo obcy. I dlatego zabawiamy się.
Przeciwnie! ten stary obyczaj chrześcijański jest właśnie dla
pocieszenia żalności.

Italiany nie przekonani, zakłopotani kiwali od niechęcenia
głowami, wrzuszali ramionami i znów spoglądali jeden na
drugiego. Co prawda i oni także nie wiele wiedzieli o zmar-

łym. Tyle tylko, że był niegdyś skoczkiem cyrkowym, o ro-
dzinie nie opowiadał, zdaje się, że nie miał rodziny żadnej.
Dobry był chłop — powiadali — żarty lubił, sztuki cyrkowe
pokazywał, jednak poważnie sam po lesie chadzał.

— Mając przed sobą człowieka, tak grzecznego, który rozumiał,
o czysty italiański język, Mario, odpowiedział Foce nieco
śmiejąc.

— Nie dziwcie się, sinjor, żeśmy markotni i smutni. Od
kiedyż to przy zmarłym towarzyszu weselić się trzeba? I u
nas czuwają przy zmarłym, ale jak? U nas, u chrześcijan, po
bożemu ewangelię czytają, u nas przez całą noc śpiewy poboż-
ne śpiewają. A tutaj? Tu pociechy żadnej nie ma. Od tego
śmiechu hucznego, od zabawy — to chyba smutniej jeszcze
i serce boli. Cóż dziwnego? Dla nas to wszystko bezbożne, po-
gańskie i grzeszne... Nie gniewajcie się, sinjor, ale skoro py-
tacie....

Foka przetłumaczył słowa Maria swoim i wówczas jeden
przez drugiego przysuwali się ludzie do Maria, siadali w
kuczki obok i przerywając jeden drugiemu dogadywali ser-
decznie, przekonywali gorliwie.

— Tacyście sprawni ludzie, bywali i grzeczni, a nie rozu-
miecie, że chcemy was pocieszyć —

— Obyczaju chrześcijańskiego nie rozumiecie. Posłuchajcie,
popatrzcie.

W takim nieporządku Foka nie mógł dać rady, nie mógł
tłumaczyć co każdy mówił.

Co więcej, ożywił się także Josenko. I on pochwalał stary
obrzęd chrześcijański. A wtrącając rumuńskie słowa i kale-
zcząc je — bo sądził, że może łatwiej go zrozumieją Italiany —
tłumaczył powoli, poważnie. Wszyscy słuchali w milczeniu.

— Najświętniejszy nasz rabin, nasz chasydzki rabin, to
znaczy najbardziej pobożny nauczal. A to głowa jasna! Co tu
dużo mówić! No, jak to słońce tam wysoko, na Ruskim — na-
zywał się Reb Nachman fyn Braclaw. On powiada tak: Kie-
dy na święta smutność w kacie płacze, to trzeba je objąć, przy-
tulić, ot tak, no i porwać do tańca. Niech i smutność tańczy!
O! to jest zwyczaj nie byle jaki! to pobożny, solidny zwyczaj.

Foka raz jeszcze starał się wytłumaczyć Mariowi i Italianom
że obrząd to najbardziej chrześcijański. A także, według ży-
dowskiej nabożności — jak nam to świadczy Josenko —
przystojny, wskazany.

My wcale nie mówimy, że wasz obyczaj pohany, czy po-
gański, czy te śpiewy żałobne, czy czytanie nabożne. Broń Bo-
że! Tylko, że znasz obyczaj stary, — od ojców i od dziadów i
pradziadów naszych starszy, najlepszy dla nas. I nas przeży-
je. Starzy ludzie tłumaczyli, że nam niepotrzebne żałobne
pieśni, bo by stracili ludzie rozum od żalności. A czemu? To
zdaje się zrozumieć łatwo. U was sąsiedzi blisko, u was i u-
liczka i kościół i dzwony — A u nas? Każde osiedle daleko od
świata, każda chata daleko od drugiej, a dawniej jeszcze da-
lej była. Zajedzie sobie śmierć do chaty, jak moży pan czwór-
ką. Kto wie skąd? Wtarabani się hardo i bezlitośnie. I chap-
nie sobie kogo zechce. I spanieje: ja tu pan! ja gazda tego
świata! No i innym, żywym zęby pokaże, do ściany przyprze,

do podłogi zniży, zniaczy. Wtedy jak tylko trembita da znać, że ktoś umarł w chacie, nasypie się zewsząd narodu do chaty, jak liścia. Odprawiają posiżinje. No, i śmierć przykucnie w kącie. I już się nie sadzi. Lecz wdowy rozpaczają, od zmysłów odchodzą, sieroty jęczą a nawet sąsiadki-placzki rzewne śpiewają płacze. I wtedy sąsiedzi, przyjaciele i goście nie opuszczają ich, czuwają całą noc, cieszą ich tym obrzędem, smutkowi i śmierci nie dają przystępu do żywych. Bo smutek gryzie człowieka, suszy go i dusi. I tak pół żywego ku śmierci wlecze. A jeszcze gdzieś po drodze do grzechu, to mielibstwa, i do złości zaciągnie. A te stare gody pocieszne łączą nas, wiążą, trzymają razem, lepiej niż praca. Lubią się wtedy ludzie, przyjaźnią się. I zmarły to widzi i na pewno rad temu. Bo to po ludzku. I Bóg to widzi. A czegoż więcej żąda od nas? Więc to po bożemu. Tak jak gdy jeden liść oderwie się, na ziemię spadnie, bukowinka zaszumi zielona, zagra. Tak i my. A tu w lesie, w kolibie — nie mniej niż gdzie indziej.

Mario słuchał poważnie. Zapatrzył się gdzieś. Rozpogodził się, Italiany kiwali głowami przyjaźnie, ściskali dłonie Foco, znów popijali, traktowali się wzajemnie. Teraz gazda Foka zwrócił się do swoich.

— Posłuchajcie i wy. Nie w tym błąd, że się weselimy, to jasne, to każdy wie. Lecz przecie niedostatek w tym, że nikt tutaj nie zapłakał. Bo ten stary obrzęd to już na pewno nie go rzej jest pomieszany niż delorna wódka Tanasenkowa. W nim i śłoby i śmiech. I rozpacz i durijka. I gorycz i radość. Bez tego wszystkiego razem posiżinje nieważne. Bieda tylko w tym, że my Kamia nie znamy, nie wiemy o nim nic, ja sam nie widziałem go na oczy, a nawet Italiany nie dużo o nim wiedzą. Dlatego proszę Andrijka Płytkę, aby mu zagrał na flojerze starą prywil 25).

Z mroku, z kąta koliby wynurzył się zgięty do połowy wysoki chłop z flojerą w ręku. Podobny był do innych z rodu Płytków, których Foka znalazł z Krzyworówni. Oczy miał piwne, pełne, przepastnie śmiałe, jak u sępa z marmaroskich gór. Przeżywano go żartem w butynie a potem i po wsiach: śmierć leśna. Bo Andrijko Płytkę, to wiadomo było, wcisnął się w najdalszą głusz leśną. Rąbał sam bez towarzystwa. Nad przepaścią, czy na dnie wąwozu, najgroźniejszej baszcie dawał radę. Rąbał śmielej, sprawniej i prędzej niż ktokolwiek w całym butynie. Gdy wszedł w głębie lasu na Ruskim, gdzie najtrudniejszy dostęp, przysiągłbyś, że to już koniec świata, że człowiek poraz pierwszy tam zaszedł. A tu nagle — stukanie siekiery. Tam rąbał sobie Andrijko — „śmierć leśna”. Kto by nie znalazł Andrijka Płytkę myślałby może, że to ponury człek czy niemrawy. A pobratymi jego i sąsiedzi wiedzieli i domyślali się co korzeniło się w głowie Andrijkowej, kiedy ścinał a potem wykorzystaniał stare drzewa. I po co nypał po zakątkach puszczy? Troską jego było wyszukać żyzną ziemię i to na stokach niezbyt stromych a zacisznych, aby zawczasu kupić od pana dla siebie, dla swoich, dla sąsiadów z Krzyworówni. Łąki słoneczne, sady czereśniowe i sliwowe. To mu się marzyło. Śmierć lasom starym niósł, a dla nowych osied-

li — życie. Przez to może Andrijko wcale nie stary, nie miał więcej niż lat czterdzieści, stroskany czy spracowany wyglądał o wiele starzej.

Andrijka zwano jeszcze dawniej — szeptun, bo mówił cicho, ważko. Zanim zagrał wyszeptał z namaszczeniem:

— Dobrze o tej bukowinie mówicie, Foko, zielona ona, soczysta. I chrześcijanin bez śłoby soczysty nie będzie. Cóż? Kiedy ten biedak, nasz pobratym, Kamio, taki pocieszny, taki przyjazny człek — a zakryty był za życia od świata — tak jak teraz. Nie skrzywił się nigdy. Nikt o nim nic nie wiedział. Ja jeden może... Opowiem potem. Tymczasem niech go wspomina prywil.

I zagrał Andrijko na flojerze „umarłą nutę”, basową jednostajną. Żalobnie ją rozciągnął. W monotonii zawisła długo a pewnie jak czarny ptak czuwający w locie nad milczącą puszcza. A potem jednym uderzeniem skrzydeł wlatywała daleko od ziemi. A potem jeszcze kwiliła jak sokół wędrowny, gdy mu rębacze wybierają ze smereki miękkie białuśkie pisklęta. Jękiem monotonnym — gdyż nie dany mu inny wyraz — a przecie sama skarga żywota wzywa mroczne puszcze. I odpowiadało mu z puszczy dudnienie głuche. Milczące umieranie. Poddanie się śmierci groźnych lasów. — To znów gawęda szeptana poufnie ze zmarłym, tak przez próg koliby, tu życie a tam śmierć: ty bracie dziś, a my jutro.

Obok Andrijka siedział Jurijko Hrabczuk Fedczukowy, niebieskooki parobek z rozwianą, skrzydlatą czupryną. Patrzył przyjaźnie, prawie z podziwem na mistrza muzyki leśnej. A gdy flojera rozkwiliła się w zadumane łagodne tony, Jurijko wplątał w leśną nutę stare zwrotki. Dośpiewywał szeptanym basem:

Oj, kowała zazuleńka, kowała, kowała
A jek przyjszła tjeżka zymka, ona se schowała.

Andrijko wciąż wpatrywał się nieruchomo, uważnie, surowo w zmienną wicherzącą się watrę. I znów grał monotownie. Lecz wciąż chwytł skądś, ze świata leśnego i ze świata ludzkiego nowe smutki, to przenikliwe, to cieniuchne. Po ziarnku jęku dosypywał i po kropelce westchnienia. Potem rześnie jak deszcz sypały się westchnienia tych, co trzudzą się i co umierają w puszczy. Dzieje-nadzieje strudzonego człowieka. Dziś rano jeszcze śpiewał z przepaści ku górze: klej-hou! I w mroku leśnym i w zaspach śnieżnych tęsknił do jakichś ogrodów kwietnych, do winnic nad morzem ciepłym.

Znów Jurijko wsnuwał szepciem zwrotkę za zwrotką:

Pytajutsy wsi ludy
De nasz Kamio diwsky?
W polonyni, u Czarnohori
Hrib zazelenywsky.

Andrijkowa flojera wciąż spajala westchnienia ludzi z westchnieniami umierającej puszczy, z niestrudzoną wiecznym tętnieniem potoku Ruskiego.

Foka uważnie przypatrywał się Andrijkowi. Gdy watra przygasła, chude, kościste, zaledwie obciążone sniadą skór-

ra oblicze Andrijka żółkło i gasło. Znów buchala watra. A na strudzonej twarzy rozplamięły się pełne oczy, oczy śmiałe do orlego zuchwalstwa. „Leśna śmierć...”

Andrijko grał dalej. Foka oglądał sobie zmęczone lub zamane twarze robotników. To wybuchala watra na chwilę, to belkocąc, szepcąc przygasala. I twarze tak samo. Ci ludzie co dzień bliscy śmierci, na chwilę wypływają z ciemni jak z wody czarnej, wybliskują jak z mraki ciemnej. I znów pogrążają się w mroku. Może nie dziwota, że przeraził się stary Tanasenko?...

Gdy Płytko skończył grę, ożywiła się znów koliba. Traktamenty, żarty, pojedynki słowne i wreszcie przedstawienia pocieszne. Nikt by nie domyślił się, że to po całodziennej ciężkiej pracy.

Zu—zu—zu — zu—zu—zu — gruchał chór basowy, a odpowiadał mu drugi chór z przeciwległego kąta, cieniutko a melodyjnie naśladujący głosy kobiece — zu—zu—zu — zu—zu.

„Zużukalo”, grało głośniejsze niż watra. To był wstęp, mimo woli rytmem rozkolywał i wciągał wszystkich.

Dary boże chadzają także po puszczech i żaden stary obrzęd nie obejdzie się bez nowego talentu aktorskiego, który ożywia go i wskrzesza. Na dzisiejszy wieczór powołanie takie poczuł w sobie Petrycio Sopenuk, ospowaty, zwiędły i małomówny parobek, osadnik bystrecki, zamieszkały niedaleko butynu.

Naprzód odgrywał kozę rogatą. Ukostiumował się jak można było najlepiej, a ponurego spojrzenia umiejętnie użył jako kruszka dla sztuki mimicznej. Rozeźlona, pelechata, rozczochrana koza zuchwale szasta się po kolibie. Młodzi chłopcy drażnią ją, szarpiają za kudły i za ogon. Koza wybalusza oczy coraz groźniej. Siopeniuk dobywa z siebie głosu nie kozy już lecz raczej buhaja. Śmiech ogarnia kolibę. Co chłopcy przybliżą się, koza skacze, kopie, gryzie. Znów ryczy, znów grozi wzrokiem. Chłopcy przybierając dziewczynskie głosy piszczą, niby to w przerażeniu. Podchodzi Siopeniuk do Italianów na czworakach. Nos wykrzywia, węszy i parska, tupie na nich. Patrzy długo, balwanowało, grozi i warczy. Nie wytrzymali Italiany. I ich zaciągnęła dziecinna zabawa. Zaczyna drażnić kozę. Jak skoczy na nich koza, jak ryknie. Uciekają, przewracają się. Faluje koliba jak tratwa na Czeremoszu. Petrycio pokazał w końcu, że nie poszła w las nauka cyrkowa. Jak zwinie się koza poleczana w kulę, tak właśnie jak Kamio pokazywał, jak się potoczy ku wotrze! Aż sagany poroztrąca, aż na węgle zaleciała! A tam wrzaśnie przeraźliwie. Pa dają okrzyki: „Hospody! Kamio, istny Kamio z cyrku”. Lecz spomiedzy nóg zwinionych na szyję nie wesole oczy Kamia wyglądały, lecz wybaluszone, niby groźne oczy kozy-Siopeniuka.

W najwygodniejszym w kolibie miejscu, plecami ku wotrze oparty o barfełę, na gładkim odziomku pnia siedział najstarszy bystrecki gazda Skuluk, wnuk pierwszego osadnika, który zamieszkał pod Czarnohorą. I olbrzymi wzrost i wystający kościsty podbródek i potężny nos, wszystko w postaci Sku-

luka ma cechy wielikańskie. Gazda-olbrzym, rozgarniając długie, gęste włosy, spadające aż na ramiona, z widocznym zadowoleniem ogląda posizinę. Koza obchodzi Skuluką z jednej i z drugiej strony. Nie waha się warczeć groźnie także na niego. Skuluk umie sobie dawać radę z chudobą. Dobrotliwie klepie po kudlach zdziczałą kozę. Głębokim basem uspokaja: „Szu-szu-szu niebogo. Aj, ty bido luba! Kapusty by ci, kapusty? A może by na poloninkę zieloną?” Koza szanuje gazdę, odchodzi.

To tylko przerwa. W drugim akcie koza staje się niesamowita. Szaleje jak wilk w zagrodzie owczej, kiedy go opęta szal krwi. Oszalala koza w rozmachu przewraca ludzi, siedzących w kuczki, przeskakuje przez głowy, stuka głową o głowę, gryzie za uszy i gwizda w uszy, dmucha w nos, chwyta za nogi i wywraca. Skacze na wotrze aż rozpryskują się iskry. I co tu mówić, zmienia się w nietoperza. Chwytając się słupów dachu błyskawicznie skacze od słupa do słupa, huśta się nad głowami, skoczy komuś na głowę, zmyka pośpiesznie i wciąż grozi z góry.

Italiany znów spoglądają jeden na drugiego: czymże to się skończy?

Tymczasem Siopeniuk osiągnął sukces rzadki. Postawił na nogi całą ludzkość koliby przeciw upiornej kozie. Ale też opętał ludzi kozim szaleństwem, wszyscy chwytają się za ręce i ruszając wielkim kręgiem, jak kółem tanecznym, osaczają kozę. Z konieczności zgięci krają w potężnych prysiadach, arkanach. Porwani wirem hasają wokół watry, Italiany i Grany, chcąc nie chcąc, płasają także. Zkoczony szaleństwem krąg taneczny, uzbrojony w bardki i pistolety, poluje na kozę. Już podlatują w płasie z gwizdem bardeczki i już grzmiały starowieczne krucice jak armatki. Po strzałach nie mie widać prócz zamglonego blasku watry. Duszący dym prochu zalega kolibę. Krąg hasa w mroku z dzikimi okrzykami:

Ha! koza, będzie loza!

Ścisną się coraz ciasniej wokół watry. Nadaremnie koza nietoperz czepia się belek dachu. Ściągną ją za nogi i prasną obok watry.

Tam siedzi Skuluk, Foka i inni gazdowie-goście, z nieporuszonym uśmiechem, jak kapłani opętanego tańca-ofiary. U ich stóp szuka koza schronienia. Raz jeszcze jej szal wystrzeżli w dziurawym uszy piekielnym wrzasku. Odpowiadają jej lasy, echa porywają opętane odgłosy, niosą przez noc zimnową po wąwozach, po potokach. W końcu słabnie koza i jej szaleństwo. Zwycięzcy powalili ją obok watry. Dziesiątki rak sowiecie wała i trzepią ją po skórze z kozuchów. Zdzierają skórę z kozy, niosą ją ku wotrze na ofiarę. Koza dojekuje osłabionym głosem, ludzkość triumfuje hucznym śmiechem. Znów odpowiadają lasy.

Siopeniuk z kwaśnym uśmiechem zbiera swe kości i wstaje. I zbiera głośnie uznanie. Padają okrzyki: taka ma być koza! Nie, takiego jeszcze nie było, obyś wiekował, Petryciu słodki!

Mario dodaje: teraz już na pewno śmierć się przeleciała. — Rozochocony uznaniem, Siopeniuk kierował całą zabawą, dawał przedstawienie jedno za drugim coraz to inne, nie

mniej pomysłowe. Naprzód baba zazdrośnica, klepała dziada po kożuchu. Znów ruch się zrobił i perwertes nie gorszy niż z kozą. Potem cicho, przykładnie, na palcach weszli Żydzi kupować młyn i targować szczecinę. Siopeniuk przypiął sobie i towarzyszącej brody i pejsy z klaków konopianych. Młyn dudni i turkocze równiutko. To chłopcy ukryci pod ławą. Kupcy obchodzą młyn, nabierają ochoty, cmokają: „fajny młyn! Ja daję setkę”. Nabierają śmiałości, targują coraz głośniej. Licytują się: „Ja daję dwie setki, ja daję trzy setki”. Zawisłi i rozgorączkowani kupcy klócą się, skaczą sobie do oczu, wydzierają brody. A wszystkie siedząc w kuczki. W ostatecznej rozpaczce wołają Josenka na rozjemcę. Mimo woli wciągnięty do zabawy Josenko, z udaną powagą rozstrzyga spory. Nie szczędzi kupcom cierpkich słów. Nagle kupiec-Siopeniuk, zdławionym głosem jakby wleciał do jamy, woła o sprawiedliwość: „Oj, reb Josel, reb Josenko, ratujcie mnie co te rabuśnik. Niby to zniecierpliwiony Josenko przybiera minę surową, wyrzuca za drzwi wszystkich hałaśliwych klótników. Na dworze wyrzuceni kupcy zawzięcie klócą się dalej.

I dalej się bawia. Zjawia się Ormianin, gruby kupiec, z wypchanym brzuchem. Wierzcem jedzie na koniu bujnym, rozhułkanym. Koniem jest Siopeniuk. Wciąż staje dęba i wierzga. Jednym skokiem rzuca się ku wiatrce, usiłuje tam zrzucić jeźdźca. Lecz następuje chwila groźna: jakby spod ziemi wyrosli otaczają kupca rojem, zamaskowani i uzbrojeni, chłopcy leśni, opryszki. Watażko woła dziarsko, niby po rycersku: „Panie kupczyku solodenkij, pieniądze albo życie!” Przerazony Ormianin usiłuje schować się pod brzuch konia. Wówczas wieszcy koń podszeptuje Ormianinowi odpowiedzi. Zaczyna się targ z opryszkami. Grzeczny Ormianin uspakaja napastników. Obiecuje im wszystko, ale nic nie daje. Znów radzi się szepciem z koniem. Watażko sądzi się to hardo, to wielkodusznie. Koń pokrzywia się watażkowi. Potem roztrąca wszystkich i ucieka galopem wraz z jeźdźcem.

Siopeniuk uzyskał sobie uznanie całej koliby. Każdemu słowu, każdej minie Siopeniuka towarzyszy wicher śmiechu. „Obyś doczekał, bratczyku Petryciu!” Italiany naśladowują ruchy i miny Petrycia, klepią go po plecach z uznaniem. Wszyscy traktują go na wyścigi.

„No i cyrk się zrobił u nas, na Ruskim, — powiada basem stary Skuluk — pocieszny jesteś, synku!”

Potem jeszcze wspominało Kamia. Andrijko Płytką przymknął oczy, uśmiechnął się gorzko. Opowiadał ważkim szepciem. Słuchano go nie mniej uważnie niż przedtem flojery.

— Bywa tak u nas — mówił Andrijko — że narzeka ten i ów: to, że mu ciasno przy wiatrce, bo w kupie wszyscy, a tu człek nie ma kąta swego, gorzej niż niedźwiedź w gaurze. To znowu, że tańczyć nie ma gdzie w kolibie. Malo mu tańców ze smerekami? To znów, że mu ciemno! A od tej jasności na śniegu, tam w puszczy, to światłość wiekiusia może ogarnąć! Toż prawdę chyba powiem, że narzekanie takie, to migi jakiejś durne. Towarzystwa ci za dużo? haj, jak pobędziesz sam w niesamowitym kącie leśnym, to odcieci ci się być samym. A tutaj w kolibie i watra — oby się świeciła — grzeje nas,

jak ridna mama cyćka. I spuzar — daj mu Boże zdroweczko — jak ojciec rodzony, nakarmi, usłuży, dobre słowo powie. O, Kamio, ty Kamio! Gdybyś tu był razem z nami...! — A przechodził przecie każdy z nas obok niego co dnia, a żaden nie zapytał: „A może ci coś brakuje? Dolega coś, Kamio?” Ale teraz, to każdy by pytał: „Kamio, co z tobą, Kamio?” Oho! — Co tu dużo mówić, mnie nikt nie zdurzy: my dzisiaj przecież cały wieczór o nim tylko myślimy wszyscy. A tak. Każdy z was myśli bez przerwy o Kamii. A co to za dziwny chłop był! Dobry jak chleb. Jak ptak chyży. A zaradny, a wesoly — choć by nie wiem co! Spotykaliśmy się nieraz. Ja tam gdzieś głęboko w lesie rąbię sam, a on tędy i owędy sam sobie chadza. Raz rzyzy kontroluje, innym razem zakątki wszystkie przesukuje, czy gdzie jakie drzewo pod śniegiem nie zostało, aby się nie zmarnowało! To jego robota była. Chodzi sam tak po lesie i nieraz sobie zaśpiewa po italiańsku i zwodzi tak jakoś: „Kebela, koza baczjar ljaroz”. Powiadam do niego: „Co tobie bracie Kamio wciąż ta kobyła i koza w głowie?” A on w śmiech: „Idź het, Andriko! to nie kobyła ani koza żadna, ino dziewczyna kraśna kapujesz? Tak aby ją pocałować...” To mu w głowie było! I to wam powiadam, bo wiem: on poszedł w puszcę, na te roboty, przez to, że był sam, samiutki na całym świecie. Mówił mi to, po naszymu, tak jak potrafił: „Mama nima, tata nima, brat nima, żona nima. Niente, niente, nima! Tak ja na ferowija, (to po ichniemu kolej) i aż tu — na butyn...” I to wam jeszcze powiadam: on zginął także od tego, że był sam. Jedno, jedyne słowo uratowałoby go. Jedno słowo zatrzymałoby go tam, przy rzyzie. Strzeptałby z siebie strach, nie zleciałby do przepaści. Bo tu jeszcze w tym rzecz. Ja na przykład, niby to sam jestem, ale nie sam. Z lasem potrafię się rozmówić, a Kamio, choć lasu się nie bał, przecież mowy nie znał leśnej, ani przemówek nie znał, ani słów, tych — pierwowiecznych... A przecież jego słowo ludzkie, ludzkie słowo Kamia mnie wyratowało. To było tak.

Śmiejecie się ze mnie nieraz, że ja „śmierć leśna”. A mnie raz byrnie w puszczy w pulapkę złapały. I przez całą noc nagrywały się ze mnie Bidy różne i Czorty leśne. Strachu mi nasypały i dały smak: jaka to śmierć leśna. Było to przed świętami, chciałem narebać machem jak najwięcej, aby z głową swobodną do chaty pójść na święta. Spieszylem się, rebałem, pilnowałem, za porządkiem jak się dało najprędzej kłodę za kłodą, basztę za basztą. Już wcale nie czyściłem galezi, nie robiłem porządku. To na potem. Gruchotała jedna kłoda za drugą, jedna koło drugiej padała. I spletało się to galeziwo niesamowicie jakoś. Po robocie, przed wieczorem co prędzej chcę do koliby wracać, zbieram się, a tu „hodi”. Nie puszczaj mnie. Nie mogę wybrnąć. Drapię się po jednej galezi, buchnę z powrotem ma dół, drapię się na drugą. A to złapały mnie galeziśka, zdzierają ze mnie serdak, drapią, ranią. Nie puszczają. Rozerwałem serdak, ledwo się wyplątałem. Próbuje wtedy dołem się posunąć; a tu obróci się jakaś tego gałąź, zgniecie mnie, myślałem, że zadusi. Złapały mnie byrnie w kleszcze swoje. Tymczasem zmrok, noc. Jak zwieje się wicher, jak zatańczy mi na głowie zawieja, a w pobliżu nie ma ani jed-

nego drzewa, żeby się schować. Sam przecież wyrabiałem wszystko. Świat się zaciemnił, śnieg sywał jak z worka i przysypał i byrnie i cale to galeziwo piekielne, a mnie na samym spodzie. A koło północy jak ci zaczęła Bida wicherowa hulać nade mną. Nie żarty to ani, broń Boże, nie byłem pijany, ani mi się nie przyśniło. Nad uchem świstała mi Bida, kąsała mnie w twarz ażem piszczał z bólu. I rechotała zawzięcie: ej-ha-ha-ha — hi-hi-hi-hi. Tak coraz zuchwalej szydzi ze mnie Bida i uraga mi głośno: „ty pysznosraka, Andrijku, ty chelpisz się, żeś śmierć leśna? Hi-hi-hi-hi! Widzisz teraz co to śmierć leśna? „Nasypała mi strachu Bida, ażem stęzał, ale nie zmogła mnie. No, niby to i po dobru chciała mnie złapać. Z daleka już potem tak słodziutko zawodzi, kolysze mnie Bida: „Luli, -luli, -luli, -luli — spać dziecinko, spaaa“

Byłem sam, ale nie sam. Słowa przemowne, słowa pierwowieczne miałem w głowie. A jakie? To już nie dla dzisiejszego gadania... Niech Bida szydzi ze mnie, niech zawodzi słodko, nie mnie dbam o to. Głośno modłę się i wyklinam głośno. A Bida jeszcze na inne sposoby się weźmie. Z daleka, z wierchu — przysiąglbym że prawda — słyszę głos matki: „Andrijku — Andriiiiiijj...“ A ja swoje, mówię, i powtarzam słowa, Przystępu do mnie nie ma. Patrze, a tu między gałęziami w śniegu coś szeleści. Ptak? Kania! Przebija się przez śnieg, ku r. nie podłeci, skrzydłem na mnie przyjaźnie machnie. Niech mnie Bóg skarże, jeśli to nie prawda. Oczy miała świecące, ostre trochę, ale mądre. Skrzeczy coś i nawet szepce bardzo cicho: „Andrijku! niech cię Bóg broni, abyś nie zasnął. To slugi biesowe tak cię kuszą” — „A cóż zrobić, ptach boża?” pytam — „Ocknij się, do kupy się zbierz, gałęzi nazbieraj, co — pytam. „Ocknij się, do kupy się zbierz, gałęzi nazbieraj, suchszych, watrę zrób, tam całkiem w jamie. Przesiedzimy przez noc”. I tak zrobiłem. Przy watrze grzaliśmy się i ja i ptak. Co tam sobie mówiliśmy, to już mówiliśmy... A te slugi biesowe, większe i mniejsze czortyki, nie miały do nas dostępu. Tak przebyliśmy tę noc ciężką. Nad ranem uspokoiła się za mieć. My z ptachą zagrzebani razem w śniegu. Próbuje tedy wybrnąć, wysilam się nad siły, tedy i owedy. Ani mowy! I jeszcze gorzej, dużo gorzej niż z wieczora. Chybabyś skrzydła miał. Myślę sobie: poszli ludziska na święta, nikogo w lesie już nie ma, oho! będę tu świętował na wieki! Już jasno było biało, miękko i cichutko, a drzemka taka słodka oplata mnie. Niech! Co zadrzemie, ptacha dziobnie mnie leciutko i szepnie: „broń się Boże, nie spij Andrijku” I tak kilka razy. Jakoś nagle w drzemocie coś słyszę, gdzieś tam w dole. Stukanie jakiegoś czy co? Nie, Przysłyszalo mi się. I znowu stuka coś... Ale skąd?... To watr o galezie stuka. Ale potem słyszę daleko w dole głos słabiutki: „kiebyła koza” — Hospody! to Kamio o tej dziewczynie swojej po italiańsku śpiewa. Zacząłem wciąć na niego i śpiewać, a on do mnie. Czekalem sporo czasu zanim przyszedł. I piłę miał ze sobą, i łapatę do śniegu, pracujemy cały dzień. On poprzez gałęzie, poprzez gestwiny, miny swoje do mnie robi. Ogrzał mnie od razu. I palcem mi grozi. Puka się w czoło, niby: gdzie rozum? Przerabaliśmy, przepielowaliśmy splecione gałęzie i przekopaliśmy przejście. Ptacha

czekała aż zbliżył się Kamio. Powiadam tedy do Kamia: „Ta ptacha boża i ty bracie Kamio uratowaliście mnie — „Jaka ptacha? — mówi — nie widzę żadnej ptachy” — Gdy tylko to powiedział, kania wzbila się w górę i uleciała. On nie widział, a ja widziałem. Uratował mnie Kamio. A jego — nie było komu uratować. Leśnych słów nie umiał, nie znał. Nawet tej kani wtedy nie zobaczył.

Posiznije przeciągnęło się do rana. Nad ranem Foka wraz z Matijkiem Zelencukiem i Jurijkiem Fedczukowym poszli na przysiółek nad Bystrec. Tam nad zakrętem Bystreca na lewym wysokim brzegu, nie dochodząc do klauzy w ustronnym miejscu, pod stokiem stromym stała wówczas kapliczka, którą zbudował stary pan ze Stanisławowa, Wojciech Przybyłowski. Wokół kapliczki był cmentarzyk. Tam wykopali grób dla Kamia i przygotowali razem z Matijkiem i z Jurą trumnę snerekową. I tam na trzeci dzień pochowali Kamia. Teraz na miejscu kapliczki tylko żelazny rzeźbiony krzyż, na miejscu dawnych grobów rosną stare lipy i brzozy. Na dole Bystrec szumi jak zawsze.

Po pogrzebie zwiła się burza śnieżna. Fala za falą, lawica za lawicą, jak szeregi biesowe, sunęły zamiecie z Czarnohory. Ziarnistym, ostrym śniegiem sypały w oczy. Pociemniał świat. Młode konie Foki bały się zawieruchy, stawały i zawracały często.

Wracając wstąpił Foka po drodze do Tanasenka. Tanasenko cieszył się jak zwykle i po swojemu pytał cierpko, jakby z triumfem:

— A co, Lodowa Baba Eudokja? Zmroziła ciebie?

— Mnie nie, Tanasenu, ale Kamia...

— Co? tego pajaca? E, gdzie takiemu lazić po naszych puszcach. Przemarzył, co?

— Na wieki przemarzył, Tanasenu. Do przepaści strąciła go kłoda.

Tanasenko otworzył usta, złapał się za głowę, całym ciężarem ciała zwałił się na lawę. Opuścił ręce bezradnie. Zerwał się przedziutko i skoczył do komory. Wyszedł z jakąś jaskrawą chustką, ocierając lzy. O przebraniu się do gościa całkiem zapomniał. Jęczał prawie starzec:

— Oj, durny ja, durny. Czemuż od razu nie zatrzymałem go u siebie. Oj, Boże, Boże... A wszystko potrafił zrobić. Kochała go chudoba. Przepadło! Żebym choć na posiznije był zdążył.

— Tanasenu, was także szkoda, nie martwcie się tak! I czyż nie mówiliście, że to nie gazdowska detyna? I coś tam o tym jedzeniu italiańskim...

Tanasenko popatrzył z podelba. Rozgniewał się naprawdę.

— A cóż mi teraz moją durnotę wspominasz, Fe! Wiesz kto gazda? Taki, co życie daje i ludziom i chudobie i trawom i pasznicy także. I — nie gniewaj się, Foko — taki co lasom też zostawia miejsce na świecie! Taki uznaje Boga. Oj, Kamio synku mój, Kamio, Hospody!

Gazda Urszega wciąż wstawał, wychodził, znow wracał.

Przyniósł tęga berbeniczkę. Zadymiony, nieuczesany usiadł koło Foki.

— No, pijmy, Maksymiuku, proszę cię. Durny ten świat cały, a ja w nim najdurniejszy.

— Ależ, Tanasenku, — opamiętywał Foka — taki gazda jak wy!

Tanasenko mówił ochrypłym, żalonym głosem:

— Puste to gazdostwo całe! To niewola, to pęta. Na śmiecie cisnąłbym to wszystko! Zostawiłbym na czortową didczą macz zatrajkotaną. Taj i tak, z paliczką, plajami, gościńcami, powędrowałbym gdzieś przed siebie... Trochę mi chudoby za!... Aby nie skrzydził kto — Haj, staro się dzieje i na świecie ciemno. Pijmy!

STANISŁAW VINCENZ

FRZYPISKI DO „SMIERCI LESNEJ”

1. ZERTWA — smok skrzydlaty.
2. BUTYN — przemysłowy wyrąb lasu.
3. BERBENYCZKA — mała bezczulka drewniana.
4. ZASOWA — lawina.
5. DYMALO — krwawy upiór w kształcie pęcherza.
6. SZCZYZNYK — bies.
7. CARYNKA — ląka sianokośna.
8. BABYCI — kurcze, skręt kiszek.
9. HRUBA — huculski piec z kominkiem i zapiekiem.
10. OPRYSZKI — zbójnicy huculscy.
11. BILANIA — biała okorowana kłoda.
12. BYRNIA — bierwiono.
13. BASZTA — największa kłoda.
14. MYROM — w pokoju (mír)
15. KERMANYCZ — kierownik tratwy.
16. DARABA — tratwa.
17. DRANICE — długie, ciosane siekierą gonty.
18. BERFEŁA — ruchoma kłoda, na której wieszają się sagany nad ogniem.
19. PRJECZKA — nieszczęśliwy wypadek, katastrofa.
20. LUSZNYCIA — luczywo.
21. DELORNY — zachwycający.
22. DZIENDZIORA — odmiana gencjany.
23. MADRYGAN — wilcza jagoda, (Atropa belladonna)
24. POSIZINJE — czuwanie przy zmarłym.
25. PRYWIL — melodia grała zmarlemu.

JANGI JUL

Gołębie i obłoki

W najbliższych miesiącach ukaże się nakładem „Instytutu Literackiego” książka Józefa Czapskiego „Na nieludzkiej ziemi”. Zamieszczamy w dzisiejszym numerze jeden z rozdziałów tych wspomnień, które biegną od wyjścia z obozu jeńców w Griażowcu aż do Meszhedu poprzez stępy nadwołżańskie Tock, Buzułuk, Moskwę, Jangi Jul, Taszkent i Aszhabad.

REDAKCJA.

Zaraz po moim wejściu do Propagandy otrzymałem list od ambasadora Kota z poleceniem, byśmy się skomunikowali w Taszkencie z pisarzem rosyjskim, Aleksiejem Tolstojem.

Ambasada Polska w Kujbyszewie wydała zimą obiad na cześć autora „Piotra Wielkiego”. Gospodarzem był prof. Kot, wybitny znawca XVI wieku w Polsce, obecni byli pisarze, dziennikarze, jak Parnicki, i Pruszyński. Atmosfera na tamtym przyjęciu była nadzwyczaj przyjazna, chodziło o podtrzymanie tych stosunków.

W tamtym okresie oficjalna, niedyskutowana opinia sowiecka uważała Tolstoja za największego ze swych współczesnych pisarzy. „Piotr Wielki” rozchodził się jakoby w milionie egzemplarzy rocznie. Pisarz pracował wówczas nad wielkim dramatem o Iwanie Groźnym. Celem dramatu było nie „odbrązowanie”, ale „ubrazowanie” Iwana Groźnego; zrobienie z niego tragicznego szlachetnego obrońcy ludu, a więc przodka Stalina. W tym samym czasie Tolstoj pisał artykuły do gazet, były one autorytatywnym wykładnikiem ówczesnego kursu wojenno - patriotycznego, opiewały bohaterstwa armii sowieckiej, narodów sowieckich, wielkość Aleksandra Newskiego, Kutuzowa, Suworowa:

„Nawet Aleksander Macedoński, Juliusz Cezar i Napoleon przegrywali bitwy — Suworow ani jednej bitwy nie przegrał” — pisał Tolstoj w lipcu 1924 r.

Te artykuły, pisane z dużym talentem przypominały „lubocznyje kartiny” (rosyjskie popularne obrazki i wizerunki),

pełne brutalnych uproszczeń były całe natkane zdaniami w rodzaju:

„Rosyjski naród jest dobry, i kocha dobro”.

„Czysta i surowa jest dusza bojownika czerwonej armii”.

Mówiono o przyjaźni Tolstoja ze Stalinem, że był przy tym jednym z najbogatszych ludzi w Rosji, kolekcjonował obrazy i antyki.

Powtarzano mi jego słowa na przyjęciu w Ambasadzie Polskiej, utkwiły mi w pamięci dwie wypowiedzi pisarza o inteligencji sowieckiej. Pierwsza podkreślała nacjonalistyczną jego postawę.

„Przedrewolucyjna inteligencja rosyjska — mówił — poza bardzo rzadkimi wyjątkami, nie poszła z rewolucją bolszewicką, rząd sowiecki był zmuszony zastąpić ją inteligencją żydowską. Dziś już mamy swoją inteligencję” — ciągnął dalej z dumą, „rosyjską, sami ją wykształciliśmy. Dzięki temu procent Żydów tak zmalał u nas na stanowiskach kierowniczych”.

Na zapytanie, co młodą inteligencję sowiecką interesuje najbardziej, Tolstoj odpowiedział po namyśle:

„Dostojewski”.

Dostojewski był w Sowietach jeżeli nie na indeksie, to w każdym razie źle widziany. Jeżeli Lwa Tolstoja, Czechowa lub Gorkija znaleźć było można w każdej dosłownie bibliotece, dzieła Dostojewskiego były rzadkie. Bolszewicy nie mogli mu darować nurtu religijnego, reakcyjności, nie mogli przelknąć „Biesów”, „Zapisek iz podpolia”. Gość Ambasady starał się wyjaśnić swoją odpowiedź:

„Młoda inteligencja sowiecka zwraca się głównie ku zagadnieniom psychologicznym, chce wiedzieć, co się w niej dzieje. To jest nowe pokolenie”.

Tolstoj na wiosnę zjechał do Taszkientu. Prosiłem gen. Andersa, by go zaprosił do Sztabu Armii. General wyjeżdżał do Anglii. Polecił to swemu zastępcy, gen Szyszko - Bohuszowi. Kontakty z bolszewikami nawiązywałem wyłącznie za pośrednictwem Sokolowskiego, co tę sprawę przeciągało. Tym czasem dostałem pierwszy tom „Piotra” i czytałem go w wolnych chwilach. Po robocie, uciekałem na wzgórze nad jarem, pod wieczór, gdy robiło się trochę świeżej. Wszędzie naokoło miałem zieleność. Cisi, brodaci Uzbecy, w „tiubietkach” czyli kolorowo wyszywanych myckach na głowie, bosy, krzatali się w swoich ogródkach, bulgojały „aryki”.

Patrzałem na jaskrawą zielen topoli o zachodzie, na flet różowych, welniastych chmur, i to czytanie szło mi jak z kamienia. Nie mogłem się doszukać w tej formie bogatej, gestowej, aż dusznej, chyba świetnej, w tej typowej „sztuce stosowanej” nic z tego czym mnie zawsze urzekala literatura rosyjska, nie tylko w Lwie Tolstoju czy Dostojewskim, ale w Rozanowie, w Bloku, Bielym i legionie innych. Nie było w „Piotrze Wielkim” śladu tej lotności myśli, tego bólu, rozmachu śmiałego, aż do szaleństwa, aż do samozniszczenia,

wszędzie zaś szyta grubą nicią ciężka apoteoza Rosji i *dobre samopoczucie* autora w dzikiej, okrutnej atmosferze tamtych czasów, tak bliskiej rzeczywistości, która nas otaczała. Oddkładałem książkę po przeczytaniu zaledwie rozdziału i mimo woli przychodziły mi na pamięć bolesne aż do bluźnierstwa wiersze Bielyja:

„Dawolno, nie żdi, nie nadziejsia,
Rassiejsia, moj biednyj narod,
W prostranstwo padi i razbiejsia
za godom muszitielnyj god”...

(„Już dosyć, nie czekaj, nie spodziewaj się,
Rozprosz się, mój biedny narodzie,
W przestrzeń padnij i rozbij się,
Lata męki za latami”...)

Sokolowski uznał nasz ewentualny kontakt z Tolstojem za wypadek wprost historyczny, fakt, że pisarz znalazł z bliska Stalina, imponował mu niezmiernie. Pojechałem na pierwszą wizytę z Sokolowskim.

Ten oficer Armii Sowieckiej był oficerem łącznikowym przy naszym oddziale propagandy.

Tolstoj mieszkał w miłym białym domu z wysokimi oknami, o wysokich sufitych, i z prywatnym w środku miasta cieniastym ogrodem, Gabinet duży, przewiewny salon z pięknym Bechsteinem, sypialnia, osłonięta od słońca, nawet łazienka.

Pisarz przyjął nas w gabinecie: biurko, sporo książek, na nagich ścianach wisiała tylko olbrzymia maska bożka z mongolskiej republiki, mocno rozkolorowana, drewniana, w złotej koronie, w bogatych czerwono - złotych rzeźbionych ornamentach.

Tolstoj, barczysty, gruby, przyjął nas prosto i nadzwyczaj serdecznie. Zgodził się natychmiast odwiedzić Jangi - Jul. Mrużył bystre czarne oczy za wielkimi rogowymi okularami, wszystko w nim było pokaźne, zmysłowe, duży nos, grube usta, wyraz twarzy agresywny i mocny przypominał mi potężny wypchany leb dzika, który wisiał w domu mojego dzieciństwa.

Autor „Piotra” spytał, czy by mógł przyjechać z żoną, która „była w Paryżu i tak interesuje się Polską”.

Wizyta Tolstoja i jego żony w naszym Sztabie odbyła się w maju. Pojechałem po niego (zawsze z Sokolowskim) wspaniałym samochodem firmy „ZIS” gen. Andersa („licznyj podarok Stałina”). Pisarz, tryskający inteligencją, całą drogę opowiadał nam barwnie o szlakach Aleksandra Macedońskiego w tym kraju, zwłaszcza zaś o tym, co go wówczas najwięcej pasjonowało: cytował przykłady obalające tezę niemiecką o wyłącznym niemieckim pochodzeniu wiedzy i nauki, podawał argumenty historyczne, świadczące o twórczych darach Słowian, a kompilatorskich jedynie zdolnościach Niemców.

„Niemiec w przyszłość nie przelzie, jego rozum kwadrato-

wy, Rosjanin jest stworzony dla przyszłości", pisał wówczas w jednym ze swych artykułów.

Wszystko, co mówił, jak mówił, buchało pasją życia, tak samo w ciągu wieczora jadł, mówił o polityce, słuchał wierszy, albo patrzył na nasz wielohektarowy cały w kwiatkach sad. Gospodarz wieczoru, gen. Szyszko - Bohusz, świetnie władał rosyjskim językiem, rozmowa szła bardzo gładko. Był wieczór, upał żelzał, odwiedziliśmy oddział przyboczny, namioty na wzgórku nad Kurkuliukiem. Potem obiad. Tolstoj i general mówili wiele. Szyszko - Bohusz opowiadał o wizycie swojej u Stalina, o obserwacjach z Anglii, Tolstoj mówił o Rosji, o Kremlu, o Paryżu, nawet o pisarzach rosyjskich na emigracji (o Buninie) z dyskretnym akcentem współczucia. Pani Tolstojowa, przystojna młoda śpiewaczka (zdaje się trzecia żona z rządu), w kolorowej sukni z lekkiego fularu „imprimé”, tańczyła z adiutantami (była oczywiście orkiestra) i zachwycała się wszystkim.

Sokolowski też był zaproszony. Nie opuszczał ani na krok Tolstoja i pil jego słowa. Nie ręczę, czy to przyklejenie się do Tolstoja nie było także spowodowane rozkazem pilnowania kontaktów pisarza z nami. Słyszałem bowiem, że Tolstoj był obsypywany złotem i nadzorowany, mimo że dal chwalebne dowody wierności reżymowi: podpisał razem z Ehrenburgiem na pierwszym miejscu deklarację pisarzy sowieckich w okresie procesów trockisowskich; deklaracja żądała śmierci dla „podłych psów faszystowskich i zdrajców ludu.

Już po dwunastej, kiedy atmosfera była ciepła, przyniosłem wiersze Balińskiego i Słonimskiego i *à livre ouvert* kilka z nich przetłumaczyłem. Tolstoj wpadł w zachwyt nad „Kolędą Warszawską”, „Ojczyzną Chopina”; nad wierszami o Paryżu i Francji. Musiałem tłumaczyć po rosyjsku, potem czytać wolno po polsku, słuchał bacznie, łakomie. Rozkoszował się metaforami, dźwiękiem wiersza, zdanie „pod niebem pełnym słońca, obłoków i gołębi” kazał sobie powtórzyć parę razy. Wreszcie Tolstoj rzucił projekt przetłumaczenia i wydania tych wierszy po rosyjsku. Zaprosił mnie do siebie, obiecując zetknąć z wydawcą i tłumaczami.

W maju i czerwcu widywałem kilkakrotnie Tolstoja u niego w Taszkencie.

Raz jeden z obu generalami na prawdziwie luksusowej uczcie. Były wina turkiestańskie o przedziwnym smaku i zapachu (nie miały one ma się rozumieć nic wspólnego z lichym alkoholizowanym winem, które można było dostać w wolnej sprzedaży), był szaszлык przyrządzony przez autentycznego Gruzina, kucharza, zaprawiony specjalnymi, pachnącymi trawami, pieczony na specjalnym piecyku ustawionym w cieniistej alei ogrodu, były także dziwne jarzyny, różne słodycze. Po obiedzie i paru toastach „na pohybel Niemcom”, żona pisarza śpiewała pięknym mezzosopranem pieśni Mussorgskiego. Na wieczorze był również obecny syn Tolstoja, uczeń leningradzkiego konserwatorium, bardzo inteligentny, niski, krępy, podobny do ojca w tej namiętnej żywotności, która była u Tolstoja może najbardziej frapująca cechą. Chłopak o-

powiadał naturalnie i ufnie o głodzie i zniszczeniu Leningradu, mówił z serdecznym niepokojem o matce pozostawionej w Leningradzie, o tym, że się dla niej wystarał o „pajok” do najlepszej stolówki w osaczonym mieście, stolówki „partyjnych pracowników”.

Na pożegnanie ofiarował mi Tolstoj książkę z dedykacją, w której mi opisywał, że już prędki jest czas, że mnie odwiedzi w mojej pracowni w Polsce i że razem będziemy patrzeć „kak letajut krizi”. Nie umieliśmy znaleźć nazwy po polsku tych ptaków, ale o ile zrozumiiałem, chodziło mu o te duże ciemne jaskółki z długimi skrzydłami, które u nas tak szybko, lukami, ostrymi zwrotami migają w oknach, kiedy pogoda zbiera się na deszcz.

Najciekawszy z wieczorów spędzonych u Tolstoja był poświęcony projektowi tłumaczeń polskich wierszy, napisanych już podczas tej wojny. Sokolowski, nagle zatrzymany, był ten jedyny raz nieobecny, mogłem więc do późnej nocy pozostać w domu pisarza bez asysty. Tolstoj zebrał samych tłumaczy, paru pisarzy rosyjskich, między innymi Achmatową, którą wówczas poznałem. Był obecny Tichonow, dawny przyjaciel Gorkija, znany wydawca z pozorami skromnego cichego człowieka. Była również synowa Gorkija. Koło dziesiątej wieczór zebraliśmy się w dużym salonie naokoło stołu z winem, świetnym kiszmiżem (suszone jagody) i innymi słodyczami. Mi-naj żar dnia, Było świeżo i przewiewnie.

Ustaliliśmy, że Tichonow podejmuje się wydania tego tomu, że będzie rozbity na trzy części: wiersze Polski okupowanej, trochę tych wierszy dotarło do nas przez Londyn, wiersze pisarzy polskich z Londynu, oraz wiersze napisane w tworzącej się armii polskiej w Sowietach. Jak i na wieczorze w Jangi - Julu, czytałem wówczas wiersze londyńskie *à livre ouvert*.

Nastroj, temperatura reakcji Rosjan przewyższyła najsmiel-sze moje oczekiwania. Widzę jeszcze lzy w wielkich oczach milczącej Achmatowej, kiedy niechętnie tłumaczyłem ostat-nią strofę „Kolędy Warszawskiej”:

„A jeśli chcesz już narodzić w cieniu
Warszawskich zgliszcz,
To lepiej zaraz po narodzeniu
Rzuć Go na krzyż”.

„Ballada o dwóch świecach”, „Ojczyzna Chopina” Balińskiego; a także „Alarm Warszawy” Słonimskiego zrobili wrażenie wstrząsające, Musiałem czytać po kolei, wiersz za wierszem, nie pozwolono mi opuścić żadnego. Wiele już razy w życiu próbowałem zarazić poezją polską cudzoziemców, zwłaszcza Francuzów, z minimalnym rezultatem; nigdy nie odczułem takiej chłonności słuchaczy, nie potrafiłem wywołać tak żywej autentycznej wibracji, jak wśród tej niedobitej gąsienki rosyjskich inteligentów.

Achmatowa zgodziła się wziąć na siebie tłumaczenie „Kolędy Warszawskiej”, choć, jak twierdziła, nigdy nie tłumaczyła poezji. Tolstoj ryczał, dlaczego nikt w Sowietach tak

nie pisze o Rosji, dlaczego wiersze o Ojczyźnie „piszą dziś ludzie u nas tak *chłodno i sztucznie*”.

Tego wieczoru tknęło mnie, jakie vacuum stworzyło się w Rosji w dziedzinie sztuki, po dwudziestu paru latach sztuki *kierowanej*; jaki głód, głód poezji autentycznej tam panuje. Wielka tradycja od Dzierżawina i Puszkina do Błoka i aż po Majakowskiego i Jesienina, zdawała się urwana, poza paru niedobitkami miary Pasternaka czy Achmatowej. Jakże możliwy jest głęboki, bezinteresowny kontakt polsko - rosyjski, zdawało mi się wówczas, jaka jest łatwość przenikania wzajemnych kultur, zarażenia wierszem, dźwiękiem wiersza, przekazania najdrobniejszego drgnienia w drugim języku.

Tolstoj kpil z tego, że w Rosji nikt nie o poezji polskiej nie wie, jak wogóle o literaturze polskiej: „Wszystko Przybyszewskij i Przybyszewskij!”. Opowiadał z humorem, że nauczył się pić dzięki Przybyszewskiemu, że trudno sobie dziś wyobrazić, jakim Przybyszewski był wydarzeniem literackim w Rosji za czasów młodości Tolstoja. Tichonow to potwierdzał, opowiadał, że za młodu widział nawet kiedyś Przybyszewskiego w Petersburgu, grającego wspaniale Chopina w gabinecie wielkiej restauracji, mimo że był zupełnie pijany i coś po pijanemu bredził: „Chopin... Biblia... Nietzsche”.

„Dla nas młodych — powtarzał Tolstoj — pić i dyskutować o Przybyszewskim było najwyższą rozkoszą”.

Tego wieczoru cały czas mówiliśmy o literaturze, raczej ja mówilem starając się wykazać, że w literaturze polskiej jest grubo więcej niż... Przybyszewski. Mówilem o Słowackim, o Norwidzie, kiedy z pamięci zacząłem tłumaczyć „Fatum”:

„Jak dziki zwierz przyszło nieszczęście do człowieka
I zatopilo weń fatalne oczy

Czeka

Aż człowiek zboczy...”

Tolstoj tak się zainteresował, że mi sam dopomógł to przeźponować na rosyjski, przy tym sobie tekst przepisał i zachował.

Miałem przy sobie listy Norwida. Przetłumaczyłem jego list do Zamoyskiego z 1864 roku o patriotyzmie, że

„Jest to siła twórcza, a nie siła wypojedyńczenia się zeschnięcia...”

o tym, że „narodowość zależy na sile *apropriacji*, nie zaś na sile wyłączności purytańskiej”). Tolstoj wpadł tu w zachwyt żądał, bym wrócił na wieczór norwidowski, twierdził, że znalazł nareszcie trafne określenie patriotyzmu.

Tego wieczoru pokazał mi Tolstoj rosyjskie tłumaczenie „Faraona” Prusa, starannie wydane w ostatnich latach przez ówczesnego na wieczorze Tichonowa.

*) Dlatego to, bijąc Tatarów, podgalano czupryny po tatarsku i bito Tatarów, noszono się z tatarską na koniu. Mówiono także po łacinie, po włosku, po hiszpańsku w epokach największej narodowości w Polsce: Ale to nie była *sekta*: to był *naród*”.

Zapytałem, dlaczego to właśnie „Faraon” doczekał się tak pięknego wydania.

„Nie uważam tej książki za bardzo wybitną” — odpowiedział mi Tichonow — „Egipt jest tam dość sztuczny, operowy, ale — dodał półgłosem, spuszczaając oczy — to ulubiona książka Stalina”.

Co się tyczy Achmatowej, czytałem jej wiersze wiele lat temu, wiedziałem, że była żoną Gumilowa, rosyjskiego poety, rozstrzelanego przez bolszewików w 1921 roku, wiedziałem również, że miała syna, studenta, którego w 1938 roku aresztowano i zesłano. Chłopak był na wydziale języków wschodnich marzył o wyjeździe do Centralnej Azji, nikt nie wiedział za co, i dokąd został zesłany. Przed wojną mówiono o Norylsku, potem głucha wieść niesła, że go widziano w Buchcie Nachodce w drodze do Kolymy. Cóż robiła ta kobieta, matka skazańca, w domu najbardziej reżymowi oddanego pisarza?

Otóż opowiadano mi, że Stalin miał pochwalić jeden z wierszy Achmatowej, że poetka dzięki temu była nie tylko tolerowana, ale nawet protegowana. Achmatową w roku 1946 gwałtownie zaatakował Centralny Komitet Partii Komunistycznej i Zdanow za to, że „odmawia iść krok w krok z ludem”, zakazano jej drukować swe utwory, ale wtedy, w 1942 była jeszcze pod „najwyższą opieką”; z rozkazu jakoby samego Stalina wysłano po nią specjalny samolot do Leningradu, w okresie głodu i oblężenia północnej stolicy.

Achmatowa siedziała tego wieczoru pod lampą, miała na sobie skromną suknię, coś między workiem, a jasnym habitem, z bardzo lichego materiału, z lekka siwiejące włosy były gładko zaczesane i przewiązane kolorową chustką. Musiała być kiedyś bardzo piękna, o regularnych rysach, kła czynym owalu twarzy i dużych szarych oczach. Piła wino, mówiła niewiele, tonem trochę dziwnym, jakby pół żartobliwym, nawet o najsmutniejszych rzeczach. Już po odczytaniu przeze mnie wierszy polskich poetów, prosiłiśmy, by nam powiedziała trochę swoich wierszy. Zgodziła się bez trudu.

Deklamowała parę ustępów z niewydanej wówczas jeszcze „Leningradzkiej Poemy”. Wszyscy obecni zwracali się do niej z najwyższym szacunkiem, wszyscy dawali mi do zrozumienia, że ona właśnie jest wielką poetką rosyjską. Strofy, które Achmatowa deklamowała dziwnym, śpiewnym tonem, trochę jak kiedyś deklamował Igor Siewierianin, nie miały nic w sobie z optymistyczną propagandą, nie z chwaleb Sowieców czy bohaterów sowieckich, w które nawet Tolstoj wpadał co chwila ze swoimi „surowymi” i „sprawiedliwymi” sowieckimi rycerzami. Ale właśnie „Leningradzka Poema” to był jedyny utwór, który mnie wzruszył i dał mi sekundę ewokacji, czym była obrona wygłodzonego, zdruzgotanego miasta. Poemat Amchatowej zaczynał się od wspomnień młodości: trudne metafory, commedia dell'arte, pawie, fiołki, kochankowie, klon z żółtymi liśćmi w oknie dawnego Szeremietiewowskiego palacu, — a kończył się Leningradem, głodnym i chłodnym pod bombami, Leningradem oblężonym. Zach-

walem w pamięci obraz głodnego chłopczyka, który w czasie bombardowania wczesną wiosną czy późną jesienią przynosił jej „trawinki” wyrosłe pomiędzy kamieniami bruku.

Pragnęłam bardzo poznać poetkę bliżej, widzieć nie w towarzystwie, wnikać głębiej w jej świat, ale nie śmiałam. Już raz niewinne odwiedziny pewnej kobiety, dokonane przeze mnie bez asysty Sokolowskiego, dały skutki bardzo tragiczne. Zachowałam wspomnienie o Achmatowej jak o kimś „osobnym”, z którym kontakt jest trudny dzięki pewnej sztuczności, a może tylko bardziej „własnemu” zachowaniu tej kobiety. Miałam wrażenie, że obcuje z człowiekiem poranionym i maskującym swoje rany, brońącym się właśnie tą pewną sztucznością. Wiersze jej, deklamowała ich potem więcej, wiązały mi się we wspomnieniu z rosyjskimi symbolistami, niekiedy z Rillem. Achmatowa jeszcze przed 1914 rokiem mieszkała w Paryżu, przyjaźniła się wówczas z Modiglianem. Mówiła mi, że dużo jego listów i rysunków, które posiadała zginęło podczas oblężenia Leningradu.

Wieczór u Tolstoja przeciągnął się do 3 czy 4 w nocy. Zegnaliśmy się jeszcze długo przed domem pisarza, pod koronami rozrosłych drzew. Tolstoj się rozgał, opowiadał o dawnych czasach, o pisarzach rosyjskich, sprzed okresu rewolucji. Opowiadał o Remizowie, któremu, jak mówił, wszystko za wdzięczał, jeżeli chodzi o czucie języka rosyjskiego. Wspominał Rozanowa, jego namiętą zmysłowość starego Karamazowa. „Lubię — mówił młodemu Tolstojowi — kiedy wychodzę z łaźni i jadę saneczkami, a mróz szczypie w twarz, jeść słodkie jagody winogron”. Tolstoj opowiadał piastycznie, miał świetną pamięć, ale mówiąc o Rozanowie, chwycił znów tylko jeden, najbardziej mu pokrewny aspekt pisarza, jakby nie zauważył jego tragicznego rozszczepienia, jego obsesji religijnej, jego smutku.

Zegnaliśmy się, obiecując sobie jeszcze wielokrotne spotkania. Nad ranem dobrnąłem do mieszkania, na peryferiach miasta, gdzie dzięki usłużonemu faktowi, Żydowi z Polski, znalazłem nocleg.

W izbie paru ludzi już głośno chrapało.



Wrażenie wywołane wierszami, chęć przyśpieszenia tłumaczeń i wydania ich po rosyjsku zdecydowały mnie na pozostanie jeszcze dobie w Taszkencie. Otrzymałem pozwolenie zajęcia w głównym hotelu pokoju zarezerwowanego dla Dowódcy Armii, miałem ze sobą parę puszek z konserwami becfów, prawdziwą herbatę i nawet cukier, — wszelkie dane, by urządzić na tamtejsze stosunki *uczte*.

Zaprosiłem parę osób, obecnych na przyjęciu u Tolstoja. Miały przyjść wraz z ich paru przyjaciółmi, którzy chcieli również posłuchać wierszy polskich poetów. W ostatniej jednak chwili projekt nie doszedł do skutku. Achmatowa zawiadomiła, że jest chora, Jachontow, jeden z najbardziej znanych deklamatorów sowieckich (mieszkał w tym samym hotelu), musiał gdzieś nagle wyjechać. Takie same odmowy

otrzymałem od innych zaproszonych gości, którzy jeszcze ostatniej nocy sami się serdecznie do mnie zapraszali. Podejrzewałem — choroby „dyplomatyczne”, *zakaz*.

Nadszedł wieczór, byłem sam w pokoju, nagle weszła młoda kobieta. Przedstawiła mi się jako przyjaciółka Tolstoja, była również zawiadomiona o tym, że będę czytał wiersze, zaś instrukcja odwołująca zebranie poza moimi plecami nie do szła widocznie do niej. Wysoka, zgrabna, z jasnymi i lekkimi jak puch blond włosami, o rasowych delikatnych rysach, uderzała absolutną naturalnością zachowania. Widząc, że przyszła sama, chciała zaraz odejść, zatrzymałem ją jednak. Siedliśmy na wąskim kamiennym balkonie, który wychodził na ulicę, na dwie stare topole. Na tym balkonie spędziliśmy wieczór we dwojkę.

Raz jeszcze przeżyłem wówczas ten rzadki, tak bardzo rosyjski błyskawiczny kontakt z człowiekiem, którego nigdy nie widziałem i już nigdy pewnie nie zobaczę.

Czytałem wiersze tylko dla niej, tłumacząc po rosyjsku, po polsku, i znowu doznałem tego samego wnikliwego cudownego odczuwania. Nie mówiła ani słowa, tylko jeszcze i jeszcze prosiła o precyzję, o dźwięk słowa, o dokładne oddanie znaczenia po rosyjsku. I potem nagle powiedziała:

„Więc wy już znaleźliście wyraz tego, coście przeżyli... a my... jeszcze nie...” — i zamilkła. Miała oczy spuszczone, kąciki ust jej drgały.

„Pan wie, czym jest teraz Leningrad? Jestem stamtąd, to moje miasto — dziś to kupa gruzu. Czy Pan wie, co to jest miasto, gdzie dwa miliony ludzi umarło od bombardowania, od chłodu i od głodu? Ja już nie mam dokąd wracać. Nasza młoda inteligencja sowiecka już nie istnieje, wyginęła cała, zwłaszcza inteligencja leningradzka. Po wojnie fińskiej nie było rodziny, która by nie straciła syna, męża, lub ojca, przecie cały ciężar wojny fińskiej poniósł okręg leningradzki, a teraz, teraz na froncie zginęła reszta, cała młodzież uniwersytecka została rzucona na front w pierwsze, okropne miesiące ofensywy niemieckiej...”

Ja się tu czuję *obco* w Uzbekistanie, nic mnie z tym krajem nie wiąże, ale ja nie mam dokąd wracać, *wszyscy*, którzy mi byli bliscy i drodzy, z mojego pokolenia, już nie żyją”.

Mówiliśmy ze sobą długo i tak, jakbyśmy się znali zawsze. Rozstaliśmy się w ciemną noc na wąskim zakurczonym balkonie hotelu pewno na zawsze.

Na drugi dzień wróciłem do Sztabu.

JUŻ DESZCZ JEST Z NAMI

*Już deszcz jest z nami,
wstrząsa spokojne powietrze.
Jaskółki płamią wody zgaszone
u lombardzkich jezior,*

*latają jak mewy nad małymi rybami;
siano pachnie poza opłotkami sadów.*

*Jeszcze jeden rok jest spalony,
bez płaczu bez krzyku
zabrany, by znagła zwyciężył jeden dzień.*

SALVATORE QUASIMODO

(2 tomu „Oboe sommerso”)
1930—1932

(tłum. Bolesław **KOBRZYŃSKI**)

Archiwum polityczne

Obecna sytuacja polityczna Francji

UWAGI WSTĘPNE

Rozważania poniższe mają na celu danie czytelnikowi możliwie plastycznego obrazu sytuacji politycznej Francji w chwili obecnej. Fakt, że Francja zaliczana jest przez publicystykę powojenną do państwa drugiego czy trzeciego rzędu, że mówi się ciągle i istnieniu dwóch imperiów światowych Stanów Zjednoczonych i Rosji — imperium niejako drugiego rzędu Wielkiej Brytanii, a o innych państwach stwierdza się, że są „państwami o interesach ograniczonych” niezdolnych do prowadzenia samodzielnej polityki — nie umniejsza znaczenia tego, co się na terytorium między Renem a Pirenejami dzieje.

Geopolityczne znaczenie przyczółka francuskiego w razie konfliktu między blokiem anglosaskim a Rosją jest niewątpliwie bardzo znaczne. Ważniejsze może jednak jest rozumienie tego co się dzieje we Francji, w największym państwie zbiedniałej i zanarchizowanej Europy Zachodniej dla oceny, jaką jeszcze rolę ta przodująca niegdyś część kontynentu może odegrać.

Nawet najzaciętsi przeciwnicy Imperium brytyjskiego (choć oczywiście nie Moskwa) przyznawali chętnie, że załamanie się Commenwelthu spowodowałoby niebezpieczną anarchię w świecie i wyszło tylko na korzyść kremlińskim próbom rewolucji międzynarodowej. Ale i Francja jest jeszcze wciąż dysponentką przeszło 100-milionowego imperium, które obecnie bardziej demokratycznie nazywa się „Unią Francuską”. Losy tego imperium silnie, w niektórych punktach, jak zwłaszcza Indochiny i Madagaskar, podminowanego, są również ważne dla układu sił w świecie w najbliższych latach.

Bilans ostatnich lat trzech polityki francuskiej, od tzw. Libération począwszy, aż do chwili obecnej, jest więcej niż niewesoły. Francuska polityka zagraniczna, która zaczęła od akcentów wielko-mocarstwowych, godnych języka Jerzego Clemenceau, musiała zrezygnować punkt po punkcie z postawionych sobie założeń odegrania języczka uwagi czy pomostu pomiędzy Wschodem i Zachodem, między Anglosasami i Rosją.

System parlamentarny, którym druga Konstytucja we wrześniu 1946 r. obdarzyła kraj, przechodzi przez ciężką próbę „incompatibilów” między rozrostem skomplikowanych zadań współczesnego państwa, a zasadą rządzenia krajem przez zgromadzenie przeszło 600-osobowe.

W polityce gospodarczej niechęć do zaciśnięcia pasa i zygzyki polityki rządu doprowadziły do chronicznego deficytu w budżecie, a niedostatecznie wysoka i zbyt droga produkcja do olbrzymiego deficytu w bilansie handlowym. Brak dochodów z turystyki i likwidacja przeważnej części francuskich lokat finansowych zagranicą, pociągnęła za sobą równie zastraszający deficyt bilansu płatniczego.

Blizsza analiza tych objawów nie byłaby jednak dostatecznie zrozumiała, gdybyśmy nie przypomnieli po kolei „wskaźników” siły narodu i dynamiki francuskiej od problemów populacyjnych zaczynając.

ROZMIARY KRYZYSU DEPOPULACYJNEGO

Francja jest jedynym krajem w Europie, poza Polską i Jugosławią, której cyfra ludności w zestawieniu z 1939 r. zmniejszyła się dość wydatnie bo przeszło o 2,5%. Jeżeli jednak w Polsce i Jugosławii zmniejszenie ludności nastąpiło dzięki bezprzykładowemu terrorowi niemieckiemu, deportacjom, wojnie domowej, emigracji i innym tego rodzaju okolicznościom, to we Francji, której straty wojenne w porównaniu z tymi krajami są nierównie mniejsze, kurczenie się liczby ludności jest wynikiem niezmiernie słabej rozrodczości.

Kilka zestawień w perspektywie historycznej jaskrawiej jeszcze podkreśli te niebezpieczne dla Francji procesy.

Tak np. w 1680 roku ludność Francji stanowiła 20% ludności Europy, w 1850 — 13,5%, w 1938 — już tylko 7,5%.

Gdy zestawimy podobny proces w ramach krótkiego okresu lat 8-miu, to skonstatujemy, że w 1939 r. Francja liczyła 41 milionów, a w 1947 — 39 i pół miliona. Jednocześnie ludność Niemiec, przy gwałtownym okrojeniu terytorium wzrosła z 66 milionów w 1939 r. na aproksymatywnie 72 miliony obecnie, głównie dzięki deportacjom ze Wschodu, niemniej ta zmiana stosunku ludności jest bardzo charakterystyczna.

Analiza procesów populacyjnych daje wyniki o wiele bardziej niepokojące, niż samo skonstatowanie globalnych rezultatów, które utrzymują jakby mniej więcej na tym samym poziomie ludność Francji przez ostatnie lat 30.

Jeśli weźmiemy geografie tych procesów, to możemy skonstatować, że istnieje szereg departamentów, w których przez ostatnie lat 40 ludność zmniejszyła się niemal do połowy.

Tak np. w departamencie Lot w zestawieniu z r. 1900 ludność zmniejszyła się o 45%, a ilość urodzeń w stosunku rocznym o 70%. Znacząco to, że zamiast 10 dzieci na początku wieku, rodzi się tam obecnie w r. 1947 — troje. Analogiczne cyfry w departamencie Alpes Maritimes: ludność zmniejszyła się o 41%, ilość urodzeń o 74%, w departamencie Ariège analogiczne cyfry wynoszą 38,73% i 69%.

Jeżeli nawet weźmiemy departamenty o największej stosunkowo rozrodczości, jak np. departament Nord to i tam mamy zmniejszenie ludności w tym samym okresie czasu o przeszło 8%, a spadek urodzin o 25%.

Wyciąganie wniosków z faktów względnej niezmiennos-

ci ludności Francji w ciągu ostatnich lat 30, prowadzi także do dwóch błędów: pierwsze nieuwzględnienie dopływu cudzoziemców, których cyfra między 1920 a 1939 podwoiła się dochodząc do 2 i pół miliona; drugie, co jest jeszcze o wiele ważniejsze, odbywa się jednocześnie proces starzenia się społeczeństwa, to znaczy przyrostu cyfry starszych roczników, przy katastrofalnym zmniejszeniu się liczby ludności w rocznikach młodszych, bardziej dynamicznych i gospodarczo najbardziej wydajnych.

Ekonomicznie mamy do czynienia z efektem podwójnym: wzrost liczby roczników starych, tzn. ludzi już niezdolnych do pracy, coraz bardziej obciąża ekonomicznie społeczeństwo.

Jednocześnie posuwamy się w górę przeciętnej wieku robotników w przedsiębiorstwach czy pracowników w urzędach i instytucjach wpływa na zmniejszenie wydajności pracy. To samo, oczywiście, dotyczy wszystkich dziedzin pracy i wytwórczości.

Nie potrzebujemy dodawać, że ma to podobne efekty negatywne np. jeśli idzie o zdolność bojową armji.

GOSPODARCZE KURCZENIE SIĘ FRANCJI

„Wskaźniki gospodarcze” odpowiadają niestety temu zastojowi czy też cofaniu się biologicznemu narodu francuskiego. Potencjał przemysłowy francuski, pomijając nawet zmniejszanie się kapitału zakładowego i obrotowego, przestarzałość urządzeń, zmniejszona wydajność pracy i wynikające m. in. z tych powodów zwiększone koszty produkcji, kurczy się coraz bardziej w ramach produkcji ogólnoeuropejskiej. Nie sięgając zbyt daleko wstecz, jeżeli zestawimy chociażby lata 1913 i 1939, to wynika, że udział produkcji francuskiej zmniejszył się z 15% ogółu produkcji europejskiej (w 1913 r.) do 9,2% w 1938 r.

Francja obecnie produkuje około 90% tego co w 1938 r. Jest to jeśli chodzi o kraje poza zoną sowiecką (np. w Rumunii i na Węgrzech wskaźniki te są oczywiście o wiele niższe) najniższy wskaźnik produkcji, poza Włochami (65%), które należą do krajów pobitych i gdzie zniszczenia wojenne były większe, aniżeli we Francji.

Niewesoły obraz przedstawia także rolnictwo francuskie którego zacofanie techniczne, ucieczka rolników do miast, zatrważające się wyludnianie niektórych prowincji, o czym zresztą pisaliśmy wyżej, stwarza i w tej dziedzinie gospodarki bardzo niepomyślną perspektywę. Nawet mała własność rolna, stanowiąca podstawę rolnictwa francuskiego (gospodarstwa poniżej 15 ha), w innych krajach najbardziej odporna wobec kryzysu, dała zmniejszeniu się terenu uprawy z 11.200.000 ha na 9 milionów ha) w okresie 1920 — 1939. Po wojnie ten spadek przybrał jeszcze szybsze tempo, zwłaszcza odbijając się na terenach uprawy pszenicy — około 7.000.000 ha w 1920 r., 5.150.000 ha, w 1938 r. i 3.650.000 ha w r. 1946! Jednocześnie mamy do czynienia ze stabilizacją wydajności z ha. na niskiej stosunkowo granicy, a po wojnie nawet z pewnym spadkiem

wydajności rolnej. Jeżeli nawet rok obecny można usprawiedliwić złymi warunkami klimatycznymi i nieurodzajem, to cyfry wyglądają jednak zbyt katastrofalne. Jeśli zbiory przeciętne pszenicy w latach przedwojennych dochodziły do 90 milionów kwintali, a już w powojennym 1946 r. zbiór wynosił 63 miliony, to w roku obecnym zebrano niespełna 33 miliony q.

Handel zagraniczny jest również, mówiąc stylem socjalistycznym, „waskim miejscem” gospodarki francuskiej. Jeśli nawet nie wyciągać wniosków z cyfr powojennych, które wynikają w dużym stopniu z sytuacji przejściowej konieczności importu dla celów odbudowy i zapewnienia luk żywnościowych wywołanych wojną, to procesy wzrastania deficytu w handlu zagranicznym były już i przed wojną bardzo niepokojące. Pierwsze z brzoza zestawienia cyfrowe dają niezwykle czarny. Gdy zestawimy lata 1913 i 1938, to przez ten okres czasu wartość eksportu produktów spożywczych (obliczona w złotych) spadła o 64%, półfabrykatów o 54%, a eksport wyrobów gotowych nawet o 69%. Związczą ostatnie lata przedwojenne dawały coraz jaskrawsze potęgowanie się deficytowości bilansu handlowego. W 1936 r. import niemal dwukrotnie przekraczał wartość eksportu Francji.

Jeśli finanse francuskie, dzięki oprocentowaniu kapitałów ulokowanych zagranicą, dochodom z turystyki i podejmowanemu w okresach krytycznych, jak w 1926 przez Poincarégo, a w 1935 przez Lavalą próbom uzdrowienia nie dawały tak ponurego obrazu, jak inne dziedziny, to po „Libération” ten stan rzeczy uległ daleko idącemu pogorszeniu. Niższa, niż przedwojenna produkcja przemysłowa, związane z tym zmniejszone możliwości podatkowe, wyjątkowo słaby udział rolnictwa w dochodach państwowych (rolnictwo płaci w podatkach bezpośrednich nie więcej niż około 0,4% ogólnych wpływów państwowych) niebywała tezauryzacja złota chowanego do „pończochy”, dochodzącego wg. prywatnych obliczeń do 4.000 ton, jeden zresztą z produktów „kryzysu zaufania”, trudność ustalenia planu gospodarki związanej z wadliwym funkcjonowaniem parlamentu i nieuchwalaniem normalnego rocznego prelimitarza budżetowego — wszystko to razem doprowadza do deficytu, wzrostu obrotu pieniężnego i spadku do 6 1/2% zapasów złota w zestawieniu z przedwojennym zapasem złota Banku Francji. Ścisłej z 5700 ton w Banku Francji w 1932 r. do 395 ton na 1 sierpnia 1947 r.

POLITYKA ZAGRANICZNA OD 1944 R.

Czynniki te w różnym stopniu oddziaływać muszą oczywiście negatywnie na pozycję międzynarodową Francji i udział w decyzjach w polityce międzynarodowej. Okres w zagranicznej polityce Francji zainaugurowany wizytą gen. de Gaulle'a w Rosji w grudniu 1944 i układem sojuszniczym francusko-sowieckim, kontynuowany przez ministra Bidault, usiłującego przeprowadzić zasadę równowagi wobec obu wielkich bloków, sowieckiego i anglosaskiego, zakończył się, jak się wydaje, definitywnie, w czasie konferencji moskiewskiej na wiosnę r.b.

Najważniejszym zadaniem jakie sobie w tym okresie postawiła Francja — było przeprowadzenie „francuskiego rozwiązania” zagadnienia przyszłej organizacji Niemiec. To co się nie udało Francji w momentach jej największych triumfów po wielkiej wojnie europejskiej w okresie od konferencji wersalskiej aż do krótkotrwałego okresu okupacji Zagłębia Ruhry 1923 r., — minister Bidault chciał narzucić po 1945 r. Polityka jego zmierzała w szczególności do: 1) niedopuszczenia przez okres możliwie długi do wytworzenia się scentralizowanej, a nawet znormalizowanej władzy w Niemczech, która by, w pewnym stopniu przynajmniej, mogła stać się podmiotem w polityce międzynarodowej; 2) do wyodrębnienia Zagłębia Ruhry i lewego brzegu Renu z granic przyszłego państwa niemieckiego i stworzenia tam ewentualnego condominiumu mocarstw, w którym Francja brałaby oczywiście udział; 3) do inkorporacji Zagłębia Saary. Maksymalny ten plan ulegał stopniowo znacznym modyfikacjom; w zakresie rozwiązania zagadnienia Ruhry np. Francja ograniczała się następnie już tylko do postulatu trwałych gwarancji dla skutecznej kontroli organizacji przemysłowej Ruhry przez czynniki międzynarodowe, miała jednak nadzieję na utrzymanie odrębności tego terytorium od przyszłego państwa czy też państw utworzonych na terytorium b. Rzeszy.

Z ambitnych tych planów nie pozostał niemal kamień na kamieniu. Polityka rosyjska bardzo już rychło przeszła całkowicie do porządku dziennego nad postulatami francuskimi. Molotow z całą brutalnością sformułował zasadę konieczności stworzenia centralnego rządu w Niemczech. Dalszą niespodzianką w trakcie Konferencji Moskiewskiej z marca 1947 r. była bezwzględna odmowa zgody na inkorporację Saary względnie włączenia jej do gospodarczego systemu francuskiego.

Wkrótce okazało się, że Anglosasi, nieco więcej oszczędzając wprawdzie prestiż Francji, rozwiązywali zagadnienia zon zachodnich jedynie konsultując w sposób nieobowiazujący punkt widzenia rządowy Francji. Jedynie w zagadnieniach Zagłębia Saary gotowi oni są zadość zynie żądaniom francuskim, Anglosasi, a zwłaszcza Ameryka, popiera rozwiązania federacyjne, które jest także punktem widzenia francuskim, ale w problemie sprawy Zagłębia Ruhry i lewego brzegu Renu, program francuski nie znalazł żadnego uwzględnienia.

Co więcej Francji nie udało się wytargować wiele w zakresie przydziału węgla produkcji Zagłębia Ruhry, który z punktu widzenia anglosaskiego jest niezbędny dla częściowej odbudowy przemysłu niemieckiego. Dla Anglosasów, a zwłaszcza Amerykanów odbudowa ta jest zagadnieniem samym w sobie, nie uzależniona od warunków uprzedniej rekonstrukcji gospodarki francuskiej, ani też od podporządkowania interesom rozwoju francuskiego przemysłu metalurgicznego. Anglosasom mimo protestów francuskich pilno jest tak ze względów politycznych, jak i ekonomicznych do szybkiej odbudowy przemysłu zachodnich zon niemieckich. Ewolucja polityki francuskiej od zasady „równowagi” między obu blokami do coraz wyraźniejszego wiązania się z blokiem anglo-

saskim, odbywała się pod naciskiem konieczności a nie, jako wynik wzajemnego uzgodnienia wspólnej linii postępowania między U.S.A., Wielką Brytanią a Francją.

Dopiero szereg doświadczeń bezpośrednich wskazał kierownikom polityki we Francji na zupełną zmianę, jaka dokonała się w stosunkach francusko-rosyjskich w wyniku lat ostatnich.

Rosja przestała być dla Francji tak jak to było do 1917 r. czynnikiem równowagi w stosunku do ekspansywnej potęgi niemieckiej. Obecnie w interesie sowieckim nie leży utrzymanie Niemiec w stanie rozdrobnionych i bezsilnych, ale stworzenie z Niemiec czynnika podporządkowanego polityce moskiewskiej, jako jednego z instrumentów ekspansji w kierunku zachodnim.

Rosji zależy nie na utrzymaniu, ale na rozkładzie francuskiego Imperium kolonialnego. Wypadki w Indochinach były dla francuskiej opinii publicznej w tym względzie przekonującą ilustracją.

Rosja sowiecka równie bezwzględnie traktowała wpływy francuskie w państwach naddunajskich, w których jeszcze w okresie między obu wojnami pozycja francuska była dość silna, jak interesy anglosaskie i inwestycje kapitałowe Londynu i Waszyngtonu na terenie Węgier i Rumunii.

Wreszcie Rosja i Francja w żadnej mierze nie są państwami komplementarnymi, a nawet możliwości ich wymiany towarowej są zredukowane do minimum, Francja nie jest w stanie Rosji udzielić żadnych kredytów eksportowych czy też finansowych i nie jest w możliwości dostarczenia jej środków produkcji czy instalacji potrzebnych dla nowej, kolejnej piatiletki. Oczywiście Rosja nie potrzebuje importu artykułów luksusowych czy wina. Możliwości wywozu rosyjskiego do Francji są bardzo ograniczone, nie wiadomo, czy Rosja będzie mogła lub chciała dostarczyć np. zboże, które istotnie Francja by chętnie zakupiła.

Z politycznego punktu widzenia jest jasne, że w interesie Rosji leży Francja jak najsłabsza, stanowiąca jak najwęższą zapórę dla ewentualnego jej uderzenia na Zachód. Jednocześnie w żywotnych interesach bloku anglosaskiego leży Francja możliwie silna i skonsolidowana.

FRANCJA A BŁOK ANGLOSASKI

Jednocześnie zależność Francji od Anglii a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych staje się coraz pełniejsza. Samo istnienie francuskiego systemu kolonialnego uzależnione jest od panujących na morzach krajów anglosaskich i życzliwego ich stosunku do interesów francuskich.

Trudności finansowe, surowcowe i aprowizacyjne Francji z niezmierną jaskrawością podkreślają tę wzmagającą się zależność. Ani realizacja 4-letniego planu Monnet, ani wprowadzenie względnej równowagi do budżetu Francji, ani uratowanie na dalszą metę franka, ani normalne działanie przemysłu francuskiego, ani nawet zapełnianie luk surowcowych i aprowiza-

cyjnych kraju, nie są możliwe bez amerykańskich kredytów, czy amerykańskiego importu.

Francja importuje w roku bieżącym przeciętnie około 1.400 tys. tonn węgla miesięcznie. Niemal 70% tej cyfry stanowi węgiel amerykański, a niewiele ponad 30% przypada na import z Zagłębia Ruhry, Saary, z Polski (zaledwie 52.000 tonn miesięcznie, t.j. 52% tego do czego zobowiązywały Warszawę układy handlowe zawarte w r.u.b.).

W tych warunkach wyraźna ewolucja polityki francuskiej w kierunku związania się z „orientacją zachodnią” mogła być tylko kwestią czasu.

Polityka Francji dostosowuje się dość biernie do układu sił i koniunktury, trudno w niej dojrzeć czy wyczuć głębsze kombinacje. Francja posiadała niewątpliwie dostateczne możliwości, aby wysunąć się na czoło tzw. państw mniejszych i małych w stosunku do „wielkich imperializmów”. Roli tej zresztą próbował się podjąć częściowo na terenie O.N.U., a częściowo na konferencji z „satelitami”, latem 1946 r. w Paryżu, minister spraw zagranicznych Belgii Spaak i minister australijski Evatt. Belgia jednak jest krajem zbyt małym, a Australia zbyt oddalonym od spraw i interesów europejskich, aby państwa te rolę tę mogły istotnie zagrać z dostatecznym skutkiem.

Wydaje się, że polityka francuska nie wykorzystwała ani w części swej względnie dogodnej pozycji, prestżu moralnego Francji, jakim dotąd cieszyła się wśród narodów Europy.

Tylko jakoś sporadycznie i jakby od niechcenia we francuskiej publicystyce politycznej zwracano uwagę na te niewykorzystane możliwości. Podjął tę koncepcję w swym przemówieniu programowym — na jednej z konferencji socjalistycznych w roku ubiegłym — min. Ekonomii p. André Philip — nie znalazł jednak żadnego echa wśród słuchaczy.

Polityka zagraniczna polegająca na łataniu trudności bieżących des expédants odpowiada ogólnemu wyjałowieniu i kryzysowi myśli politycznej francuskiej.

Francja, która przez całe stulecie była kolebką idei, którymi karmił się kontynent europejski — obecnie, skostniała w swym racjonalizmie, przestała być źródłem nowych ruchów umysłowych i nowych koncepcji.

FERMENT INTELEKTUALNY

Dziedzictwo XVIII wieku zaciążyło aż po dzień dzisiejszy na metodzie myślenia i na praktyce polityki francuskiej. Wprawdzie 48% wyborców francuskich oddaje głosy na partie marksistowskie, ale czysta polityka dominuje w praktyce życia francuskiego nad kategoriami społeczno - gospodarczymi. Złudzenia mocarstwowości, oparte chyba o ocenę układu sił sprzed ćwierćwiecza, z okresu zawierania traktatu wersalskiego idą w parze w polityce zagranicznej z wiarą szkół prawniczych w wartość podpisanego układu i świętość zobowiązania. Skoro podpisano układ sojuszniczy z Sowiecami wraz z paragrafem o wzajemnej konsultacji i poparciu w zakresie polityki granicznej obu rządów, to jakież są powody wrogie-

go stosunku Sowietów wobec żywotnych interesów i praw Francji.

Lektura jeśli już nie dzieł Lenina, to chociażby Sorela mogłaby chyba korygować „prawniczą” szkołę myślenia. Ogólne wyjałowienie intelektualne przeważnej części ruchów politycznych we Francji jest uderzające. Objęło ono nie tylko komunizm francuski, zbliżający się coraz bardziej do ideału moskiewskiego, posłusznego narzędzia polityki Kremla, chemicznie wypranego z wszelkiej twórczości własnej.

Jest to jeden jeszcze triumf Moskwy, dla której rewolucyjna myśl zachodnia nawet ze stemplem komunistycznym mogłaby stanowić w przyszłości poważną groźbę wytworzenia się konkurencyjnego komunizmu zachodnio europejskiego.

Socjalizm francuski przechodzi ciężki kryzys nie tylko polityczny, ale i doktrynalny.

Najwybitniejszy polityk partii L. Blum wystąpił w czasie dyskusji, na przedostatnim Kongresie SFIO na jesieni 1946 r. z programem daleko idącego rewizjonizmu, przekreślenia materializmu historycznego, dalszej ewolucji w kierunku demokratycznego solidaryzmu społecznego i neohumanizmu. Zbliżałoby to socjalizm francuski do chrześcijańsko-społecznej MRP.

Stanowisko to nie było dostatecznie poparte na Kongresie z r. ub., a uchwały kongresu lyońskiego z sierpnia 1947 przyniosły niewątpliwą sukces najbardziej ortodoksyjnym odłamom stronnictwa.

Ale głębokie rysy w partii grożą w najbliższej przyszłości rozłamem; dalsze wahania w wyborze drogi mogą postawić pod znakiem zapytania samo istnienie masowej partii socjalizmu francuskiego.

Z innych stronnictw MRP pozbawiona wybitnych umysłów teoretycznych, nie wykracza w dziedzinie doktryny poza rolę francuskiego odpowiednika ruchów chrześcijańsko społecznych, których poważny rozrost w szeregu krajach obserwujemy w latach powojennych.

Ruch nacjonalistyczny Francji nigdy nie stworzył swego odpowiednika partyjnego, a próba stworzenia specyficznej doktryny francuskiej przez Baresa i w bardziej skrajnym wydaniu przez Maurasa poza nieudaną próbą Action Française nie dała poważniejszych rezultatów. W tej chwili prawica francuska, rozbita na kilka grup nie posiada ani jednego poważnego dziennika, ani jednego interesującego periodyku, jeśli nie liczyć tzw. Vichisais niedobitków dawnego regime'u Vichy skupionych dookoła miesięcznika, „*Ecrit de Paris*”. Poza kierunkami ściśle politycznymi widać dwa aktywniejsze stosunkowo ośrodki intelektualne: lewicę „katolicką” skupioną dookoła miesięcznika „*Esprit*”, chcącą nie tylko pogodzić naukę Chrystusa z Marksizmem, ale też dywagującą bezpodnie na temat syntezy chrystianizmu z systemem komunistycznym w jego sowiecko-rosyjskim wydaniu. Drugi ośrodek to egzystencjonaliści, nihilistyczny produkt zmęczenia powojennego, z jego teoryjkami podnoszącymi do godności dogmatu kapitulację woli

ludzkiej wobec problemów życia, z jego pesymizmem, zwątpieniem w celowość jakiegokolwiek wysiłku, jakiegokolwiek ludzkiego działania, w wartość i potrzebę ofiary.

PO III-ej — IV-a REPUBLIKA

Zródła słabości Francji tkwią nie tylko w kryzysie jej siły biologicznej, w słabnącym tętnie życia gospodarczego, kurczących się obrotach z zagranicą, ale i w konserwatyźmie ustroju politycznego. Tak jak w polityce zagranicznej Francuzi z wielką trudnością i z niemalym opóźnieniem przystosowują się do nowej dotkliwie zredukowanej roli Francji w polityce międzynarodowej tak i w organizacji swego ustroju nie zdają się dotąd wyciągać konsekwencji ze zmienionych warunków w jakich działać musi współczesna machina państwowa.

W warunkach wieku XIX i jeszcze w początku XX państwo ograniczało się istotnie do roli stróża porządku publicznego. Tylko niektóre funkcje życia gospodarczego, kontrolowane były przez państwo i jego aparat.

Przemiany, które przyniosły obie wojny światowe, kształtowanie się systemów totalitarnych i wpływ jakie one wywarły na organizację życia gospodarczego w krajach kapitalistycznych i liberalnych, uzyskanie przez partie socjalistyczne w wielu państwach znaczącego wpływu na rządy, wszystko to rozszerzyło ogromnie zakres działania państwa i skomplikowało niepomierne jego funkcje.

Państwa totalitarne, dzięki ujęciu całej dyspozycji życia gospodarczego w swoje ręce, rządzone jednolitą wolą, łatwiej zdają się dawać sobie radę z zagadnieniami techniki rządzenia.

W państwach, w których w praktyce rządzi ciało zbiorowe jakim jest parlament, funkcja rządzenia skomplikowała się podwójnie. Jeśli jeszcze w systemie politycznym istnieje pewna równowaga między legislaturą a rządem, a życie polityczne oparte jest o dwa lub trzy stronnictwa jak np. w W. Brytanii, władzę obejmuje zwykle nie koalicja, a jedno tylko stronnictwo. W kraj wówczas słabiej odczuwa kryzys wywołany skomplikowaniem się i rozszerzeniem się atrybucji państwa. Gorzej jest jednak w krajach parlamentaryzmu typu kontynentalnego, gdzie istnienie całego szeregu stronnictw uniemożliwia wytworzenie jednolitej politycznej większości. Wtedy sama liczebność ciała parlamentarnego, wpływająca z natury rzeczy, powolność jego działania i decyzji, niekończące się dyskusje i debaty, wymagające ciągłych kompromisów, związane z tym zygzaki zwłaszcza w dziedzinie gospodarcej — wszystko to utrudnia w wysokim stopniu kierowanie polityką państwa.

We Francji ta antynomia ustroju parlamentarnego daje się odczuwać coraz drastyczniej; przeciwnicy ustroju z prawa i z lewa nie omieszkują wykorzystywać jej coraz gwałtowniej. Konstytucja IV Republiki jest ustrojem omnipotencji parlamentu w pełniejszym może stopniu, niż konstytucja z 1875 r. Według tej ostatniej np. prezydent mógł za zgodą Senatu rozwiązać Parlament. Prawda, że nigdy nie korzystał on z tego uprawnienia. Wszzechwładzę parlamentu równoważyło jednak istnienie

Senatu, z jego uprawnieniami, których pozbawiona jest obecna Rada Stanu; m. in. Rząd za swoją politykę odpowiedzialny był nie tylko przed Izłą parlamentarną, ale i przed Senatem.

Przy wszystkich tych różnicach analogie Republk Trzeciej i Czwartej są uderzające; idea jednej i drugiej konstytucji jest zasada demokracji pośredniej, tzn. delegowania suwerenności demokratycznie wybranej reprezentacji narodu. Mimo to krótkotrwała praktyka Czwartej Republiki, która już tworzyła się nawet przed uchwaleniem ostatniej konstytucji z 26 września 1946, od wyborów do Pierwszej Konstytuancy w październiku 1945, wprowadziła szereg dość istotnych różnic do stanu obecnego w porównaniu z okresem Republiki III-iej.

Okres 70-letni istnienia tej ostatniej cechowało niezwykle rozproszkowanie życia politycznego. Partie polityczne w współczesnym rozumieniu tego słowa właściwie nie istniały. Dopiero pod koniec XIX wieku pojawiła się zorganizowana na zasadach współczesnej dyscypliny Partia Socjalistyczna, a dopiero w 1920 r., po rozłamie na konferencji w Tour, Partia Komunistyczna Francji. Obie te partie nie grały początkowo większej roli, dopiero bowiem w 1924 r. po zwycięstwie tzw. kartelu lewicy, socjaliści weszli w poważnej liczbie w skład parlamentu, komuniści zaś dopiero po wyborach w 1936 r. rozporządzając wówczas już liczną, 70-osobową frakcją parlamentarną. Parlament Trzeciej Republiki składał się poza tymi dwoma stronnictwami z szeregu dość luźnie zorganizowanych frakcji. Nawet Partia Radykalna nie stanowiła dostatecznie zwartej organizacji. Wprowadzony jeszcze przed wielką wojną system wyborów jednomandatowych, wraz z zasadą wyborów uzupełniających, — w razie gdy żaden z kandydatów w swym okręgu nie otrzymał bezwzględnej większości głosów, sprzyjał wchodzeniu do parlamentu rozmaitych wielkości lokalnych, bardziej zainteresowanych w kłopotach i trudnościach własnego okręgu wyborczego, aniżeli programem i polityką frakcji do której należał. Skład tych grup parlamentarnych był nie tylko płynny, ale częstokroć w ważnych kwestiach politycznych, jak np. przy głosowaniu nad zaufaniem dla rządu, głosy rozbiły się i członkowie tego samego „stronnictwa” głosowali rozmaicie. Dawało to w wyniku dużą „wywrotność” rządu, który nigdy nie mógł przewidzieć, czy na skutek jakiejś intrygi kolejnego kandydata na premiera rząd nie wywróci się niespodziewanie np. na zgłoszonej nagle interpelacji, częstokroć w jakiejś trzeciorzędnej sprawie. Tylko dzięki bogactwu indywidualności politycznych tych czasów w trudniejszych momentach, znajdowano jakiegoś epatnościowego kandydata w stylu np. Waldecka Rousseau, Clemenceau lub Poincaré'go, którzy potrafili nawet w tych warunkach utrzymać się dwa do trzech lat (tyle wynosił najdłuższy okres życia gabinetu III Republiki) bez zmian ekipy rządowej.

Powstanie po „Libération” zorganizowanych nowoczesnych partii politycznych spowodowało dość głęboko sięgającą rewolucję w stosunkach politycznych Francji. Jakkolwiek szkodliwym objawem były ciągle zmiany gabinetowe w czasach III Republiki, to sam rząd cechowała wówczas większa niż obecnie jednolitość i solidarność działania. Gabinet uważał się za

solidarnie działający zespół, przyjmujący zbiorową odpowiedzialność za ustaloną przez siebie politykę i solidarnie broniący jej wobec parlamentu. W tym sensie przynależność do poszczególnych partii czy frakcji nie miała decydującego znaczenia. Obecnie cała „polityczna społeczność” francuska ujęta jest w ramy stronnictw politycznych. Poza socjalistami i komunistami, zreorganizowała się Partia Radykalna, osłabiana zresztą ciągłymi konfliktami wewnętrznymi, powstało nowe potężne chrześcijańsko-społeczne MRP. Na prawicy wytworzyły się dwie niezbyt silne, ale nieco lepiej niż poprzednio zorganizowane grupy PRL i Niezależnych Republikanów. W najbliższym okresie czasu dokona się krystalizacja nowego stronnictwa z gen. de Gaulle jako szefem pod nazwą Rassemblement du peuple Français (RPF).

Zmiany te nie tylko wpłynęły na ewolucję metod działania poszczególnych partii „w terenie”, ale sięgnęły też i głęboko w samą technikę rządzenia. Obok stron niewątpliwie dobitnych, jak większa stabilizacja sytuacji parlamentarnej, możliwość łatwiejszego krystalizowania się większości w parlamencie, pociągnęła ona za sobą także i pewne skutki ujemne. Rząd przestał być zespołem działającym solidarnie, a stał się czymś w rodzaju miniaturowego parlamentu, gdzie każde ze stronnictw, wchodzących w skład koalicji rządowej deleguje swoich przedstawicieli, reprezentujących program i politykę własną. Stara tradycja parlamentarna Francji i umiejętność kompromisu mogłyby oczywiście łagodzić niejednokrotnie trudności, które stąd wynikają, nieustanna jednak groźba rozbitcia stanowi istnienie potężnej partii komunistycznej. Jest ona obok MRP najliczniejszym stronnictwem we Francji i zyskuje przy wyborach przeciętnie około 26% głosów, i circa 29% mandatów poselskich. Przy całej taktyce pozorów, wykonywania zasad demokratycznych, partia ta oczywiście nie tylko dąży do totalnego opanowania władzy, ale w szczególności zależy jej na skompromitowaniu zniechęconego ustroju liberalnego i „parlamentarnej gadalni”. To też w okresie, w którym komuniści pozostawali w składzie rządu od początków 1944 r., tzn. jeszcze od rządu utworzonego w Algierze, aż do wyrzucenia ich z gabinetu premiera Ramadier w maju 1947, w niezwykle trudnym okresie chaosu powojennego, Francja miała nie tylko do czynienia z obstrukcją najliczniejszej partii parlamentu, ale z prawdziwym „koniem trojańskim” w samym rządzie i w całym aparacie państwowym. Do licznych więc trudności obiektywnych dochodzi jeszcze i ta ostatnia: partia sabotażu i przewrotu opanowuje niemalą część władzy, utrudniając jej niepomierne działanie. Mimo wszystkich wysiłków komuniści wyrzuceni z rządu okazali się mniej niebezpieczni w opozycji, niż byli nimi, posiadając 5 ważnych tek w ostatnich gabinetach Gouina, Bidault i w pierwszym gabinecie Ramadier.

Zwolennicy obecnego ustroju przeważnie w równym stopniu jak i jego przeciwnicy zdają sobie sprawę z tych trudności. Pierwsze zastosowanie praktyczne przepisów nowej Konstytucji i ich interpretacja poszły w kierunku dość skutecznego wzmocnienia prestiżu i sytuacji rządu, ściślej mówiąc jego premiera. Przy ograniczonych bardziej jeszcze, niż za Trzeciej Re-

publiki kompetencjach prezydenta, ośrodkiem decyzji politycznych staje się kolejny premier w wyższej mierze niż za czasów konstytucji poprzedniej. On bowiem, otrzymując misję tworzenia rządu przed jego skompletowaniem pozyskać musi aprobowaną uchwałą większości parlamentu i następnie dopiero dobiera sobie swoich ministrów. Jak wykazało przesilenie z maja, premier, na podstawie interpretacji przepisów konstytucji z września 1946, mógł także i zdymisjonować ministrów, niezgadających się z polityką większości rządu, a następnie mianować ich następców znów z jedynym ograniczeniem liczenia się z koniecznością posiadania choćby jednoosobowej większości w Izbie. Jednocześnie samo jednak votum nieufności obwarowane zostało w konstytucji 1946 pewnymi przepisami, ograniczającymi. Wprawdzie polega ono jedynie na wprowadzeniu głosowania nad votum nieufności dopiero po upływie 24 godzin od daty zgłoszenia wniosku. Drobną tą z porozu zmianą posiada jednak istotniejsze niż można było przypuszczać znaczenie, gdyż usuwa zupełnie przypadkowość w obalaniu rządu w wyniku zaskoczenia, czy jakiegś na poczekaniu spreparowanej intrygi kuluarowej lub przy interpelacjach w jakiegś dość drugorzędnej sprawie. Bodaj jednak że większość przesileni rządowych francuskich w okresie 70-lecia Trzeciej Republiki w ten sposób właśnie zostało wywołanych.

ZMIANY PO „LIBERATION”

Nie są to jedyne zmiany jakie zaszły we Francji na przełomie republik Trzeciej i Czwartej. Obok bowiem władz konstytucyjnie przewidzianych i reprezentowanych w rządzie partii politycznych wzrosło do niebywałych dawniej granic znaczenie Związków Zawodowych, a w szczególności najliczniejszego Confédération Générale du Travail (CGT). Organizacja ta ingeruje w dużej mierze w politykę gospodarczą rządu. Kwestie tak istotne jak zagadnienie redukcji urzędników państwowych, których Francja liczy około 1.100.000, (a jeśli dodać urzędników przedsiębiorstw znacjonalizowanych, urzędników komunalnych, przedsiębiorstw wyodrębnionych, jak np. kolei, to cyfra ich zdaje się, że będzie przekraczała 1.600.000), zagadnienie wysokości płac, a pośrednio polityka aprowizacyjna rządu znajdują się pod silnym wpływem coraz bardziej akcentującej się ingerencji przedstawicieli CGT i innych związków zawodowych. Można więc przyjąć, że obok konstytucyjnych władz Francji mamy do czynienia z nowym czynnikiem wpływającym istotnie na politykę rządu.

Wreszcie przejście od Trzeciej do Czwartej Republiki nie obyło się bez daleko idącej zmiany rządzącej elity politycznej. Zwłaszcza pierwsze miesiące po „Libération” przyniosły okres terroru i rugów partyjnych w stosunku do tzw. kollaboracjonistów, a częstokroć elementów niewygodnych, które likwidowano pod pozorami kollaboracjonizmu. Jedenaście tysięcy wyroków śmierci wydanych na drodze sądowej, dziesiątki tysięcy ludzi, których egzekucji dokonano w pierwszych miesiącach anarchii po usunięciu Niemców z kraju dotknęło wiele osobisto-

ści politycznych z okresu Trzeciej Republiki. Oczywiście najbardziej ucierpiała prawica od „Action Française” aż do prawicy bardziej umiarkowanej włącznie, istotnie zaangażowana w reżim Petaína w wyższym stopniu niż inne ugrupowania polityczne Francji. Nie uniknęły jednak dalej idących rugów, także i stronnictwa lewicy. W samej partii SFIO usunięto ogromną ilość działaczy urzędników partyjnych i około 80 deputowanych czyli niemal połowa frakcji socjalistycznej spośród ogółu posłów SFIO wybranych do parlamentu w 1936 r. M. in. ofiarą tego okresu był jeden z liderów socjalistycznych p. Paul Faure, obok Bluma najwybitniejszy przywódca przedwojenny SFIO i demonstracyjny kandydat socjalistów na prezydenta przeciw Lebrunowi w kwietniu 1939 r.

FRANCUSKA PARTIA KOMUNISTYCZNA

Kryzysu nie uniknęła nawet najbardziej zwarta, najbardziej zdyscyplinowana Partia Komunistyczna. W okresie przed paktem Ribbentrop — Molotow z 23 sierpnia 1939 była ona oczywiście antyhitlerowska, licytująca się w swym ultrapatriotycznym nasławieniu antyniemieckim. Pakt ten zaskoczył nie tylko partię ale i jej szefów jak najzupełniej. Nawet dyscyplina i przyzwyczajenie do najbardziej karkołomnych zwrotów nie były tym razem w stanie zapewnić jednolitości stronnictwa. W klubie liczącym przeszło 72 deputowanych zbułtowało się dwudziestu kilku wyrzuconych następnie z partii, z których zresztą znaczna część w tajemniczych okolicznościach zginęła w czasie okupacji niemieckiej.

Jaki jest obecny układ sił polityczno - partyjnych we Francji i najbliższe perspektywy rozwoju? Co najmniej od wprowadzenia powszechnego głosowania we Francji przy całej różnorodności wachlarza politycznego, można było zawsze przeprowadzić rozdzielenie na dwa zasadnicze bloki: na prawicę i lewicę, na „białych” i „czerwonych”. Siły tych obozów zwykle się równoważyły częstokroć z pewną przewagą dla lewicy. Równowaga ta ulegała zachwianiom dalej idącym, jak np. przy wyborach w 1898 r. i 1902, a w ostatnim okresie w 1936 r., gdy lewica uzyskiwała wyraźną przewagę. Przeciwnie wybory w 1919 tzw. Izby Bleu Horizon dały znów zdecydowaną przewagę prawicy. Obecnie po raz pierwszy ten tradycyjny podział polityczny przestał istnieć dzięki coraz głębszemu rozdźwiękowi wewnątrz obozu marksistowskiego i rozejściu się — bodaj ostatecznemu — socjalizmu francuskiego ze stalinowcami z P. K. Rozłam między obu tymi stronnictwami nastąpił zresztą wcześniej niż formalna decyzja władz SFIO wycofania się z Komitetu porozumienia parlamentarnego obu partii, powzięta na jesieni 1946 r. Faktem, o którym się zwykle zapomina było, że w obu pierwszych Konstytuantach socjaliści i komuniści posiadali już niewielką wprawdzie przewagę głosów. W żadnym jednak momencie socjaliści nie kwapili się do tworzenia rządu marksistowskiego „jednolitego frontu robotniczego”, obstając przy formule koalicyjnej. Obecnie nieistniejącemu w praktyce blo-

kowi marksistowskiemu brakuje — w obecnym parlamencie — przeszło 20 głosów do ewentualnej większości.

Partia komunistyczna jest wyraźnie w defensywie, chociaż ilość głosów oddawana na listy komunistyczne jest wciąż imponująca, a nakłady dzienników komunistycznych przy malejącej zresztą tendencji wciąż jeszcze bardzo wysokie.

Ujmując w największym skrócie sytuację tego stronnictwa, należy podkreślić, jako porażki jego polityki, punkty następujące:

1) Jednym z najważniejszych celów taktycznych komunistów było utrzymanie się przy władzy choćby w ramach gabinetu koalicyjnego. Komuniści ze względu na sytuację międzynarodową i stanowisko Moskwy nie mogli sobie dotąd pozwolić na zamach stanu, niezmiernie więc ważną była dla nich penetracja pokojowa aparatu rządowego i paraliżowanie w ten sposób jego działania. Mimo wszystkich wysiłków i jak największej kompromisowości, komuniści zostali wyeliminowani z rządu w maju br. rękami premiera reprezentującego „bratnią” partię socjalistyczną.

2) Komunistom nie udało się obalić w drodze strajku obecnego rządu koalicyjnego mimo stosowanej przez niego polityki liberalnej i niezbyt „mocnej ręki” ministrów gabinetu Ramadier. Przebieg strajku wykazał, że komuniści nie panowali przeważnie nad masami i dali się w kierownictwie akcją ubiegać mniej licznym, ale bardziej zdecydowanym elementom anarcho-syndykalnym a częściowo lewicowo-socjalistycznym i trockistowskim.

3) Przebieg wyborów do kas chorych w kwietniu 1947 wykazał cofanie się wpływów CGT, które uzyskało ledwie 68% głosów i straciło dość znacznie „w terenie” w stosunku do związków katolickich. Jednocześnie w samym CGT odbywa się walka przeciwko narzucanym znanymi metodami biurokratom z Partii Komunistycznej.

4) Wszystkie kolejne wybory od maja 1946 wskazują na powolne cofanie się wpływów komunistycznych. Bliższa analiza daje bardzo niepokojący dla Partii spadek głosów w najbardziej uświadomionych okręgach robotniczych, jak np. deparlamenty Nord, w paryskim banlieue (słynnej „centure rouge”), w Lyonie, Marsylii etc. Komunistom częściowo tylko udało się wyrównać te straty w najbardziej zacofanych okręgach rolniczych południa Francji.

Trudno jest w ramach niniejszego artykułu dać bliższą analizę powodów dla których wciąż jeszcze około 5.500.000 wyborców głosuje na komunistów, mimo że polityka Moskwy w stosunku do Niemiec, jej stosunek do planu Marshalla etc., etc., były gorzkim rozczarowaniem dla francuskiej opinii publicznej. Oczywiście istotne bardzo znaczenie ma fakt niezwyklej sprężystości organizacyjnej i propagandowej P. K., której w przybliżeniu nawet nie mogą dorównać inne rozporządzające zresztą mniejszymi środkami partie polityczne Francji.

Jednocześnie jednak na tle sceptycyzmu, zniechęcenia i pewnej apatii, która ogarnęła dość szeroko społeczeństwo francuskie, a zwłaszcza jej inteligencję, na tle nihilistycznych prądów, które ogarniają znaczną część jej literatury, fanatyzm, siła i rozmach P. K. wciąż jeszcze impresjonuje zwłaszcza zdezoriantowaną ideową inteligencję francuską. Tą okolicznością tłumaczy się więc nie tylko dotychczasowa siła liczebna partii, ale znaczny udział w niej elementu inteligentckiego. Procent partyjnych komunistów lub sympatyków wśród ciała profesorskiego niejednej wyższej uczelni, wyższy jest od analogicznego procentu w najbardziej opanowanych przez propagandę komunistyczną fabrykach paryskiego banlieue.

TRUDNA SYTUACJA SOCJALISTÓW

Partia Socjalistyczna Francji przechodzi wciąż ciężki kryzys wewnętrzny. Bodaj że w wyższym stopniu niż w innych krajach zachodniej Europy zmagają się i neutralizują bardzo różnorodne tendencje. Może jedynie socjalizm włoski zaznaczał się jeszcze ostrzejszymi konfliktami wewnętrznymi, to jednak skryształizowały się już w powstaniu dwóch odrębnych zupełnie stronnictw.

W SFIO, z wyjątkiem nie nieznaczających drobnych wtyczek komunistycznych, wszystkie kierunki chcą za wszelką cenę uniknąć rozłamu. Ostre rozbieżności paraliżują jednak politykę stronnictwa, osłabiając na zewnątrz jej prestiż. Zajmując wygodne może w grze parlamentarnej, ale bardzo trudne wyborczo stanowisko centrowe pomiędzy komunistami, a chrześcijańsko-społecznym MRP i ruchem gen. de Gaulle, socjalistom coraz trudniej jest utrzymać własną pozycję wobec demagogii komunistycznej i humanistyczno-chrześcijańskiej, ale społecznie bardzo radykalnej doktryny MRP. Ta sytuacja potęguje jednocześnie sprzeczności jakie rozrywają socjalizm francuski. Lewica pragnie bronić odrębności stronnictwa odnowieniem doktryny socjalizmu z okresu, w którym odrzucał on wszelkie kompromisy z partiami burżuazyjnymi. Hasło „klasa przeciw klasie”, ostry etatyzm w polityce gospodarczej, wysunięcie obrony interesów robotniczych nawet kosztem chłopów, co znalazło swoje odbicie w uchwałach kongresu lyońskiego, jest receptą suchego doktrynerskiego, kartezyjańskiego umysłu posła z Arras p. Guy Mollet. Prawica, której patronem jest Leon Blum, i z którą sympatyzuje niewątpliwie obecny Prezydent Republiki, przeszła głęboką ewolucję doktrynalną, o czym wspominaliśmy wyżej i dąży usilnie do dostosowania programu do realnych konieczności plus rządzenie. Pod presją groźby zamachu z lewa lub z prawa przeciw obecnemu ustrojowi pragnie ona utrzymania sojuszu z MRP. Jest przekonana, że ustroj parlamentarny jest co najmniej tak samo zagrożony przez komunistów, jak przez rewizjonizm konstytucyjny gen. de Gaulle.

Siły obu tych grup w SFIO są mniej więcej równoważne, ale jak dotąd „prawica” potrafiła narzucić swoje stanowisko młodym i niezbyt doświadczonym przywódcom „lewicy”.

ZMIANY NA PRAWICY

Na prawicy przemiany są jeszcze głębsze. Dawne tradycyjne partie, zresztą o bardzo luźnej organizacji znikły z powierzchni życia politycznego. Miejsce tych stronnictw o ultra konserwatywnym programie społecznym i powiązanych ściśle niciami zależności z wielkim przemysłem lub bankami zajęła niemal niepodzielnie chrześcijańsko społeczna MRP. Ruch ten przełamał obowiązującą dotąd we Francji tradycję, iż partia o obliczu nacjonalistycznym, czy nawet katolickim musi mieć jednocześnie reakcyjny lub konserwatywny program w sprawach społecznych. Ogromna większość wyborców, którzy dotąd tradycyjnie głosowali na prawicę poparla jedynie wielkie stronnictwo „anty-marksistowskie”, które pozostało na placu. Zużycie się dotychczasowych firm politycznych i atrakcyjność nowego ugrupowania, w początkowym okresie proklamującego się jako stronnictwo „wierności dla gen. de Gaulle'a” (Partie de Fidelité), wysunięcie przez MRP osobistości, które grały wybitną rolę w ruchu Resistance, z prezesem Centralnej organizacji Resistance (C.N.R.) p. Bidault na czele, głoszenie radykalnych haseł społecznych — wszystko to niespodziewanie wysunęło MRP na czoło wszystkich stronnictw Francji. Wprawdzie posiadało ono swój odpowiednik we francuskim życiu politycznym i przed wojną, — niewielką grupę chrześcijańsko-ludową, której liderami w tym okresie był p. Champetier de Ribes i Francis Gay. Grupa ta, posiadająca wówczas kilkunastu posłów w parlamencie nie grała jednak większej roli politycznej i koncentrowała swoją uwagę na walce z laicyzmem i zagadnieniach kulturalnych, nie reprezentując szerszego programu społecznego.

MRP, będąc stronnictwem katolickim, zwalczając laicyzm zaliczane jest do prawicy parlamentarnej. Jest to jednak w sprawach politycznych partia par excellence umiarkowana. W szczególności daleka jest ona od konserwatywnego nastawienia resztek prawicy skupionych w PRL w sprawach Unii Francuskiej, tzn. stosunku do kolonii. W sprawie statutu dla Algieru doszło do kompromisowego i bardzo liberalnego uchwalenia ustawy o autonomii właśnie z inicjatywy MRP.

Program MRP coraz bardziej zbliża się do programu socjalistów francuskich różniąc się jaskrawiejszą rolą jedynie w sprawie odwiecznego we Francji tematu szkoły laickiej. Zwłaszcza okres rządów Ramadier, a w szczególności ostatnich kilka miesięcy od wyrzucenia z rządów komunistów wykazały, że koalicja MRP i socjalistów nie jest tworem sztucznym. Polityka obu tych grup — z pewnymi zastrzeżeniami — co do ultra klasowego nastawienia lewicy socjalistycznej z p. Guy Mollet — porównuje się nie bez słuszności do umiarkowanego programu angielskiej Labour Party. Trzykrotnie wybory parlamentarne, wybory do Rady Republiki, wybory samorządowe wykazały znaczną trwałość wpływów MRP i fluktuację wpływów o wiele mniejszą niż u dwu starszych i lepiej zdawało się zorganizowanych partii, jak komuniści i SFIO zagrożona jednak rosnącą popularnością RPF.

Dopiero ostatnio obraz ten może ulec zaciemnieniu w

związku z decyzją gen. de Gaulle stworzenia własnego stronnictwa politycznego.

Resztki prawicy skupiły się w dwóch grupach PRL i niezależnych republikanów. Są to typowe partie prawicy w dawnym znaczeniu, reprezentujące skrajnie liberalny, anti-etatystyczny i przeciwstawiający się gospodarce kierowanej, program polityki gospodarczej. Partie te są też przeciwne dalszym reformom w zakresie organizacji Unii Francuskiej. Jest to jednak prawica w sensie parlamentarnym, nie mająca nic wspólnego z faszyzmem i raczej umiarkowana w taktyce. Można by tu przypomnieć choćby świeży fakt, iż PRL, powstrzymując się od głosowania w sprawie votum zaufania dla premiera Ramadier w dn. 5 września br., świadomie umożliwiła Premierowi uzyskanie większości. Gdyby PRL solidarnie głosowało przeciwko rządowi, znalazłby się on w Izbie w mniejszości 2 czy 3 głosów.

Z mniejszych stronnictw wymienić należy potężną dawniej partią radykalną, która z małymi przerwami rządziła Francją przez pierwsze cztery dziesiątki bieżącego stulecia. Stronnictwo to, które reprezentowało klasyczną lewicę parlamentarową Trzeciej Republiki, wyznawało jednocześnie wyraźnie konserwatywny program w sprawach gospodarczych i społecznych, hamując zresztą skutecznie wszelkie radykalne reformy socjalne i wszelki radykalizm fiskalny. Wykazując zupełną niezdolność ewolucji, partia radykalna zesłała do rządu niewielkiego ugrupowania w Izbie, Pewnym wzmocnieniem jej był układ wyborczy, zawarty z UDSR, grupą organizacji dawnego Resistance, orientującą się coraz bardziej na gen. de Gaulle.

Partia radykalna nie tylko stopniała w swej liczebności, ale rozrywana jest najsprzeczniejszymi tendencjami. Większość zajmuje skrajnie antykomunistyczne i „pro - gaullistowskie” stanowisko. Nie wielka część z przewodniczącym Izby Herriot chciałaby utrzymać raczej tradycję partyjną jako ugrupowania centrowo-lewicowego. Trudno przypuścić aby partia ta mogła odegrać kiedyś jeszcze poważniejszą rolę.

SZANSE AKCJI GEN. DE GAULLE'A

Pozostaje gen. de Gaulle. Jego popularność ogromna w armii i społeczeństwie osłabła nieco wśród elity politycznej, wyrzucającej mu negatywizm i coraz wyraźniejsze obieranie drogi, prowadzącej do zamachu stanu i dyktatury osobistej. Gen. de Gaulle, proklamując walkę ze świeżo uchwaloną konstytucją z 1946, wypowiadając się przeciw wszechmocy parlamentu, rzucił ostatnio hasło stworzenia własnego ruchu pod nazwą Rassemblement du Peuple Français, które jak słusznie stwierdzają jego przeciwnicy w istocie będzie jeszcze jednym stronnictwem we Francji.

Gdyby gen. de Gaulle rozpoczynał swoją akcję w 1945 r., zanim jeszcze ustrój kraju znalazł swoje sformułowanie konstytucyjne, szanse jego koncepcji, zbliżone w zasadzie do konstytucji amerykańskiej, byłyby zapewne większe. Obecnie gen. de Gaulle ma tylko dwie drogi wyboru: pierwsza to za-

mach stanu w obecnym układzie pociągający za sobą ogromne ryzyko. Rozważając jego szanse trudno się nie oprzeć analogiom, jakie nasuwał lipcowy zamach gen. Kornilowa w 1917 r., gdy jego próba ratowania Rosji przed bolszewizmem uderzyła i osłabiła i tak bezwolny Rząd Tymczasowy, torując tym drogę Leninowi i jego partii. Mimo zewnętrznych podobieństw trudno porównać obecną sytuację Francji do roku 1926 w Polsce gdy wszystkie okoliczności nierównie bardziej sprzyjały zbrojnemu zamachowi stanu.

Druga droga — to akcja w formach legalnych. W tym wypadku gen. de Gaulle nie ma innego wyjścia, niż tworzenie własnego stronnictwa i próba uzyskania w ten sposób władzy lub udziału w rządach. Ale tu trudności piętrzą się. Przede wszystkim najbliższe wybory do parlamentu mogą się odbyć dopiero w listopadzie 1951 r. Przez okres tak długi możliwe, że obfitujący w doniosłe wydarzenia, gen. de Gaulle mógłby co najwyżej odnieść pewne sukcesy przy wyborach samorządowych i zorganizować nowy klub w parlamencie ze swych zwolenników, których wg obliczeń przeciwników jest 40 do 50 wg. jego zwolenników zaś około 100 posłów.

Gen. de Gaulle, mający możność rzucenia swego autorytetu na szalę w jakimś plebiscycie, mógłby liczyć na decydujący sukces. Drugie referendum konstytucyjne, gdy gen. de Gaulle rzucił hasło głosowania przeciw uchwalonemu projektowi konstytucji, dało 45% głosów negatywnych, mimo że po przeciwnej stronie znalazły się 3 największe stronnictwa: komuniści, socjaliści i MRP. Była to niewątpliwie miara jego wielkich wpływów. Jednakże jak wiemy, konstytucja Czwartej Republiki jest typową konstytucją demokracji pośredniej, w której grają tylko partie polityczne. Otóż jest oczywiste, iż partia gen. de Gaulle, która posiada przeszło milion dwieście tysięcy zapisanych członków, tj. więcej nawet niż komuniści, jest niedostatecznie przygotowana do klasycznych akcji wyborczych, wymagających specyficznej organizacji terenu, ruchliwych „fachowców” wyborczych w każdym okręgu, odpowiednich lokalnie popularnych kandydatów etc. etc. Wprawdzie MRP udało się stworzyć tego rodzaju aparat w bardzo krótkim czasie. Nie posiadało ono jednak na prawicy żadnego poważnego konkurenta i od razu sformułowało program, który doskonale odpowiadał dyspozycjom głosujących dawniej na „prawicę” wyborców francuskich. Natomiast gen. de Gaulle sformułował przejrzyście raczej negatywną stronę swego programu, krytykę istniejących instytucji i rzucił hasło jedności społeczeństwa. Obawiać się można, że w tym wypadku szanse jego powodzenia będą niedostateczne, aby zapewnić mu większość głosów.

Sytuację w skrócie można określić w ten sposób, że na nazwisko gen. de Gaulle jako na kandydata w ewentualnym plebiscycie mogłoby głosować nawet około połowy wyborców, jednakże partia jego, owe RPF, w konkurencji nie tylko z komunistami i socjalistami, ale także z MRP ma szanse zreduko-

wane. Weszłoby ono do parlamentu, jako jedno z czterech wielkich stronnictw obok komunistów, socjalistów i bardzo osłabionej dywersją RPF — MRP. Nie trzeba bowiem tłumaczyć, iż ewentualne powodzenie RPF uzyskane byłoby kosztem radykałów, PRL, może częściowo socjalistów, ale przede wszystkim na rachunek masowych strąt ruchu chrześcijańsko - społecznego.

KONKLUZJE

To są główne elementy sytuacji we Francji. Wnioski częściowo zawarte już są w przeprowadzonej przez nas analizie. Francja przechodzi okres długotrwałego przesilenia, nie tylko politycznego, gospodarczego, w dużej mierze ideowego, ale i biologicznego. Wszystkie te elementy redukują szanse szybkiej odbudowy takiej, jaka np. się dokonała w Belgii. Rozdarcie polityczne kraju istnieje nadal. Komplikuje je nie tylko negatywna, niszczycielska siła komunizmu francuskiego z jego 26% wyborców, ale także grożący konflikt w łonie obozu antykomunistycznego. Ogromne trudności rządzenia, brak skryształowanej polityki w sprawie gospodarczej wzmocnią raczej i dopinguje siły, które wypowiedziały walkę obecnemu ustrojowi i obecnej konstytucji. Trudno mówić już o atmosferze zamachu stanu we Francji, ale trudno negować wzmaganie się jego niebezpieczeństwa.

W tych warunkach wyjście może być znalezione tylko przy poparciu z zewnątrz. Ewolucja układu stosunków między państwami wprowadza coraz więcej ograniczeń suwerenności państwa, tak jak pojmowaliśmy je w okresie sprzed r. 1939. To co się dzieje obecnie w Grecji może przypuszczaćalnie w silnie zmienionych formach zewnętrznych powtórzyć się także i we Francji. Jasne jest, o czym już pisaliśmy powyżej, że bez finansowej, kredytowej pomocy amerykańskiej, bez importu amerykańskich surowców i żywności, Francja nie uchwyli z powrotem głęboko zachwianej równowagi. Bez współdziałania z blokiem anglosaskim, bez uzgodnienia polityki zagranicznej, imperium kolonialne francuskie będzie nieustannie zagrożone. Nie można też i negocjować, że wraz z tym współdziałaniem może zaznaczyć się wyraźniej wpływ polityki Ameryki na rozwój stosunków wewnętrznych.

Trudno w tej chwili przesądzać jego formy i zasięg, trudno też przypuścić, aby procesy nie odbywały się bez głębokich wstrząsów i komplikacji. Można tylko życzyć, aby konsolidacja Francji w ciężkim okresie, jaki przeżywać będzie, dokonała się możliwie jaknajszybciej.

W przeszłości swej Francja nieraz potrafiła wybrnąć z trudności równie ciężkich jak te, w których znalazła się obecnie. Bogactwa jej nie uległy jeszcze pełnemu wyczerpaniu; brak jej jednak woli intensywnego wysiłku zaleczenia ran wo-

jennych i zdolności przekreślenia w obecnym ciężkim momencie rozrywających ją różnic politycznych.

Czy zdobędzie się ona na ten heroiczny wysiłek?

PS — Artykuł powyższy napisany w początkach sierpnia r. zachowuje w naszym zrozumieniu swoją aktualność. Wydania jednak dużej wagi, które we Francji nastąpiły już po jego napisaniu, zmuszają nas do kilku uzupełnień.

Rozwój wypadków jest tak szybki, że nawet przyspieszone zdawałoby się procesy po kapitulacji Niemiec w 1918 roku nie dają się porównać ze spektakularnymi zmianami, jakich dostarcza nam historia Europy, a zwłaszcza Francji po 1945 roku.

Przebieg wypadków we Francji od 1945 r. przypomina swoimi cechami zewnętrznymi dramatyczną historię republiki Weimarskiej. I tu i tam polaryzacja opinii dookoła skrajnych programów i obozów odbywa się kosztem demokratycznego „demoliberalnego” centrum, dążącego do utrzymania supremacji pośredniej — dwustopniowej demokracji parlamentarnej. W Niemczech weimarskich trzeba było lat jedenastu między 1918 a 1929 rokiem, aby skryształizowało się istnienie trzech obozów: hitlerowskiego, komunistycznego i całej znajdującej się pomiędzy nimi gamy stronnictw, stojących mniej lub więcej szczerze na gruncie reżimu parlamentarnego.

Ostatnie wybory samorządowe we Francji już w pierwszej turze tj. dnia 19 października 1947 r., zarysowały nie tylko podobną sytuację ale zepchnęły „trzeci” obóz demokracji na ostatnie miejsce w stosunku do swoich bardziej jednolitych i bardziej zdyscyplinowanych, dynamiczniejszych, a ostatnio i liczniejszych przeciwników.

Czwarta republika zainstalowana we Francji pod koniec 1944 roku, a której formalne istnienie zapoczątkowała konstytucja z 26 września 1946 jest ciężko, a nawet zdaje się śmiertelnie chora. W ramach niniejszego artykułu trudna byłaby dla nas szczegółowsza analiza rezultatu ostatnich francuskich wyborów samorządowych. Ograniczmy się więc do niewielkiej ilości cyfr. Ruch Gen. de Gaulle'a, skupiony w R.P. uzyskał 39%, do których należy doliczyć jeszcze 1 i pół%, uzyskanych przez rozstrzelone listy konserwatystów i prawicy. Komuniści uzyskali 29 i pół% głosów.

Na resztę więc przypada około 30% głosów, w czym zasadniczy trzon stanowią socjaliści — około 15% głosów, M.R.P. — 10 i pół% głosów i radykałi ortodoksyjnego autoramentu — 4% głosów.

Te trzydzieści % są zwięzłą do maksimum platforma oparcia rządu Ramadier, nękanego od lewicy częściowymi, ale

dotkliwymi strajkami — od prawicy zaś zagrożonego jednolita i silna organizacja, wyrzekająca się wprawdzie totalizmu i zasady jednopartyjności, ale nie mniej dążącego do zdeorganizowania dotychczas istniejących partii w centrum i na prawicy, jako niedostatecznie silnej zapory dla ewentualnego zamachu komunistycznego.

Procesy, które po krótko zanalizowaliśmy w artykule powyższym na ogół trwają. Komuniści są wciąż, wyborczo biorąc, w defensywie; zamiast 32 i pół% głosów, które uzyskali przy wyborach z 10 listopada 1946 w miastach i miasteczkach (przeciętna w całym kraju jest jak wiadomo nieco niższa) — przy ostatnich wyborach 19 października spadli do 29 i pół% głosów. Strata ta jest tym dotkliwsza, że w większych miastach porażki partii komunistycznej są tym jaskrawsze, że wybory francuskie nigdy, zwłaszcza w tak krótkim przeciągu czasu, nie dawały przemian tak gwałtownych i że klęska ta jest bardziej dotkliwa w okręgach robotniczych niż w małych miastach i osiedlach o elemencie mieszczańskim a częściowo rolniczym. Spadek głosów komunistycznych w Paryżu dla wszystkich okręgów miasta wykazuje 30% (1946) i 27% (1947) głosów; dla Marsylii 47 i 37%; dla Lyonu 25 i 21 i pół%; dla Tuluzy 29 i 25%, dla Bordeaux 19 i 17%, dla Nicei 38 i 31%, w przeważnie robotniczym Lille 19 i 17 i pół%.

Blizsza analiza dla Paryża dostarcza dla szefów partii komunistycznej również poważnego materiału do refleksji. W najbardziej robotniczych okręgach, jak np. w XVIII komuniści uzyskali 32% głosów, a R. P. 48%. W jednej z twierdz komunistycznych w XX okręgu — komuniści 39% a R.P. 43%.

Porażka komunistów jest wprawdzie nieco mniejsza w tzw. banlieue, tradycyjnym czerwonym pierścieniu dookoła stolicy francuskiej w każdym jednak razie na 80 gmin miejskich, z których banlieue się składa komuniści, którzy mieli dotąd większość mandatów w 60 miastach, utrzymali większość mandatów w 22-ch. W niektórych z tych gmin, jak np. w Suresnes komuniści stracili przeszło 50% głosów, które mieli w wyborach zeszlórocznych.

Ruch gen. de Gaulle'a rozrósł się nie tylko kosztem chrześcijańsko społecznego M.R.P., prawicowego P.R.L. w bardzo poważnej mierze rozmaitych formacji radykalnych, ale w niektórych wypadkach, jak np. w Marsylii, kosztem komunistów. Od 1871 roku nigdy żadna partia prawicy nie uzyskała w wyborach francuskich tak wysokiego procentu głosów. Nawet słynne zwycięstwo Bloku Narodowego w 1919, w tzw. Chambre Bleu Horizont nie może być brane jako przykład, gdyż blok ten składał się z bardzo różnorodnych i źle z sobą sklejonych elementów od konserwatystów do radykalnych demokratów ludowych. Mimo braku technicznego przygotowania, mimo niedostatecznej organizacji i braku wybitniejszych działaczy robotniczych sukces Generała i jego ruchu, jak to już podkreślaliśmy wyżej, m. in. w okręgach robotniczych jest bardzo poważny. W Paryżu ma on 56% głosów, w Marsylii 39%, w Bordeaux 59%, w Lille 49 i pół%. W niektórych okręgach paryskich na R.P.F., mimo większej ilości list, głosowało 70 do 75% ogółu

wyborców. Z miast większym rekordem jest Bayonne, które dało dla R.P.F. około 80% głosów!

Jeżeli można nawet skostatawać względny sukces socjalistów, polegający na utrzymaniu stanu posiadania z 1946 roku i nawet lokalne zwycięstwa nad komunistami, to nie zmienia to obrazu ciężkiej porażki, jaką blok środka poniósł w swej walce na dwa fronty.

Nie potrzebuje tu udawadniać czytelnikom, którzy zapoznali się z kroniką powyższą, że triumf wyborczy R.P.F. nie przesądza jeszcze przyszłego rozwoju wypadków we Francji. Komplikuje on jednak niezmiernie i tak już zagmatwaną sytuację wewnętrzną, a zwłaszcza wpłynąć musi na dalsze przyspieszenie biegu wypadków, chyba, że nastąpi gruntowniejsze odprężenie sytuacji międzynarodowej. Choć stwierdzenie to wydaje się całkowicie paradoksalne to pierwszą konsekwencją polityczną wyborów samorządowych jest znalezienie się wszystkich trzech obozów w sytuacji niezmiernie trudnej.

Taktyka komunistów polegała dotąd na kojarzeniu dwóch wyraźnie zresztą sprzecznych ze sobą elementów politycznych. Pierwszy to proklamowanie się jako pierwsza partia polityczna Francji, ultrapatriotyczna i zdolna do pracy konstruktywnej w ramach istniejącego ustroju. Wymagało to fuszowania ostroklasowego oblicza K.P., pozytywnego stosunku do wojska i budżetu wojskowego, współuczestniczenia w koalicjach, które wydawały się kierownikom partii komunistycznej idealnymi środkami penetracji i opanowywania aparatu państwowego, gospodarczego i samorządowego. Drugim elementem tej taktyki była demagogia socjalna, która dzięki elastycznej taktyce potrafiła godzić w najsprzeczniejsze z sobą interesy konsumenta i producenta.

W wyniku ostatnich wyborów musi się wprowadzić do tej taktyki zmiany zasadnicze. Jawnie nie ma już widoków na powrót drogami legalnymi do władzy. Nacisk musi być położony na drugi z dotychczasowych elementów, tzn. na demagogię socjalną, operującą środkami półrewolucyjnymi. Nawet dla takich cyników, jak szefowie komunizmu francuskiego będzie zadaniem niezwykle trudnym utrzymywanie wrzenia rewolucyjnego bez dania temu wrzeniu decydującego wyrazu. Tak jakby ktoś chciał się utrzymywać w stanie ostrego podniecenia erotycznego unikając ostatecznej konsekwencji. Jasne jest jednocześnie, że Moskwa w tym momencie nie może pójść na rozwiązanie rewolucyjne we Francji bez spowodowania nieobliczalnych konsekwencji natury międzynarodowej.

Sytuacja obozu środka, a tym samym rządu Ramadier, zawiera w sobie także zupełne kwadratury koła. Rząd ten opiera się na mniejszości nieskonsolidowanej, nieprzenoszącej 30% głosów, tracącej wyborców na prawo i lewo. Nie tylko ponosi odpowiedzialność za rządy w sytuacji niezmiernie ciężkiej, ale wobec gwałtownego nacisku robotników, których sytuacja pogarsza się z każdym tygodniem, zmuszany jest do podwyżek płac, rujnujących jakakolwiek kalkulacje i spychającej państwo na równię pochyłą wyraźnej już inflacji.

Politycznie sytuacja rządu wydaje się również beznadziejna, gdyż dwa stronnictwa, które się na tę większość składają

podzielone są ponadto rozmaitymi tradycyjnymi sporami, i jak np. „zagadnieniem laicyzmu”. Co gorsza silnie liczebna lewica S.F.I.O. odgradzając się od komunizmu wciąż nie jest skłonna do bliższej współpracy z M.R.P. Na prawicy znów M.R.P. istnieją tendencje do bliższego współdziałania z rosnącą siłą ruchu gaulistowskiego, co w perspektywie może grozić dalszym topnieniem bloku środka na rzecz prawicy.

Dorzućmy do tego wreszcie konstatację, że rząd Ramadier w ostatnim głosowaniu uratował się jedynie dzięki wstrzymaniu się od głosowania prawicowego P.R.L. Obecnie gdy R.P.F. wywiera niemałą siłę przyciągającą na poważną część grup parlamentarnych M.R.P.; P.R.L. radykałów i U.D.S.R., słaba dotąd większość dla rządu Ramadier przestała istnieć i może co najwyżej utrzymać się jakiś czas dzięki tolerancji R.P.F. lub jeszcze wątpliwszej tolerancji komunistów.

Wreszcie beneficjent ostatnich wyborów — ruch R.P.F. ani organizacyjnie ani politycznie nie jest przygotowany do objęcia władzy. Zbyt szybkie przejęcie odpowiedzialności za rządy mogłoby zdezorganizować i narazić na szybki kryzys popularności od kilku zaledwie miesięcy istniejące stronnictwo. W innych zresztą warunkach kryzys ten dotknął prawicowy ruch włoski pod nazwą „Uomo Qualunque”. Jak zresztą słysząc gen. de Gaulle bynajmniej nie kwapi się do władzy i zachowuje jak dotąd ogromną ostrożność w działaniu.

Rozwój sytuacji wewnętrznej we Francji w wyższym niż kiedykolwiek stopniu zależy od rozwoju wypadków międzynarodowych. W opinii ogółu gen. de Gaulle był kandydatem na szefa rządu we Francji w wypadku gwałtownego zaostrzenia się sytuacji międzynarodowej lub wewnętrznej. Sukces R.P.F. jest jednym z elementów zaostrzenia sytuacji na wewnątrz Francji i w krótkim czasie może postawić na porządku dziennym sprawę przejścia w drodze legalnej rządu krajem przez Generała i jego partię. Zgoda de Gaulle'a będzie uzależniona z pewnością od przyjęcia szeregu warunków. Od jego umiaru i zdolności konsyliacyjnych najwyższego autorytetu konstytucyjnego Francji zależeć będzie czy zmiana ta będzie mogła nastąpić bez gwałtownych wstrząsów.

GAMMA.

Najlepsze recepty na przegranie wojny z Unią Sowiecką

Uwagze strategów Nowego Świata.

WZORY BRYTYJSKIE

Aby zostać pobitym przez Unię Sowiecką, najprościej oczywiście jest drażnić ją przez niezrozumiałe lub fanfariońskie deklaracje, rozbijając się po cichu samemu i czekając cierpliwie, aż rząd sowiecki zgromadzi wystarczającą ilość bomb atomowych i zmobilizuje swe wszystkie rezerwy gospodarcze.

W celu zapewnienia tej recepty całkowitej skuteczności, wskazane jest dostarczyć przeciwnikowi kredytów na skompletowanie uzbrojenia, zakup niezbędnych surowców i rozbudowę przemysłu wojennego.

Wierne naśladowanie wzorów brytyjskich wymaga nadto odstraszenia i zniechęcenia wszystkich domniemanych sprzymierzeńców. W tym celu należy — kiedy przewaga wojskowa przeciwnika ujawni się dostatecznie — nawiązać z nim rokowania na temat rozszerzenia jego zony wpływów przez odstąpienie mu, na przykład, całego kontynentu europejskiego.

Konsekwentne stosowanie tej formuły może przyprowadzić do przegrania wojny niemal bez rozlewu krwi i utraty materiału wojennego. Tak więc na przykład, pokojowe zajęcie Europy przez armię sowiecką może łatwo pociągnąć za sobą opowiedzenie się po stronie Moskwy ludów Bliskiego i Dalekiego Wschodu, po czym Stany Zjednoczone staną się obleżoną wyspą, której można jeszcze przez pewien czas bronić, ale z której wyjścia już nie ma.

Recepta powyższa posiada największe zalety: jest łatwa w wykonaniu, mało kosztowna, a jednak niezawodna w skutkach. Te zalety zapewne narzuciły ją opinii publicznej angielskiej i amerykańskiej. Recepta ta posiada wszelako pewien poważny brak. Wykonanie jej może mianowicie wymagać długich lat niespokojnego i ponurego oczekiwania. Dla tej przyczyny wydaje się wskazane rozważenie także recept bardziej ekspedycyjnych.

RECEPTA NAPOLEONSKA

Zająć Moskwę wpierv, zastanawiać się potem: recepta niezawodna i wypróbowana. Każda armia przybyła z odległego Zachodu znajdzie się, po zajęciu Moskwy, z dala od swych baz, otoczona ludnością zrozpaczoną przez głód, okupację i bombardowania. Z nadejściem pory zimowej, przy wzrastających trudnościach kwaterekowych i aprowizacyjnych, sytuacja zwycięzców osiągnie punkt krytyczny, wymagający szybkich i śmiałych decyzji. Trzymając się ściśle wzorów napoleońskich, należałoby próbować rokowań ze Stalinem i po jego odmowie rozpocząć odwrót.

Ta recepta, nosząca w swej prostocie cechy geniuszu Napoleona, może być jednak w użyteczny sposób rozwinięta i uzupełniona. Jej częścią najbardziej elastyczną jest próba rokowań w przededniu odwrotu, i w tym miejscu dzisiejsi naśladowcy Napoleona znajdują najlepszą okazję do okazania swych taletów i pomysłowości. Dla zachęcenia Stalina do rokowań można ofiarować mu, na przykład, — oprócz obecnej zony wpływów — także Turcję, Iran, Austrię, dodając do nich w razie potrzeby także Libię i pół Japonii. Gdyby i ta oferta okazała się niedostateczna, można ją rozszerzyć, dorzucając pożyczkę w wysokości 50 miliardów dolarów, ekstradycję wszystkich faszystów i emigrantów, a wreszcie połowę floty wojennej Stanów Zjednoczonych.

Tak uzupełniona, formuła napoleońska może dzisiejszych mistrzów Blitzkriegu zaprowadzić wprost z Moskwy do Waterloo, z pominięciem etapów pośrednich, odpowiadających bitwie pod Lipskiem i kampanii we Francji.

RECEPTA ADOLFINSKA

Isé naprzód, niszczyć kraj i tępić ludność, powstrzymując się starannie od wszelkich deklaracji i gestów politycznych.

Jakkolwiek bardziej mozolna w wykonaniu, recepta Adolfa Hitlera dorównuje napoleońskiej swą genialną prostotą i skutecznością. Nie zostawiając im żadnej nadziei, taktyka ta zmusi wszystkie ludy Unii i zony sowieckiej do stawiania zbrojnego oporu i stworzenia nieznanego dotąd pod względem rozmiaru armii partyzanckiej. Armia sowiecka, posiadając jeszcze pewne rezerwy za Uralem, nie będzie miała potem większych trudności w pokonaniu i wypędzeniu najeźdźców, związanych przez partyzantów i odciętych od baz komunikacyjnych.

RECEPTA ROOSEVELTOWSKA

Zniszczyć przy pomocy lotnictwa większą część ośrodków przemysłowych, zmusić armię sowiecką do kapitulacji i okupować na 40 lat cały obszar Unii Sowieckiej.

Skuteczność tej formuły oparta jest w dużej mierze na sprawności administracji okupacyjnej, która w krótkim czasie powinna zrujnować resztki zasobów gospodarczych kraju, wywołując powszechny głód i spadek zaludnienia. Znaczne zwiększenie sprawności

administracji wojskowej można osiągnąć, stawiając na jej czele międzynarodową komisję kontroli. Dziesiątkowana przez głód ludność zacznie się ukrywać w lasach, stawiając zbrojny opór i tworząc wszędzie grupy partyzantów. W tej fazie wykonania recepta rooseveltovska zbliży się dostatecznie do recepty adolfińskiej, aby dorównać skuteczności tej ostatniej. Wojska okupacyjne, zdziesiątkowane i zdemoralizowane przez beznadziejną walkę z partyzantami, nie widząc żadnego wyjścia z sytuacji, po kilku buntach wycofają się do portów i siadą na statki. Wynik ten, według doświadczeń lat ostatnich, może być osiągnięty przed upływem dwóch lat.

RECEPTA ANGIELSKO-FRANCUSKA Z LAT 1918—1919

Zająć część Unii Sowieckiej i osadzić tam t.zw. rząd narodowy złożony z Krawczenki, Szaparidze i innych dysydenckich generałów sowieckich, których liczba zwiększy się znacznie z chwilą wybuchu wojny.

Dla podniesienia autorytetu tego rządu, należy mu ofiarować niezmienione posiadanie obecnej strefy wpływów sowieckiej, dodając do niej Dardanele i korytarz prowadzący do Zatoki Perskiej. Skuteczność tej recepty można zwiększyć, uzależniając politycznie nowo-ukorzony rząd od międzynarodowej komisji kontroli. W ten sposób rząd ten połączy wszystkie właściwości reżymu sowieckiego z właściwościami niedołącznej okupacji cudzoziemskiej i zjednoczy przeciw sobie całą ludność Unii Sowieckiej i jej strefy wpływów, wraz z przeważną częścią świata muzumańskiego. Upadek jego będzie kwestią krótkiego czasu. Cudzoziemskim doradcom i obcym oddziałom wojskowym pozostanie tylko szybka ucieczka.

Skuteczność wszystkich powyższych formuł może być wydatnie zwiększona przez zmuszenie ludności strefy sowieckiej i ludów Bliskiego i Dalekiego Wschodu do solidaryzowania się z ludami Unii Sowieckiej. W tym celu byłoby użyteczne — już przed rozpoczęciem kroków zbrojnych — zapewnić Unii Sowieckiej jakimś aktem międzynarodowym posiadanie dotychczasowej strefy wpływów bez względu na wynik wojny. Po rozpoczęciu tej ostatniej najskuteczniejszym krokiem będzie obłożenie bombami atomowymi ośrodków kolejowych strefy sowieckiej, a mianowicie: Warszawy, Krakowa, Bratysławy, Pragi, Budapesztu i Zagrzebia. Zagrożona śmiercią atomową ludność strefy nie będzie widziała dla siebie żadnego ocalenia poza szybkim i kompletnym zwycięstwem sowieckim.

Zmuszenie państw Bliskiego i Dalekiego Wschodu do zajęcia stanowiska po stronie sowieckiej jest sprawą jeszcze prostszą. Starczy wystosować do nich ultimatum żądające wypowiedzenia wojny Rosji i grożące — w razie odmowy — zrzuceniem na ich miasta bomb atomowych. Krok ten pozwoli Stanom Zjednoczonym zrealizować znacznie oszczędności administracyjne przez zniesienie Departamentu Stanu jako urzędu nie posiadającego odtąd żadnego praktycznego pola działania.

PAWEŁ HOSTOWIEC

Literatura polityczna

Przymusowa praca w Rosji Sowieckiej

David J. Dallin i Boris J. Nikolaewsky: „Forced Labor in Soviet Russia”, New Haven, 1947.

„Niechaj drżą panujące klasy przed rewolucją komunistyczną. Proletariusze nie mają w niej nic do stracenia prócz swoich kajdan. Do zdobycia mają świat cały” (z „Manifestu Komunistycznego” K. Marksa i F. Engelsa, napisanego w styczniu 1848 roku).

Sowiety coraz bardziej pograżają się w tajemniczości. Wojna 1941 — 1945 na krótki okres odsłoniła wnętrze totalitarnego kolosa. W tym krótkim okresie ludzkość zdażyła dostrzec wiele z tych spraw, które przez dwadzieścia kilka lat były znane zaledwie znawcom. Z tych ułamkowych stwierdzeń nie można było zestawić całkowitego, wyraźnego obrazu rzeczywistości. Tym nie mniej pozwoliły one na powszechne już przekonanie się, że na obszarze szóstej części globu powstał niebywały w swej groźbie ustrój ucisku, wyzysku i nędzy. Zrozumiano również, a raczej wyczuło, że cała „nadwartość” powstająca na skutek wyzysku mas przez ten „kapitałizm państwowy” obrócona jest na nagromadzenie kolosalnego potencjału państwowego o żywotnej, ekspansywnej dynamice.

Te konstatacje wystarczyły, by wzbudzić powszechne zagrożenie. Uderzono na alarm. Lecz przerwa w izolacji nie trwała długo. Żelazna kurtyna zapadła i zaciska się coraz silniej już nie tylko w stosunku do terenu przedwojennego Związku Sowieckiego, lecz również w stosunku do nowoujarzmionych satelitów, stanowiących pożywkę nienasyconego totalistycznego imperializmu wszechrosyjskiego.

Nikt już nie może mieć dzisiaj najmniejszych złudzeń, że rozszczępienie świata na dwa obozy, tak biegunowo sobie przeciwstawne, nie może się ustabilizować. Prędzej czy później musi dojść do konfliktu, chyba, że któryś z tych wrogich sobie światów rozwali się na skutek własnego swego ciężaru, własnych sprzeczności wewnętrznych, własnych sił odśrodkowych. Lecz czy to dla zmagani pokojowych, czy dla walki wojennej znajomość Sowietów i to znajomość coraz grun-

towniejsza — jest nieodzowna. Widzieliśmy na przykładzie klęski hitlerowskiej do czego doprowadziły olbrzymi i sprawny, bądź co bądź, a nie mniej dynamiczny potencjał wojenny nieznaną rzeczywistości sowieckiej, zastępowanie konkretnych pobożnymi życzeniami, a obiektywnej oceny — niecierpliwością. Widzimy na przykładzie mnożącej się literatury angielskiej, amerykańskiej i kontynentalnej na tematy sowieckie jak przeważnie nieporadni są socjologowie, ekonomiści, historycy i publicyści „kapitalistyczni” wobec zagadnień Rosji współczesnej. Widzimy na przykładzie książek Krawczenki czy Kirjakowa jak jednostronna i płytka jest informacja każdego obywatela sowieckiego, który w totalnym ustroju, nawet na najwyższych stanowiskach, sprowadzony jest do roli robota o wąskich horyzontach i perspektywach. Światu grozi, że w ewentualnym przyszłym konflikcie jego przeciwnik sowiecki będzie naprawdę wielką niewiadomą. Już w tym samym tkwi poważne niebezpieczeństwo.

Tym większe znaczenie przeto posiadają i posiadać będą głębokie studia prawdziwych znawców, spokojnych, obiektywnych badaczy zjawisk sowieckich. Gdy przegląda się niezliczone już dzisiaj pozycje bibliograficzne w tej dziedzinie na pierwszy plan, bez wątplenia, wysuwa się nazwisko Dawida Dallina. Zasłużony socjal-demokrata rosyjski i rewolucjonista, od dwudziestu kilku lat współpracownik znakomicie redagowanego „Socjalistyczkawe Wiestnika”, jest on autorem kilku podstawowych prac w Rosji sowieckiej i bolszewizmie, a to: „Po wojnach i rewolucjach” (1922), „Soviet Russia's Foreign Policy, 1939 — 1942”, „Russia and Postwar Europe”, „The Real Soviet Russia”, i „Big Three”. Właszcza znakomicie przepracowana i głęboko przemyślana „The Real Soviet Russia” — to bodaj najlepsza synteza Rosji Sowieckiej w literaturze światowej.

Zdumiewająca jest praca i dorobek tej nielicznej już, niestety, grupy mienszewików rosyjskich, zgrupowanych dokoła założonego 27 lat temu przez Martowa „Socjalistyczkawe Wiestnika”, wychodzącego obecnie w New Yorku 1). Zdawało się — to zaledwie kilka osób: Abramowicz, Szwarz, Aleksandrowa, Nikołajewskij... Lecz w rocznikach tego piśma zgromadzony jest olbrzymi materiał teoretyczny i informacyjny. Ani jeden ze skrętów czy ewolucji bolszewizmu w kierunku bońapartyzmu, kapitalizmu państwowego i „kom-faszysmu” nie został przeoczony. Ze swojej zaś strony — ci wspaniali socjaliści i rewolucjoniści — ani na jotę nie odstąpili od tych wskazań ideowych, które przed kilkoma dziesiątkami lat wprowadziły ich na drogę walki o wyzwolenie człowieka i narodów.

Smutne refleksje przychodzą na myśl przy przeglądaniu olbrzymiego dorobku pisarskiego tych ludzi. Kiedyś — już po zakończeniu ostatniej wojny — zapytałem jednego z członków tej grupy o jego opinie o socjalistach polskich. „Zjada ich, zże-

ra taktyka i to taktyka partyjna a nie rewolucyjna. A gdy się myśli przede wszystkim o taktyce schodzi się nieuniknienie na tę drogę, na jaką u nas zeszedł Dan czy Jugow. Entuzjaści taktyki zawsze są z reguły „bolszewizanstwujuszczijie”. Trzeba się trzymać zasad, patrzeć w program. Od zasad socjalizmu nie ma kompromisu”. Tak! — Ta grupa jest grupa bez kompromisu i na tym polega olbrzymia wartość jej ocen i stwierdzeń.

Ostatnio Dallin wespół z Borysem Nikołajewskim (autorem znakomitych studiów o Azeffie i Karolu Marksie) wydali nową książkę o pracy przymusowej w Sowietach. Bolszewicy dotychczas reagowali na poruszanie tego tematu w prasie i literaturze zagranicznej grobowym milczeniem. Byle piśmak drugorzędny napisze w byle jakim piśmidle byle jakie gupstwo — Moskwa podnosi niebyswały harmider. A oszczercy! A podżegacze! A fałszerze! A prowokatorzy! O pracy przymusowej w Rosji istnieje już dość pokaźna literatura w różnych językach, a nie było jeszcze wypadku by prasa, publicystyka czy jakiegokolwiek wydawnictwo sowieckie słowkiem o tym wspomniało. Co najwyżej odgryzie się nieśmiało jakiś figurantek lokalnej prasy komunistycznej.

Lecz książka Dallina Nikołajewskiego zmusiła wreszcie Moskwę do przerwania tego milczenia.

Oto co powiedział o niej 25 października rb. Wyszyński na posiedzeniu Komitetu Narodów Zjednoczonych „polemizując” z przedstawicielem Unii Południowo - afrykańskiej, który w swej mowie powoływał się na tę pracę: „Cóż to za źródło? Cóż to za książka? Jest to książka, która prawdę mówiąc, przedstawia zbiór wszelkich niekzemnych paszkwili odnośnie pracy przymusowej, jakoby istniejącej w Związku Sowieckim, w której opowiedziane są zupełnie nieprawdopodobne rzeczy i dzikie wymysły. Mówi się na przykład, że w Związku Sowieckim i w obozach koncentracyjnych znajduje się około 20 milionów ludzi. Wystarczy, rozumie się, tylko wymienić tę liczbę, by stało się jasne, że autorami tej oszczerczej książki są albo całkowici idioci, albo patentowani gangsterzy. Gdzież zaczerpnęli oni te informacje? Zaczerpnęli je od dziesiątki zbiegłych ze Związku Sowieckiego przedstawicieli piątej kolumny, tej samej piątej kolumny, którą myśmny z takim powodzeniem zlikwidowali u siebie, przez co w znacznej mierze dopomogliśmy do rozbięcia faszystowskich Niemiec. Zlikwidowaliśmy tę piątą kolumnę, lecz pojedynczy, niedobici zbroje i bandyci, zdrajcy i sprzedawczyki, agenci hitlerowscy ukryli się w niektórych krajach. Niektórzy z nich znaleźli się w St. Zjedn. i oto oni właśnie udzieliли swych wspomnień dla oszczerczej książki ZSRR. Ci białogwardziści, teraz tuż są tutaj, na ziemi amerykańskiej, i ostrzą noże, by w stosownej chwili wbić te noże w plecy sowieckiego narodu. I oto wykorzystane jest takie źródło... Książka takich sprzedawczyków i zdrajców ojczyzny, jakimi są Nikołajewski i Dallin”.

Całe to przemówienie, jego ton, kłamstwa jakimi jest przesycone, zdradzają znakomicie jak wielki cios zadaje ta książka — jako dokument — totalizmowi bolszewickiemu i jak znakomitym musi być ona narzędziem w dziele zwalczania bol-

1) 7, East 15 th St., Room 401, New York 3, N. Y. (U.S.A.)

szewizmu jako niebezpieczeństwa światowego, skoro przerwała ona wreszcie tę „zmnę milczenia”, która usiłował Kreml roztoczyć nad zagadnieniem prac przymusowych.

O zagadnieniu tym mówi nie „dziesiątek przedstawicieli piątej kolumny”, lecz mówili i mówią wszyscy korespondenci i dyplomaci, którzy byli w Rosji, wszyscy na dziesiątki tysięcy liczeni obywatele sowieccy, którzy znaleźli się poza Rosją, mówili i mówią bez wyjątku wszyscy Polacy, którzy przeszli Rosję, a tych jest, niestety, wiele setek tysięcy, mówili i mówią wreszcie sami dygnitarze sowieccy, własne sowieckie dokumenty. (Przez kogóż bowiem obsługiwane są setki fabryk i zakładów przemysłowych pracujących pod dyrekcją N.K.W.D. i N. K. Gos. Bezp. (komisariatów — obecnie ministerstw — spraw wewnętrznych i bezpieczeństwa), a oznaczonych za przekroczone planu produkcji?). A cóż za potworne państwo w którym „piąta kolumna” wynosi miliony własnych obywateli i mimo jej likwidacji odradza się chociażby w postaci paru set tysięcy armii Własowa, przenika do Politbiura, rządu, parlamentu, akademii nauk, literatury i grasuje na najwyższych szczeblach dowództwa wojskowego? Lecz nie miejsce tu na omawianie tego nieostrożnego wyznania Wyszyńskiego. Mówmy o książce.

W przedmowie do swej książki autorzy piszą:

„Opowiadanie historii starożytnego Rzymu bez wspomnienia o jego niewolnikach byłoby wykazaniem głębokiej ignorancji. Historia Niemiec z ostatniego okresu z pominięciem zagłady Żydów byłaby skończonym łajdactwem. Obraz współczesnej Rosji bez opisu systemu obozów pracy i zsyłki nie jest obrazem prawdziwym i przez to pominięcie często wprowadza się w błąd. Istniejący w Rosji Sowieckiej system pracy przymusowej nie jest diabelskim wymysłem ani też zjawiskiem przejściowym... Ten system jest organicznym i normalnym elementem sowieckiej struktury społecznej. Każdy inteligentny człowiek musi zrozumieć to zjawisko... Czas już zapoznać się z tym nowym społecznym systemem, który powstał w ciągu ostatnich siedemnastu lat na wschodzie Europy — systemem nowym i nieoczekiwanym, również niepodobnym do ustroju kapitalistycznego i do tych socjalistycznych wzorów, o których marzyli pierwsi budowniczo wie Rosji Sowieckiej...”

Sowiecki system pracy przymusowej jest nieodzownie związany z istotą państwowości wszechrosyjskiej, a zwłaszcza z atawistycznym militarystycznym.

W rozbudowie państwowości rosyjskiej dominowały zawsze i niezmiennie dwa zagadnienia: siła zbrojna i finanse. Tak było od czasów Iwana III. Wszystkie inne sprawy i życie gospodarcze, dobrobyt społeczny, oświata — były — jeżeli chodzi o państwo — bądź uzależnione, bądź wręcz podporządkowane tamtym. Nieokiełznane a uniwersalne ambicje władztwa i ekspansji wpędzały państwowość rosyjską na drogę coraz to szerzej pomyślanych zbrojeń.

Wszystkie ewolucje czy nawet — moda rosyjska — z

góry dokonywane rewolucje (Iwana Groźnego, Piotra Wielkiego, Katarzyny II) sprowadzały się ostatecznie, z grubsza rzecz biorąc, do reformy rosyjskiego systemu militarnego. Budżety rosyjskie na zbrojenia i siły zbrojne są z reguły olbrzymie. W roku 1680 na armię i flotę Rosja wydaje 50% swego budżetu, a w roku śmierci Piotra Wielkiego (1725) 65%, w 1797 roku — 46%, w 1825 r. — 43%, w 1910 r. — 25%. Jednocześnie na oświacie wydawano od 0,2% (1680 r.) do 4% (1901 r.).

Nigdy jednak — nawet przy kolosalnych zadłużeniach państwa rosyjskiego — nie była w stanie Rosja zaspokoić swych ambicji militarystycznych.

Najbardziej przemysłny i nieludzki wyzysk chłopów i robotnika, konfiskaty mienia prywatnego własnych obywateli i barbarzyński rabunek ziem zagrabionych, doprowadziły do ruiny całe narody i całe krainy Europy i Azji — wszystko to było dla finansowania zbrojeń rosyjskich. Od wieków były one ponad stan, naprzód carstwa, a później Imperium Wszechrosyjskiego.

Rozwiązanie zostało znalezione w postaci robót przymusowych. Wynalazcą systemu był — ktośby jak nie reformator i „rewolucjonista” — Piotr Wielki. On to zapoczątkował ten system, o którym poszedł po świecie rozgłos — „katorga”. Katorga po raz pierwszy zastosowana została przy budowie twierdz, fortyfikacji i portów właśnie przez pierwszego rosyjskiego imperatora. Katorżnicy budowali Azow, Rogerwik, Szliselburg. Najcięższych „przestępców” — kozaków zaporożskich — Piotr użył do budowy Petersburga. Następcy Piotra coraz bardziej doskonalili katorgę już jako uznany system rozbudowy potencjału państwa, system, który z biegiem czasu staje się nierozzerwalnie związany z całym gospodarczo-wojennym układem imperium. Kronsztadt, Astrachań, Taganrog, Teodozja, Cherson, Ryga, a później cała Syberia od Orenburga do Ochocka. Rozbudowa przemysłu na Syberii, a w szczególności wydobywanie złota, srebra i metali kolorowych odbywa się z reguły kosztem katorgi. Uprzemysłowienie Rosji, rozwój jej kapitalizmu jest związany nierozzerwalnie z systemem katorgi — systemem pracy przymusowej.

Lecz potwornych rozmiarów „katorga” nabrała dopiero za czasów sowieckich, a dokładniej mówiąc za czasów „stalinowskich piatiletek”, skierowanych jak wiadomo przede wszystkim na „dopędzenie i prześcignięcie zbrojeń kapitalistycznych”. Ten ścisły związek sowieckiej gospodarki planowanej i „budowy socjalizmu w jednym państwie” z systemem stałe rozbudowywanego i również centralnie planowanego niewolnictwa jest w książce Dallina i Nikołajewskiego przepracowany znakomicie.

I nie tak jak ta analiza nie świadczy o bankructwie rewolucji październikowej, o triumfie atawistycznej, wszechrosyjskiej totalitarnej państwowości nad ideą socjalizmu. Proroctwo Dostojewskiego, wypowiedziane w „Biesach” przez prowokatora Szygalewa — „wychodząc z założeń bezgranicznej wolności, doszedłem do bezgranicznego despotyzmu” lecz „nie może być poza moim żadnego innego rozwiązania formuły społecznej” — ziściło się z przerażającą dokładnością.

Sumiennie a ostrożnie zebrane cyfry, świadczące o stałej rozbudowie sieci łagrów i zwiększającej się z każdym rokiem ilości skazańców - niewolników, nabiorą specjalnego wyrazu gdy zestawimy je z cyframi ogólnego sowieckiego budżetu państwowego i budżetu na zbrojenia 1).

W 1928 r. było 6 „łagrów” z 30.000 skazańców (budż. państw. 8,1 miliardów rb., budż. wojskowy — 0,85 miliardów rb. (początek I-iej „piatiletki”).

W 1933 r. — 2.000.000 skazańców (budż. państw. — 35 miliardów rb., budżet wojsk. — 2,26 miliardów rb.).

W 1937 r. było 35 „łagrów” z 6.000.000 skazańców — (budż. państw. — 98,1 miliardów rb., budż. wojsk. — 26 miliardów rubli).

W 1941 r. było 38(?) łagrów z 10.000.000 skazańców — (budż. państw. — 215,4 miliardów rb., budż. wojsk. — 71,3 miliardy rb.).

W 1946 r. było 125 „łagrów” z 14 do 20 milionów skazańców — budż. państw. 333,4 miliardy rb., budż. wojsk. — 72 miliardy rb.).

Lecz jeszcze bardziej jasny stanie się obraz rzeczywistości sowieckiej gospodarki gdy nałożymy mapkę łagrów z książki Dallina na współczesną mapkę gospodarczą ZSRR, a zwłaszcza na mapkę złóż mineralnych.

Okazuje się, że rejonny przemysłowe w okolicach gęsto zaludnionych, względnie posiadających dogodny warunki klimatyczne (jak np. zagłębia krzyworośkie czy donieckie lub moskiewski rejon przemysłowy) prawie zupełnie łagrów nie posiadają. Są one natomiast tym gęstsze, im trudniejsze są lokalne warunki pracy, im niebezpieczniejsza jest sama praca i im bardziej wojenny, strategiczny charakter nosi dany rejon. Ten ostatni wzgląd uwarunkował nagromadzenie obozów pracy wzdłuż całego wybrzeża Oceanu Lodowego (tylko na obszarze od Archangielska do Workutu n. Peczora jest około 20 obozów z 2.000.000 skazańców), na wschód od Bajkału ku Oceanowi (rozbudowa komunikacji i fabryki wojenne zatrudniają tu około 1.000.000 skazańców) i w północnym Kazachstanie (Karaganda) oraz w Zagłębiu Kuźnieckim (gdzie obecnie koncentruje się podstawowy sowiecki przemysł wojenny). Zupełnie specyficzny charakter nosi cały tzw. „Dal-stroj”, olbrzymi kompleks łagrów, liczący około miliona niewolników na terenie jakuckiej republiki, w dorzeczu Kołomy, eksploatujący w niebywających warunkach technicznych i klimatycznych złoto. Dzięki „Dal-strojowi” produkcja złota w ZSRR podniosła się od kilku lat pięciokrotnie i stanowi obecnie 50% produkcji światowej. Cena wydobycia jednej tonny złota w ZSRR jest standaryzowana — wynosi ona od 700 do 1000 ludzkich istnień.

1) Trzeba mieć na uwadze, że sowieckim budżetem wojskowym objęte są jedynie wydatki bezpośrednie na armię i flotę, wydatki zaś na zbrojenie i przemysł wojenny, bezpieczeństwo wojskowe, strategiczną organizację terenu itp. włączone są do budżetów innych „cywilnych” resortów.

Dallin i Nikolajewskij są niezmierni ostrożni w określeńiu ogólnej liczby niewolników sowieckich. Wymieniają oni kilka źródeł od 20.000.000 począwszy, podanych przez Krawczenkę. Niektóre źródła amerykańskie liczbę tę określają na 30.000.000. Lecz raczej ma znany ekonomista rosyjski, prof. S. Prokopowicz, który pisał („Nowoje Ruskoje Słowo” z 14. IX. 1946):

„Jakbyśmy nie powiększali domniemanej liczby (dla własnego pocieszenia się i w celu zmniejszenia haniebnej plamy na nowej Rosji) — niech ich będzie nawet 5 — 7 milionów, pozostanie niewątpliwym: w ZSRR istnieje milionowa kasta niewolników, których warunki życia i pracy są nieskończenie gorsze od warunków życia i pracy amerykańskich murzynów w najbardziej niewolniczych stanach. Strach powiedzieć: życie amerykańskich murzynów dla nich — rosyjskich niewolników — jest ideałem szczęśliwości”.

Każda jednak, najbardziej pomniejszona cyfra jakabyśmy przyjęli przy obliczeniach potrzebnych do wyjaśnienia sobie istoty tego „organicznego i normalnego elementu sowieckiej struktury” będzie wyglądać potwornie w porównaniu z danymi cyfrowymi kategorii carskiej. Wyszyński w swej pracy pt.: „Turkija kapitalistycznych stran” podaje takie liczby katorżników:

W 1906 r. — 5.790

W 1907 r. — 7.779

W 1908 r. — 12.591

W 1909 r. — 22.649

W 1910 r. — 28.060

W 1912 r. — 32.000

W 1914 r. — 29.352

A w ubiegłym stuleciu w ciągu dwunastu lat (od 1833 do 1845 r.) zesłano na Syberię (na katorgę i osiedlenie) łącznie: 81.970 mężczyzn i 15.839 kobiet; razem — 97.809 osób. Widzimy co pociąga za sobą państwowe pojęty proces uprzemysławiania i kapitalizowania Rosji za czasów carskich, a zwłaszcza co pociąga za sobą „socjalistyczna industrializacja”, dokonywana według stalinowskich piatiletek.

Niestety, w warunkach obecnych, mowy nie ma o zebraniu bardziej szczegółowych danych, które pozwoliłyby na zorientowanie się z jakich to warstw społecznych rekrutuje się ta wielomilionowa masa niewolników sowieckiego militarizmu (plus minus stanowi ona około 20% dorosłej ludności męskiej całego Związku). Odczuwa się przede wszystkim brak statystyki narodowościowej. Wiemy ogólnie, że np. odsątek Ukraińców i narodów Turkijskich jest w łagrach niewspółmiernie w stosunku do innych narodów wysoki 1). Wiemy również, że począwszy

1) Według własnych danych niżej podpisanego samych tylko Ukraińców łagry sowieckie (bez więzień) liczyły w r. 1946 — przeszło 4.000.000.

od tragicznego września 1939 r., katongi sowieckie zapelniać się zaczęły nowym elementem — ludnością krajów podbijanych. Sowiecka katonga bowiem jest nie tylko narzędziem uprzemysławiania i militaryzacji; jest ona również instrumentem unifikacji narodowej i sow.etyzacji krajów nowo ujarzmianych.

Brak również statystyki, pozwalającej na stwierdzenie jak wielka jest ilość skazańców spośród członków partii, dygnitarzy aparatu państwowego, pracowników sztuki i kultury i wreszcie, samej służby bezpieczeństwa. Taka statystyka pozwoliłaby nie tylko na retrospektywną ocenę tej drogi, którą już przeszła dyktatura stalinowska, lecz również na wysnucie wniosków na przyszłość. Wiemy jednak ogólnie, że Leczba partyjnych, znajdujących się w łagrach, w różnych latach terroru i czystek stalinowskich tam osadzonych, nie jest o wiele mniejsza od ilości aktywnych członków partii. Łagry bowiem obok więzień są również znakomitym narzędziem personalnej i organizacyjnej polityki partii, zmierzającej ku coraz bardziej zaostrzającej się dyktaturze personalnej.

Tak się składa, że jednocześnie z książką Dallina i Nikołajewskiego czytamy wielkie tomisko S. Maksimowa pt.: „Sybir i katonga”, wydane w Petersburgu w 1871 roku. Pamiętam je jeszcze z lat dziecińczych.

W rodzinie mojej Sybir odegrał dużą rolę i w bibliotece mego wujka moc było książek od Agatona Gillera poczynając na wspaniałej dwutomowej pracy George Kennana pt.: „Siberia and the exile system” kończąc: Za każdym razem gdy przyjeżdżałem na wakacje czy kanikuły, oglądałem doskonale ilustracje książki Kennana, która w swoim czasie wstrząsnęła opinią całego cywilizowanego świata. Autor tak zakończył swój, w ciągu kilku lat robiony, opis sybirskich katong:

„I hope, with all my heart, that the Syberian exile system, may be abolished; but it greatly fear nevertheless, that it will remain, for many years, one of the darkest blot upon the civilisation of the nineteenth century” 1).

Książka Maksymowa jest nie mniej wstrząsająca. Lecz co najbardziej nas zdumiewa obecnie to to, że praca ta wydana została w samej Rosji, w samym Petersburgu. A cóż za liberalizm panował wówczas w tej Rosji! Niech kto wskaże dzisiaj chociażby jedną — już nie tylko książkę — lecz wzmiankę, artykuł prasowy o łagrach, więzieniach czy katowniach sowieckich. I jakże tu nie uchylić czoła przed stalinowskim systemem wychowawczym, przed „socjalistycznym realizmem” sowieckiej literatury! Dostojewski napisał wstrząsającą „Zapiski z martwego domu”. Tolstoj pozostawił cudowne opowiadanie pt.: „Za co?”, o Polce Alinie Migurskiej, która w

1) Najserdeczniej wierzę, że syberyjska zsyłka przestanie istnieć, lecz obawiam się tym nie mniej, że pozostanie ona w pamięci jako jedna z najciemniejszych plam cywilizacji XIX wieku.

trumnie usiłowała wywieźć z katongi swego męża — powstańca. A sowieccy pisarze — ci „najwięksi demokraci i humaniści świata” — któryś z nich wspominał bodaj o milionach obywateli własnych i cudzych, gnębionych na Kolymie, nad Peczora czy Bajkałem. A prawda! — Wszak to sam Maksym Gor'kij zanim został otruty przez szefa GPU Jagode, zwiędził w towarzystwie swego zabójcy kanał Białomoński by napisać dytyramb na cześć gepistowskiego systemu wychowania „nowego człowieka”.

W książce Maksymowa znajduję taki ustęp:

„Syberia stała się krajem politycznej zsyłki i pobytu dla politycznych skazańców od czasu gdy losy Polski związały się bezpośrednio z losami Rosji. Stała a zarazem systematyczna coroczna wysyłka ludzi niezadowolonych z tego połączenia zaczęła się od czasów Katarzyny”.

W istocie jednak Polacy, zesłańcy i katorżnicy zjawili się na terenie Syberii znacznie wcześniej. Jednym z pierwszych był Nikitor Czerniowski (sądząc z nazwiska był to natione Polonus, gente Rutenus), skazany „na Sybir” jako jeniec z wojny 1650 r. Odtąd syberyjskie katongi stają się konkretnymi wykładnikami stosunków polsko-rosyjskich. Historia polityczna Polski XIX wieku tworzyła się zarówno nad Wisłą i Sekwaną jak i nad Leną i Jenisiejem. Nie brak w tych tragicznych związkach spraw i faktów zdumiewających. Tak np. polscy geologowie-skazańcy i zesłańcy — przyczynili się wielce do ujawnienia nowych, bezcennych odkrywek. O jednym z nich — Czernskim — opowiada szczegółowo Nikołajewskij. Czernski był pierwszym badaczem skrajnego północnego-wschodu Azji — Jakutii i Kolymy, on odkrył tam najbogatsze miejsca samorodnego złota, eksploatowane dzisiaj przez osławiony „Dal-stroj” przy pomocy setek tysięcy łagierników, w tej liczbie i Polaków.

Czytając książkę Dallina i Nikołajewskiego nie możemy ani na chwilę zapomnieć, że większość materiału w niej zebranego to „dorobek” polski. Straszliwy zaisle dorobek! Ale tak się ułożyło, że to właśnie osławiona „amnestia” 1941-go roku sprawiła, że po raz pierwszy w dziejach „sprawiedliwości sowieckiej” wydoszło się z więzień i łagrów sowieckich dziesiątki tysięcy skazańców. Ich to relacje dostarczyły materiału polskim pracom Mory i Zwierniaka („Sprawiedliwość Sowiecka”, która obiegła już świat cały, a w konkretnym wypadku przez Dallina i Nikołajewskiego jest coraz to cytowana), Czapskiego, Naglerowej, Wolskiej, Janusza Kowalewskiego, Ady Halpern, Kani, Wańkowieza, Herling-Grudzińskiego i innych. Olbrzymie pliki dokumentów i materiałów leżą dotychczas jeszcze nie rozpracowane. „Forced labor in Soviet Russia” wykorzystuje moc źródeł polskich, a znakomite zwłaszcza tematu autorów i doskonała naukowa metoda badania spraw sowieckich sprawiają, że materiał ten w omawianej książce i opracowany i przedstawiony jest znacznie lepiej niż w wydawnictwach polskich.

Jednoczesne czytanie dwóch książek o Rosji, opisują-

cych ten sam temat, oddzielonych od siebie jedynie w czasie, jak w tym wypadku Maksymowa i Dallina, nasuwa wiele refleksji. Maksymow najdokładniej opisuje był najstraszliwszych katorg ówczesnych — Kary, Nerczyńska i Akutaju, opisuje „przechodzenie” skazańca pod pałkami całego batalonu, opisuje sposób dożywotnego przykuwania więźnia do taczki lub ściany. Lecz nie wywołuje to już na nas należytego wrażenia. A już zgoła niefrasobliwa wesołość ogarnia nas, gdy czytamy jak to czterech skazańców za sprawą Konarskiego: Beaupré, Maszkowski, Borowski i Czapski organizowało w Wielkim Nerczyńsku kilka tysięcy tomów liczącą bibliotekę. (Czemuż to Zaczny Przyjacielu, Józefie Czapski, nie poszedłeś w ślady Swego imiennika, a może i przodka i nie zorganizowałeś w Starobielsku czegoś podobnego?).

Z melancholijnym uśmiechem czytamy o „cierpieniach” dekabrystów i petraszewców, nie przejmujemy się losami es-serów i es-deków. Bo oto w tej drugiej książce, książce Dallina i Nikolajewskiego, opisującej już współczesne nam sprawy, czytamy na każdej niemal stronie opisy tak wstrząsające, że błędna przy nich nawet opisy z czasów Katarzyny II i Mikołaja I-go, gdy skazańcom wrywano języki, lamano kości, obcinano ręce i nogi.

Zresztą nie potrzebujemy do zapoznania się z tą stroną niewolnictwa sowieckiego książek i opracowań. Pełno jest wśród nas żywych świadków. Jeżeli głos ich nie zostanie wysłuchany, jeżeli im się nie da wiary — cóż pomoże książka Dallina i Nikolajewskiego? Czyż pomogła nie mniej świetna praca Kennana z jego — jakże dziś naiwnie brzmiącym — zakończeniem?

RYSZARD WRAGA

Duch dziejów Polski

Drukujemy artykuł śp. Adolfa Bocheńskiego, napisany w 1943 roku na Środkowym Wschodzie, a zachowany w jego papierach pośmiertnych. Mamy wrażenie, że nie tylko nie stracił, ale nabral aktualności.

Dobrze zrobiło nasze Ministerstwo Propagandy wydając prace Antoniego Chołoniewskiego p. t. „Duch Dziejów Polski”. Nie można wprawdzie powiedzieć, by broszura ta była pracą naprawdę wybitną i na pewno nie jest ona najlepszym utworem tego badacza, tak zasłużonego dla odkrywania pokładów polskości w Gdańsku. Niemniej jednak jest ona książką na wskroś aktualną — pomimo, że została wydana w roku 1917. Wydobyć na światło dzienne tę aktualność i zbadać jej twierdzenia w świetle wydarzeń współczesnych — oto zadanie tej recenzji.

I.

Sprawa przyczyn upadku dawnej Rzeczypospolitej Polskiej była w okresie niewoli zagadnieniem najbardziej pasjonującym zarówno naukową historiografię, jak i myślącą publiczność. Po mniej lub więcej fantastycznych dociekaniach historyków, idealistów czy słowianofilów, jak Joachim Lelewel lub Maciejowski, pierwszą grupą, która wystąpiła w tej sprawie z jasnym i wyraźnym sądem była tzw. „Szkoła Historyczna Krakowska”. Wśród rzeszy historyków, należących duchowo do tej szkoły, na czoło wybili się dziejopisarze tej miary co Józef Szujski, O. Walerian Kalinka i Michał Bobrzyński. Szujski i Bobrzyński w swych próbach ujęcia całokształtu naszych dziejów, ks. Kalinka w swej wspaniałej monografii sejmów czteroletniego, wystąpili śmiało przeciw idealizowaniu upadłej Polski. Wykazywali, że naczelną przyczyną upadku dawnej Rzeczypospolitej były własne winy Polaków. Winy naszego ustroju politycznego, naszego systemu społecznego, organizacji wojskowej czy polityki wyznaniowej. Wywracali dawny poetyczny mesjanizm, który przedstawiał Polskę jako niewinną ofiarę zachłanności sąsiadów i podnosił jej dość haniebny upadek do wyżyn cierpienia za całą ludzkość. Konsekwencją ich doktryny historycznej było dążenie do

podniesienia walorów narodu polskiego we wszystkich dziedzinach jeszcze przed podjęciem ponownych prób odzyskania niepodległej państwowości. Była to wielka szkoła intelektualna i polityczna, która Polsce oddała nieocenione usługi.

Trzeźwa ocena przedrozbiorowego społeczeństwa polskiego była jednak mocno drażniącą dla pewnego rodzaju patriotyzmu. Patriotyzm niekoniecznie musi polegać na chwaleeniu wszystkiego co swoje. Wręcz odwrotnie, zdarza się niekiedy, że błędy jednostki czy społeczności nam bliskiej i drogiej uderzają nas i gniewają więcej jak kogoś obojętnego. Niemniej nie można się dziwić, że przesadny nieraz krytycyzm szkoły krakowskiej wywołał reakcję wśród młodszej generacji dziejopisów. Pojawiła się cała rzesza historyków, którzy zbijali twierdzenie krakowian, dowodząc, że Polska w chwili upadku była na drodze do zupełnego odrodzenia, że nie słabość wewnętrzna społeczeństwa polskiego ale nieszczęśliwa sytuacja międzynarodowa Polski i zaborczość sąsiadów była powodem klęski. Punkt ciężkości z wewnętrznego położenia Polski przenosili oni zagranicę, doszukiwali się obiektywnych nie subiektywnych powodów naszego upadku.

Pierwszym historykiem tej szkoły na naprawdę dużą miarę był Tadeusz Korzon, autor wielu dzieł, ale przede wszystkim monumentalnej pracy o dziejach wewnętrznych Polski za Stanisława Augusta. W ogromnym tym dziele, poświęconym populacyjnym, gospodarczym i społecznym zagadnieniom Polski na schyłku XVIII wieku, znakomity autor dowodził, że w chwili upadku Polska znajdowała się na drodze do pełnego odrodzenia i że gdyby nie położenie międzynarodowe naród polski byłby zajął równorzędne stanowisko wśród narodów Europy. O ile chodzi o historię ustroju, to tej samej teorii bronił historyk lwowski Oswald Balzer, dowodząc, że wady ustroju Polski znaleźć można we wielu innych państwach Europy, które pomimo tego nie upadły. Wreszcie wielki talent pisarski i nadzwyczajny znawca dziejów międzynarodowych XVIII i XIX wieku, Szymon Askenazy — opowiedział się po stronie takiego pojmowania przyczyn upadku Polski. Około roku 1917 zdawało się, że ten pogląd przeważa. Kwintesencją poglądów tej szkoły były zbiorowe „Przyczyny upadku Polski”, wydane w czasie wojny światowej. Jej wyrazem publicystycznym był „Duch dziejów Polski” Chłonińskiego.

II.

Mniej więcej w ten sposób wyglądała debata w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości. Okoliczność, że Polacy w między czasie odzyskali swe państwo rzuciła nowe, dość jaskrawe światło na całe zagadnienie. Poglądy szkoły krakowskiej, które niegdyś wyglądały pesymistycznie, nabrały obecnie innego zabarwienia. Jeżeli przyjmowaliśmy, że Polska upadła nie tyle z powodu niekorzystnego położenia międzynarodowego, ile z powodu winy swych obywateli, z powodu ich słabości, to odrodzenie Polski winno wskazywać, że ta przyczyna naszego upadku została usunięta, że o **własnych siłach**, niezależnie od naszego położenia międzynarodowego i woli obcej potrafimy państwo odzyskać i utrzymać. Dawna szkoła optymistyczna stawała się teraz pesymistyczną. Jeżeli upadliśmy nie-

gdys — pomimo, że reprezentowaliśmy wysokie walory moralne, z powodu pewnego układu sił międzynarodowych, to czy teraz sytuacja nasza nie jest mocno zagrożona, zależna w największej mierze od czynników postronnych? Na rzecz pierwszego twierdzenia, wywodzącego się od Szujskich i Bobrzyńskich przemawiały dzieje 1920 roku — dzieje tej wspaniałej i drogiej sercu każdego Polaka kampanii, tak różnej jednak od smutnej wojny polsko-rosyjskiej w 1792 roku.

Jeżeli w poprzednim okresie walczyły ze sobą dwie szkoły historyczne to po odrodzeniu Polski ta walka przeniosła się przede wszystkim na teren walki politycznej. Uległa spłyceniu, jak zawsze ulega po odzyskaniu organizacji państwowej, kiedy zamiast ludzi myśli wodzostwo narodu obejmują kierownicy resortów ministerialnych i urzędnicy administracyjni.

Pogląd dawniej reprezentowany przez szkołę krakowską, to znaczy, że los Polski zależy przede wszystkim od własnych walorów, w najmniejszej zaś mierze od danych zewnętrznych, charakteryzuje obecnie piłsudczyznę. Przejawia się on m. in. w słynnym hasle „o własnych siłach”, w przemówieniu przeciw „obcym agenturom”, w całej mentalności legionowej. Przejawia się on z wybuchową siłą w okresie bezpośrednio po wojnie światowej. Wtedy jeden odłam ludzi ogłada się na konferencję pokojową, na Wersal, na Francję i Anglię. Drugi z Piłsudskim na czele, ogłada się wyłącznie na armię polską, która ma wywalczyć nasze granice na wschodzie, gdyż nikt inny ich dla nas nie wywalczy. Z jednej strony mamy typowo stańczykowskie dążenie do silnej władzy, z drugiej doktrynę parlamentaryzmu jako typu ustroju najbardziej lubianego w ówczesnej Europie. Z jednej strony mamy komitet paryski, z drugiej rząd warszawski. Czołowym przedstawicielem jednego poglądu jest Piłsudski, drugiego Stanisław Stroński, autor słynnej kampanii przeciw wyprawie na Kijów.

Pewną łączność między nurtem myśli historycznej, a nurtem walki politycznej udało się tymczasem utrzymać. Wychowanek drugiej generacji historyków krakowskich, sam niezwykle uzdolniony badacz naszej przeszłości, Olgierd Górka — wystąpił na jednym z kongresów historyków z rewelacyjnym odczytem na temat przyczyn upadku Polski w świetle wydarzeń, które doprowadziły do jej odrodzenia. Górka wykazał, że stosunek sił niejako „fizycznych” Polski i jej zaborczych sąsiadów w chwili rozbiorów był dla nas o wiele korzystniejszy, jak w chwili odrodzenia. Nie pamiętam w tej chwili cyfr Górki, lecz zdaje się, że w chwili pierwszego rozbioru ludność Polski do ludności Rosji miała się tak, jak jeden do trzech, a Polski do Prus, jak jeden do połowy. W chwili odzyskania niepodległości ludność Polski w stosunku do Rosji miała się tak, jak jeden do siedmiu, a do Niemiec, jak jeden do dwóch i pół. Zachłanność naszych kochanych sąsiadów była również wielka wtedy i wtedy. Jak więc wytłumaczyć powstanie i upadek Polski inaczej jak przez zmianę wartości moralnej narodu? Autor pokazywał na przykładach takich narodów, jak ukraiński, azerbejdżański, ormiański itp., jak podobna do Polski sytuacja nie doprowadziła do odrodzenia ich państw w 1919 i 1920 roku. Głosił jednocześnie hymn pochwalny historycznej szkole krakowskiej, której był uczniem, i Piłsudskiego, którego był żołnierzem. Obóz przeciwny wskazywał

na rolę Francji w odrodzeniu Polski, specjalnie na działalność tragicznego generała Weygand w czasie bitwy warszawskiej. Tego rodzaju interpretacja naszej przeszłości i teraźniejszości była jednak w odrocie. Górę brała szkoła krakowska i dziwny jej, ale logiczny plód — megalomania narodowa, hasło „o własnych siłach”, piłsudczyzna.

III.

I wtedy przyszedł grom wrześniey. Zanim przejdziemy do namysłu nad znaczeniem, jaki on może mieć w tej debacie, musimy ustalić kilka pojęć. Byłoby nonsensem twierdzić, że położenie międzynarodowe nie miało żadnego absolutnie wpływu na upadek i odrodzenie Polski. Również absurdalnym byłoby pisać, że odrodzenie moralne, które zapoczątkował Konarski, a prowadziła dalej Komisja Edukacyjna, Czacki i Adam Czartoryski nie przyczyniły się do zwiększenia naszej siły oporu. Ani jedna, ani druga szkoła tego nigdy nie negowała. Chodzi tylko o to, na który z tych czynników należy położyć akcent, który z ich był ważniejszy. Jest to pytanie dość zasadnicze. Gdybyśmy bowiem mogli mieć zawsze oba czynniki naraz — powinniśmy się o nie niewątpliwie starać. Często jednak bardzo są one w sprzeczności. Wtedy wyłania się zagadnienie, który z nich jest ważniejszy, który dla którego należy poświęcić. Czy na przykład należy przyjąć kontrolę Ligi Narodów i pożyczkę, czy zrezygnować i z pożyczki i z Ligi Narodów. Czy ryzykować raczej osłabienie moralne, czy też raczej wojnę z Rosją i z Niemcami jednocześnie. Niezwykle szybki upadek państwa pod ciosami jednego tylko z sąsiadów — nie ma bowiem powodów aby się ludzi, że pokonali nas Niemcy i Rosjanie, pokonali nas tylko Niemcy — rozkład armii, wyjazd rządu na emigrację, zupełna zależność od sojuszników zachodnich — oto były elementy, które prowadziły do zupełnego zaniku teorii „o własnych siłach”. Niespostrzeżenie zbliżyliśmy się do mentalności czeskiej, której charakterystyczną cechą było lekceważenie własnego znaczenia i oglądanie się nieprzerwanie na „Rusko, Anglię i Amerykę”, jak się to po czesku nazywa. Hasła poprzedniego systemu rządzącego zostały w dużej mierze potępione. Ich proces historyczny dotąd zresztą nie został uczciwie przeprowadzony i nie jest naszym zadaniem proces taki prowadzić. Wychowawczo poglądy Piłsudczyków miały niewątpliwie dobre strony. Podniecając megalomanię narodową, prowadziły jednak do zaniku poczucia, że nie można wszystkiego robić naraz i do zaniku zrozumienia konieczności odwrotu i ofiary politycznej w pewnych momentach dziejowych. Może słusznym instynkt narodowy rozróżniał między ideologią Piłsudskiego, a ideologią Piłsudczyków. Piłsudski wierzył, że los Polski zależy przede wszystkim od Polaków, ale walory naszego narodu oceniał prawie tak samo pesymistycznie, jak Bobrzyński. Stąd jego dziwna sympatia do wielkiej postaci Margrabiego Wielopolskiego, który wypowiedział pamiętne słowa: „Dla nich — wszystko, z nimi — nic”. Piłsudski pod tym względem był bliiski Bobrzyńskiemu. Następcy jego dalej kładli nacisk na twierdzenie, że nasz los zależy od nas, ale zdawało się im, że reprezentujemy jakieś nadzwyczajne walory, które

nas zaprowadzą prosto do Berlina. To już nie była szkoła Bobrzyńskiego — to była szkoła Górki.

Zwrot ideologiczny, który niewątpliwie nastąpił po dojściu do władzy generała Sikorskiego był podyktowany sytuacją. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że o ile chodzi o wynik wojny z Niemcami — to nasze losy zależą w minimalnej tylko mierze od nas samych, w największej od tego co się dzieje poza nami i niezależnie od nas. Byłoby śmieszne i nierozsądne mówić coś innego. Ale spór między dwiema polskimi szkołami politycznymi nie powinien ograniczać się do kwestii zasadniczej: czy na nasz los wpływaliśmy raczej my sami, czy też jakieś czynniki postronne? Wchodzi tu w grę jeszcze inne zagadnienie, praktycznie o wiele ciekawsze. Sprawę ujmować można chronologicznie. Są okresy w życiu narodu i państwa, w których słuszne jest jedno twierdzenie, są znów inne okresy i inne zagadnienia, kiedy słuszne jest twierdzenie drugie. Tą drogą jedynie możemy dojść do jakiejś syntezy. Narodowi potrzebni są w pewnych okresach ludzie o umysłowości Piłsudskiego, w innych o umysłowości Sikorskiego. Raz potrzebni są Izajaszowi historycy miary Szujskiego czy Bobrzyńskiego, raz pocieszyciele w rodzaju Balzera czy Chołoniewskiego. Tak samo, jak w okresach na przykład dobrych stosunków z Niemcami jest rzeczą pożądaną, aby państwo posiadało zasób ludzi, którzy chcą być dobrze z Rosją i do których Rosjanie w innej koniunkturze będą mieli zaufanie — tak samo jest rzeczą wskazaną, aby w okresach historycznych, kiedy słuszniejszy jest jeden pogląd na istotę naszych losów, byli ludzie, którzy nie kapitulują z poglądu drugiego. I tu właśnie wysuwa się najważniejsze zagadnienie w chwili obecnej.

Powiedzieliśmy, że losy naszej rozgrywki z Niemcami zależą tylko w znikomej mierze od nas. Wszystko co obecnie robimy w tej wojnie ma znaczenie, jako pewien środek wpływania na usposobienie Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Trzeba zrozumieć, że o ile chodzi o wojnę z Niemcami, nasza armia jest pewnym sposobem propagowania naszych interesów wśród sojuszników. Ale coraz groźniej zaczyna się wyłaniać problem drugi. Z ostatnich uchwał Rady Narodowej i z licznych przemówień wiadomo, że kwestia naszych granic wschodnich nie została dotąd wyjaśniona. Wiadomo każdemu inteligentnemu człowiekowi, że są państwa, które nie zrezygnowały z zaprowadzenia swego systemu społecznego w Europie — system ten jest dla nas wstrętny. Wiadomo wreszcie na pewno, że po ukończonej rozgrywce z Niemcami będziemy musieli podjąć walkę o obronę naszego stanu posiadania na wschodzie. I teraz nasuwa się pytanie, czy w tej sprawie będą obowiązywały te same zasady co w naszej partii z Niemcami i czy przypadkiem, o ile chodzi o ten problem wschodni, nie będziemy musieli nawrócić do piłsudczyzny, gdyż nasze własne siły będą jedynym czynnikiem, na którym będziemy mogli się oprzeć. Historia nie wypowiedziała jeszcze swego ostatniego słowa.

Armia polska przybyła z Rosji, zrozumienie dla niebezpieczeństwa od wschodu, którego poza nami nikt nie rozumie, możliwość wytworzenia nareszcie jakiejś realnej siły własnej, oto przesłanki,

które by mogły stanowić tło do odrodzenia hasła „o własnych siłach”. Bez odrodzenia tego hasła widoki naszego sporu z Rosją nie są dobre.

Odbiegliśmy daleko od Chołoniewskiego i jego broszury. Nasunęła nam ona kilka refleksji, a czy nie jest to celem książki i celem wydawcy?

ADOLF BOCHENSKI

Dzieje głupoty w Polsce

Krytycy krajowi książki Bocheńskiego 1) odpowiadając mi argumentami historycznymi, usiłują po prostu podważyć jego tezy o możliwości wydzwignięcia się, jakie Polska miała rzekomo dzięki programowi kollaboracji z Rosją w epoce saskiej, stanisławowskiej i napoleońskiej. Ale dobór tych argumentów wskazuje wyraźnie, że toczy się tu dyskusja b. aktualna. Książka Bocheńskiego jest też po-myślana raczej jako polemika ze współczesnym ruchem niepodległościowym, niż jako praca naukowa. Sam autor podkreśla, że nie uważał za potrzebne wyczerpać literatury historycznej na ten temat. Chociaż książka pragnie uchodzić za sąd nad polskimi historykami, a krytyka krajowa wykazała, że w tym sensie musi być uważana za chybioną — wolno i należy traktować ją jako pracę publicystyczną i jako wykład pewnego programu politycznego, który Polacy powinni realizować dziś. Nie rozprawilibyśmy się z Bocheńskim, gdybyśmy mu udowodnili, że jego program był albo szkodliwy albo nie realny przed stuleciem czy dwoma. Książka jego musiała w kraju ukazać się jako praca historyczna i polemika w kraju toczyć się musi na płaszczyźnie historycznej. My możemy sobie pozwolić na to, by polemizować z tym, co autor chciał powiedzieć. Jeszcze zanim książka do nas dotarła, wiedzieliśmy już, że jest to zasadnicza obrona kollaboracji.

Obraz Polski wylaniający się z książki Bocheńskiego, jest obrazem państwa, które miało olbrzymie możliwości na całej przestrzeni swoich dziejów i narodu, który tych możliwości prawie nigdy nie umiał wyzyskać. W XVIII i XIX wieku pozabawione sensu jest niemal wszystko, cośmy zrobili, sens ma tylko to, czegośmy nie zrobili. Najjaśniejszą kartę w dziejach dwóch stuleci stanowi półwiecze 1864 — 1914, gdy nie przeszkadzaliśmy naszym zaborcom podzielić się na dwa wrogie obozy i wyniszczyć wzajemnie. Chociaż koncepcje „realne” istniały, to ich autorzy nie tylko nie potrafili zdobyć dla nich społeczeństwa, ale często — jak Stanisław August (który nb. swoją koncepcję zdaje się mieć dopiero... przy pisaniu pamiętników) i Czartoryscy — nie potrafili być wobec nich kon-

1) Aleksander Bocheński, *Dzieje Głupoty w Polsce*, Wydawnictwo Panteon, Warszawa 1947.

sekwentni. Bocheński żąda od Polaków XVIII w., by myśleli przede wszystkim i głównie kategoriami polityki zagranicznej. Żadne motywy b. skomplikowanej polityki wewnętrznej nie uchodzą w jego oczach za usprawiedliwienie błędów, jakie popełniliśmy w naszej polityce wobec Rosji.

Zahipnotyzowany mitem kollaboracji, autor widzi same głupstwa i szaleństwa; chwali ludzi i plany, jeżeli były zgodne z tym jego uprzedzeniem i pomstuje na wszystko, co ich realizacji stało w drodze. Fakt, że Stanisław August, taki mądry, przewidujący i „realistyczny”, załamywał się i przechodził do obozu przeciwników jego własnej koncepcji — nie zastanawia Bocheńskiego; zbywa to argumentem o „słabości charakterów”. Niezdecydowanie Stanisława Augusta, a zwłaszcza Czartoryskich tłumaczy obawą przed niepopularnością i w ten sposób — z dużą szkodą dla swoich głównych tez — degraduje tych mężów stanu do poziomu, na którym trzeźwość, racja stanu i realizm stają się już tylko przypadkiem albo pobożnymi życzeniami, nieobowiązującymi projektami, marzeniami na jawie. Na tym tle żądanie autora, by dla racji stanu nie cofać się nawet przed „krwawym terrorem” kwalifikuje się także tylko jako pobożne życzenie.

Chociaż uważa siebie za ucznia Kalinki i Bobrzyńskiego i słusznie pieje hymny ku czci szkoły krakowskiej, Bocheński nie waha się ostro krytykować swoich mistrzów, gdy cofają się przed konsekwencjami, które jemu nakazuje mit kollaboracji. Tak jest w sobie zadufany i tak ślepo wierzy swojemu uprzedzeniu! U Bobrzyńskiego gani zwłaszcza przecenianie problemów ustrojowych, a więc polityki wewnętrznej; odwrotnie, swoich głównych wrogów, Askenazego i Konopczyńskiego chwali za to, że tej pokusie nie ulegli i — acz fałszywie — podkreślają przeciw rolę polityki zagranicznej.

Czy jednak problem silnej władzy w Polsce, bez której nie może być dobrej polityki zagranicznej, nie był problemem polityki wewnętrznej nawet w czasie, gdy nikt w Polsce nie rozumiał grozy sytuacji (Bocheński przeczy, jakoby w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta groza ta istniała, bo — za Kalinką — neguje aneksyjne plany Katarzyny)? Czyż niezdolność króla i elity politycznej do stosowania ostrych środków, np. „krwawego terroru”, nie jest problemem polityki wewnętrznej? Czy to jest tylko wyraz osobistej słabości tych ludzi? Czy nie oznacza to raczej, że w Polsce nie było warstwy społecznej, której żywotne interesy byłyby identyczne z polską racją stanu? Czy nie oznacza to, że nie było w Polsce warstwy, której zwycięstwo na froncie wewnętrznym byłoby warunkiem istnienia Polski jako silnego państwa i, odwrotnie, której interesy mogły być zabezpieczone tylko przez silne państwo polskie? Czy nie oznacza to co najmniej, że nie było w Polsce warstw społecznych, których nieustanny twórczy kompromis byłby podstawą polskiej racji stanu, a więc siły państwa i którego trwanie lub odnawianie się byłoby z kolei uwarunkowane racją stanu, a więc silną państwowością? Bocheński natrzęsa się z historyków, którzy przy czyn słabości Polski w XVIII w. dopatrują się w faktach i sytuacjach, jakie powstały w XIV, XV i XVI wieku. Gdy Bocheński pisał swoją książkę, ten kierunek nabierał na sile w polskiej myśli politycznej i ostatnio Jędrzej Giertych wydał książkę, w której przeprowadza tezę, że nieszczęściem Polski byli... Jagiellonowie.

Nie wiele się zyska pomijając przy badaniu przyczyn upadku Polski problemy ustrojowe. W ich świetle wiele bezbronnych ofiar Bocheńskiego straciłoby niejedną z cech kretyństwa i maniactwa, jakie w nich odkrywa autor. Upiorne hasło wewnętrznej polityki Polski — „Polska nierządem stoi!” — powstało przecież jako rezultat oceny właśnie polityki zagranicznej, było bowiem wnioskiem z obserwacji (niezbyt odległej od tej, na jakiej swoją teorię kollaboracji opiera Bocheński), że słaba Polska jest bezpieczna od agresji rosyjskiej. Bocheński nie poprzestaje na bezpieczeństwie od agresji, ale sądzi, że uległa Polska mogłaby być „wykuwać miecz”, by w zmienionej koniunkturze odegrać się! Ale ulec nie chciała... Galopując na Rosynancie swojej wątlej Racji Stanu po wertepach historii polskiej, Bocheński popada w zabawne sprzeczności: na zarzut, że nie dążyliśmy do sojuszu z Turcją przeciwko Rosji odpowiada, że słaba Polska nie byłaby pożądanym dla Turcji sojusznikiem (dla Turcji, dla której — wobec potęgi rosyjskiej — każdy sojusznik był cenny!), natomiast argument ten porzuca natychmiast, gdy trzeba uzasadnić koncepcję sojuszu z Rosją: dla niej słaba Polska była sojusznikiem w sam raz! Istotnie, była w sam raz, ale... waleciem i obiektem przetargu.

Główna kampania Bocheńskiego z historykami (jeżeli zechcą z nim dyskutować, co byłoby pożądane) rozegra się jednak przy pytaniu, czy — skoro w ówczesnej koniunkturze suwerenność Polski nie mogła być uratowana, co przyznaje Bocheński wraz z większością historyków polskich — najlepszym wyjściem był istotnie formalny protektorat rosyjski? Nikt jeszcze nie bronił tezy, że rozbiory były stosunkowo najkorzystniejszym rozwiązaniem sprawy polskiej w tych czasach. Teza Bocheńskiego wszakże wręcz prowokuje takie stanowisko. Jeżeli bowiem najmocniejszym argumentem na rzecz protektoratu była możliwość uzyskania tą drogą czasu i sposobności do ponownego wzmocnienia się, to protektorat był rozwiązaniem fatalnym i historia myślała bardziej w kategoriach polskiej racji stanu, niż jej przysięgli obrońcy.

Bocheński przytacza przykład Finlandii, która spokojnie poddała się Rosji, a przy zmienionej koniunkturze odzyskała niepodległość jako państwo zdrowe i społeczeństwo zamożne, nie zubożone konfiskatami i nie wykrwawione beznadziejnymi powstaniem. Ten przykład, tak efektowny (któryż Polak nie zazdrości Finom!), jest jednak słabym argumentem. Jeżeli nie zechcemy myśleć uczuciami, co Bocheński słusznie potępia u swoich przeciwników — i nie zechcemy mówić o wierności Rosji, którą mogliśmy sobie zaskarbić okazaniem jej zaufania (to jest paradoksalne, ale tak właśnie argumentuje Bocheński, gdy usprawiedliwia zmianę polityki Katarzyny wobec Polski Stanisława Augusta), lecz jeżeli zastosujemy „mechaniczną” metodę logiki politycznej, w której jedynymi kategoriami są racje stanu państw, to musimy się zapytać, czy Rosja miała interes w tym, by Polska naprawdę się wzmocniła i przy zmienionej koniunkturze istotnie mogła się odegrać? Oczywiście, nie! Gdybyśmy bowiem chcieli tak twierdzić, musielibyśmy założyć albo, że władcy Rosji bardzo źle rozumieją swoją rację stanu albo, że istnieją siły, które niszczą (tak, niszczą, nie osłabiają!) Rosję, zanim ona zdola wynarodowić, pozbawić warstw przodujących i wchłonąć Polskę. Pierwsze założenie odpada, bo byłoby jednoznaczne z upad-

kiem instynktu politycznego w Rosji; na takie rzeczy lepiej nie liczyć.

Wbrew Bocheńskiemu, który twierdzi, że reminiscencje historyczne niewielką odgrywają rolę w polityce, trzeba przyjąć, że odległe zaledwie o wiek inwazje polskie i niewiele odleglejsza polityka mocarstwa Polski, której błędem tylko zawdzięczała Rosja swoją potęgę — to były jednak reminiscencje, które musiały w stosunku Rosji do Polski odgrywać pewną rolę. Finlandia nie była nigdy i nigdy nie będzie ośrodkiem krystalizacyjnym potęgi politycznej, która dla Rosji byłaby niedość, że niewygodna, ale wręcz groźna. A Polska jest takim państwem: Abstrahując od nienawiści „wschodniej” Rosji do „zachodniej” Polski, od niewygasłego do tej pory kompleksu niższości Rosjan wobec Polaków — sama racja stanu zmusza Rosję do utrzymywania Polski w stanie bezsilny, choćby cała znalazła się pod jej panowaniem i choćby nie wiem jak maskowała „czeskością” czy „fińskością” swoje marzenia o powrocie do dawnej potęgi. Rusini byli kiedyś większym niebezpieczeństwem dla Rosji, niż Polska; po rozbiorach znaleźli się pod panowaniem rosyjskim i dziś dogorywają jako naród ukraiński, tj. jako jeden z ludów Wscherosji. Jest to teza ryzykowna, ale wobec takich perspektyw rozbiory były dla Polski ratunkiem, bo utrzymały przez cały XIX wiek sprawę polską, uczyniły z niej atut aż trzeci mocarstw, przez co dawały nam możność wygrywania tych mocarstw przeciwko sobie, a przy zmienionej koniunkturze nie pozwalały dalekim i obojętnym zwycięzcom przejść nad sprawą polską jako nad sprawą wewnętrzną Rosji (co spotkało właśnie Ukraińców i co do nas próbowały stosować dopiero „demokracje” po zwycięstwie nad Niemcami).

Istniejemy jako naród kosztem znacznie większych ofiar, niż cudze rządy i krwawy terror. Jako naród jesteśmy funkcją naszego położenia geopolitycznego, które na całej przestrzeni dziejów europejskich w y m a g a ł o w tym miejscu, gdzie jest Polska, państwa wielkiego i silnego. Ta nigdy w pełni nie zrealizowana potęga, której warunków właśnie naród polski uczył się przez stulecia (i jak dotąd się nie nauczył), mogła nie dopuścić do wzrostu potęgi rosyjskiej i pruskiej, mogła stać się — gdyby utrzymała się w w. XVII — największym mocarstwem europejskim i zaważyć na losach nie tylko Niemiec, Rosji i Turcji, ale Hiszpanii, Francji i Anglii, a może nawet Bliskiego Wschodu.

Wszystkie polskie kalectwa duchowe, które Bocheński tak niechętnie wyszydza, tłumaczą się pamięcią o wielkiej przeszłości i świadomością niezrealizowanych dotąd geopolitycznych możliwości Polski. Cała romantyczna i po-romantyczna literatura „ideowa” — aż po takie groteski, jak Chołoniewski i Górski — nie jest niczym innym, jak gorączkowym majaczeniem narodu uginającego się pod ogromem swoich geopolitycznych zadań i pod ciężarem winy za to, że do nich nie dorósł. Nikt jeszcze nie bronił wyraźnie **Liberum Veto**, ale wielu — nawet wielu historyków z Lelewalem na czele — broniło urządzeń polskich, których **Liberum Veto** było składnikiem istotnym. Czymżeż to **Liberum Veto** jest innym, jak nie ową ideą moralną i ustrojową, w imię której warto tworzyć imperia, ideą zarazem arcy-demokratyczną, bo żądającą jednomyślności narodu przy decyzjach politycznych, i anty-demokratyczną, bo przekreślającą arytmetykę większości — tę arytmetykę, z której wy-

rosła po naszym upadku epoka dogorywająca dziś na naszych oczach w śmiertelnych konwulsjach ochłokracji i autokracji.

Pytanie, dlaczego nie zachowaliśmy się mądrze, gdy byliśmy słabi i gdy każdy nieostrożny krok groził zagładą, jest równie ważne, co znowu aktualne. Ale jeżeli się na nie odpowiada, że powinniśmy byli dobrowolnie położyć głowę pod topór, oddaje się narodowi wcale nie większą usługę, niż ci historycy i ideologowie, którzy przez cały XIX wiek tłumaczyli nam, że Polska zginęła, bo była lepsza od innych, że zgubiła nas chciwość sąsiadów i że Polska odrodzi się dopiero, gdy świat zacznie praktykować zasady chrześcijaństwa. Bo obie odpowiedzi są równie deprymujące i obcinają prawdę na dwóch końcach o tę samą niezastąpioną część. Obie odpowiedzi odbierają sens naszym dziejom: Bocheński wmawia nam zupełną niezdolność do życia, organiczną głupotę i monstrualny anty-talent polityczny; Chołoniewski przystraja nasze niewątpliwe wady w piórka niebiańskich cnót. Pierwszy neguje prawdę, że Polacy są narodem i przedstawia nas jako zlepek heterogenicznych sił; drugi neguje prawdę, że nie żyjemy na księżycu i przedstawia nas jako cherlawe potomstwo Don Kichota. Obaj nie liczą się w pewien sposób z rzeczywistością: Bocheński z geopolityką Polski i jej historią, Chołoniewski z naturalną przyczynowością polityki. Obaj spychają nas na margines świata: pierwszy wtraca Polskę między narody zreygnowane, drugi między narody śmiertelnie chore. Obaj tego nie chcą — obaj chcą jak najlepiej, ale obaj zamykają nam drogę do odrodzenia politycznego: Bocheński przez pozbawienie Polaków poczucia sensu własnej państwowości, Chołoniewski przez zbrodnicze oduczanie konkretnego działania. Obaj wywołują w organizmie psychicznym narodu schorzenia, albo raczej nowe ich symptomy — zamiast chorobę leczyć. Kto próbował choćby przez krótki czas myśleć kategoriami jednego albo drugiego, czuł jak wszystko staje się nagle łatwe, ale odczuł także, jaka ta łatwość jest nierealna, nieludzka, niemieška. Obaj przesadnie akcentują pewien biegun polskiej problematyki i... łamią jej oś! Przystaniemy istnieć, gdy będziemy uciekali od wysokiego napięcia, jakie powstaje między tymi biegunami, bo to wysokie napięcie jest naszym losem. I Bocheński i Chołoniewski są formami polskiego **escapizmu**.

Bocheński nie przyzna nam racji, tylko powie, że to on właśnie otwiera drogę do najsmielszych planów, bo pokazuje jak stworzyć warunki, by naród mógł wogóle realizować jakiegokolwiek plany. Wielkie idee znajdują się, gdy będą potrzebne, gdy zapragnie ich rosnąca siła narodu, gdy bez nich niemożliwy będzie następny krok. Wielkich idei konserwować nie trzeba, natomiast trzeba konserwować życie ludzkie, bez którego żadna idea nie może być urzeczywistniona. Przykład Polski z końca XVIII w. pozwala jednak zdezwuować mądrość tego pozornego realizmu. Gdybyśmy nie byli w tym czasie tworzyli legendy, która później pozwoliła nam zobaczyć swój upadek nawet jako cudzą zbrodnię (bez czego nb. mocniejsze głowy potrafią się obejść), gdybyśmy byli kornie poddali się rosyjskiej opiece, może jeszcze żyłby dziś potomkowie Polaków mówiący jakimś zruszczonym narzeczem polskim, ale — pozbawieni literatury, która na tej legendzie wyrosła, pozbawieni doświadczeń, jakie porobili niepodległościowcy i realisci XIX w., pozbawieni koncepcji, które raz z tego, raz z innego powodu prowokowały gwałtowne reakcje — to upokorzonej dumy, to obrażonego rozsądku, sło-

wem, pozbawieni biegunów, między którymi przebiegał prąd jedy-
nego życia, jakie narodowi po utracie fizycznego bytu państwowego
pozostało — nie byłibymy się więcej obudzili do niepodległości, jak
się już raz na polu obudziliśmy i jak się kiedyś przebudzimy na dobre.

Utrzymać naród przy życiu wtedy, gdy musiał oddać swoje
ciało, państwo — to zadanie trudniejsze, niż konserwacja „sub-
stancji biologicznej”. Wynarodowienie znacznie szybciej kradnie na-
rodowi substancję, niż tysiące poległych w szaleńczych walkach. A
rezygnacja, wysługiwanie się obcym, zaparcie się ideałów, namięt-
ność przetrwania z apolityczną lub ugodową czapką-niewidką na
wytartym czole — o wiele skuteczniej dopomagają obcym do wynarod-
dowienia, niż kikuty po powstaniu, ruiny po wojnie i nie zdobyte
wskutek abstynencji od zastawionego stołu bogactwa. Nie można
chcieć na jednym biegunie zyskać nie tracąc na drugim: rzecz w
tym, żeby znaleźć miarę.

Ale i dziś nie powinniśmy zakładać, że na Kremlu źle rozu-
mieją rosyjską rację stanu. W XVIII w. nie było sił, które by mogły
Rosję zniszczyć (lub choćby tylko chciały). W czasie rozbiorów nikt
nie przewidywał Napoleona. Owszem, Francuzi — nie oglądając
się na konsekwencje tego czynu dla swej polityki zagranicznej —
robili rewolucję i gwałtownie, krwawo i z niesłychaną dynamiką
przeprowadzali reformy, wbrew całemu światu i wbrew swojej włas-
nej racji stanu — ryzykując wojnę z całą Europą. W czasie, gdy
mogliśmy jeszcze uniknąć surowej krytyki Bocheńskiego i nie
prowokując Rosji założyć czapkę niewidkę i czekać lepszej ko-
niunktury, Rosja nie czuła jeszcze powołania do interwencji na
Zachodzie. Zajęta była Turcją i drżała z lęku, by Prusy lub Au-
stria nie uszczknęły jej kawałka „polskiego przedpoła”. Żadnym
sposobem Bocheński odrzucający sojusz z Turcją nie może dla tam-
tych czasów zakładać istnienia potęgi lub spisku, który mógłby zni-
szczyć Rosję, zanim ona zdąży pochłonąć korną i ufną Polskę. Że
tego nie zakłada dla dzisiejszych czasów, możemy być pewni. Ale
ponieważ książka jego interesuje nas jako aktualny program poli-
tyki polskiej, a nie jako baliwana historyczna — my to za niego
założymy. Bo tylko przy tym założeniu sugestie jego mogą mieć ja-
kiś sens.

Byłoby absurdem przypuszczać, że Bocheński wierzy w wojnę
Zachodu ze Wschodem. Ale nie można zaprzeczyć, że gdyby taka
wojna wybuchła, uznałby, że to jest jedna z tych „zmienionych ko-
niunktur”, do których przygotowywał Polskę przez swoją politykę
mimikry. Jeżeliby wybuchła, zanimby Polacy umieli na pamięć
„Dzieje Głupoty” i zanimby nowy program szkolny wpoił im wła-
ściwe pojęcie o lojalności wobec Rosji i o sposobie, w jaki można
Kremlowi okazywać zaufanie — jeżeliby wybuchła, zanimby pod
broń zostały powołane pierwsze roczniki polskich komsomolców i
zanimby to wojsko mogło ruszyć z okrzykiem „urra!” na przekra-
czające Odrę połączone korpusy niemiecko-amerykańsko-angielskie
— słowem, gdyby wybuchła dziś lub jutro, mogliśmy spodziewać
się tylko jeszcze jednego szaleńczego powstania, nad którym dywizje
niemieckie w amerykańskich czołgach przeszłyby gładko do nowe-
go porządku. Gdyby jednak wybuchła dopiero, gdy Bocheński do
spółki z Borejszą zdążyliby już Polaków zmodernizować i gdy —
na skutek nowego porozumienia niemiecko-rosyjskiego — Polacy
poczwolanyby byli pod broń nie nad Odrą i Nissą, ale tylko gdzieś

między Wartą a Wisłą — i gdyby w końcu należeli do zwycięzców,
jak należeli do nich w wojnie poprzedniej — Bocheński musiałby
nowe wydanie „Dziejów Głupoty” tłumaczyć na rosyjski i niemiec-
ki, by je potomkowie Polaków mogli czytać. Ale wtedy żaden z jego
czytelników nie rozumiałby, dlaczego Polska tak mądrze poprowadzo-
na tak bardzo się skurczyła. Natomiast do studiowania prawdziwej
historii Polski zabrakłoby im ochoty i... podniety.

Książka Bocheńskiego jest tylko na pozór odważną operacją
chirurgiczną. Jest to operacja, podjęta z założeniem, że może się
udać — po wyjęciu serca. Bocheński wielokrotnie krytykuje fata-
lizm naszych historyków. Nie namawiamy go, by zmienił zdanie w
tej sprawie. Fatalizm jest zły, ale pozbawić historię — narodową
czy choćby tylko indywidualną — pewnego pierwiastka fatalności,
to pozbawiać ją elementu ludzkiego. Ten oficjalny katolik polski
jest po prostu bezbożny. Nie można chcieć przestać być tym, kim się
jest. A kim jest naród, dowiadujemy się z jego historii. Przekreś-
lać dzieje narodu, to gest nihilistyczny, a robić z siebie sędzię na-
rodowych dziejów, który nie widzi nie poza nizekzemnością i głupotą,
to grzeszyć pychą — zaiste szatańską! — i co gorsza, brakiem
litości, która jest mądrością mędrców i świętością świętych.

JAN ULATOWSKI

METAMORFOZY W URNIE ŚWIĘTEGO

Zmarli dojrzewają,
a moje serce z nimi razem,
Litość nad sobą
w ostatniej wilgoci ziemi.

Porusza się w szklach urny
jakieś światło bagnistych drzew:
Niszczy mnie ponura zmiana,
święty nieznany: stękają w rozproszonych nasionach
zielone larwy:
moja twarz i ich wiosna.

Rodzi się jakaś pamięć czerni
w głębi murowanych studzien,
echo pogrzebanych kottłów:

jestem twoją relikwią
cierpiącą.

SALVATORE QUASIMODO

(z tomu: „Oboe sommerso”)
1930 — 1932

(Tłum. Bolesław KOBZYŃSKI)

CZEGO CHCESZ, PASTERZU POWIETRZA?

To jeszcze słyhać głos starożytnego
rogu pasterzy, szorstki nad rowami
białymi lupin węzów. Może niesie
oddechy z równin Acquaviva, kędy
Platan nawija muszle pod wodą
między stopami chłopców o skórze
oliwnej. Może obdarzy ziemię
powiewem wiatru uwiecznionego, w echa
ją złamie w świetle chwiejącym. Czego
więc chcesz, pasterzu powietrza? Zmarłych
wołaj, lecz ze mną już nie nienawidź
tej, która z morzem jest pomieszana
w słonecznych blaskach i na krzyk czeka
niski rybaków, co sieć podnoszą.

SALVATORE QUASIMODO

(z tomu: „Oboe sommerso”)
1930 — 1932

(Tłum. Bolesław KOBZYŃSKI)

Książki

Książki angielskie

Okres ostatnich kilku miesięcy był w beletrystyce angielskiej szczególnie jałowy. Można fakt ten łączyć z powszechnym w Europie osłabieniem tętna życia literackiego po wojnie, można uważać go tylko za zjawisko sezonowe (miesiące letnie są zazwyczaj martwe w sezonie wydawniczym), tym niemniej fakt pozostaje faktem — nie mogliśmy wymienić z okresu ostatnich miesięcy ani jednej naprawdę wybitnej powieści. W braku takiej trzeba się ograniczyć do omówienia dwóch książek pisarzy poza granicami Anglii niezwykłe popularnych, ale w samej Anglii — zdaniem recenzenta, słusznie — raczej mało cenionych, oraz tomu nowel pisarza bardzo wybitnego, dających jednak bardzo niedoskonałe pojęcie o rodzaju i możliwościach jego talentu.

Na obwolucie egzemplarza powieści Charles'a Morgana „The Judge's Story” (Macmillan) czytamy, że trzykrotnie zdobywał on nagrody w Anglii oraz, że tłumaczony był już na siedemnaście języków. Nagrody są świadectwem uznania, jakim cieszy się on także i w pewnych kołach brytyjskich, tym niemniej należy on do tych pisarzy angielskich — takich jak w okresie romantyzmu Byron, a za naszej już pamięci Galsworthy — którzy zdobywają sobie dużo poważniejszą pozycję zagranicą niż u siebie w domu. Fala jego poczytności cminęła jakoś Polskę — tylko ostatnio „Nowiny Literackie” przyniosły obszerny fragment „Sparkenbroke'a” — ale np. w Niemczech przed wojną był systematycznie tłumaczony i miał swoich gorących wielbicieli. Uważano go tam za jednego z reprezentacyjnych współczesnych powieściopisarzy angielskich. W samej Anglii o taką ocenę byłoby trudno. Tak np. w dobrze informującym, świeżo wydanym, studium Henry Reeda o powieści współczesnej „The Novel since 1939” (Longmans Green) Morgana zupełnie nie wymieniono.

„The Judge's Story” jest powieścią z morałem. Albo raczej jest to moral zbeletryzowany, pod koniec powieści zresztą przychodzący do głosu już bezpośrednio w długich wywodach filozoficzno-moralizujących. Tytułowym bohaterem powieści jest zemerytowany sędzia Gaskony, starszy, dystyngo-

wany pan, bywalec klubów. Wielką ambicją jego starości, z którą zresztą pieścił się całe życie, jest napisanie książki o Ateńczykach. Nie byle jakiej książki, ale takiej, w którą by włożył to, co jest w nim najlepszego i która by pozostała w literaturze. Sędzia Gaskony spełnia rodzaj duchowego protektora nad Vivien, młodą damą wyjątkowo subtelną, inteligentną i piękną, córką kobiety, która była jego wielką, choć platoniczną miłością.

Tych dwoje to szlachetni protagoniści powieści, ludzie z prawdziwym życiem duchowym i „wierni sobie”. Inaczej ma się rzecz z bogatym przemysłowcem Severidge'em. I on jest człowiekiem niezmiernie subtelnym, kulturalnym i wykształconym (wogóle jesteśmy tu stale w towarzystwie ludzi, którzy przy kawie dyskutują problemy filozoficzne, którzy ze znanstwem potrafią rozwoździć się na temat frazy muzycznej Chopina czy Mozarta, a jeśli zacytują pisarza, będzie to na pewno Wordsworth, Nietzsche, Platon albo Tolstoj. Jest też Severidge człowiekiem wyjątkowo energicznym i świetnie prowadzącym interesy wielkiego koncernu. Brak mu jednak „rdzenia” życia duchowego. Kilkakrotnie znajdujemy też aluzje do jego „racicy” („cloven hoof”) diabelskiej. I aluzje te — jak i wiele innych w powieści — mają znaczenie pewnego drogowskazu symbolicznego. Severidge symbolizuje pierwiastek szatański.

Stosunek Severidge'a do sędziego Gaskony jest bardzo powikłany. Na pozór są to po prostu dobre stosunki towarzyskie. Ale Gaskony odczuwa instynktowny lęk przed Severidge'em. I nie bezpodstawnie. Severidge bowiem w gruncie rzeczy zazdrości sędziemu jego życia duchowego, jego „wierności sobie”. I chciałby go skompromitować.

Szybko nadarza się okazja. Mąż Vivien, który jest adwokatem, żył nad stan, grał niefortunnie na giełdzie pieniędzmi zdeponowanymi przez jego klientów, i znalazł się w takiej sytuacji, że albo znajdzie ponad 20.000 funtów na zapłacenie długów, albo dostanie się do więzienia. Sędzia nie dysponuje tak wielkimi funduszami.

W tym momencie w losy sędziego wkracza Severidge. W klubie, którego członkami są i sędzia, i Severidge, wybucha raz dyskusja: Severidge twierdzi, że nie ma takiej rzeczy, której nie można by kupić za pieniądze. A sędzia za żadną cenę nie chce sprzedać swego egzemplarza „Marjusza epikurejczyka” Waltera Patera, który jest dla niego szczególnie cenną pamiątką, związaną z historią jego miłości do matki Vivien. Severidge kilkakrotnie starał się nadaremnie wypróbować sędziego, a teraz w zapale licytacyjnym, ofiarowuje mu za książkę 25.000 funtów, a więc akurat sumę, za którą można ocalić z tarapatów Vivien i jej męża. Sędzia przyjmuje czek.

Alie tu nie koniec kłopotów. Kiedy bowiem Gaskony zdążył już wręczyć z kolei czek mężowi Vivien, Severidge pod pretekstem, że nie otrzymał książki (sędzia, kiedy ją wysyłał, zapomniał nadać przesyłkę jako poleconą) domaga się zwrotu pieniędzy. Gaskony musi sprzedać wszystko co posiada, zastawić swoją emeryturę i przenieść się do Margate, do

starej nianki Vivien, gdzie będzie żył w warunkach spartańskich abnegacji za trzy funty tygodniowo, pracując nad swoim dziełem. I oto okazuje się, że wyrzeczenie się znajomych, majątku, życia towarzyskiego Gaskony'ego pogłębia i umacnia. Praca nad dziełem, która w Londynie szła opornie, teraz szybko postępuje naprzód. Nie odczuwa już lęku przed Severidge'em. Bije go na głowę w rozprawie, jaką stacza z nim pod koniec powieści.

Severidge może jednak ugodzić sędziego i poprzez Vivien. Jest on pod jej urokiem i zaczyna ją uwodzić. Na dobrą sprawę trudno tu mówić o uwodzeniu. Choć bowiem od czasu do czasu dowiadujemy się, że Severidge znacząco uściślał rękę Vivien albo dotknął się jej ramienia, właściwie idzie mu o posiadanie nie tyle jej ciała co duszy. I tutaj może się pozszyć sukcesami. Oto już Vivien, która dotychczas nad wszystko w muzyce uwielbiała Chopina, zaczyna teraz dla Severidge'a ganić Chopina wbrew swoim najgłębszym odczuwaniom, nie jest już „wierna sobie”. Ale ma szczęście w porę następuje spotkanie Vivien z sędzią, który naprostowuje jej ścieżki duchowe. Szatan i tu ponosi klęskę.

Istnieje niejedno arcydzieło powieści, które można streścić tak, że będzie wyglądało na bzdure. Niestety, tutaj na odwrót streszczenie nie daje jeszcze wyobrażenia o tym, ile w tej powieści jest artystycznego i psychologicznego fałszu, a w jej filozofii pod pozorem głębi — banalu.

Naprawdę ciekawym problemem jest tu tylko zagadka popularności powieściopisarza. W pewnej mierze tłumaczy się ona tym, że taka powieść spełnia tę samą funkcję co filmy Hollywoodu z życia multimilionerów. Czytelnik znajduje w niej ucieczkę od banalu swego życia w świat wyrafinowania kulturalnego i wielkiego luksusu (realiów, akcentujących atmosferę luksusu, jest w powieści dużo, dużo więcej, niżby ich było potrzeba dla charakterystyki tego czy innego z bohaterów) i równocześnie powieść pozwala czytelnikowi nad tym światem luksusu triumfować, odczuć swoją wyższość nad nim.

Amatorowi, który by chciał studiować technikę pisania noweli, trudno dość gorąco polecić przeczytanie ostatniego tomu noweli W. Somerseta Maughama „Creatures of Circumstance” (Heinemann). Maugham jest doskonałym narratorem. Jak mało kto drugi zna sztukę intrygującego wprowadzania czytelnika w fabułę, podtrzymywania jego zaciekawienia, stopniowania efektów, zgrabnego rozplątania intrygi w zakończeniu, nieraz uwienionym efektowną a nieoczekiwaną pointą.

To majsterstwo techniczne tym bardziej imponuje, że zazwyczaj nie ma w sobie nic z ostentacji. Przeciwnie, Maugham często nadaje swoim nowelom tok swobodnej, jak najnaturalniejszej gawędy, przetykanej dygresjami. Kiedy nowela jest z życia sfer „wyższych”, przynajmniej jedna osoba spośród jej bohaterów przedstawiona jest jako ktoś z kręgu znajomych autora. Nadaje to nowelom nutę pewnej intymności. Z nowelami, których bohaterowie są wzięci ze sfer „niższych”, sprawa ma się nieco inaczej, albo mamy tu do czynienia

nia z tradycyjną techniką bezosobowej narracji, albo też w charakterze narratora wyręcza autora jego „przyjaciół”, Ned-Preson, który co prawda sam jest wzorowym „dżentelmanem”, ale jako członek państwa więziennego ma okazję kontaktu — i to bliskiego — z interesującymi przedstawicielami klasy robotniczej i drobniomieszczanstwa. W ten sposób i dystynkcje społeczne zostały utrzymane i atmosfera nieskrępowanej gawędy zachowana.

Adepta sztuki nowelistycznej, który by chciał u Maughama terminować, nauka u niego może pod jednym względem ogromnie podnosić na duchu. Oto okazuje się, że jeśli się umie dobrze grać na ciekawości czytelnika, jeśli się ma opanowaną sztukę kompozycji, można być pisarzem, cieszącym się wielkim powodzeniem i poczytnością, mimo, że się w gruncie rzeczy ma mało co ciekawego i oryginalnego do powiedzenia o świecie i o ludziach.

Poziom tych nowel jest nierówny. Najlepiej już udały się autorowi te spośród nich, w których z humorem potraktował pewne tradycyjne typy angielskie: gentlemiana — pułkownika Blimpa, któremu niespodziewanie wali się na głowę odkrycie, że jego żona to wybitna poetka i który — co gorsza — z tomiku wierszy dowiaduje się o jej historii miłosnej („The Colonel's Lady”), oraz głupia, gadatliwa, potwornie nudna ale z kościami poczciwą angielską starą panną na wypoczynkowej podróży morskiej ma niemieckim statku („Winter Cruise”). I w jednym i w drugim wypadku typy są oklepane, znane z setek replik literackich, ale w tych właśnie dosyć lekko a z dużym poczuciem humoru potraktowanych opowiadaniach stosunkowo jeszcze to nie razi. Czasem znowu spadamy na takie niziny, jak tania, przerysowana karykatura francuskiego cynizmu w „Appearance and Reality”, czy jeszcze tańszy sentymentalizm zakończenia „Sanatorium”. Pewną przeciętną poziomą znajdujemy w nowelach na tematy hiszpańskie. Mamy w nich wszystko, czego trzeba dla stworzenia hiszpańskiego couleur locale: i hiszpańskich grandów, i południowe temperamenty, i nieokiełznane namiętności, i trochę hiszpańskiego folkloru, i honor, i grandezę, i południowe słońce. I mimo tego wszystkiego — albo może właśnie z powodu tego wszystkiego — nowele te natrętnie przypominają Stykę.

W przedmowie do „Creatures of Circumstance” Maugham rozprawia się z tymi krytykami, którzy krzywią się na nowele dobrze zbudowane, mające dramatyczną akcję i niespodziewane zakończenie. Najwyższą notą nowelisty — dowodzi — jest umieć dobrze opowiedzieć jakąś historię. Tymczasem dzisiaj — tłumaczy — nowela zeszała na manowce. Przedstawia się jako nowele jakieś amorficzne fragmenty życia, zaniedbuje się dla nastroju, atmosfery to co jest nervus vitae noweli — narrację. Zawinił tu uczniowie Czechowa, zawinił i sam Czechow.

Przypominają się te zarzuty, kiedy się czyta tom nowel Grahama Greene'a „19 Stories” (Heinemann). Greene jest bodaj że najwybitniejszym powieściopisarzem spośród tych, którzy dzisiaj liczą sobie koło czterdziestki. Powieści jego

— napisał ich już kilkanaście — podzielić można na dwie grupy. Jedna z nich to po prostu dobre powieści sensacyjno-policyjne. Greene określa je podtytułem „entertainments”. Druga grupa, to powieści „na serio”, o ambicjach pełnoprawnego dzieła literackiego. Granica między tymi dwoma rodzajami jest płynna. Tak np. jedna z najlepszych powieści Greene’a „Brighton Rock” w wydaniu Pinguinów sprzed kilku laty figurowała jako „entertainment”, a dzisiaj w spisie dotychczas wydanych książek Greene’a, zamieszczonych w „19 Stories”, znajdujemy ją w dziale „powieści”, przeciwstawionym lżejszego kalibru „entertainments”.

Płynność tej granicy tłumaczy się tym, że we wszystkich powieściach Greene’a obracamy się w świecie zbrodni, ucieczek, pościgów, bardzo niebanalnych przygód. Tylko, że podczas gdy w powieściach lżejszego kalibru zainteresowanie czytelnika fabułą jest ostatecznym celem, w powieściach „na serio” celem tym jest pokazanie natury ludzkiej poprzez odczynniki zbrodni i prześladowań. Greene jest katolikiem i jego wizja świata jest wizją pisarza katolickiego o szczególnie silnej świadomości grzechu i zepsucia natury ludzkiej. Jesteśmy tu więc na tym szlaku tradycji literackiej, jaki wyznaczają Dostojewskij i Bernanos.

Arcydziełem Greene’a jest wydana w r. 1940 powieść „The Power and the Glory”. Jest to powieść o księdzu prześladowanym w Meksyku za prezydentury Callasa, ściganym, uciekającym, który po szeregu niezwykłych przygód wymknął się swoim oprawcom i potem z bezpiecznego schronienia dobrowolnie wraca na męczeńską śmierć. Bohater powieści jest człowiekiem naznaczonym szeregiem ułomności: jest prostakiem, ma skłonności do kieliszka, miał kiedyś w rodzinnej wsi romans i jest ojcem nieślubnego dziecka. Męczeństwo jego przedstawione zostało bez cienia akcentów melodramatycznych, jest przekonujące artystycznie, wzrusza. Dodajmy, że Greene umiał zachować w tej powieści wysoki stopień epickiego obiektywizmu. Główny prześladowca księdza, komisarz policji, nie jest żadną krwiożerczą kanalia. Jest fanatykiem, ale człowiekiem z gruntu przyzwoitym, ideowcem. — W sumie „The Power and the Glory” jest jedną z bardzo niewielu naprawdę wielkich powieści ostatnich lat.

Greene szczególnie sugestywnie umie oddać atmosferę koszmaru. Pełno też tej atmosfery w ostatniej jego książce. Dwie pierwsze nowele mówią o koszmarze strachów lat dziecięcych, tematem jednej z nich jest koszmar egzystencji starego samotnego człowieka, zagubionego w warunkach tropikalnej, afrykańskiej dżicy. Kiedy indziej atmosferę koszmaru wywołuje szczególnie nonsensowna i w trywialnych warunkach zaszła śmierć, czy, odwrotnie, śmierć w warunkach niesamowitych, podkreślających jej grozę. Albo znów narodziny obłądu. Jak widzimy, skala tych koszmarnych możliwości jest rozległa.

O ile jednak w powieściach Greene umiał okoliczności atmosfery te przygotować rozpracować w sposób swobodny i naturalny, to tu intryga jest często aż za wymyślna i skomplikowana, zbieg okoliczności tak wyszukany, że aż niepraw-

dopodobny. Na odwrót znów, niektóre z nich, jak np. „I Spy” czy „A Day Saved”, są niemal że pozbawione kośca fabularnego; nie nowele, ale embriony nowel.

Pod koniec tomu znajdujemy kilka opowiadań o zacięciu humorystycznym (jest to zresztą wszędzie humor o dosyć specyficznym posmaku) oraz fragment zarzuconej przedwojennej powieści na temat stosunków w afrykańskim świecie kolonialnym. Z powieści tej Greene nie był zadowolony, ten jej fragment jednak, który wydrukował, przedstawia się bardzo ciekawie: ma i napięcie, i atmosferę, i już wyraziście zarysowane charaktery antagonistów. Ogłoszony razem z nowelami bardzo wyraziście uprzytamnia czytelnikowi, o ile swobodniej i pewniej Greene czuje się w medium powieści.

George Orwell ogłosił w obficie i doskonale ilustrowanej serii Collinsa „Britain in Pictures” niewielkie ale znakomite studium o Anglikach „The English People”. W swoich szkicach literackich Orwell dał się poznać jako krytyk o wyjątkowo wyczulonym węchu dla spraw społecznych. To jest jego differentia specifica wśród wybitnych krytyków angielskich. W książce jego pełno jest też bystrych spostrzeżeń na temat angielskich stosunków społecznych, takich jak np. stwierdzenie, że w sprawach dotyczących moralności właśnie proletariot jest najbardziej „burżuazyjny”, podczas gdy z buntem przeciwko „burżuazyjnej moralności” spotykamy się wśród ludzi z średniej klasy, i ta klasa właśnie dostarcza przede wszystkim entuzjastów tak faszyzmu, jak i komunizmu; albo znów uwagi o „staroświeckości” Anglików i td.

Co najważniejsze, jest to studium, traktujące o tych stosunkach społecznych z jakimi dzisiaj naprawdę w Anglii się spotykamy, a nie o szablonowym i tradycyjnym typie Anglika z Public School, Derby, Ascot, Oxfordem, golfem, klubem. Orwell pisze w swej książce o szerokich masach angielskich i dla tego procesu obyczajowej i gospodarczej demokratyzacji Anglii, który tak gwałtownie przyspieszyły lata wojenne ma jak najgorętszą sympatię. Ale daleko mu do postawy bezkrytycznego entuzjasty mas ludowych. Kiedy np. pisze o ksenofobii angielskiego robotnika, nie cofa się i przed takimi ostrymi uwagami: „W pewnej mierze to właśnie opór Trade Unionów przeszkodził, znacznemu napływowi uciekinierów z krajów faszystowskich przed wojną, a kiedy niemieccy uciekinierzy zostali internowani w r. 1940, to nie z klasy robotniczej wyszły protesty”. Kiedy indziej znów pisze o czystym w klasie robotniczej zjawisku snobizmu i o służalczości wobec klas wyższych.

I wogóle studium Orwella jest klasycznym przykładem tej bardzo charakterystycznej dla literatury angielskiej właściwości: patriotyzmu, który znajduje swój wyraz przede wszystkim w mówieniu własnym rodakom różnych nieprzyjemnych rzeczy. Po przeczytaniu już kilku stron książki nie można mieć wątpliwości co do tego, że Orwell jest rozkochany w swoich Anglikach, w szczególności w angielskim robotniku i drobnomieszczaninie, i że w gruncie rzeczy jest z nich, takich jakimi są, dumny. Ale nie do pomyślenia byłoby

tu jakieś akcenty sentymentalne. Na odwrót zaś, typową będzie tu taka np. uwaga: „To że swoboda słowa się w Anglii uchowała, jest częściowo rezultatem głupoty. Ludzie nie są na tyle intelektualistami, aby polować na herezje”. Przypomina się tu Shaw. Ale u Shawa jest mniej konsekwencji myślowej, intelektualnej prawości, a więcej gonienia za paradoksami.

Za najtypowsze cechy angielskie Orwell uważa „artystyczną niewyraźliwość, łagodność, szacunek dla prawa, podejrzliwość wobec cudzoziemców, sentymentalizm w odniesieniu do zwierząt, przesadny nacisk położony na różnice klasowe, opętanie sportami”. Katalog ten jest charakterystyczny dla metody Orwella. Większość cech angielskiego charakteru narodowego została tu ujęta w sposób, zakładający nastawienie ironicznie - krytyczne (równie dobrze np. możnaby mówić o „miłości dla zwierząt” co o „sentymentalizmie w odniesieniu do zwierząt”), a przecież w sumie nie daje to charakterystyki ujemnej. Raczej możnaby powiedzieć, że w taki sposób przychodzi do głosu opryskliwa i nieskora do wylewności miłość.

Trudno się dziwić, że w książce napisanej dzisiaj, dźwięczy wcale wyraźnie nuta niepokoju, obawy o przyszłość. Ale Orwellowi daleko tu do modnego, a tak w gruncie rzeczy jałowego, katastrofizmu. W ostatnim rozdziale zastanawia się nad tym, jakie reformy muszą zająć w życiu angielskim, jeśli Anglicy mają pozostać narodem „wielkim”. Zdaniem Orwella, muszą oni w tym celu w najbliższym dziesięcioleciu podnieść swój przyrost naturalny, wprowadzić w swoje życie więcej społecznej równości, więcej decentralizacji i więcej szacunku do intelektu. Jak widzimy, mamy tu do czynienia ze swoistą syntezą programów obu wielkich angielskich partii politycznych: równość społeczna — to programowe hasło labourzystów, decentralizację głoszą konserwatyści. Hasło szacunku dla intelektu jest już, oczywiście, indywidualnym wkładem samego Orwella.

Warto wreszcie zasygnalizować pojawienie się w opracowaniu D. C. Somervilla jednotomowego skrótu dzieła Arnolda J. Toynbee „A Study of history” (Oxford University Press). Ściśle rzecz biorąc, nie jest to nowość: pierwsze trzy tomy dzieła prof. Toynbee wyszły po raz pierwszy w r. 1934 (i były potem przedrukowywane), następne trzy — ukazały się w r. 1939. Książce daleko jeszcze do końca, ale i dotychczas wydanych sześć tomów stanowiło dla ewentualnego czytelnika nielada orzech do zgryzienia: jak znaleźć odpowiednie warunki, przede wszystkim czas, na przeczytanie z trą trzech tysięcy gęsto zadrukowanych stron, i to poświęconych zagadnieniom niejednokrotnie trudnym, skomplikowanym, wymagającym dużego wysiłku myślowego. Toteż do-

piero przeróbka Somervilla — oczywiście, autoryzowana — wprowadziła książkę naprawdę w obieg życia literackiego. Zdolała też ona już wywołać, — jak świadczą, nie licząc recenzji, obszerne artykuły w „Horizon”, „Partisan Review”; „The Modern Quarterly” — żywą i ciekawą dyskusję.

Nie sposób tu wchodzić bliżej w materię książki. Wystarczy tylko powiedzieć, że ambicją autora jest danie czegoś w rodzaju fizjologii cywilizacji. Co sprawia, że w danych warunkach i w danym momencie cywilizacja powstaje, jakie czynniki warunkują jej rozwój, dlaczego w jakich warunkach cywilizacje umierają? — Zwłaszcza zagadnienie śmierci cywilizacji szczególnie uporeczywie zajmowało autora w dotychczas wydanych tomach. Czyni to książkę specjalnie symptomatyczną dla naszych czasów i w dużej mierze tłumaczy żywe zainteresowanie, jakie wywołała. Świadectwem tego, jak zagadnienie końca cywilizacji fascynuje dzisiaj ludzi, może być choćby i ten fakt, że akurat ostatnio, w miesiącach ostrych obciążenia programów wydawniczych, znalazł się papier na przedruk dwóch pękających tomów — angielskiego przekładu „Upadku Zachodu” Spenglera, i to mimo wyraźnie hitlerowskich rysów książki (mistyka krwi, apoteoza wojny).

Dzieło prof. Toynbee jest oparte na niezwykle rozległej i różnorodnej lekturze. Jest też owocem zupełnie wyjątkowej erudycji. Ale błędem byłoby ocenianie go w kategoriach wyłącznie naukowych. Jego założenie jest nie tyle bezinteresownie poznawcze, co praktyczne. Jest to mianowicie dzieło człowieka, którego dręczy myśl o możliwości końca naszej cywilizacji i który chce w historii znaleźć odpowiedź na pytanie, czy i jak można uniknąć katastrofy. Odpowiedź wypadła tu w duchu spirytualizmu, kultu wielkich ludzi, arystokratyzmu. Toteż pisma lewicowe na ogół książkę atakowały. Nawet jednak i te, które oceniały ją ujemnie, już samym faktem, że poświęcały jej, tyle uwagi, stwierdzały, iż widzą w niej zjawisko ważne, a w każdym bądź razie bardzo dla naszych czasów symptomatyczne.

WIKTOR WEINTRAUB

La Peste

„Pareille à la peste asiatique exhalée des vapeurs du Gange, l'affreuse désespérance marchait à grands pas sur la terre”.

(MUSSET)

„Jest równie słuszne przedstawić uwięzienie przez inny rodzaj uwięzienia, jak przedstawić cośkolwiek, co istniało w rzeczywistości przez coś co nie istniało”. To zdanie Daniela de Foe podał Camus jako motto do swej książki „Peste”¹⁾

„Peste” to opowieść fantastyczna o dżumie, która nawiedziła w jakimś nieokreślonym roku Oran. Trudno jednak znaleźć książkę bardziej z rzeczywistością związaną, bardziej ewokującą to co przeżył lub to co przeżywa każdy w kraju, odciętym od świata przez okupację, toczącym głucha, nieugiętą i na pozór beznadziejną walkę.

W 1936—37 Camus wydaje w Algierze parę essayów. Ukazują się one potem w 1939 r. w Paryżu p.t. „Noces”²⁾ Poprzez opisy natury afrykańskiej, rozżarzonych miast, skał i piasku, zapachów i wielkiego morza, głosi autor namietność życia, które się spala w radości.

„Szczęście rodzi się z braku nadziei, duch odnajduje swój sens w ciele”... „Woda żywa szczęścia” może trysnąć tam tylko, gdzie nie oszukujemy naszego pragnienia i gdzie się zdobywamy na śmiałe badanie „geografii pewnej pustyni”.

Śmierć jest „przygodą okropną i brudną”, wstrętną wszelka metafizyka, która chce ją ubrać i upiększyć.

„Bóg umarł, powtarza Camus za Nietzschem.

Takie jest dno myślowe tych essayów pisanych suchym precyzyjnym, jakże świetnym językiem. W pejzażu afrykańskim człowiek się spala w uciechach słonecznych ciała, spędzając pół życia nago i beczynnie na rozżarzonym piasku nadmorskim, bez rozdarcia i komplikacji „nieistniejących” proble-

mów religijnych. Dopiero przyjmując „pewność świadomą śmierci ci beznadziejnej” człowiek może być na ziemi... szczęśliwy.

Tu jest chyba punkt wyjścia filozoficzny autora „Mitu Syzyfa”, „Kaliguli” i „Cudzoziemca” tej powieści, która zwięzłością i celnością ewokacji psychologicznej przywodzi na myśl „Adolfa” Benjamin Constant.

Ale do ostatniej powieści Camusa „La Peste” klucza należy szukać także może przede wszystkim w małej książeczce „List do przyjaciela Niemca”, wydanej w 1945 r. w której już motto pascalskie, że wielkość nie polega na tym, by być na jednym skraju, ale właśnie by dotykać obu jednocześnie, jest rewelacyjne dla dzisiejszej postawy Camusa.

W tym „Liście” Camus „rozdarł” staje na drugim skraju, porusza właśnie problem moralny człowieka.

„Pan nigdy nie wierzył w sens tego świata, Pan twierdził, że wszystko jest warte jedno drugiego” — pisze Camus do przedwojennego przyjaciela Niemca”. Ze dobro i zło można określać jak chce. Pan przypuszczał, że moralność nie istnieje tak ludzka jak i boska, że jedynie wartości, które panują nad światem to te, które rządzą światem zwierzęcym — gwałt i chytryść... I prawdę mówiąc zdawało mi się wówczas, że myślę tak samo jak Pan. Nie widziałem argumentów, które mógłbym Panu przeciwstawić, jeśli nie gwałtowny smak sprawiedliwości, który mi się zdawał równie nierozumowanym jak najbardziej naga namietność. Gdzież więc była różnica? Różnica była w tym, że Pan z łatwością przyjął beznadzieję (vous acceptiez légèrement de désespérer), a że ja nigdy jej nie przyjąłem”. W tymże liście pisze dalej: „Dzięki wam wesliśmy w historię i przez 5 lat nie mogliśmy się już cieszyć krzykiem ptaków w świeżości wieczoru. Musieliśmy być w rozpacz. Byliśmy oddzieleni od świata, bo co chwila z tym światem wiązały się tłumy śmiertelnych wyobrażeń. Od 5 lat nie ma na tej ziemi poranka bez agonii, wieczora bez więzień, południa bez morderstw”.

To Resistance budzi w Camusie miłość czynną sprawiedliwości, wolę walki. Camus bierze udział w tych walkach, z dwoma nawrotami, również redaguje podziemne, a potem jawne pismo „Combat”, pisze książkę filozoficzną, jest uważany za jednego z głównych egzystencjalistów, wymawiany jednym tchem obok Sartre'a. Ale cóż za przestrzeń dzieli jego prozę od prozy Sartre'a. We wszystkim co pisze Camus jest surowy dźwięk czystości: proza Camusa przypomina pejzaż nadmorski, skały w słońcu o ostrych i wyraźnych konturach, ma zapach morza.

„La Peste”, pisana językiem jakże beznamietnym, to książka nie tylko bez drastycznych scen seksualnych, które tak często i z takim talentem maluje Sartre. — nie ma ona nawet wątku erotycznego. Jest dyskretna: słowo miłość jest zastąpione słowem sympatia; poświęcenie — słowem pomoc, a książka ta mówi od początku do końca o miłości i o poświęceniu aż do śmierci dobrowolnie przyjętej, aż do rozdarcia z tym co najdroższe.

„Peste” jest książką w obronie wolności, wolności nawet w mieście, w którym tysiące umierają na dżumę, bo tyl-

1) Albert Camus: La Peste, Gallimard 1947.

2) Albert Camus: Noces, Ed. Charlot 1939.

ko dobrowolnie przyjęta dyscyplina jest godna, mówiąc stylem tegoż Camusa — sympatii. Ta dyscyplina wewnątrzna każe doktorowi Rieux wytrwać w mieście zadziwionym i już nigdy nie spojrzeć w oczy żonie, która umiera z dala od tego miasta.

„Chcesz uciec z miasta zadziwionych dla szczęścia? Uciekaj, nikt cię nie zatrzyma”. Doktor Rieux, który sam wszystko poświęca, pomaga dziennikarzowi Rambert w ucieczce, go dzi się by ten przekupił strażę, bo „nie jest z tego miasta”, bo kocha kobietę, która jest daleko, bo chce być szczęśliwy. Kiedy po paru tygodniach tenże dziennikarz, w chwili gdy ma wszelką możliwość ucieczki, sam wyjazdu odmawia chcąc pozostać w mieście zatraconym, bo poczuwa się do związku z nim, bo nie umiałby być szczęśliwy, gdyby odszedł — wtedy nagle role się zmieniają, to doktor namawia go, by miasto opuścił.

Ja też mam prawo coś zrobić dla szczęścia — mówi — wyjeżdżaj, pamiętaj, że musisz wybrać, jeżeli zostaniesz z nami nie będziesz już miał czasu być szczęśliwym”.

Może stronicie najpiękniejsze książki to obraz starej kobiety, matki lekarza. Paru tonami zaledwie (jak w niektórych płótnach Corota lub w holenderskich martwych), środkami najoszczędniejszymi wyrażona jest forma i światło. Ta stara kobieta milczy, gotuje obiad swemu synowi, patrzy po zachodzie słońca przez okno na ciemniejące dachy miasta... Nie ma tam jednego słowa czułości czy miłości, skąd wiemy jednak o całą pewnością, że ta kobieta żyje dla swego syna, że go kocha? „Rieux nie wiedział czy to na niego czekała co dzień, ale coś się odmianiało w jej twarzy, gdy się ukazywał. Wszystko co życie pracy wtopiło w tę twarz milczenia ożywało nagłe”.

W tej książce są problemy na każdej stronie bliskie „Braci Karamazowych”, prawie za bliskie. Chwilami zdają się być jakby aktualna ilustracja problemów, które poruszał Dostojewski w „Braciach”. Przede wszystkim przypomina się czytelnikowi scena Wielkiego inkwizytora. „Ty zapragnąłeś miłości wolnej człowieka, żeby wolny poszedł za Tobą urzeczony, oczarowany Tobą”?

Potem śmierć dziecka to prawie dalszy ciąg rozmowy Iwana Karamazowa z Alioszą. Ten „bilet do raj”, którego Iwan nie przyjmuje, bo jest na świecie cierpienie niewinne dziecka. Czyż jest Łaska i co warta jest Łaska wobec takiego cierpienia? W te różne wątki zagadnień wdziera się w „Pestę” wątek może najbardziej dziś Camusowski: co jest świętość? Czy można być świętym bez Boga, kiedy „Bóg umarł”?

Ale o ileż smutniejsza jest ta książka od książek Dostojewskiego, o ile bardziej dławiąca. Nie ma nadziei na tej smutnej ziemi, jak tylko dać z siebie najlepsze. Nie ma i nie będzie żadnej błyskawicy Łaski, nie będzie na pewno cudu. Ten pieśca miłości życia, który w pustyni i na plaży algierskiej, w zupełnej beznadziei metafizycznej odnajdywał drogę do szczęścia, dziś zdaje się robić wyznanie czytelnikowi, którego może zrobić nie chce, którego może sam nie jest nawet zupełnie świadomy, wyznanie Dostojewskiego „mnie całe życie Bóg męczył”.

Po przeczytaniu książki jednego jest człowiek pewny,

że Camus jest w nieustannym poszukiwaniu, że trudno przewidywać jego dalszy rozwój.

„Bóg umarł”, w ustach Camusa zasługuje na komentarz ze „Spowiedzi dziecięcia wieku” Musseta, z której również wzięłem motto do tej notatki. „Był to wielki krzyk bólu i kto wie? może w oczach Tego, który widzi wszystko była to modlitwa”.

MAREK SIENNY

VII (P)

INSTYTUT LITERACKI

zdołał sobie w czasie swojej rocznej niespełna działalności zastrzyżony kredyt i zaufania u czytelników.

Oto główne osiągnięcia Instytutu Literackiego :

1) Przypomniał arcydzieła literatury polskiej pisarzy tej miary co Mickiewicz, Sienkiewicz, Szpotkański, Strug i Sieroszewski.

2) Zapoznał czytelników z problematyką polskiego życia politycznego i społecznego w dwugłosie Chałasińskiego i Ulatowskiego o inteligencji polskiej.

3) Ukazał Polakom prawdziwą misję socjalizmu w książce Leona Bluma „Na miarę człowieka”.

4) Zobrazował najnowsze zdobycze fizyki w przystępnym wykładzie Tadeusza Felsztyna o energii atomowej.

5) Przyniósł przyczynek do dziejów wojska polskiego na obczyźnie w broszurze Jana Bielatowicza o Brygadzie Karpackiej.

6) Ukazał walkę narodu polskiego o wolność w antologii „W oczach pisarzy (1939 — 1945)”.

7) Ogłosił piękny portret filozoficzny Kanta pióra znakomitego esseisty Bolesława Micińskiego.

8) Przyniósł polskiej literaturze przekładowej powieść najgłośniejszego pisarza współczesnego Artura Koestlera „Krucjata bez krzyża”.

9) Dał żołnierzom, którzy bili się we Włoszech, piękną pamiątkę z Rzymu w postaci tomu szkiców włoskich Bielatowicza „Pasaggiata”.

Norwid odzyskany

Chcąc mówić o tragedii Polski ostatnich ośmiu lat, musimy używać słów najcięższych. Wszelkie superlatywy spłowiwały wobec losu naszego kraju i narodu, stały się zbyt częste. Zestawienie faktów, dat i cyfr ma wystarczającą wymowę.

Jeden z odcinków polskiej niedoli, to straty kulturalne Warszawy.

Po spaleniu w 1939 r. Centralnej Biblioteki Wojskowej, Biblioteki Rapperswilskiej, Muzeum i Biblioteki Zamoyskich, Przedziedzielskich, Państwowego Muzeum Archeologicznego, po późniejszym zniszczeniu zbiorów Łazienkowskich, zbiorów Zamku Warszawskiego, ograbieniu Muzeum Narodowego, wywiezieniu około 10 wagonów archiwaliów z Archiwum Głównego i Archiwum Akt Dawnych, a spaleniu Akt Nowych (20 lat niepodległości) — że wymieniam tylko najważniejsze pozycje — dokonali Niemcy w okresie powstania najbardziej znamienitego ze względu na planowość i premedytację barbarzyństwa.

Na mocy szczegółowo opracowanego przez niemieckich specjalistów bibliotekarzy planu „reorganizacji” bibliotek warszawskich, słóczono najcenniejsze rękopiśmienne zasoby trzech głównych księgozbiorów warszawskich, zasoby obliczone na 60.000 rękopisów, 45.000 starodruków (w tym 2.000 inkonabułów), muzykalia, kartografię, zbiory graficzne oraz mnóstwo depozytów prywatnych, w zaciekałym (uszkodzonym w 1939 r.) gmachu Biblioteki ordynacji Krasieńskich na Okólniku. W połowie września 1944 r., po zajęciu tej części miasta, Niemcy wypalili systematycznie, przy pomocy miotaczy ognia, półkę za półką i piętro za piętro, wszystkie ówczesne zbiory Biblioteki Krasieńskich. Technika nasycania żbitych masy książek i rękopisów specjalnym płynem samopalnym pozwoliła na doszczętne ich spalenie.

„Z ich śmiercią (archiwów warszawskich) — pisze dyr. Lorentz — naród polski został pozbawiony najcenniejszych dokumentów historycznych, legitymujących jego dawność i szlachetną przynależność do Wielkiej Rodziny Narodów o starej kulturze europejskiej i wiekowej państwowości”.*)

W rozległych podziemiach gmachu Biblioteki na Okólniku bro-

dziło się po kolana w białawym lotnym prochu, na wyższych zaś półkach stały jeszcze początkowo uszeregowane foliały, teki, skorozsyty, a raczej ich ciała astralne, zachowujące dawny kształt, a rozlatujące się za lada wstrząsem, albo podmuchem w niebieskawy popiół.*)

Na tle tego najcięższego w historii Polski pogromu stolicy niezwykle przypadek pozwolił uchronić od zniszczenia spuściznę Norwida, skupioną w rękach ponad 80-letniego Miriama — Przemyskiego. Kiedy w pierwszych dniach sierpnia 1944 r. pocisk zapalający z nieznanego nam jeszcze wtedy sześciostrzzałowego miotacza (tzw. „krowy”) uderzył w prawą oficynę domu przy ul. Mazowieckiej 4, gdzie mieszkał Miriam, a straż ogniowa z częściowo zburzonego mieszkania i ogniem od dołu zajętej oficyny zaczęła wyrzucać meble i stosy pism Norwida na podwórze, kiedy tomy VI i VII (Rozprawy prozą) jego dzieł, oraz zeszyty „Chimery” poszarpane, zdepletane i złane wodą zmiatano w sterty przeznaczone na spalanie, kiedy inne w pojedynczych kartkach, spiętych nicią broszu, spływały różańcami jak fantastyczne dekoracje z drzew tego podwórza objętego ogniem. — zdawało się nam, że katastrofa Warszawy pochłonie tym razem bez reszty cały dorobek poety i zniszczy jednocześnie półwieczny trud Miriama szperacza, komentatora i wydawcy.

Nie wiedzieliśmy wtedy, że wszystkie Norwidiana skupione w rękach Przemyskiego znajdowały się względnie zabezpieczone w piwnicy tego domu przy ul. Mazowieckiej 4. Uparty starzec nie chciał się rozstać ze swoim skarbem, sądził, że pod jego opieką będzie najpewniejszy i w tym wypadku los przyznał mu rację. Dom wraz z oficynami przetrwał bombardowanie i pożogę 1939 r. Norwidiana, jako że w posiadaniu prywatnym Miriama, uszły okupacyjnej „reorganizacji” czyli spaleni na Okólniku, piwnica wytrzymała dwukrotny pożar: sierpniowy — ugaszony, i doszczętny — po kapitulacji. P. Miriam ranny i na wpół przytomny od chwili katastrofy swego domu umarł w przygodnym szpitalu powstańczym.

Kiedy Warszawa leżała tej jesieni i zimy martwa pomiędzy zastygłymi frontami, specjalne komendy dokonywały planowo dzieła zniszczenia. Nie miało zostać z Warszawy kamienia na kamieniu — taki był rozkaz Hitlera.

Kilku profesorów, bibliotekarzy i historyków sztuki stworzyło wtedy, w oparciu o jeden z paragrafów aktu październikowej kapitulacji, trzy komisje: muzealną, archiwalną i biblioteczną. Komisje te podjęły się, kosztem bohaterów i stałego zagrożenia życia, ratowania resztek mienia kulturalnego skazanej na doszczętną zagładę stolicy.

Stanisław Piotr Koczorowski, przyjaciel Miriama i opiekun jego

*) W ciągu bieżącego lata notatki w prasie Krajowej doniosły, że pewna ilość skrzyń zawierających rękopisy i starodruki z Bibl. Zamoyskich i dawnej Bibl. Żałuskich jest w drodze z Moskwy do Warszawy. Z czego wynika, że Niemcy przed spalaniem Bibl. Zamoyskich i Bibl. Krasieńskich w 1944 zdołali jakąś część skrzyń wywieźć do Królewca. Po zajęciu zaś tego miasta przez Armię Czerwoną odesłano skrzynie do Moskwy, obecnie, prawdopodobnie tylko częściowo, zwracane są Warszawie.

*) „Warszawa oskarża” 1945 r.

skarbu, zdołał w pierwszych dniach stycznia 1945 roku dotrzeć na Mazowiecką i przekonać się, że skrzynia z Norwidem, chociaż rozbita, stała na miejscu w niezawalanej piwnicy, jak również nieknięte dwie skrzynie z Wrońskianami. 7.I. pod czujnym okiem niemieckiego strażnika i kierunkiem Józefa Grycza, ekipa, w której skład wchodził: W. Borowy, St. P. Koczorowski, B. Korzeniowski i Tad. Makowiecki, przełożyła rękopisy do worków, rozsegregowała je w specjalnie przeznaczoną na ten cel hali sławnego „dulagu” (Durchgangslager) w Pruszkowie i przewiozła konspiracyjnie do miejsca nieznanego Niemcom.

Koszta tej akcji ratowniczej: utrzymanie dobrowolnych pracowników, opłacenie samochodów niemieckich, wagonów i straży kolejowej pokrywały władze konspiracyjne, Rada Główna Opiekuńcza i Zarządy miast polskich.

Obecnie wszystkie ocalałe Norwidiana znajdują się w Bibliotece Narodowej i dzieło Miriama, jak się tego należy spodziewać, będzie doprowadzone nareszcie do końca pod kierunkiem prof. Wacława Borowego.

C. K. Norwid, zmarły w 1883 r., został istotnie pochowany i pogrzebany obojętnością ogółu, oraz opinią o nim jego znakomitych współczesnych. Klaczko, pozwalając sobie na popularną wtedy i-graszkę słów: „Promethidiony, zwolony i inne Androny” — oceniał „Czarne i Białe Kwiaty” jako „potworność” i upatrywał jedynie braterstwo dla psychiki autora w zakładzie dla umysłowo chorych u Bonifratrów. Odmawiano Norwidowi talentu (K. Koźmian), wytykano mu nieumiejętność wykończenia utworów, pomysły niedoszłe ułomne i poronione (Kraszewski), ciemność i niezrozumiałość (Chmielewski), chińskie lamigłówki (Wł. Mickiewicz), Krasiański traktował poetę raz łaskawie, to znów lekceważąco. To jako szaleńca „pełnego fochów, złości, napadów, wyrzutów i obelg... Ofiarę pochlebstw publiczności i własnych próżności”. To znów ulegał urkowi jego postaci i umysłu, porównywał go do „ognia w alabastrowym naczyniu”, do „stu lucciołek skupionych razem na duszę jedną”. Wreszcie J. B. Zaleski, towarzysz i przyjaciel wieloletni, druh ostatniej doby, on również pisał o poecie jako o „zacnym, zdziwaczałym Norwidku”. Norwid nie dosłużył się wtedy nawet płyty grobowej, z której jego imię i nazwisko wołałoby na przechodnia — bo nie miał własnego grobu. Minęli go współcześni, zapomnieli synowie...

A wnukowie?

Czy Norwid istotnie po miriamowej ekshumacji, 40 lat temu, doczekał się należytego wspomnienia?

Przedruki i pierwodruki jego dzieł w „Chimerze” stworzyły istotnie pewien ruch umysłowy w okresie „Młodej Polski” i dotarły do uszu wrażliwej na poezję młodzieży ówczesnej. Koło odkrycia Miriama skupiła się garstka wyznawców. Ale fala zachwytów niebawem opadła i odezwała się krytyka, może i bardziej krzywdząca aniżeli za życia poety.

W 1934 r. Tadeusz Pini podjął się trudu zbiorowego wydania ważniejszych dzieł Norwida, poprzedziwszy je skandalicznym wstępem na czterdzieści kilka stron dużej ósemki, utrzymanym w tonie

lekceważenia, niechęci i klepania po ramieniu. Określał tam poetę jako „zdolnego leniucha” i „nieuka” w młodości, malując go w późniejszych latach jako zarozumiałego snoba, zacofańca, naśladowcę, dziwaka itp. Zdawkowe słowa uznania dla jego talentu poetyckiego kończy oceną, z której wynika, że popularność jego jest ograniczona do „wybranej garstki miłośników lamigłówek”.

Mimo wszystko słowe Norwida, które ożyło dzięki Miriamowi, nie dało się już zaguszyć.

W nowych antologiach poezji polskiej Norwid zajmuje coraz więcej miejsca. Nasze pokolenie dało mu tę „wiarę”, o którą prosił, ale przywykli do czytania „pędem... pod cłowianej litery urzędem” skupiliśmy mu pracy rozpoznawczej i badawczej. Każdy odkrywał go jak umiał, ale poprzestawał nieraz na kilku lub kilkunastu wierszach.

Lata katastrofy uczuliły w nas wrażliwość na sztukę, a jednocześnie wyzwoliły spod panowania „panteizmu druku”. Wojna unieruchomiła wielu ludzi w obozach jenieckich, w celach więziennych, na zesłaniach, albo w samotniach wiejskich. Jednemu było dane przetrwać lata niewoli z dwoma tomami korespondencji Norwida, w codziennym z nim obcowaniu. Innemu towarzyszył szczupły „Wybór Poezji” w wydaniu Biblioteki Narodowej, albo pozostawała pamięć, z której odtwarzano wiersz po wierszu zapadłe w podświadomości poematy.

A w Polsce skutej przemocą, w ruchu podziemnym, w poezji konspiracyjnej zdobył Norwid posłuch i chyba pierwszeństwo nawet nad Mickiewiczem. Jego wiersze ryte jak w murze ówiekiem, ich zwartość i dynamika, a może też tajemniczość ukrytej myśli, współbrzmiały z życiem podziemnym kraju, przemawiając do walczącego pokolenia jak żadne inne. Zwłaszcza wiersze o Warszawie były jakby wczoraj dla niej „samotnej i zapoznanej” pisane: „Improwizacja”, „Żydowie Polscy”, „Modlitwa Mojżesza”, „Fortepian Szopena”, „Dedykacja II”:

„Syrena herbem twym zwodnicza,
Lecz ja zmierzyłem oceany
A pamiętałem cię z oblicza
Jak ty samotny — zapomniany!

Przyjm... i chęćmi chęci zamień
O! ty młodości mej stolico,
Z bruku twego chciałbym mieć kamień,
Na którym krew i iza nie świeca”.

W walczącej Warszawie słyszeliśmy Norwida nawet z kazalnicy. Kiedy pięści zaciskały się zemsta, kiedy wszystko nawet wierzenia religijne szły na usługę nienawiści, usiłował kaznodzieja słowami poety nakreślić chrześcijanom granice walki:

„...Ale jest Bóg, którego i rzymska załoga
Rzucać gdzie chce nie może...
choćby też na wroga”.

Po klęsce powstania, jak wielotysięczne rozbite stado chronili się

wygnańcy stolicy po różnych zakątkach pozostałego strzępu Polski. Naszą przystanią była wioska podkarpacka.

Na pasterkę 1944 r. kościół w Poroninie brzmiał radosną kolendą, a nam, warszawskim uchodźcom dźwięczały w uszach strofy „Czemu nie w chorze?”:

„Śpiewajcież o wybrani
U złobu gdzie jest Bóg
Mnie jeszcze ucho rani
Pogoni róg....

Śpiewajcież w chór, zebrani!
Ja zmieszać mógłbym śpiew
Tryumfującej litanii
Jam widział krew....”

W dwa lata po powstaniu zdobyła się Norwidowej młodości stołeczna wystawa, poświęconą jego pamięci, otwartą 20.12.1946 r.

Był to hołd oddany poecie w 125 rocznicę jego urodzin, pierwszy tego rodzaju i rozległości pokaz, złożony w ogromnej większości z Norwidianów Miriamowskich.

Już w początkach 1946 roku ukazał się tom F Pism Norwida (wydania zapoczątkowanego w 1911—12) ze wstępem W. Borowego. Ów tom, przeleżawszy trzydzieści kilka lat w składach drukarni, nie przyniósł żadnej nowości tekstowej, wartość jego stanowią przypisy Mariama, które są drobnym tylko fragmentem zamierzonej przez zmarłego wydawcę całości.

Muzeum Narodowe wydało krótki przewodnik po wystawie, obszerny katalog, oraz książkę zbiorową p.t. „Pamięci Cypriana Norwida”.

Na tę ostatnią publikację składa się krótki życiorys poety, dopełniony kroniką biograficzną pióra J. W. Gomulickiego, i trzy studia: 1) Wacława Borowego: Norwid poeta, 2) Tadeusza Makowieckiego: Norwid myśliciel, 3) Jerzego Sienkiewicza: Norwid malarz.

Dalszą pierwszorzędną pozycję tego wydawnictwa stanowi rozmowa bibliograficzna, sporządzona pod kierunkiem prof. Borowego i przy pomocy słuchaczy jego seminarium, a obejmująca około 700 pozycji.

Z trzech studiów o Norwidzie twórca wysuwa się na czoło praca Borowego. Na wstępie autor wyjaśnia przyczyny nieporozumień zaznaczonych pomiędzy poetą a współczesną mu krytyką, nie odmawiając sędziom literackim owych lat pewnej słuszności, zwłaszcza w ich sądach, dotyczących większych dzieł poety oraz jego społeczno-politycznych rymowanych traktatów. Następnie omawia Borowy te utwory, które weszły już do skarbca poezji polskiej i stanowią tej poezji drogocenny klejnot. Borowy stwierdza, że Norwid stał się najczęściej dziś cytowanym poetą polskim: „... jego wersetami jako doskonałymi sformułowaniami pewnych zjawisk życia duchowego, jednostki czy zbiorowości, posługują się zarówno zwolennicy jak przeciwnicy jego poglądów. Niektóre jego wyrażenia weszły prawie między zwroty mowy potocznej...”

Borowy wykazuje dalej złożoność indywidualności twórczej poety, wielo-płaszczyznowość jego koncepcji myślowych co stanowi dalszą przyczynę zarzucanej mu „ciemności”, rozważa znaczenie sło-

wa **prawda** w twórczości Norwida, jego „świadczenia” **prawdzie** i usiłowania „odpowiednie dać rzeczy słowo”. Tylko pobieżnie omówiona jest kwestia wpływów literackich, które mało ważyły w porównaniu z własną indywidualnością poetycką Norwida, wreszcie wnikliwie rozważa Borowy znaczenie ironii Norwidowej w jej różnych przejawach, która od humoru przechodzi nieraz w najszlachetniejszy patos, autor stwierdza przy tym, że „nieodmówienia, przemilczenia albo niezwykle znaczenia wyprowadzone z etymologii wyrazów nie były nigdy u Norwida umyślnym efektem artystycznym, zaciemnianiem treści, jak u niektórych mallarmeistów. Dlatego to zarzut „ciemności” tak bolał poetę, dlatego skargi na „niezrozumiałość” traktował jako wyraz wygodnictwa u współczesnych.

Uwagi o stronie dźwiękowej dzieła Norwida podkreślają znaczenie jakie poeta przypisywał „lirze” dźwięczności, tej lirze, która nie może być traktowana jako coś dodatkowego. („Ona jako żywemu orłu pióro, aż z krwią nierozłączona” — **Liryka i druk**).

Na zakończenie cytuję Borowy słowa Norwida z listu do J. B. Wagnera: „Zadaniem krytyki jest wszystko postawić na właściwym miejscu i otworzyć okno, pozostawiając resztę światłu i czasowi — nie więcej.”

Makowiecki w swoim artykule usiłuje wydobyć główne ogniska, skupiające rysy osobowości twórczej Norwida myśliciela i wskazujące na podstawowy problem „ciągłości”, lub inaczej „łączności organicznej” w jego twórczości, ten problem rysuje się już wyraźnie w „Promethidionie”: łączność dzieła ze współczesnością, z ideą dominującą w danym czasie, łączność natchnienia z materią, a wreszcie łączność człowieka twórcy z wolą ponadludzką.

Najwyższym celem człowieka w pojęciu Norwida to „postawić się czynnym w planach Bożych”. To hasło wiązało się znow z zagadnieniem łączności ludzi i grup ludzkich pomiędzy sobą, czyli z zagadnieniem sumienia historii i tradycji („przez tradycję wyróżniony jest majestat człowieka od zwierząt polnych...”) z zagadnieniem „stygmatu”, który przeważnie ciąży, rzadziej uskrzydla poszczególnych ludzi i narody. „stygmatu”, z którym trzeba się liczyć i który należy zwalczać, lub świadomie przyjąć.

Dopiero na tle tych rozważań staje się zrozumiały stosunek Norwida do **ludu, ródów historycznych, artystów i wreszcie Kościoła** („najstarszego obywatela”).

Jako że kryterium wartości mierzył Norwid stopniem ciągłości, przyczyną jego troski największej był brak tej ciągłości tak w rozwoju człowieka jak i dzieła oraz dziejów. Z tego pojęcia następstw wyprowadza Makowiecki skłonność poety do ukazywania ciągów, które bywają przedmiotem jego poematów (pochód w „Rapsodzie ku czci Bema”), albo tworzywem metafor (szczeble, stopnie, kolumny) a także częsty motyw ruin, jako zaprzeczenie ciągłości. W pojęciu „ciągłość” tkwiły również, zdaniem autora studium, cechy kompozycyjne i stylowe Norwida, wydobywanie wielorakich połączeń jakiegoś pozornie drobnego faktu z największymi sprawami, a także jego przemilczania, mające jak gdyby na celu wiązanie danego utworu z pracą myśli odbiorcy, lub z dośpiewaniem dalszego ciągu przez następców.

Z czego należałoby wyprowadzić Norwidowe zagadnienie ciągłości Makowiecki nie rozstrzyga, odkładając to do dalszych badań. Autor podaje jako przypuszczalne źródło teorii ewolucji przyrodników, filozofię dialektyczną Hegla, lub pozytywizm; nie wymienia zaś świata antycznego, ani wielowiekowej tradycji Kościoła Katolickiego, z którymi Norwid był ściśle zespolony.

„Cywilizacja do dziś jeszcze podobna jest do tego Kościoła na Kapitolu...”, co w kwadracie kolumn świątyni starożytnej jako gołąb w rozłamanej klatce przestawa — czytamy we wstępnym do „Quidam” liście. — Cywilizacja składa się z zabytków wiedzy izraelskiej, greckiej, rzymskiej, a łono jej chrześcijańskie”.

Najtrudniejsze miał chyba zadanie Jerzy Sienkiewicz w skreśleniu analizy Norwida malarza. Spuścizna plastyczna Norwida była bowiem bardziej jeszcze zapoznana od spuścizny poetyckiej, przemilczana i rozproszona. Sienkiewicz zaczyna od wyliczenia poprzednich pobieżnych opracowań tego tematu i czyni przegląd zachowanych prac plastycznych Norwida, oraz tych strat wojennych, które można było w ogólnych zarysach zinwentaryzować.

Jako materiał badawczy pozostała więc znów prawie wyłącznie cudem zachowana kolekcja Miriamowska.

Sienkiewicz kreśli rozwojową linię artysty, wyprowadzając ją z wpływów rysunku Leonarda, doszukując się czasowych wpływów ideologii malarzkiej Overbecka, nie przyznaje zaś (czy słusznie?) wpływu akademizmu Delacroix'a, którym się Norwid zachwycał. Znajduje pokrewne akcenty ze sztuką Delacroix, Daumiera i Guys'a. Niedopatrzenie plastycznego dorobku Norwida przypisuje Sienkiewicz opacznym sądom krytyki, opartym na rozmiarach i wykończeniu dzieła (krytyki, która z tych samych powodów lekceważyła dzieło Piotra Michałowskiego).

Z rzeźby znalazła się na wystawie jedna tylko płaskorzeźba Z. Krasieńskiego i ani jedno płótno olejne.

Omówiwszy rozwój techniki rysunkowej Norwida i cechy jego akwarelowej kolorystyki, którą słusznie zestawia z pracami Wojtkiewicza, wyróżnia Sienkiewicz humanistyczne zainteresowania artysty, odbite zwłaszcza w jego studiach kobiecych: analiza uśmiechu i mimiki kobiety, wizje miłości macierzyńskiej i kobiecego heroizmu.

Sienkiewicz przyznaje Norwidowi, że również w tej dziedzinie został sobie wierny, oryginalny i że zdołał przez opanowaną formę wyrazić swój własny styl. Najlepiej charakteryzuje Norwida niechęć do racjonalnego wyznania: „Prawdziwych szkiców robić nie można umyślnie, one się same narzucają... Są to dlatego zazwyczaj karteczki i złamki... Atoli żaden fotograf nie zastąpi nigdy prawdziwego szkicu”.

Pośród ówczesnych prądów malarstwa francuskiego — powiada w końcu Sienkiewicz — do których Norwid odnosił się wrogo (realizm Courbetera), albo których zdawał się nie dostrzegać (impresjonizm), Norwid pozostał aż do śmierci samotny.

(Rewolucja impresjonizmu wybuchła w ósmym dziesiątku 19-go stulecia: pierwszy pokaz impresjonistów odbył się w 1874, zauważony przez garstkę wtajemniczonych jedynie. Norwid od 1877 prze-

bywał już w Zakładzie w Ivry, oderwany od Paryża wiekiem, chorobą i trudnościami komunikacyjnymi. Trudno mu więc było śledzić za tym najnowszym prądem malarzskim).

Dział bibliografii podzielony jest na 4 części:

- I. Dzieła Norwida wydane osobno za jego życia.
- II. Dzieła Norwida wydane osobno po jego śmierci.
- III. Ważniejsze głosy i studia o Norwidzie.
- IV. Indeks nazwisk.

Wstęp wyjaśnia metody opracowania materiałów i kryteria wyboru wymienionych studiów i głosów.

Dział I obejmuje tylko 15 pozycji, z czego wyd. Brockhousa — (Poezje, Lipsk 1863) jest jedyną publikacją zbiorową, wszystkie inne to pojedyncze utwory od kilku do kilkunastu stron.

Dział II obejmuje 48 pozycji.

Dział III — ważniejsze głosy i studia o Norwidzie (1840 — 1946) zawarte na 71 dwuszpaltowych stronach (ok. 600 pozycji). Dział ten daje cały wachlarz sądów o poecie na przestrzeni 107 lat w zwężonych streszczeniach ważniejszych artykułów, stanowi to niejako skrót dziejów polskiej krytyki w odniesieniu do Norwida.

W krótkim posłowie od wydawnictwa czytamy, że pragnieniem wydawców jest po zamknięciu wystawy przygotowanie jeszcze jednej publikacji: pamiętnika, w którym by wszystkie głosy krytyczne mogły być zebrane i przedyskutowane.

12 reprodukcji szkiców rysunkowych i akwarelowych zamyka tomik.

Pozwalam sobie dorzucić 2 drobne pozycje do 3-go działu bibliografii, które można zaliczyć do głosów o Norwidzie, a których znaczenie polega na tym, że się ukazały w 1944 r., roku Monte Cassino i Powstania Warszawskiego, w którym omawiana bibliografia notuje też tylko dwie pozycje: artykuł Jastruna w „Odrodzeniu” (Lublin) i Wstęp do antologii poezji polskiej Michaela i Filipa (Londyn). Te 2 dodatkowe pozycje, to artykuły w tyg. „Orzeł Biały”, założonym w Rosji przy formującej się tam armii Andersa, p. t. „Ścieżki o Norwidzie”, podpisane Marek. Ukazały się 7-go i 21-go maja 1944 (N-ry 11 i 13).

W pierwszym cytowany jest list do K. Górskiej o strudze krwi przestąpionej w 48 roku w Paryżu. „Od 39 roku — czytamy w zakończeniu artykułu — płyną wszędzie czerwone strugi krwi Polaków, których matki i siostry kochały, może dziś właśnie ten list Norwida trzeba by zamieścić nie w numerowanym wydawnictwie, na czerpanym papierze, dla estetów, ale w piśmie żołnierza”. W drugim artykule porusza autor trudne pojęcie narodowości u Norwida.

Mimo, że utwory poety, ogłoszone w czasopiśmie i wydawnictwach zbiorowych, nie weszły do niniejszej bibliografii, podam do wiadomości zainteresowanych, że do antologii poezji polskiej w doskonałych tłumaczeniach Michael'a na 110 pozycji jest 23 poezji Norwida. W kwartalniku zaś, wydawanym w Rzymie w języku wło-

skim p. t. „Trydion” (zesz. 1 — 2, Maj 1945) ukazało się 5 poezji Norwida: „Bema Rapsod Żalobny”, „Święty Pokój”, „Daj mi wstążkę błękitną”, „Jesień”, „W Weronie”, w tłumaczeniu Angelo Maria Ripellino, zaopatrzonych w notę biograficzną o Norwidzie. W zeszytach zaś 3 — 4 z września 1945 r. „Fortepian Szopena” tegoż tłumacza.

W początku br. pojawiła się jeszcze jedna książka poświęcona Norwidowi, a mianowicie powieść biograficzna Hanny Malewskiej p. t. „Żniwo na Sierpie” *). Rodzaj „biographie romancée” wyrósł na Zachodzie po pierwszej światowej wojnie z popularnych zainteresowań historyczno - psychologicznych, a także z reakcji przeciwko suchym faktografiom naukowym. Rodzaj ten miał 20 lat temu duże powodzenie dzięki kilku znakomitym piórom, które go uświetniły (Lytton Strachey, Zweig, Maurois, Guy de Pourtales i i.). Za nimi poszła cała plejada naśladowców, powieść biograficzna zużyta i nadużyta popadła obecnie, zwłaszcza we Francji, w zupełną niełaskę jako „genre exécrable” (ohydny, wstętny). W Polsce natomiast rodzaj ten skusił w swoim czasie nielicznych pisarzy: Wołoszynowski, Świdorska, Boy, Zbyszewski — to omal wszystko. Chyba właśnie „niewyżyciu się” u nas powieści biograficznej zawdzięczamy przesłanną książkę H. Malewskiej.

Spotkała się ona z niejedną krytyką czcicieli i znawców Norwida. Nie łatwo przebaczą oni autorce swobodę, z jaką traktuje życiorys i słowo wielkiego zapoznanego.

„Zważywszy szczupłość danych o życiu Norwida — wyznaje autorka w posłowie — każdy zbeletryzowany jego życiorys musi być w równym stopniu tworem wyobraźni jak rekonstrukcją na podstawie materiałów”.

Nawet miłośnikom Norwida trudno będzie rozeznacć dokąd w tej powieści sięga fantazja a odkąd jest rekonstrukcja. Krytycy zarzucają Malewskiej, że uwydatniła w Norwidzie sentymentalnego kochanka, a nie wydobyla jego bohaterskiej postawy okresu paryskiego.

„Zródłem jednak i uzasadnieniem wszystkiego co piszę o Norwidzie — powiada Malewska — jest długie i nieobojętne obcowanie z jego dziełami i listami, w których pozostawił nam, wprawdzie niedokładne koleje swego życia, lecz rysy wyraziste swej osobowości”.

Właśnie to „długie i nieobojętne obcowanie” nadało tej książce jej ciężar gatunkowy, właściwy ton oraz patos i wdzięk bardzo Norwidowy.

„Ogień w alabastrowym naczyniu” — jak określił poetę w 1848 roku Krasiński — „Uprzejmość, grzeczność, wdzięczność i wdzięk wcale nie demokratyczne — woń jakaś arystokratyczna”.

Te walory książki powinny rozgrzeszyć autorkę nawet w oczach najsurowszych „badaczy pisma”.

*) Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza pod Zarz. Państw, Poznań 1947.

Mimo zastrzeżeń znawców i niepokoju, z jakim przystępujemy do lektury „Żniwa na Sierpie”, podbija nas ono swobodą i polem wizji żywej, plastycznej i przekonującej, jak każde dzieło artyzmu.

„Skąd ona to wzięła?” — zastanawia się zrazu czytelnik, potem nie zadaje już sobie tego pytania. „Tak być musiało, tak było! — myśli, przewracając kartki.

Powieść podzielona jest na trzy części: „W kraju”, „Pielgrzym”, „Długi Epilog”. Nie ma podrozdziałów, mało chronologii, obrazy, luźne ze sobą związane osobą bohatera, mają co raz to inne tło: Głuchy, Warszawa, Florencja, Rzym, Neapol, Berlin, Paryż, Ameryka, Londyn itd.

Postać Marii Kalergis, jej „śnieżna uroda”, opiewana przez Heinego, triumfy światowe, tajemniczość, artyzm w olśnieniu słońca i marmurów ziemi włoskiej, zajmuje oczywiście dużo miejsca w powieści. Dramat sercowy Norwida włączony w pianę tych świetnych salonów i próżniaczej turystyki oddała autorka w szeregu scen wielkiego uroku. Najlepsza to, powieściowo, część książki, i też dzięki temu ta wizja włoska przerasta w „Żniwie” inne sprawy jego „całożywota” i olśniewa czytelnika. Wyobraźnia powieściopisarza poniosła tu pióro biografą.

Paryskie lata, samotny szlak twórcy, to już „nieprzerwany pamiętnik artysty”, coraz mniej fabuły i wyobraźni powieściowej, coraz więcej głosu samego Norwida, jego poezji, świetnych definicji, gorzkiej ironii, wnikliwej krytyki; pamiętnik... aż do końcowej, doskonale ujętej i skomponowanej (na podstawie korespondencji Norwida rozprawki i z „Inedita”) rozmowy jego z B. Zaleskim o dopelnieniu aż do ostatnich, przedśmiertnych snów-ewokacji: gęsiarki mazowieckiej („Stygmat”) i wosku z gromnicy na rękawie zakonnego habitu („Cywilizacja”).

Doszedł mnie niedawno list z kraju, list młodej dziewczyny, studentki: „Czyście czytali Żniwo na Sierpie? To moja najdroższa książka, ośmieliła mnie do Norwida, czytam i znajduje cuda...”.

Jeden przykład z tysiąca.

Opowieść o uroczym chłopcu na tle polskiej wsi „w atlasach kwiatów jabłoni”, o nieszczęśliwym kochanku - artyście, o samotnym i zapoznanym odludku zyska na pewno Norwidowi, trudnemu pocięciu i myślicielowi, więcej czytelników niż wiele uczonych rozpraw i przełamanie u niejednego dotychczasowy opór nieśmiałości i lenistwa.

Atmosfera psychiczna lat ubiegłych stworzyła warunki sprzyjające dla poezji Norwida. Ale warszawska wystawa, wydawnictwa wyszłe i zamierzone, oraz liczne echa tej 125 rocznicy w prasie krajowej świadczą o szczególnej aktualizacji poety w Polsce.

Ani niespodziewanie szczęśliwe zachowanie zagrożonej spuścizny Norwida, ani śmierć Miriama nie stanowiły w obecnych warunkach wystarczającej przyczyny tego zjawiska.

Upust krwi tragicznego sześćciolecia, wyniszczenie najcenniejszej substancji narodowej, szukanie dróg i wskazań by „skorzysnąć na swym nieprzyjacielu” — to wszystko zbliża nas do autora „Fatum”, który przeżył nadzieję i klęskę trzech powstań i dzieckiem jeszcze widział wały tej samej Warszawy zorane gradem kul.

W licznych pismach i listach występuje Norwid przeciw zbyt pochopnemu szafowaniu krwią, występuje w słowach twardych, nieraz bezlitosnych, oskarżając „tradycyjnych — herosów” i „bezwiednych — magnetyzerów” (epigonów romantyzmu), wytyka brak świadomej i działającej w Polsce inteligencji.

„Złe jest na świecie i u nas — czytamy w liście z 63 r. — u nas nieszczęście i rozdmuchane same pasje tylko, bez żadnej idealnej przeciwwagi... Historia zaś pisze rachunek swój żelazną ręką i nie pyta się wcale o sentymenta, ale pyta o sumę rachunku”.

„Jeżeli przeto energii jest 100 a inteligencji 3, i to jeszcze niczym nieuprawnionej społecznie, tedy zawsze energia wyskoczy i uniemożliwi wszelki plan i co lat kilkanaście pada pokolenie jedno na rzeź w jatkach, gdzie przypadkiem zabijani będą bezimienni bohaterowie jako homo-Quidam” (styczeń 65 r.)

W kraju dochodzi do głosu nowy pozytywizm, w prasie toczy się surowy proces bohaterstwa, oskarża się, nawet potępia, tych co dla sprawy narodowej wszystko złożyli w ofierze.

Postawa Norwida, zwłaszcza po 63 r., wspiera niejedną wypowiedź dzisiejszych neopozytywnistów. Norwid może być omal poczytany za ich prekursora.

„Ta próba człowieczeństwa skończona...” — pisze Hanna Malewska w miesięczniku „Znak”. — „Niech ogłuchnie echo Roncevaux. Niech Krzys Cedro o czym innym zamarzy. Niech Warszawa odżyje i trwa, niech inaczej niż swoją pożogą jaśnieje. I — prawie chciałoby się rzec, ale się nie śmie: niechaj zapomni...”

Czy nie za daleko posunęła się tu autorka „Żniwa na Sierpie”, która sama brała udział w niezapomnianej obronie Starówki i widziała jej całopalenie? Norwid nie uznałby nigdy próby bohaterstwa — człowieczeństwa za skończoną... Norwid, autor „Rapsodu o Bemie”, Norwid, który umiał uczyć bohaterstwo nawet w pozornie beznadziejnej walce, Norwid wielbiciel „rasy Dawidowej”.

Co kamień wznosząc do góry,

Nie dba, czy za nią armata gwintowa,

Nie dba, czy przed nią broszury...

Norwid nie radziłby nigdy Warszawie, „Achillesa kolebce”, żeby zapomniała swoje bohaterstwo, męczeństwo i mogiły. Jeżeli Norwid występował przeciwko romantyzmowi, to przede wszystkim w żądaniu od człowieka pełni i wywyższenia inteligencji ponad uczucie i nieświadomą swych celów energię.

Obcane pogłębienie i znaczenie katolicyzmu i głoszone w Kraju nakazy pracy organicznej, zadania emigracji, sprawa rozwinięcia świadomości społecznej, niewspółmiernej dziś jak i wtedy ze świadomością narodową — to wszystko stawia Norwida katolika tradycjonalistę i antyromantyka w „oku cyklonu” zagadnień dzisiejszych.

Sto lat temu otrzeżenia, wskazania i zaklęcia poety uderzały w ścianę głuchą i niemą, nie budząc żadnego echa. Nowe klęski i nowa, po części uświadomiona błędy otworzyły, być może, uszy nasze spoza grobu, którego okrutną surowość tylko miłość natchnąć mogła.

Niem miłośników Norwida jest wydobyć w pierwszym rzędzie i uprzystępnienie jego prozy filozoficznej i jego listów, prawie nieznanych, szerszemu ogółowi, listów w których konsekwentnie

niż gdziekolwiek walczy poeta o człowieka społecznego i o pełnię człowieczeństwa w Polaku.

„Może powiesz mnie kiedyś ludzie serdeczni — pisał 14.11.1862 r. — za te prawdy, których istotę powtarzam lat około dwanaście ale gdybym miał dziś, na szyi powróż, to jeszcze gardłem przywartym chrypiałbym, że Polska jest ostatnie na globie społeczeństwo a pierwszy na planecie naród.

Kto zaś jedną nogę ma długą jak oś globowa, a drugiej nogi wcale nie ma, ten, o! jakże ułomny kaleka jest!”

Ci zaś, którzy usiłują w kraju spopularyzować dziś dzieła Norwida, pamiętajcie niezawodnie, że z filozofią trzeźwości umiał poeta łączyć niezłomną bezkompromisowość, gdy chodziło o „azjackiej łaskę ambasady”.

MARIA CZAPSKA

Dwa czasopisma

„Verve” i „Głos Plastyków” — dwa czasopisma o sztuce. Jedno francuskie, poświęcone Bonnardowi, niedawno ukazało się na półkach księgarskich, drugie polskie „Głos Plastyków”, ma na okładce datę grudzień 1946, ale się ukazało dopiero parę miesięcy później — warto je zestawić i wspólnie omówić.

Trudno się nie zamyslić nad losem Polski i losem Francji jedynie porównując oba pisma.

Sądząc z notatek, umieszczonych w prasie zaraz po śmierci Bonnarda, mogło się zdawać, że Francuzi nie rozumieją kogo stracili. Wrażenie to było jednak niesłuszne, nie mówiąc już o wielkiej ilości artykułów i essayów, nawet o paru książkach o Bonnarze, które się od tego czasu ukazały i wszystkie tełnęły najgorętszym dla dzieła Bonnarda uznaniem, Francja zdobyła się na dwa hołdy naprawdę godne wielkiego malarza: na wspaniałą wystawę retrokoptyczną w Orangerie 11 i na ten numer podwójny czasopisma „Verve”, który omówić zamierzam.

Zdaje się, że nie spotkałem czasopisma, które by jako dobór reprodukcji, tekstów, techniki reprodukcji kolorowej, **mise en page**, było lepsze od tego numeru. Jeżeli piszę o nim na równi i obok retrospektywy dzieł Bonnarda uważając pojawienie się tego numeru za fakt tak znaczny, to dlatego, że dzięki

1) Wystawa zbiorowa jest rewelacją nawet dla najbardziej zacieklej bonnardystów. Kilkaset dzieł tego malarza podpięra się, harmonizuje się wzajemnie. Twórczość Bonnarda, objawiona w jej rozwoju poprzez lata to cudne drzewo w kwiatach i owocach, które rosło bez pośpiechu, bez śladu sztuczności, w żyznej ziemi francuskiej i dało nam wszystkim tyle radości nieznanej. Dzieła Bonnarda z ostatniej epoki są najświeższe, najbardziej dźwięczne. To nieprawda, jakoby Bonnard stał się pod koniec malarzem, który poświęcał wszystko dla dekoracyjności. To nigdy nie jest tylko dekoracja, to jest pieśń na cześć życia, radości życia odnalezionego w słońcu, w naturze, w kobiecie, w najbardziej nikłych przedmiotach codziennego użytku.

tego rodzaju wydawnictwom dzisiaj delikatne notatki Bonnarda, robione kolorowymi ołówkami, jego obrazy mogą być podziwiane w kolorowych, świetnych reprodukcjach na całej kuli ziemskiej. Nie tylko Goethe, nie tylko Mickiewicz musieli karetą jechać do Włoch, żeby widzieć piękne malarstwo, ale jeszcze dwadzieścia lat temu w Akademii Krakowskiej odkrywaliśmy Cézanne'a, Van Gogha (przeważnie wbrew naszym nauczycielom), z lichych czarnobiałych reprodukcji. Odbitki kolorowe były rzadkie i jakże niewierne. Słusznie twierdzi Malraux w swej niewydanej jeszcze książce o plastyce, że technika reprodukcji kolorowej musi sprowadzić przewrót w stosunku zwykłego człowieka do koloru, jako do zasadniczego elementu sztuki. Zamiast miedziorytów — kopii walorowych i rzeźbiarskich obrazów renesansowych mamy dzisiaj kolorową reprodukcję, która nam daje ewokacje Bonnarda, Cézanne'a, witrażu średniowiecznego, czy mozaiki bizantyjskiej, dywanu czy tkaniny wschodniej. Cóż za wzbogacenie świadomości plastycznej. W „Verve” znajdujemy właśnie kolorowe reprodukcje jego nieznanymi rysunków ołówkowych z notatników, przy tym rozsiadano teksty, zdania Bonnarda o sztuce, odnalezione w tychże notatnikach. Zależnie od klimatu wewnętrznego czytającego z tych ziaren rzuconych mogą wyrastać wątki własnych myśli i przeżyć malarskich. Jedno z tych zdań może bardziej niż inne charakteryzuje dzieło artysty: „Można wydobyc piękno ze wszystkiego”. Przypomina to zdanie Delacroix: „Dajcie mi błota — ja zrobię z niego ciało Wenus”. Bonnard magicznie przetwarza na piękno wszystko, zwykły kaloryfer czy muszle starej umywalki. Bonnard ciągle nawraca do „wagi wrażenia nieoczekiwanego”, do „nieprawdopodobieństwa tego co właśnie jest prawdziwe”. Bonnard kocha naturę, ale jakże się jej wystrzega, by mu nie zasłoniła, nie zamazała tego co nazywa „la premiere séduction” — pierwsze oczarowanie. I zastanawia się widocznie nad tym samym gdy rzuca krótkie zdanie „widzieć motyw tylko raz jeden, czy tysiąc razy”. Proust w „Czasie odnalezionym” pisze również o niebezpieczeństwie zatracenia wizji przez powracanie na to samo miejsce, badanie przedmiotu w coraz to innej temperaturze wewnętrznej. Bonnard czerpiąc swe doznania bezpośrednio z wizji natury maluje je latami w pracowni, już w oderwaniu od analizy natury wraca i transponuje „pierwsze oczarowanie”.

Wydawcy podwójnego numeru „Verve” postawili się świadomie w cieniu. Nie ma tam mądrej dysertacji ale są świetne reprodukcje, myśli Bonnarda z notatnika, poza tym tylko dwa teksty zaledwie dłuższe: Uwagi o malarstwie, spisane podczas rozmów z wielkim malarzem przez Teriade w Le Cannet w 1942 r. i przez Angele Lamotte w 1943 r.

A więc w 1942 i 1943 roku wielki malarz francuski malował kwiaty i słońce, a jego wyznawcy słuchali jego wypowiedzi o sztuce. Niedaleko od niego również na uroczej Rivierze, stary Matisse robił arcydzieła, a Picasso, dziś zapisany do partii komunistycznej, spokojnie malował kubistyczne obrazy w swym wygodnym i wytwornym mieszkaniu w Paryżu.

Tutaj chciałbym przejść do omówienia „Głosu Plastyków”, który wydali malarze w Krakowie pod redakcją Jana

Cybisa. Ten numer w prostym i pięknym układzie zaczyna się od listy 237 pomordowanych i zmarłych artystów plastyków polskich od 1939 do 1946 roku. Potem idą teksty. Znaczący i wnikliwy artykuł Jerzego Wolffa o Pankiewiczu i Boznańskiej, Kowarskiego o Pankiewiczu, Gerżabka — wspomnienie o Boznańskiej, wspomnienie syna o rzeźbiarzu Ludwiku Pugetcie, wywiezionym i zmarłym w Oświęcimiu, artykuł Wasilkowskiego o rozstrzelanym przez Niemców rzeźbiarzu Stanisławie Majchrzaku, potem idzie tłumaczenie fragmentów z „Mistrzów czasów minionych” przez Jana Cybisa, szereg wypowiedzi o współpracy architektury, rzeźby i malarstwa, o muzeach londyńskich i Picassie, — wszystko usiane licznymi inteligentnie dobranymi reprodukcjami. Ten numer opowiada o latach **tych samych**, w których Bonnard malował reprodukowane w „Verve” płótna.

Nazwisk zabitych, zmarłych i zamordowanych jest 237. Co znaczy ta ilość dla polskiej kultury plastycznej może chyba sobie uświadomić w pełni tylko ten, który tkwił wśród plastyków w Polsce, który znał wysoką klasę wielu z nich, wielkie, dopiero częściowo zrealizowane możliwości innych. Cyfra ta nie jest pełna. Iluż jeszcze ponadto zginęło w Rosji jak Glinicki, zaginiony po likwidacji obozu starobielskiego.

W jakże innych warunkach od Teriade'a czy pani Lamotte z „Verve” pisał Jerzy Wolff o seniorach sztuki polskiej Pankiewiczu i Boznańskiej, zmarłych w Paryżu w czasie tej wojny, albo o tymże Bonnarze. A przecież czujny artykuł Wolffa niczym nie ustępuje najlepszym dziś, w Paryżu, o sztuce piisanym artykułom, jest pełen serdecznego taktu, z jaką precyzją ustala przedział między naszym mądrym nauczycielem Pankiewiczem i naszym mistrzem Bonnardem: „Malowali razem i bardzo się rozumieli” — pisze Wolff, „a potem Bonnardowi urosły skrzydła i odleciał ku nowym horyzontom, a Pankiewicz pozostał przy swoim zajęciu bardzo serio”.

Jedną z zasług tego numeru jest położenie akcentu na twórczości Boznańskiej. Zdaje mi się, że byliśmy dotychczas nie dosyć sprawiedliwi wobec dzieła tej malarki. Jeszcze niedawno przyglądając się paru jej płótnom (mały autoportret w zbiorach profesora Zaleskiego i parę innych) — byłem uderzony wysokim gatunkiem gry barwnej, wrażliwością, niezmierną delikatnością wizji tej artystki.

Dwa wspomnienia w „Głosie” może szarpia najbardziej za serce: o Pugetcie i Majchrzaku. Jacek Puget mówiąc o ojcu potrafił wyrazić nie tylko wagę jego dzieła (Ludwik Puget był świetnym rzeźbiarzem w Polsce niedocenionym, bo nie robił rzeźb „wielkich” rozmiarami) ale i urok osobisty, właśnie tę lekkość, która cechowała go i świadczyła o wielkiej i bardzo pokrewnej Francji kulturze. Jacek Puget nie boi się pisać słów patetycznych i prawdziwych, że jego ojciec „żył miłością ojczyzny i miłością piękna w każdej dziedzinie” i obok cytować typowo pugetowskie odezwania i dowcipy: „Kiedyś w domu była mowa o stanie rodzinnego grobu. Proszę was, jak umrę, owinicie mnie w Kurierka...” — oto jego stosunek do swojej śmierci. Ale tak jak wierzył w skuteczność każdego wysiłku,

choćby drogi skutku nie były mu znane, tak wierzył w owocność męczeństwa”. Jest po prostu kwestią przyzwoitości, żeby z każdej polskiej rodziny umarł ktoś w obozie...” — to jego ostatni paradoks już z Oświęcimia. ...Trzeciego maja kartka wysłana „Segne euch alle...” „...27 niosa go bezprzytomnego w gorączce, powyżej 40 stopni, na „czarny ołtarz”, by na nim ciele wypisać numer 33164”.

Słowa Wasilkowskiego, poświęcone pamięci Stanisława Majchrzaka są niemniej wstrząsające. Zналиśmy go wszyscy, tego prostego o dobrym uśmiechu, miłego kolegę z Akademii. Nazwisko jego znalazło się na pierwszej liście rozstrzelanych, jaka ukazała się w Krakowie w 1943 roku. Parę reprodukcji jego rzeźb, podanych w „Głosie Plastyków”, przede wszystkim głowa synka i głowa kobieca, gdyby były wyrzeźbione przez Francuzą, byłyby już pewno w jednym z muzeów sztuki nowoczesnej Francji czy Ameryki, a dzieło jego w bronzie czy marmurze byłoby znane ludziom sztuki przynajmniej. Majchrzak rzeźbił w glinie, większość rzeźb tutaj podanych już nie istnieje, nie stać go było nawet na gips. Rzeźbił wielkie akty, portrety, kompozycje, fotografował je, a potem składał do skrzyni, w której po jakimś czasie wszystko to pękało na miazgę. Co zostało z dzieł Majchrzaka?

Dwa światy artystyczne Francji i Polski znajdują wyraz w tych dwóch czasopismach. Ileż wspólnego w stylu w paradoksach, we wspólnych entuzjazzmach i w fanatyzmie bezinteresownym sztuki i jakże inne historyczne drogi rozwoju.

Ludwik Puget, wszyscyśmy go kochali i w jego domu w Krakowie każdy, który nie miał gdzie mieszkać, malarz czy rzeźbiarz, znajdował schronienie. Gdy mu raz się przyznałem, że jeden z moich kolegów nadzwyczajnie ściagnął jego gipsową główkę kobiecą, bo tak mu się spodobała, powiedział mi z uśmiechem „jakże mi to miło, że mu się tak spodobała, że aż ściagnął”, ten sam Puget, według słów jego syna, „wierzył w skuteczność każdego wysiłku, choćby drogi skutku nie były nam znane, jak wierzył w owocność męczeństwa”.

Jeżeli wiara Ludwika Pugeta nie jest płonna to jakie kwiaty powinny zakwitnąć i jakie owoce dojrzeją na ziemi zalanej i nasiąkłej krwią najlepszych.

JÓZEF CZAPSKI

Z powodu sytuacji demograficznej Francji

W 1-szym numerze KULTURY ukazał się artykuł objaśniający prądy polityczne, jakie nurtują dziś Francję, jej sytuację demograficzną, z tendencją do stałego zmniejszania się ludności. Objaśnienie to jest częściowo słuszne w tym sensie, że zmniejszania się ludności jest częstym przedmiotem rozważań prasy, wyciągającej stąd najbardziej pesymistyczne i „defetystyczne” wnioski. Francja — powiadają ponurzy komentatorzy statystyki ludnościowej — nie może sobie już na nic pozwolić, znajdując się w położeniu chorego w przede dniu śmierci naturalnej.

Tego rodzaju opinie — jeżeli są dostatecznie rozpowszechnione — są też pewnego rodzaju zjawiskiem natury, z którym wypada się liczyć. Ogólne wnioski tego rodzaju mają jednak bardzo mało wspólnego z właściwą demografią. Należą raczej do zakresu mistyki liczb, która od ćwierć wieku jest wielką chorobą opinii publicznej. W okresie międzywojennym okazało się, że można namówić Europejczyków do najcięższych ofiar, pokazując im wzrastające krzywe produkcji, zatrudnienia, oszczędności, zaludnienia itd. Szersza publiczność, zaskoczona tą nową formą propagandy, przez dłuższy czas nie orientowała się, że wysnuwanie optymistycznych wniosków z tych wzrastających krzywych wymaga jeszcze odpowiedzi na liczne pytania dodatkowe. Jaka jest natura wzrastającej produkcji? Wielka np. produkcja armat nigdy nie wroży nic dobrego. Czy produkcja ta jest rentowna i ma widoki na przyszłość? Jakie są warunki bytu zatrudnionych? Jak są lokowane wzrastające oszczędności i czy można za nie coś kupić? Jaka jest przyszłość zwiększającej się ludności? Nikt prawie nie stawiał sobie tych pytań, i dwa pokolenia pogrążyły się w mistykę liczb, którymi najsprawniej umiała operować propaganda rządów dyktatorskich.

Liczba ludności, odkąd stała się przedmiotem badań statystycznych, jest klasycznym przykładem liczby mistycznej, z której wróżbiarze, jak niegdyś z lotu ptaków i trzewi ofiar, wyciągają to raodsne to złowrózbnne auspicja.

Wystarczy jednak chwila chłodnego zastanowienia nad wynikami jakiegokolwiek spisu ludności, aby przekonać się, do jak skromnych tylko wniosków i przewidywań upoważnia — przy krytycznym myśleniu — statystyka ludnościowa.

Wahania liczby ogólnej ludności mówią bardzo mało i nie dają podstawy do żadnych pewnych przewidywań. Już same dane liczbowe tego typu są mało ścisłe i wymagają nieraz dużych korekt. W krajach ubogich zbyt wielu urodzonych w nich wyjeżdża umierać zagranicę, dzięki czemu liczby urodzin i zgonów stają się niewspółmierne. Tylko spisy ogólne ludności, przeprowadzane zazwyczaj co 10 lat, przynoszą cyfry zasługujące na zaufanie. Ale dopiero kompletny wynik spisu, z podziałem ludności na grupy według płci, wieku, zatrudnienia i stopy życiowej pozwala na ostrożne wnioskowanie.

Liczba urodzin nabiera wymowy dopiero wówczas, gdy zestawimy ją z liczbą kobiet w wieku 18 do 45 lat lub z liczbą kobiet zamężnych w tym wieku, jeżeli liczba dzieci nieślubnych jest w danym kraju niewielka. Liczba przyrostu ogólnego posiada inne znaczenie w kraju, gdzie 3/4 ludności znajduje się w wieku poniżej 30 lat, i inne tam, gdzie połowa mieszkańców przekroczyła 40-ty rok życia.

O przyszłości, znaczeniu i warunkach rozwoju kraju nie można nic prawie powiedzieć na podstawie ogólnej liczby ludności. Dopiero statystyka szczegółowa pozwala o tym coś sądzić, ale i tu można każdemu radzić wielką ostrożność w myśleniu. Zgoła inne jest położenie ludności ubogiej, ciemnej, nieświadomej swej sytuacji i istotnych interesów, i ludności zamożnej, posiadającej wielkie środki produkcji, wykszcolonej politycznie i zdolnej do przystosowania się do nowych warunków. Najbardziej uderzającym przykładem tej różnicy są losy Europy środkowo - Wschodniej. Ludność jej przekraczała sto milionów, znajdowała się więc zatem w tej samej kategorii co ludność Stanów Zjednoczonych, Unii Sowieckiej i Commonwealth Brytyjskiego. Ludność ta była jednak bardzo uboga, podzielona na suwerenne zaścianki, politycznie niewykszcolona i pozbawiona jakiegokolwiek poczucia solidarności. Dlatego też — wbrew jej woli i interesom — została wciągnięta w wojnę, poniosła najcięższe ofiary i, pozbawiona głosu, stała się, niby stado owiec, przedmiotem handlu między wielkimi mocarstwami. Przyszłość jej dziś jest ciemna. Co pomogą jej liczba i największy nawet przyrost naturalny?

O sile armii nie rozstrzyga jej liczba, ale uzbrojenie, zaopatrzenie, wykszcolenie i świadomość celów wojny. Ocena przyszłości danego kraju ma podobne i równie zawodne kryteria. Szczegółowa statystyka ludności jest tylko jednym z czynników tej niepewnej kalkulacji.

Argumenty wysnuęte z liczby ogólnej ludności i jej przyrostu naturalnego wydadzą się nam jeszcze bardziej zawodne, kiedy uświadczymy sobie zmienność tych danych i ich zależność od wielu innych warunków, mało uchwytnych statystycznie.

Stały upadek przyrostu naturalnego w Europie na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat wytworzył przekonanie, że jest to proces niepowrotny, związany z naturą naszej cywilizacji. Opinia taka nie da się dziś utrzymać. Przeczą jej ogólnie znane fakty, jak

np. ewolucja ludności Japonii. Znaczne wahania przyrostu naturalnego wykazuje też statystyka europejska ostatniego dziesięciolecia. W samej Francji liczba urodzin zaczęła wykazywać znaczny wzrost, wynosząc 640.000 w 1945 i 833.000 w 1946. Uderzający wzrost urodzin widziano podczas wojny w Szwajcarii, gdzie nie tylko liczba małżeństw, ale gdzie dzieci zaczęły przychodzić na świat w małżeństwach dużo starszych, dołąd bezdzietnych.

Spadek przyrostu naturalnego wskutek ograniczenia urodzin był w Europie aktem świadomym, wynikłym z oceny wartości życia i sytuacji człowieka w obecnym stanie naszej cywilizacji. Wskazuje on tylko na to, że w ocenie swych praw osobistych przeciętny Europejczyk okazał znaczną trzeźwość i nie poddał się mistyce liczb, głąjących w naszych czasach tak znaczną rolę w sprawach publicznych. Warunki egzystencji w Europie i ich ocena — jak mogliśmy się ostatnio przekonać — są jednak czynnikiem zmiennym, przewidywania zatem na temat przyszłej ewolucji zaludnienia naszego kontynentu nie są oparte na żadnych pewnych podstawach. Statystyka może tu dostarczyć tylko pewnych danych granicznych, jak np. liczba młodych kobiet w ciągu najbliższych 20 lat.

Zresztą, gdyby w swych projektach macierzyńskich kobiety kierowały się ogólną sytuacją swego kraju i Europy, trudno byłoby przewidzieć wyciągnięte stąd wnioski. Zachodnia część kontynentu nie może się samodzielnie wyżywić i nie ma za co kupować żywności w Ameryce. Podzielona granicami i liniami demarkacyjnymi nieprzepuszczalnymi dla osób i towarów, Europa Zachodnia patrzy dziś w przyszłość niejasną i mało obiecującą. W tej sytuacji ogólnej kontynentu żaden z wchodzących w jego skład krajów nie może pretendować do większego znaczenia i samodzielności. Co pomogłoby mu posiadanie jeszcze kilku milionów mieszkańców czekających na amerykańską pszenicę i kukurydzę? Samo wywartościowanie ich jako siły roboczej wymagałoby jeszcze spełnienia wielu trudnych do osiągnięcia warunków wstępnych.

P. H.

(Prosimy wypełnić i wysłać)

Do:

THE VISTULA PRESS LTD.
86, Avenue Road, LONDON N. W. 8.

Zamawiam niniejszym prenumeratę „KULTURY” na okres

- pół roku (6 kolejnych wydań) — za cenę £. 1. 0. 0.
 jednego roku (12 kolejnych wydań) — za cenę £ 1. 10. 0.

(Prosimy oznaczyć krzyżykiem wybraną prenumeratę)

Proszę o wysyłanie do mnie pisma, poczynając od wydania za miesiąc

O każdorazowej zmianie swego adresu będę Panów zawsze powiadamiał, dołączając 1 s. na koszty sporządzenia nowej matrycy adresowej.

Imię, nazwisko, dokładny adres:
(drukowanymi literami)

(Prosimy wypełnić i wysłać)

Do:

„LIBELLA”
12, rue St. Louis en l'Île, PARIS IV.

Zamawiam niniejszym prenumeratę „KULTURY” na okres

- pół roku (6 kolejnych wydań) — za cenę 500 frs.
 jednego roku (12 kolejnych wydań) — za cenę 800 frs.

(Prosimy oznaczyć krzyżykiem wybraną prenumeratę)

Proszę o wysyłanie do mnie pisma, poczynając od wydania za miesiąc

O każdorazowej zmianie swego adresu będę Panów zawsze powiadamiał.

Imię, nazwisko, dokładny adres:
(drukowanymi literami)

DOBRA KSIĄŻKA ZA DARMO
THE VISTULA PRESS LTD, (86, Avenue Road, London, N. W. 8)
 ma zaszczyt ogłosić utworzenie

KLUBU KSIĄŻKI POLSKIEJ

na wzór podobnych organizacji brytyjskich i amerykańskich
 Członkowie Klubu będą mogli nabywać najlepsze książki polskie
 o 25—40% taniej od cen katalogowych. Każdego miesiąca komisja,
 złożona z 3-ch wybitnych polskich literatów i krytyków literackich,
 wybierze 4 najlepsze książki, które będą zaofiarowane do sprzedaży
 członkom Klubu po niższej cenie. W ten sposób członek Klubu otrzy-
 ma rocznie selekcję 48 książek, otrzymując możliwość stworzenia war-
 tościowej biblioteki. **Bez żadnych zobowiązań.** Aby nie utracić człon-
 kostwa Klubu wystarczy nabyć 6 książek rocznie, wybierając tytuły,
 które będą najbardziej odpowiadały.

Członkiem Klubu może być każdy. **CZŁONKOSTWO JEST BEZ-
 PŁATNE**, jedynie na koszty — w ciągu roku — korespondencji
 i otrzymywanych co miesiąc katalogów należy wpłacić jednorazo-
 wo 4s. 6d. przy zapisie. **LICZNE NAGRODY.** Każdy zapisujący się
 na członka Klubu i kupujący przy zapisie przynajmniej 1 książkę
 — otrzymuje drugą książkę gratis.

Selekcja na listopad 1947 r.:

G. Herling-Grudziński (opracowanie): **W OCZACH PISARZY.**
 Cena katalogowa 12s. 6d., dla członków Klubu 8s. 6d. (porto 9d.).

Sieroszewski: **BENIOWSKI.** Cena katalogowa 10s. 6d., dla członków
 Klubu jedynie 7s. 6d. (porto 9d.).

T. Parnicki: **AECJUSZ — OSTATNI RZYMIANIN.** Duży format
 — płócienna oprawa. Cena katalogowa 15s. 6d.; dla członków Klubu
 jedynie 10s. 6d. (porto 9d.).

T. Felsztyn: **ENERGIA ATOMOWA.** Cena katalogowa 6s. 6d., dla
 ków Klubu jedynie 4s. 6d. (porto 6d.).

Każdy zapisujący się do Klubu w ciągu października i listopada br.
 i nabywający przynajmniej jedną z wyżej wymienionych książek
 otrzyma gratis — za zwrotem jedynie kosztów przesyłki w wysok. 9 d.

Andrzeja Struga: **PORTRET - GAŁĄZKA JEMIOŁY**

Selekcja 4-ch książek na grudzień będzie ogłoszona w końcu listopada
 br. Dalsze selekcje ogłaszane następnie co miesiąc.

UWAGA: Jedynie członkowie Klubu mogą nabywać wybrane książki
 po niższej cenie — książki te w księgarniach są sprzedawane wed-
 ług normalnych cen katalogowych.

Skorzystajcie z okazji!

Przesyłajcie zgłoszenia na wstąpienie do Klubu ze wskazaniem książ-
 żek — z wyżej podanej selekcji — które chcecie nabyć, wraz z opła-
 tą wstępną i należnością za książki i porto — pod adresem:

POLISH BOOK CLUB, c/o THE VISTULA PRESS LTD.,
 86, Avenue Road, London, N.W. 8

(Prosimy wyciąć, wypełnić i wysłać)

Do **POLISH BOOK CLUB, 86, Avenue Road, London, N.W. 8.**

Proszę o przyjęcie mnie jako członka do Klubu Książki Polskiej.
 Proszę również o przesłanie mi następujących selekcji na listopad br.:

W OCZACH PISARZY **BENIOWSKI** **AECJUSZ**

ENERGIA ATOMOWA (wybrane książki oznaczyć krzyżykiem).

W załączeniu przesyłam opłatę wstępną 4s. 6d. oraz należność za
 wybrane książki wraz z porto, razem Jednocześnie
 proszę o przysłanie mi bezpłatnie **Portret-Gałazka Jemioły**; na kosz-
 ty przesyłki tej książki załączam dodatkowo 9d.

Imię, nazwisko, dokładny adres:
 (drukowanymi literami)

6265

KULTURA

Redaguje KOMITET REDAKCYJNY

Cena we Francji 90 fr., w W. Brytanii 3 sh., w Italii 200 lir.

Warunki Prenumeraty:

We Francji: roczna — 800 fr.; półroczna — 500 fr.

W W. Brytanii: roczna — 1 £ 10 sh.; półroczna — 1 £

We Włoszech: roczna — 2000 lir.; półroczna — 1200 lir.

Przedstawicielstwa:

WE FRANCJI — Librairie LIBELLA, 12, rue St. Louis en l'Île,
 — Paris IV.

W W. BRYTANII — The Vistula Press Limited, 86 Avenue
 Road — London N. W. 8.

WE WŁOSZECH — J. Miecznikowski „Kiosk Polski” Via Vit-
 torio Veneto 62, — Roma

W PALESTYNIE — United Publishers Ltd., 8, Storrs Ave.,
 Jerusalem

Adres Redakcji: Librairie Libella, 12, Rue St. Louis en l'Île,

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listownym.

Redakcja KULTURY nie zwraca rękopisów nadesłanych a nie
 zamówionych.

INSTYTUT LITERACKI

Ukazały się i są w sprzedaży następujące nowe książki
INSTYTUTU LITERACKIEGO:

Arthur Koestler: **KRUCJATA BEZ KRZYŻA**
Przekład G. Herling-Grudzińskiego

Cena we Francji 250 fr.
Cena w Anglii 9/6 sh.

Jan Bielatowicz: **PASSEGGIATA**
Wybór szkiców włoskich

Cena we Francji 180 fr.
Cena w Anglii 7/6 sh.

Gustaw Herling - **W OCZACH PISARZY**
Grudziński Wybór opowieści wojennych 1939—1945
(opracował): Utwory 26 wybitnych autorów polskich

Cena we Francji 260 fr.
Cena w Anglii 12/6 sh.

Książki te są do nabycia we wszystkich punktach sprzedaży
KULTURY. Redakcja KULTURY wysyła je również za zali-
czeniem pocztowym.

20

ŻĄDAJCIE KATALOGÓW
WYDAWNICTW INSTYTUTU LITERACKIEGO

W najbliższym czasie INSTYTUT LITERACKI wydaje:

Arthur Koestler: **CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE**
w przekładzie Tymona Terleckiego

Józef Czapski: **NA NIELUDZKIEJ ZIEMI**